

68/82

Bibl. Jag.



2. IX 1982. Gdańsk. I

Dolaćracem do manuskryptu
p.t. "Fragment Autobiografii"
meego niedawno zmarłego iupka
prof. dr. Niktora Bincera kilka
uwag zawierających zastrzeżenia
autorskie, a chociażby
zastrzeżeni niedopuszczalność
drukowania fragmentów, [czytacz-
nie catość]

Zastrzeżeni niedopuszczalność ma-
nuskrpitu, którego druk obecnie
nie nastąpi, osobom postawionym
póź następnym lat trzech (70)

Proszę o zawiadomienie mnie
o przyjęciu czyjkolwiek
warunków.

Ławę wyprawy powołania

dr. Janina Bincera.

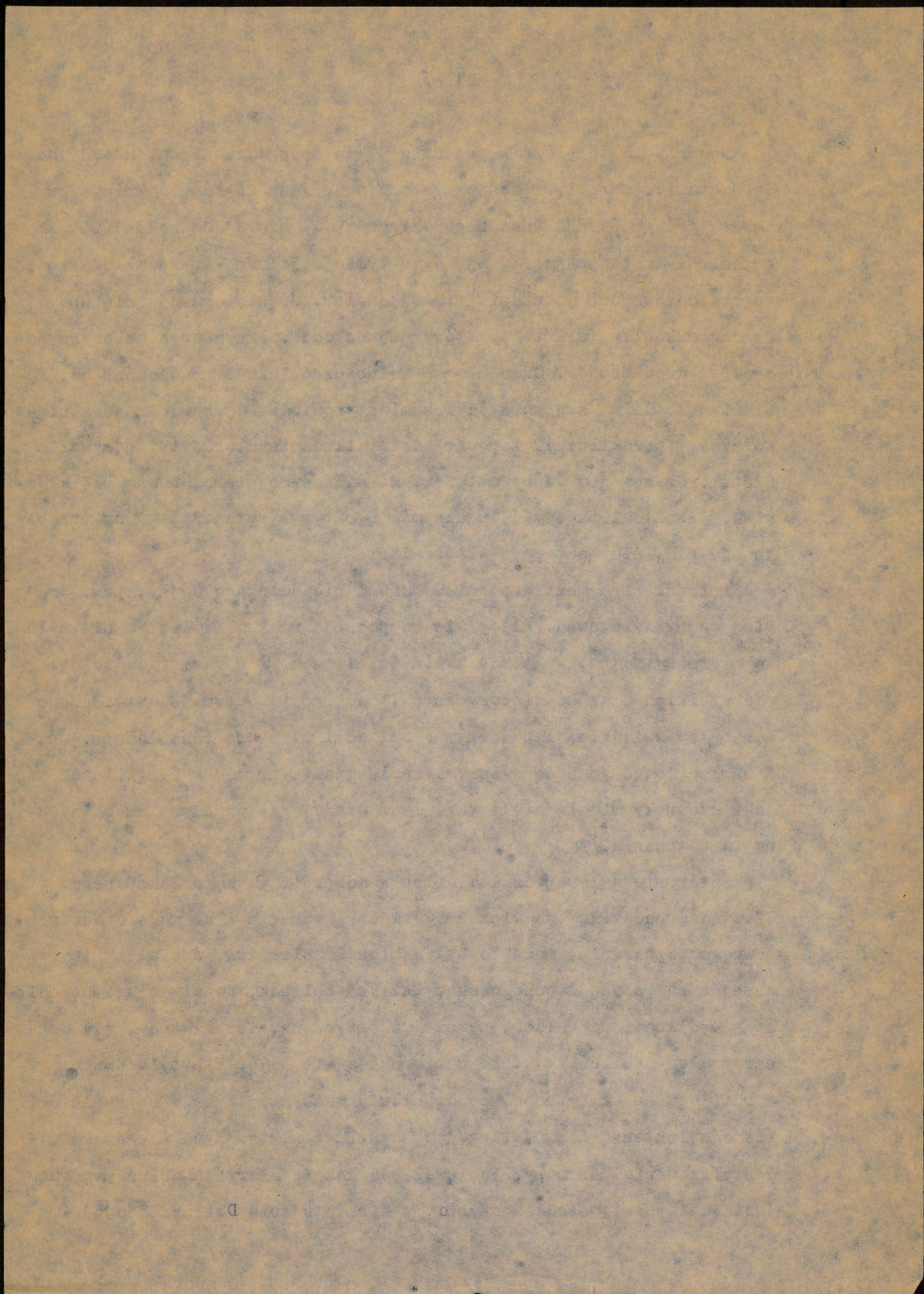
80-211. Gdańsk. ul. Dębinki 7c.



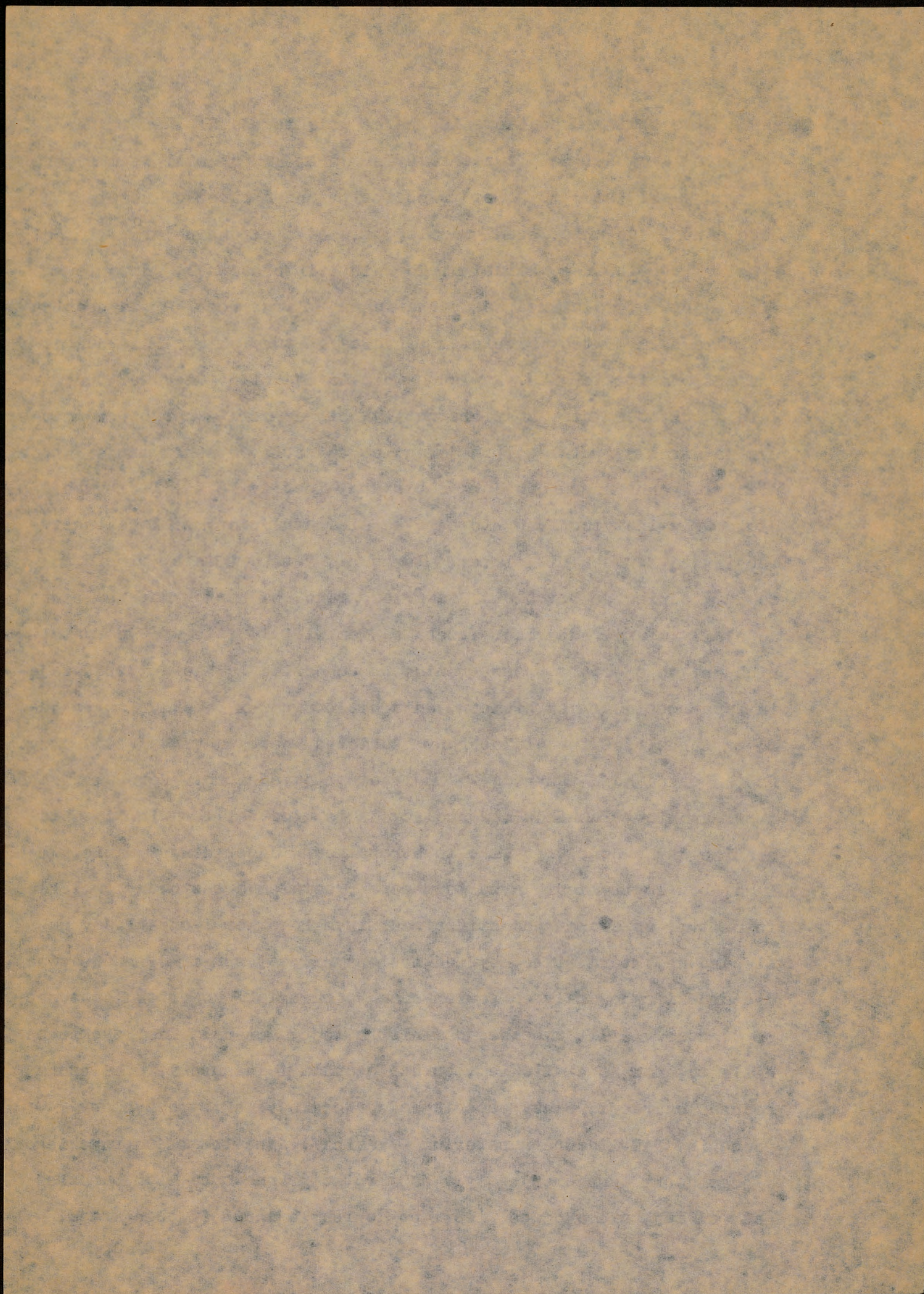
Wspomnienia te piszę w przeszło 30 lat po zdarzeniach, które chcę przedstawić. W pamięci mej poprzedzają je jeszcze dużo dawniejsze, nawet takie z bardzo wczesnego dzieciństwa, sięgające roku 1905, ale z pomiędzy nich pragnę tutaj mówić tylko o jednym - że zamiłowanie do prawdomówności wszczepił mi mój ojciec. Często okazuje się ona rzeczą szkodliwą dla tego, który jej hołduje. Przysparza mało przyjaciół, a dużo wrogów. Czasem może wolno człowiekowi prawdomównemu, zamiast skłamać na swą korzyść i zamiast powiedzieć prawdę na swą niekorzyść - przemilczeć? Zapewne takie milczenie starożytni nazywali złotem. Czasem jednak bywa i tak, że milczenie niemal równa się kłamstwu. Jeżeli wiem o czymś, a nie mówię o tym w sytuacji, kiedy trzeba to ujawnić, nie postępuję właściwie.

Niniejszy fragment wspomnień odnosi się do czasu wojny, tzw. drugiej wojny światowej. Kiedy się rozpoczęła miałem 37 lat, a nie była to pierwszy wojna, w której byłem żołnierzem. Nie zamierzam tu opisywać wielkich zdarzeń historycznych, chcę mówić o tym jedynie, czego sam byłem świadkiem lub o czym opowiadali mi wiarogodni ludzie. Czasem przeplatać to będę własnymi refleksjami, przede wszystkim takimi, jakie nasunęły mi się nie teraz, lecz wtedy, gdy przeżywałem opisywane tu zdarzenia.

W sierpniu 1939 spędzałem urlop w Kościelisku koło Zakopanego. Stamtąd wychodziłem na większe wycieczki górskie i na małe spacery. Pewnego popołudnia, może to był 22 lub 23 sierpień, chciałem się przejść na Polanę Chochołowską. Wziąłem chlebak, do niego kromkę chleba z wędliną i mapę Tatr, zawsze mi przydatną, też i wtedy, gdy dobrze znałem okolice, w które zamierzałem się udać. Nie tyle bowiem chodziło mi o samą trasę, co do której zazwyczaj nie było problemów, ile o orientację co do otaczających szczytów, trudnych nieraz do zidentyfikowania bez mapy. Ponieważ pod koniec sierpnia dzień w górach jest już krótki, szedłem szybko, z Kir do ujścia Doliny Lejowej i

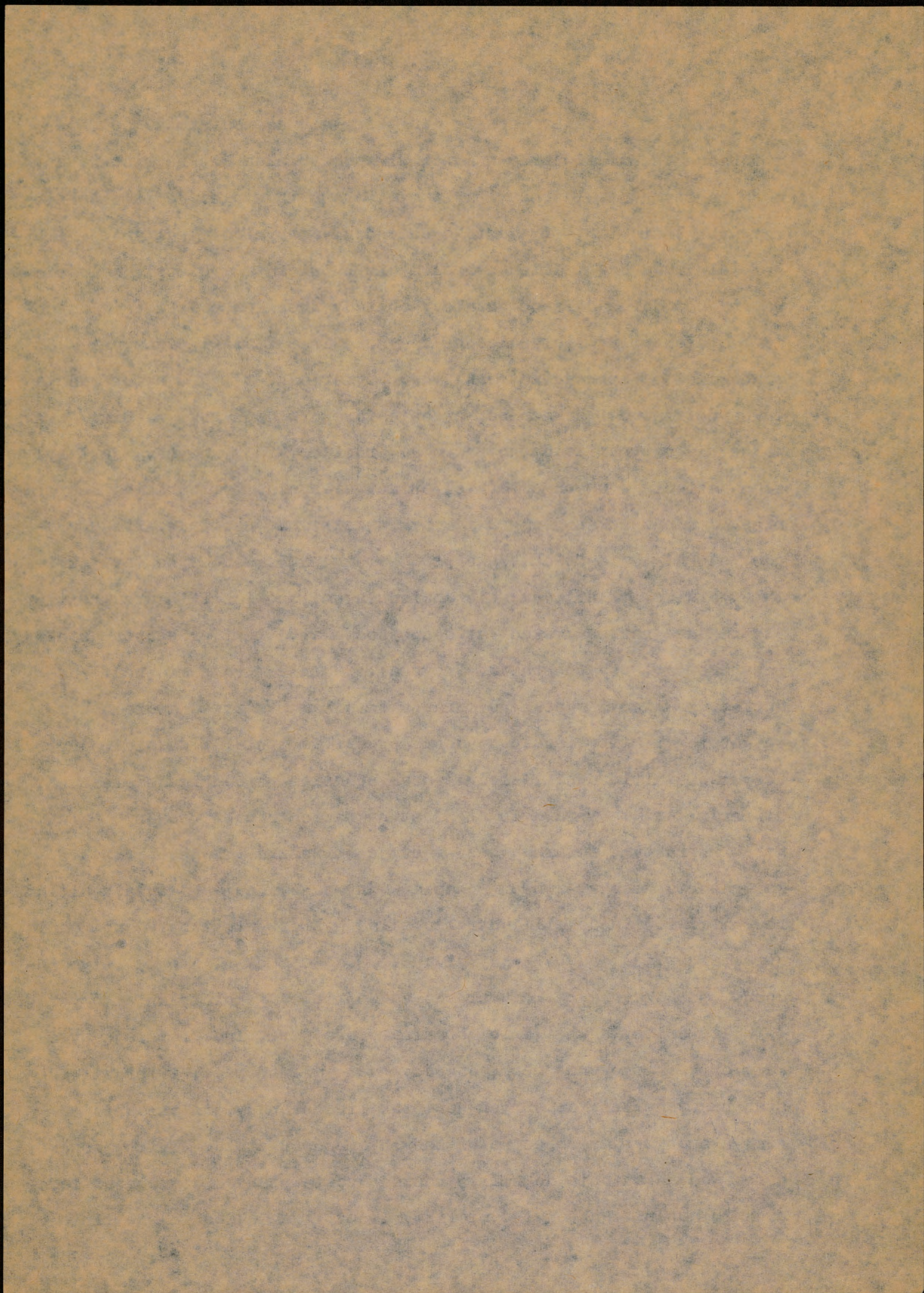


skróttem do Doliny Chochołowskiej przez polankę pod Siwiańskie Turnie. Doszedłem do gościńca i żwawo ruszyłem dalej ku Polanie. Wtem słyszę za sobą głos: "stój!". Nawet przez myśl mi nie przeszło, że się to może odnosić do mnie, szedłem dalej, ale słyszę ponowne grz^oźne "stój!" i szczęk repetowanego karabinu. To mnie zainteresowało, odwróciłem się i ujrzałem żołnierza staży granicznej /ówczesnego KOP, a granica słowacka szła i wtedy grzbietem Bobrowca/, który składał się już do strzału w moim kierunku. A więc o mnie to chodziło! Ciekawe. Oczywiście zatrzymałem się, żołnierz zbliżył się do mnie z karabinem gotowym do strzału, pytał com za jeden, co tu robię, o legitymację /wtedy nie było regularnych dowodów osobistych, lecz tylko np. legitymacje służbowe z instytucji, w której było się zatrudnionym/. A ja legitymacji swej ze sobą nie miałem, ale pewnie i tak wiele by mi nie pomogła. Żołnierz skontrolował zawartość mego chlebaka - mapa na pewno dopełniła miary podejrzeń. Trzeba bowiem wiedzieć, że w owych ostatnich dniach sierpnia przez granicę przechodziło na Słowacyznę, zajęta już przecież przez Niemców, dużo hitlerowców z Polski, już to jako szpiegów, już też dla ochrony osobistej wobec nadciągającej burzy. Krótco przed moją przygodą, jak mi potem powiedziano, próbował przejść przez granicę właśnie w tej okolicy jakiś młody hitlerowiec i został postrzelony w nogę. Wprawilo to strażników w duże zdenerwowanie. Więc i ja, bez legitymacji, a za to z mapą, zostałem aresztowany. Polegało to na tym, że stałem pod strażą nad Siwym Potokiem i czekaliśmy na ciężarówkę, którą miałem być odwieziony na posterunek KOP na Nędzówce. Ciężarówki zajeżdżały co pewien czas po okrągłaki do potoku, potrzebne do budowy willi ówczesnego ministra wojny generała Kasprzyckiego. Willa ta, nad Kościeliskiem, bardzo okazała i luksusowa, dokończona podczas okupacji, służy obecnie jako "Wojskowy Dom Wypoczynkowy", podobnie, jak i dawne sanatorium Dłuskich/. A na temat Kasprzyckiego i jego dobrej znajomej krążyły już krótko przed wojną, tym bardziej zaś później, niepokojące wieści co do ich lojalności wobec kraju.



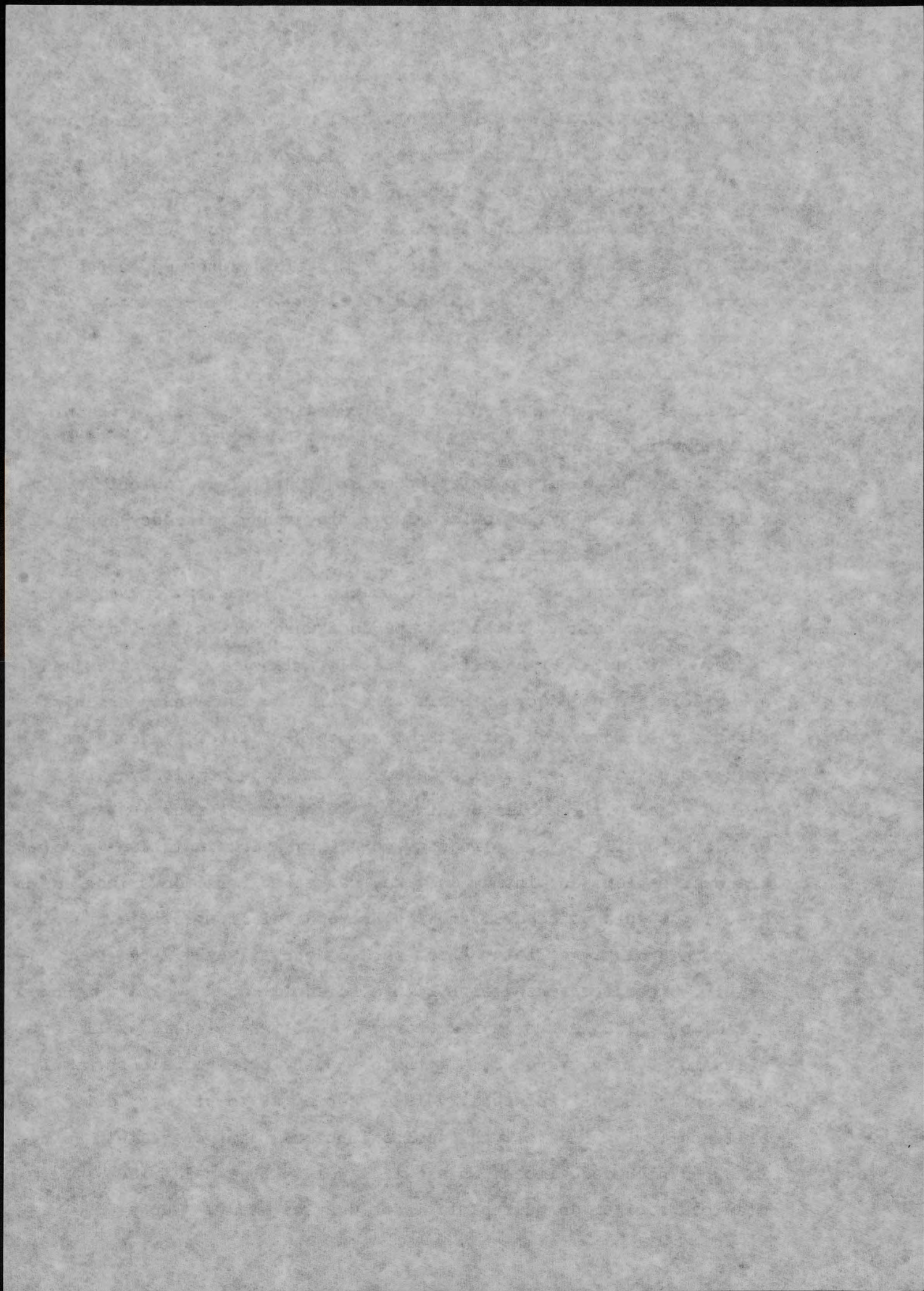
Kiedy więc po pewnym czasie znalazłem się na posterunku KOP, poinformowałem, że mieszkam w Kościelisku, wybrałem się na spacer, a moja legitymacja służbowa leży w moim pokoju na stole. Jeden z żołnierzy wybrał się tam, sprawdził o co chodzi, przyniósł legitymację i byłem wolny. Na drugi dzień wybrałem się na większą wycieczkę całodniową, raczej już z dala od granicy, a kiedy wróciłem pod wieczór do domu zastałem pilny list polecony z dyrekcji szpitala w Cieszynie /gdzie pracowałem od szeregu lat jako tzw. prymariusz, tj. ordynator oddziału wewnętrznego i zakaźnego, przeniesionego w 1933 roku za Olzę/, wzywający do natychmiastowego powrotu. Wróciłem. Wiemy wszyscy, jaki był stan napięcia w owych ostatnich dniach sierpnia, tym bardziej nad granicą. Jeden z lekarzy w prowadzonym przeze mnie szpitalu, nie uważający się nigdy za Polaka, ale protegowany przez żonę dyrektora szpitala, Niemkę, pełnił, jak się dowiedziałem, obowiązki lekarza "Hitlerjugend" za granicą /dokąd łatwo się dostawał dzięki przepustce stałej/. Zapytałem go, czy to prawda. Przyznał. Zwolniłem go z miejsca. /Sądziłem, że kiedyś spotka go kara za tę zdradę Państwa, którego był obywatelem i które dawało mu dobre środki do życia. W czasie wojny był oczywiście hitlerowcem. Kiedy jednak wróciłem po wojnie do Cieszyna, stwierdziłem, że wprawdzie nie jest na razie "rehabilitowany", ale uprawia praktykę lekarską bez większych przeszkód. A jego protektorka, zażarta Niemka, która w czasie wojny najżywiej współżyła z hitlerowcami, wróciła do willi dyrektorskiej w Cieszynie i była znów panią dyrektorową, jak gdyby nigdy nic. Nie jestem mściwy, ale te i tym podobne zjawiska obserwowane krótko po wojnie, napełniały mnie goryczą/.

Wiele dni szła względnie normalna praca szpitalna. Depresję wywołały opinie mego znajomego, dowódcy pułku miejscowego: twierdził, że stan naszych linii obronnych jest tak niedoskonały, iż ani dnia na ^{się} nich /nie utrzymamy wobec nowoczesnych sposobów ataku. A więc jeszcze przed wojną zaufanie do silnej naszej "postawy" było dla wtajemniczonych podkopane. Na co więc mieliśmy liczyć? Na jakieś dalsze linie

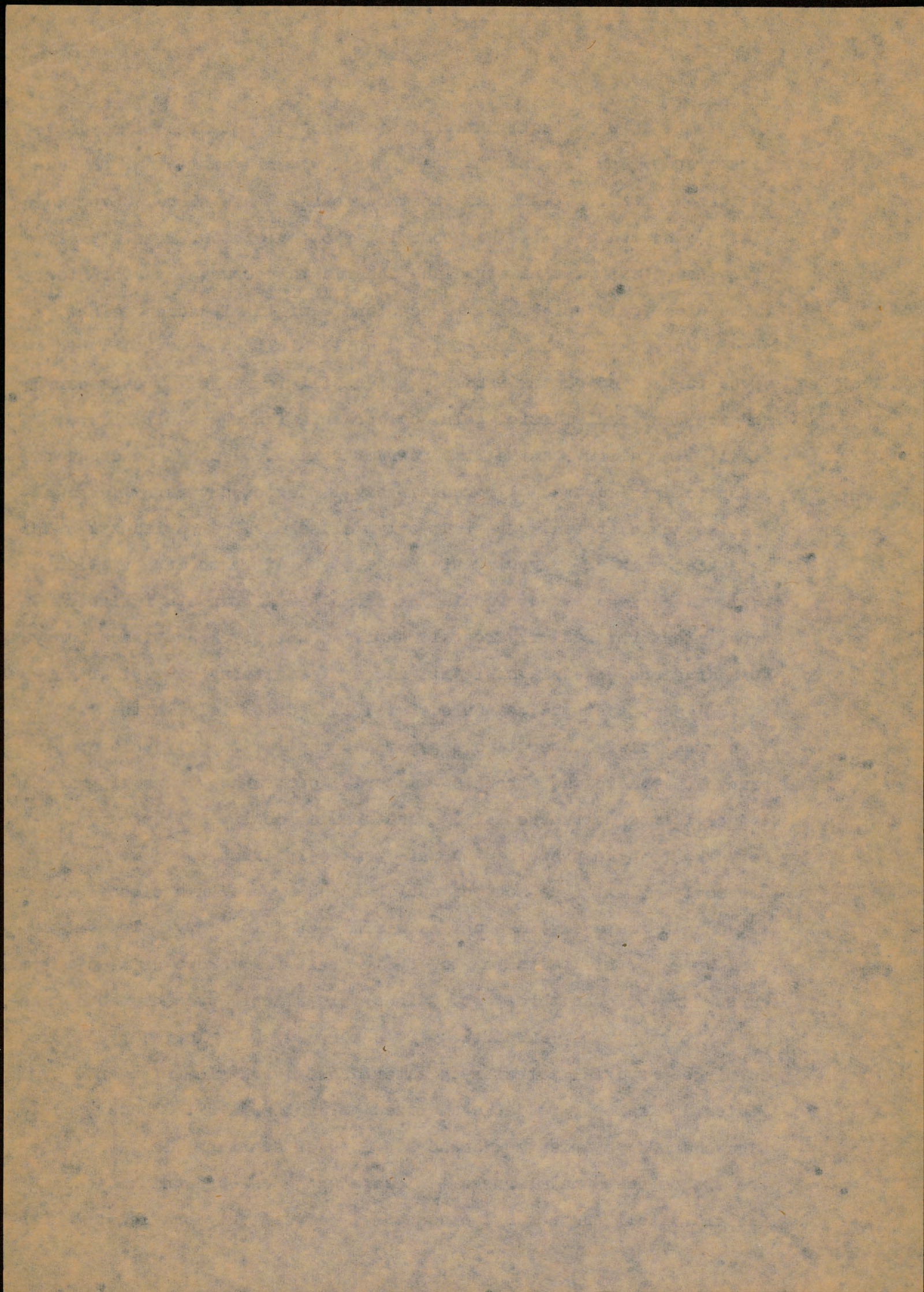


obronne? Niczego takiego nie było widać. No to na ducha Somosierry? Chyba tylko, ale to nikogo trzeźwo patrzącego nie mogło ludzić. I tak poczęły się saczyć w świadomość pierwsze krople głuchej rozpacz. Gdy słuchałem butnych zapowiedzi najwyższych wojskowych i konfrontowałem to z oglądanymi przeze mnie gołymi polami wczesnej jesieni /przy okazji przejazdów do Katowic po ... maski przeciwgazowe/, na których nie było śladu jakichkolwiek punktów obronnych, przychodziło mi na myśl zdanie jednego z pisarzy francuskich na temat ich sztabów w wojnie 1870 roku: "Arrogance militaire mal fondée" /ale uzasadniona zarozumiałość wojskowa/.

Tymczasem nowe zarządzenie: przenosimy szpital do Oświęcimia. Dyrektorem szpitala był człowiek słaby, niezaradny, niezdecydowany, a przy tym, jak wspominałem, żonaty z agresywną Niemką, choć jego ojciec był znanym z przywiązania do polskości Ślązakiem. Jak gdyby był porażony zdarzeniami, niezdolny ani do żywszej reakcji ani do rozsądnego działania. Urządzaliśmy szpital w klasztorze OO. Salezjanów, oczywiście nie nadającym się dla tego celu. O prawidłowej organizacji nie było mowy. Wyraźnie już widząc co się święci, pojechałem /przewożąc przy sposobności czterech młodzieńców do cieszyńskiego pułku, dokąd byli zmobilizowani - był to bowiem 31 sierpień, pierwszy dzień mobilizacji/ po rodzinę do Cieszyna i przewiozłem ją do Krakowa, zabierając minimum dobytku, resztę powierzając opiece sąsiadów. Tegoż dnia pojechałem znów do Krakowa /mieliśmy szpitalnego ówczesnego "polskiego Fiata" - wóz bardzo dobry i szybki/ by pomóc rodzinie. Wieczorem weszłem z kolegą na chwilę do "Hawełki" znanego przed wojną lokalu przy Rynku Głównym. Powietrze wielkiej sali restauracyjnej było gęste od dymu tytoniowego. Było pełno, ale chyba nie było ani jednego trzeźwego. Myślałem sobie, że to pierwszy dzień mobilizacji, więc iluż z tych ludzi powinno coś ważnego załatwić /a byli wśród nich dość liczni wojskowi/ i jak to będą załatwiać w takim stanie. Wróciłem do Oświęcimia i jak wszyscy wtedy, słuchałem w ra-

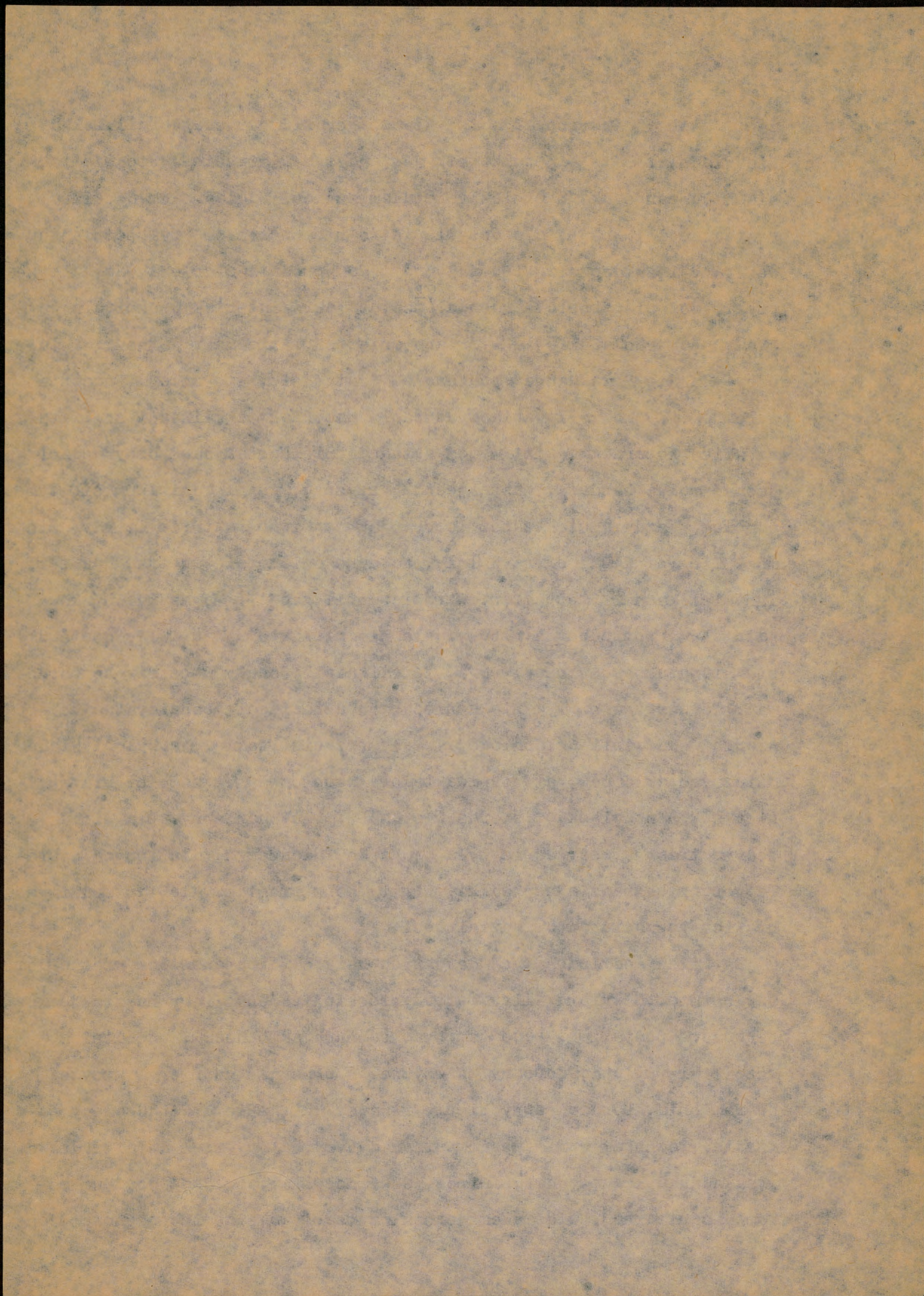


dio, jakie są wypowiedzi Hitlera: nie było już wątpliwości co do jego zamiarów. Noc przeszła nam na przygotowywaniu szpitala i na smutku przewidywań. Dopiero nad ranem zdrzemnąłem się nieco. Chyba koło piątej rano zbudził mnie huk bomb i warkot samolotów. Przelatywały nisko nad miastem, a na skrzydłach ich widniały czarne krzyże. Nie były to więc "ćwiczenia", jak to oceniano w wielu miejscach Polski, a przede wszystkim w Warszawie. I za chwilę mieliśmy w szpitalu pierwszych rannych od odłamków bomb - przynosili ich na zaimprovizowanych noszach przygodni ludzie, pełniący doraźnie funkcje sanitariuszy, biegli więc ulicą, zamiast iść równym krokiem, od czasu do czasu to jeden to drugi upuszczał poręczę noszy i nieszczęsny ranny doznawał dodatkowych cierpień. Wspominam o tym szczególnie, gdyż świadczył o braku jakiegokolwiek przygotowania do dających się przecież przewidzieć zdarzeń. W ciągu przedpołudnia zniesiono nam kilkunastu takich rannych, niektórzy zaś przydreptali sami. We wczesnych godzinach rannych dnia drugiego września odwiedził nas szef sanitarny dywizji krakowskiej i jego zastępca, zapowiedzieli, że będzie wielka bitwa pod Pszczyną, należy wobec tego przygotować szpital na przyjęcie dwustu rannych. A nasze zaopatrzenie w materiał opatrunkowy, środki znieczulające i inne potrzebne leki, nasza obsada, możliwości operacyjne - wszystko to było przecież znacznie poniżej potrzeb pokojowych, gdyż nie mogliśmy wziąć ze sobą całości naszego wyposażenia cieszyńskiego. A tu nagle zostajemy pasowani na wielki szpital polowy, ale sanitariat wojskowy nie zadbał o to, byśmy mogli prawidłowo działać w tym charakterze. Wobec tego postanowiono mnie właśnie wydelegować do szefa sanitarnego DOK /dowództwo okręgu korpusu/ w Krakowie, by uzyskać od niego przydział potrzebnych materiałów. Wyruszyłem więc znów tym Fiatem do Krakowa, podjechałem przed południem na ul. Stradom, gdzie w gmachu DOK powinien znajdować się ów szef sanitarny, znany mi zresztą ze swego nadmiernego i nieustającego celebrowania zajęcia Zaolzia. Atoli budynek był opuszczony, jedynie przy bramie stał sier-



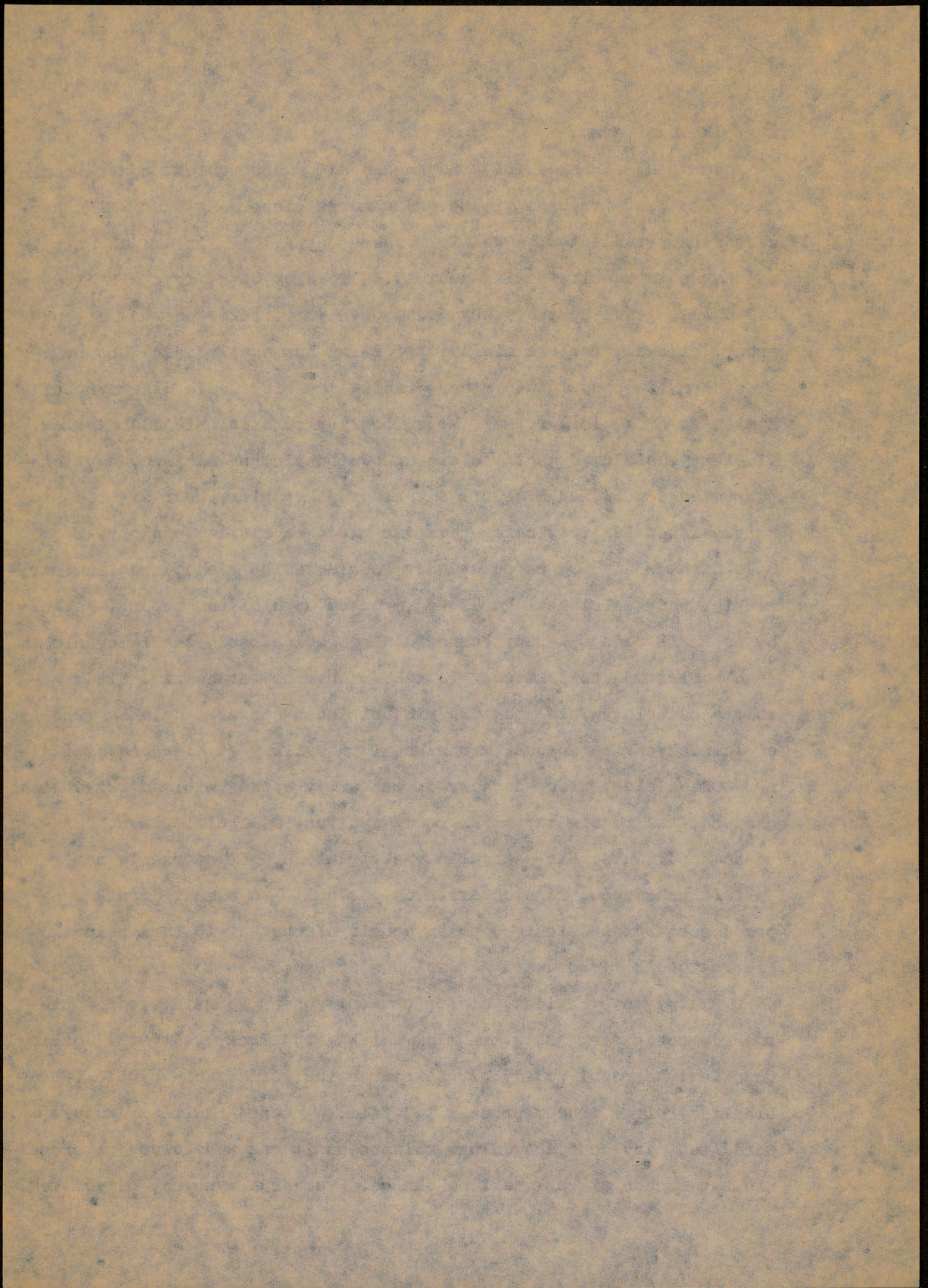
zant, który poinformował mnie, że wszyscy się już ewakuowali. Dokąd? Nie wiadomo. Może pan pułkownik jest gdzieś w mieście? "Nie wiem, niech go pan szuka". Gdzież go miałem szukać. Zaglądnąłem do kilku restauracji i knajp, ale oczywiście go nie znalazłem /był później we Francji, widocznie więc już drugiego września startował do Zaleszczyk/. Cóż więc robić? Próbowa^{em} dostać jakiś materiał w szpitalu wojskowym na Wrocławskiej - wysmiano mnie: sami nie mamy! Zresztą i tu odbywała się "ewakuacja" pod hasłem "ratuj się, kto może". Podobnie daremne były me usiłowania wydostania materiału z klinik i szpitala na ulicy Kopernika. Nikt w tej sytuacji nie chciał się pozbywać ani jednej rolki bandaża. Muszę jednak przyznać, że nie dziwiłem się tym odmowom, każdy chciał zabezpieczyć jak najwięcej materiału, gdyż nie mógł liczyć na żadne przydziały. Zapewne działo się tu tak, jak i z innymi zapasami "mob" /tzn. w razie mobilizacji/. Magazyny wojskowe pełne były potrzebnych rzeczy, ale nie miał kto wydać, więc dostawały się nienaruszone w ręce wroga, jeżeli nie spłonęły w czasie bombardowań. Te uwagi w niczym nie umniejszają uznania dla bohaterstwa żołnierza w kampanii wrześniowej, wiemy przecież także, że było i wielu dzielnych dowódców, ale ogniwa tyłowe w ogromnej większości nie spełniły swych obowiązków, nieraz w sposób wprost haniebny. Dla wielu jedyną trasą w tej wojnie była droga do Zaleszczyk, dla innych została gorycz beznadziejnej walki, nie tylko z wrogiem, ale i z rodzimym brakiem poczucia odpowiedzialności.

Po kilku godzinach tych daremnych usiłowań postanowiłem wracać do Oświęcimia. U wylotu ulicy Zwierzynieckiej zajechaliśmy na stację benzynową po paliwo. Dużo tam było różnych samochodów. Wśród nich kręcił się wysoki, dorodny mężczyzna, z opaską z czerwonym krzyżem na ramieniu, bardzo pewny siebie i nawet dzięki temu wzbudzający zaufanie. Poznałem w nim absolwenta medycyny, który miał duże trudności w składaniu końcowych egzaminów. Oświadczył mi, że jest dowódcą kolumny sanitarnej. Widziałem jednak naprzeciwko stacji benzynowej jed-



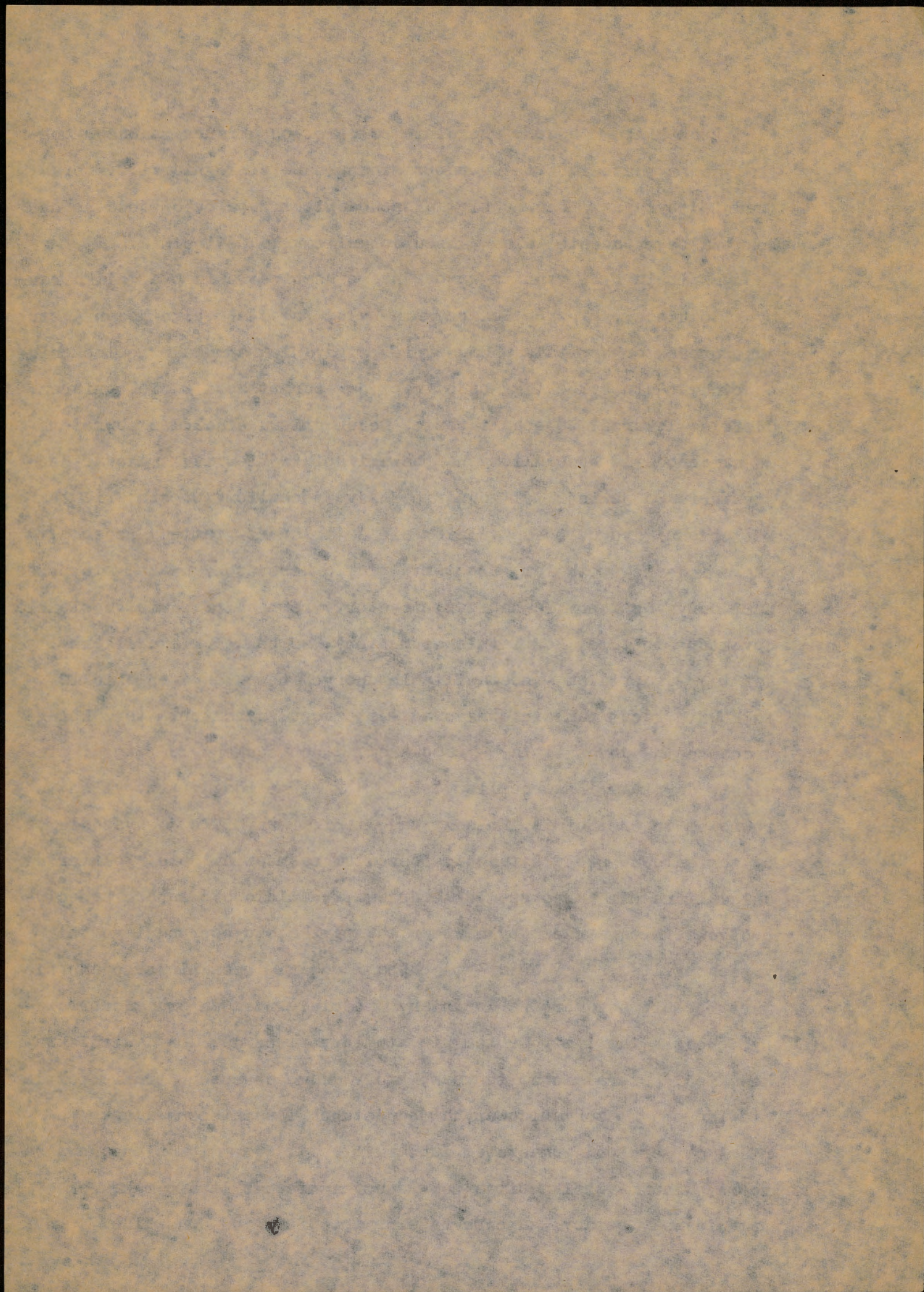
na tylko sanitarkę.

Po drugiej stronie Wisły znajdowała się nasza radiostacja w Dębni-
kach. I oto, patrząc na piękne, bezchmurne niebo dojrzałem kilka bły-
szczących przedmiotów, żywo się poruszających. Nie miałem już wątpli-
wości, że to są niemieckie samoloty. Zawołałem więc "kryć się" i w
tej chwili jeden z tych jakby judaszowych srebrników oderwał się od
grupy, pikował, rozległ się świst i zaraz huk eksplodującej bomby.
Widziałem, że chodzi tu o stację radiową za Wisłą, ale dla pewności
stałem za szerokimi wrotami, które mogłyby chronić mnie od odłamków.
Niestety musiałem opuścić to stosunkowo bezpieczne miejsce, gdyż sto-
jący w garażu ów medyk zrobił się blady jak papier, nogi się pod nim
ugięły i ten zwalisty chłop padł jak kłoda na ziemię zemdlony. Oto
było działanie bomby na odległość. Podbiegłem do niego, ocuciłem stru-
mieniem wody ze sikawki garażowej, poczem uspokoilem dowódcę, że bom-
by na razie padają w bezpiecznej dla nas odległości, że Niemcy nie
jego zamierzają bombardować. Po zakończonym bombardowaniu, kiedy sa-
moloty odleciały /nie padł ku nim ani jeden strzał z działek prze-
ciwlotniczych/ zatankowałem benzynę i ruszyliśmy /z kierowcą szpital-
nym Grzędzielem, który zachowywał znakomity spokój w ciągu wszystkich
naszych, też późniejszych eskapad/ w stronę Oświęcimia. Było już
późne popołudnie. Nie ujechaliśmy zbyt daleko, gdy naprzeciw nam runę-
ła fala uchodźców, różnych dziwnych postaci - to śląski górnik pchał
przed sobą wózek dziecięcy pełen ubożego dobytku, to fura pełna ko-
biet z tobołkami posuwała się wolno w ścisku, dużo też było samocho-
dów. Smutny to był widok, ale przerażenie ogarnęło mnie wtedy dopie-
ro, gdy zobaczyłem, że w ten tłum uciekający włączyły się też wozy z
wojskiem, że różni pojedynczy żołnierze idą wśród tłoku cywilów. Prze-
bijaliśmy się z trudem przeciw tej fali. W pewnej chwili zauważyłem
wśród tej masy uchodźców długą kolumnę sanitarek wojskowych ze szczel-
nie zapuszczonymi zasłonami na oknach. Ewakuacja rannych, pomyślałem.



Ale przez kilka nie dość szczelnie osłoniętych okienek zauważyć mogłem, że są puste lub też wewnątrz siedzą same pielęgniarki... Coraz trudniej było nam posuwać się ku zachodowi, trzeba było zjeżdżać na bok, zatrzymywać się, ale w końcu dotarliśmy do Oświęcimia.

W szpitalu byli ranni z wczorajszego bombardowania oraz kilku rannych żołnierzy. Naszych lekarzy nie było, pozostał tylko jeden Austriak, prosekator szpitala w Cieszynie, nigdy nie zajmował się leczeniem chorych; nadto było kilka osób, raczej laborantek, niż pielęgniarek. Gdzie są lekarze? Pojechali wozem. Pełen gniewu siadłem z powrotem do samochodu i pojechaliśmy na poszukiwania w kierunku Krakowa. Rzeczywiście po jakiejś pół godzinie jazdy /jechaliśmy boczną, nie tak zatłoczoną drogą, bo domyślałem się że i lekarze tamtędy pojechali skoro ich nie spotkałem przedtem w tłumie uchodźców/ ukazał się przed nami duży wóz konny, a na szczycie sterty różnych przedmiotów siedział dyrektor szpitala, kompletnie otumaniony, po bokach kilku lekarzy. Jak to? - zapytałem - zostawiliście chorych bez właściwej opieki? - Pułkownik kazał nam się ewakuować - tłumaczył dyrektor. Kto z kolegów wraca ze mną do szpitala? - zawołałem. Dwóch zeskoczyło z wozu, siedliśmy do Fiata i zawróciliśmy. Było już ciemnowo gdy przybyliśmy z powrotem do Oświęcimia. Koledzy zajęli się rannymi, a ja wyszedłem, by zorientować się w sytuacji. Poszedłem na most na Sole. Żołnierze układali na nim na poprzek bele drzewa, co miało być zaporą przeciwczołgową. A sama rzeka była wtedy tak płytka, że poprzedniego dnia przechodziliśmy ją w bród - to chyba i czołgi przez nią przejadą nie martwiąc się o zaporę na drewnianym moście. Przed zaporą zdenerwowany, chodził tam i z powrotem nie kto inny, lecz dowódca dywizji krakowskiej, generał Mond /ten sam, który długo jeszcze potrafił później stawiać opór w zorganizowanych jednostkach i ostateczną klęskę poniósł dopiero pod Tomaszowem Lubelskim/. Tak, jak mi mówiono, owa rano zapowiadana wielka bitwa pod Pszczyną nie odbyła się tak, jak przewidywały sztaby /zapewne na wzór np. bitwy pod Grunwaldem/, gdyż



nagły atak niemieckich czołgów zbyt przeraził naszych żołnierzy /wielu z nich podobno pierwszy raz w życiu widziało czołg/ i opór - a co czym można się było opierać? - szybko prysnął. Może nawet te różne wozy wojskowe, które widziałem wśród fali uciekinierów pochodziły z odwodów linii pod Pszczyną. Nawet i tu na przyczółku mostowym obserwowałem, jak część żołnierzy starała się zatrzymać wozy wojskowe uchodzące ku miastu. Wszystko to miało zbyt wyraźną wymowę, by nie zrozumiał jej nawet taki laicki w sprawach wojskowych cywil, jak ja. Przeniknęła mnie myśl, czy słusznie zrobiłem wycofując się z ogólnej ucieczki tych dwóch dzielnych lekarzy, którzy przecież w takiej sytuacji, jako cywile mieli prawo się wycofać. Jeżeli nasz szpital miał być polowy, a wojsko wycofało się do miasta, to przecież opiekę nad rannymi żołnierzami powinien objąć sanitariat wojskowy. Postanowiłem więc poszukać wśród rozgardiaszu owego szefa sanitarnego, który rano do nas przychodził. Już było ciemno, ale pamiętałem dobrze jego sylwetkę, której główną cechą była jakaś niezwykła ilość różnych naczyń, przytroczonych do pasa. Nie wiem co to było, ale chyba kilka manierek, może też rewolwer, może też granaty? Był jednak obwieszony tym ze wszystkich stron. Patrząc pod horyzont rzeczywiście poznałem go po tym niecodziennym rynsztunku. Powiedziałem mu że w szpitalu są ranni, trzeba ich ewakuować. Na to odpowiedział, bym zwrócił się w tej sprawie do generała. Trochę dziwne się mi to wydało, że wojskowy w sprawie swych obowiązków każe cywilowi zwrócić się do jego przełożonego. Rzecz była chyba zbyt ważna, bym się miał od tego wymawiać. Podeszedłem zatem do ciągle przechadzającego się tam i z powrotem generała i powiedziałem o co chodzi. Usłyszałem słuszną chyba odpowiedź, bym się zwrócił do szefa sanitarnego. Odnalazłem więc znów tego szefa i oświadczyłem mu, że generał polecił mu zająć się tą ewakuacją. "No dobrze" - powiedział - "tu na rynku stoi nasza kolumna sanitarna, będziemy zabierać rannych". "Panie majorze, tej kolumny dawno już nie ma, przed kilku godzinami widziałem ją na drodze do Krakowa". Zdumiał

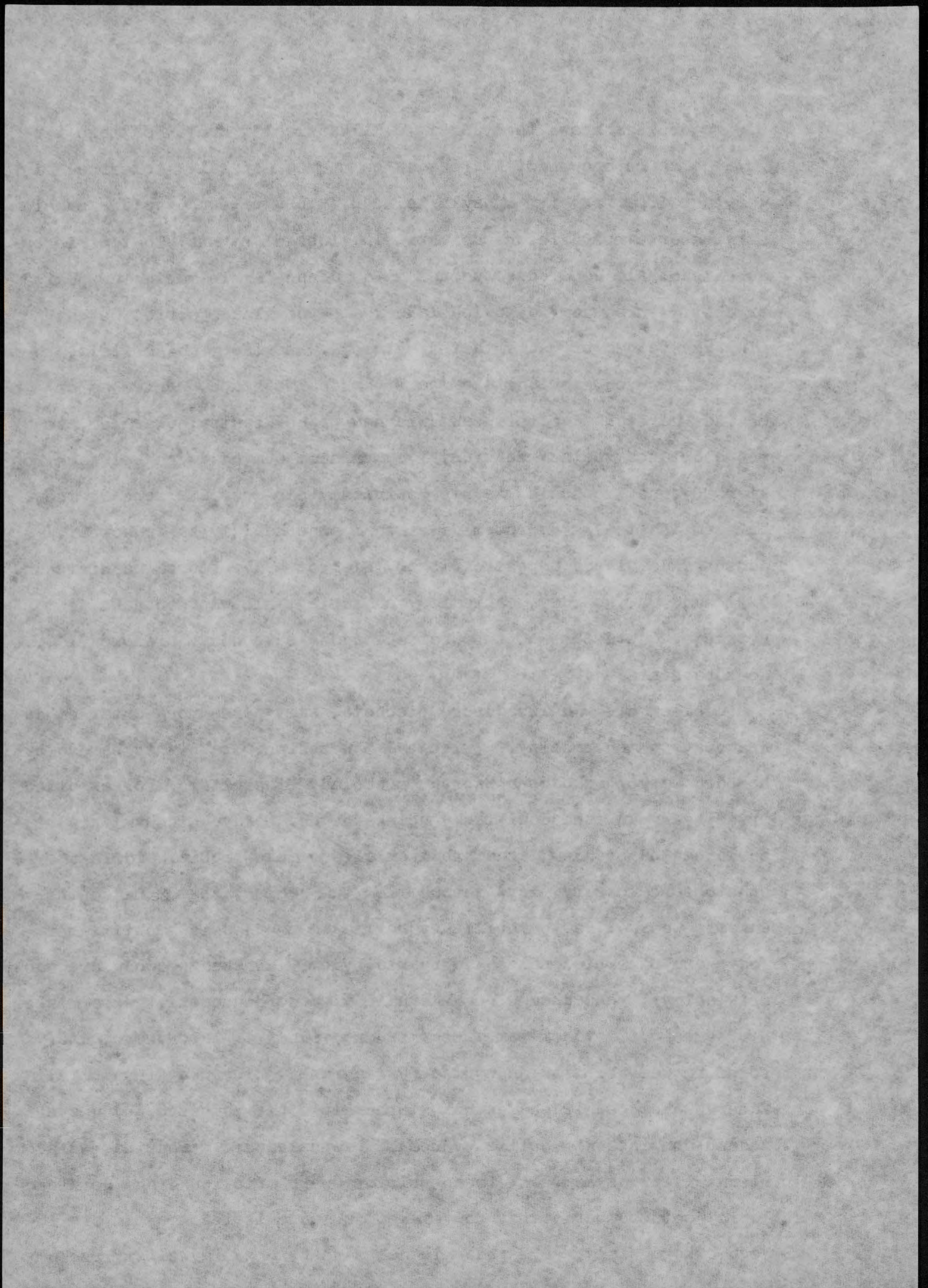
+ Dem

H z
I T

się major /a rozmowa toczyła się o kilkadziesiąt kroków od tego rynku/, ja zaproponowałem, by poszedł ze mną do szpitala, rozejrzał się w sytuacji, a przy tym spożył kolację, którą napewno zgotują mu siostry zakonne przydzielone do szpitala. Poszedł ze mną. To też nie było daleko. Ale po drodze szepnął mi do ucha: "A nie macie tam jakiej bryczki?" "nie wiem" odpowiedziałem, ale pomyślałem sobie, że chyba nie przystoi mu brykać w takiej sytuacji. Zaszliśmy do szpitala, pokazałem rannych, powiedziałem jaki personel zostaje, poczem major zasiadł do stołu, obficie zastawionego przez Siostry. Uważałem, że mój obowiązek został spełniony i pomyślałem o mych dwóch kolegach, o kierowcy, no i o sobie, że nie powinniśmy się dostać w ręce Niemców. Wziąłem ich tedy z powrotem do Fiata i pojechaliśmy ku Krakowowi. Jeszcze zdołaliśmy dopędzić wlokący się wóz z dyrektorem na wierzchu. "Dziękuję wam, koledzy, chcieliśmy najlepiej, nie wiedząc jaka jest sytuacja. Odstawiam was z powrotem, oddaję samochód z kierowcą i ... do zobaczenia!"

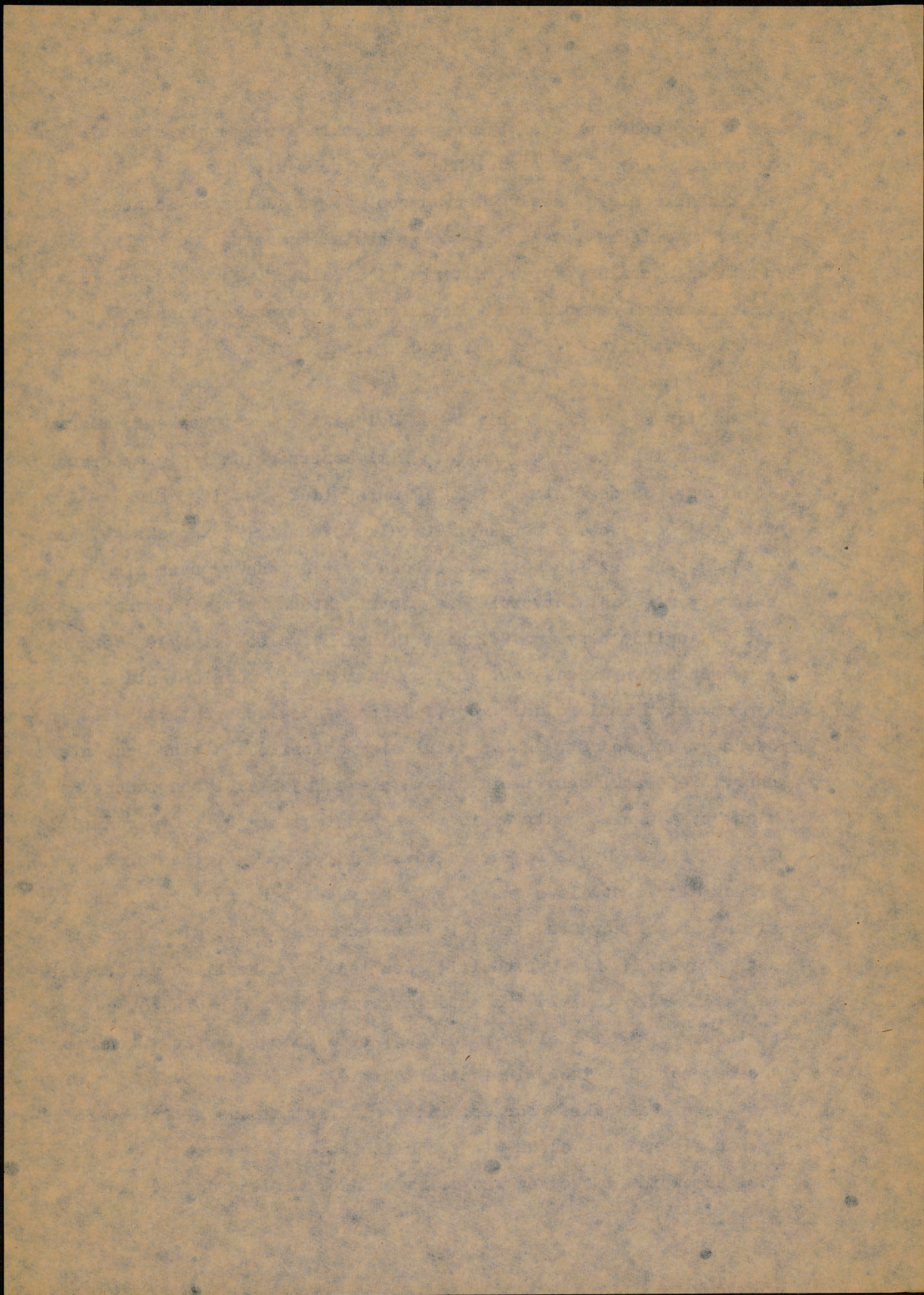
/ze
lej

Puściłem się w dalszą drogę piechotą, sam, późną nocą dotarłem do Krakowa, do mej rodziny. A więc był 3 wrzesień. Kraków nie bardzo był bombardowany /uszkodzono fabrykę czekolady Piaseckiego/, przez ulice przeciągały ku wschodowi tłumy uciekających. Po dynamicznym dniu nieco w domu odpocząłem i zastanowiłem się co dalej robić. Widziałem spustoszone koszary, gdyż zachodziłem tam sądząc, że może na coś przydam się wojsku. Kartę mobilizacyjną miałem na 11 dzień mobilizacji /od czasu ostatniej naszej wojny nie byłem w wojsku z powodu dręczącej mnie astmy/, poszedłem więc na drugi dzień do jednostki, gdzie miałem się zgłosić. Zastałem tam trochę brudnej szomy i plutonowego, który poinformował mnie, że jednostka wyszła rano w kierunku Niepołomic. Zdecydowałem, że trzeba jednak starac się z nią połączyć, by uczynić zadość obowiązkowi mobilizacyjnemu. Pożegnałem się z rodziną, wziąłem plecak i wyruszyłem. Po drodze poinformowano mnie, że droga do Niepołomic jest zbombardowana. Pomyślałem, że może lepiej trzymać się lewego brzegu Wisły, gdyż podobnie jak wojsko, przypisywaliśmy rzekom

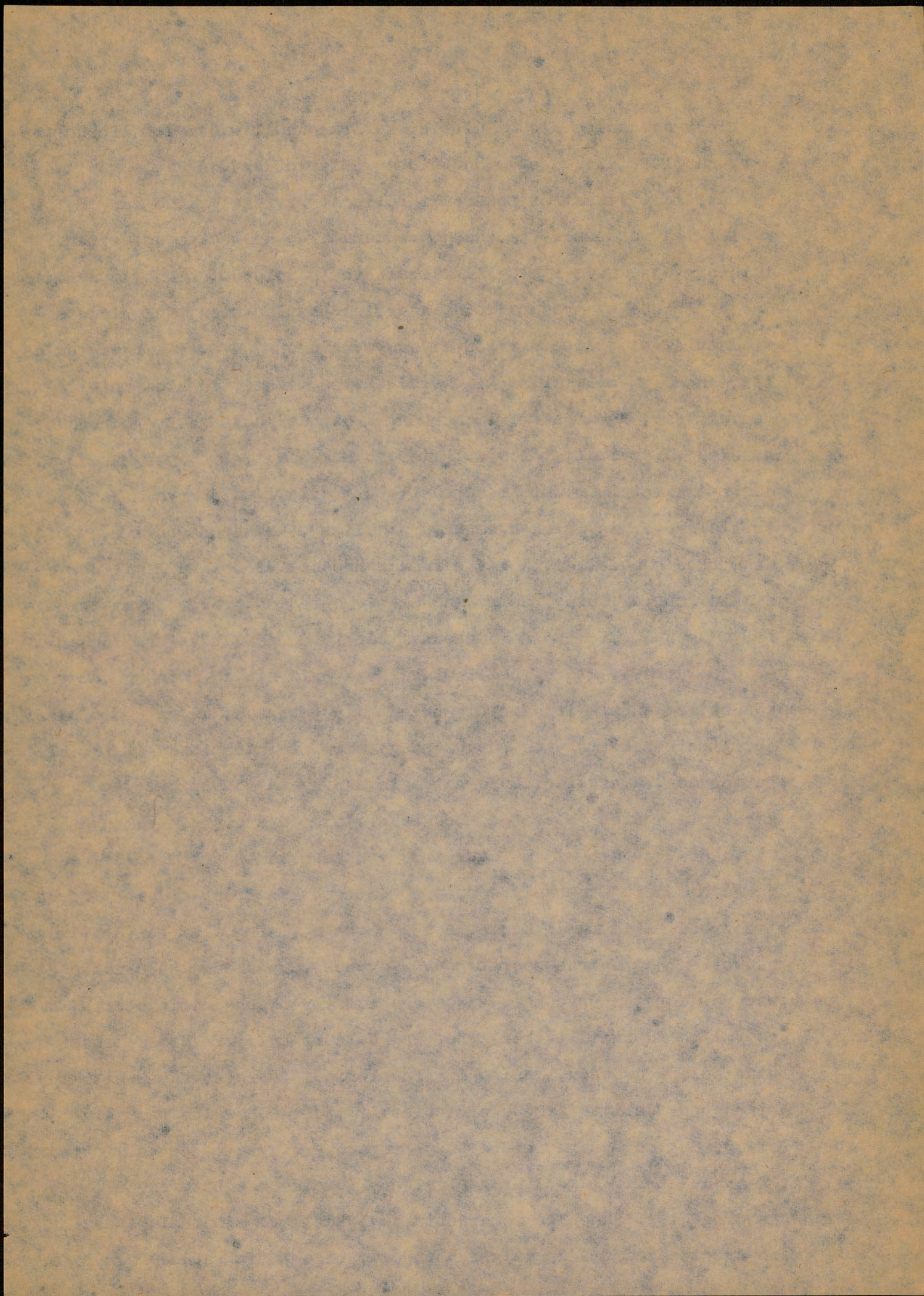


jakąś moc ochronną choć były wtedy płytkie i nie mogły stanowić żadnej przeszkody dla czołgów. Ruszyłem więc w kierunku Czyżyn. Ta zmiana kierunku miała zaważyć decydująco na moich dalszych losach, jej chyba zawdzięczam, że żyję, że nie zostałem gdzieś pod bombą, ani nie dostałem strzału w kark w Katyniu. I w dalszej mej wędrówce kilkakrotnie byłem na rozdrożu i nieświadomie wybierałem zawsze tę drogę, która prowadziła do życia; a ta druga, nie wybrana - raczej do śmierci.

Szedłem więc teraz wśród tłumu uciekinierów z tobołkami, wózkami, na furach lub piechotą, a między nimi dostrzegałem i pojedynczych żołnierzy. Szczególnie przygnębił mnie widok wysokiego sierżanta w pięknej rogatywce, z oznakami 20 pułku piechoty /krakowskiego, wielkiej dumy naszej piechoty/... i boso. Wśród posuwających się tłumów szerzyły się najidiotyczniejsze plotki, które były albo przejawem tego, co Anglicy nazywają "wishful thinking", albo też były szerzone w sposób naiwny przez tzw. kontrpropagandę dla podniesienia ducha w tym czwartym dopiero dniu wojny. Jedną z najgłupszych była wieść podawana z ust do ust, że Mussolini się powiesił, a Hitler jest ciężko chory. Te plotki oczywiście nikomu nie szkodziły. Niebezpiecznym natomiast była mania dopatrywania się wszędzie szpiegów i dywersantów. Np. nie opodal drogi na łące siedział mały, może piętnastoletni uczeń gimnazjalny i studiował mapę, szeroko przed sobą rozłożoną. Rzucili się na niego jacyś bohaterzy i ostro go indagowali, ale jakoś większej krzywdy mu nie wyrządzili prócz tej, że zabrali mu mapę. Kobieta, która koło chałupy rozpostarła na trawie prześcieradło, by po praniu suszyło się i bieliko na słońcu, była podejrzana że w ten sposób daje sygnały lotnikom niemieckim. "Szpiega poznać po tym, że nosi beret" perorował jakiś mędrzec. Tak to ludzie małoduszni próbowali odgrywać się na Bogu ducha winnych bliźnich, łatwiej dostępnych niż załogi samolotów i czołgów wroga. Sam miałem wkrótce doznać skutków tej manii.



Kiedy oglądałem się za siebie, ku Krakowowi, widziałem liczne po-
żary na tle ciemniejącego już nieba rozległe żuny. A tu, wśród tłumów ucieka także straż pożarna i policja! Czy nie wracać tam? Byłem w wielkiej rozterce. Tymczasem noc zapadała, doszedłem do Czyżyn. Na lotnisku wojskowym stało kilka spalonych samolotów, nie było żywej duszy. Trzeba by przespać się, a gdzież bezpieczniej, jak nie w sąsiedztwie obiektu, który został już wykończony? O świcie ruszyłem dalej, uszedłem znów kilka kilometrów, wtem słyszę, że ktoś mnie woła. Okazało się, że mijam wlokące się krok za krokiem wozy jednego z wojskowych szpitali polowych, którego komendant, mój dobry znajomy, dostrzegł mnie w tłumie i zaprosił, bym usiadł na jednym z wozów szpitalnych. Nie daleko jednak ujechaliśmy, komendant bowiem, w obawie przed samolotami, kazał całemu konwojowi złożonemu z kilkudziesięciu konnych wozów, zatrzymać się we dnie pod przydrożnymi drzewami, a jechać tylko nocą i wczesnym rankiem. Znów uczyniłem rachunek - moja wyprawa, której cel w miarę posuwania się ku północy zaczynał konkretyzować się inaczej niż przedtem - Warszawa, ulegnie opóźnieniu, jeżeli się będę trzymać posuwającego się w tym tempie szpitala. Ale za to jadę, a nie idę. Może na razie skorzystam jeszcze z tego udogodnienia, potem zobaczę co będzie. Później okaże się, że losy tak się ułożą, by ułatwić mi decyzję. Tymczasem komendant wynalazł we wsi jakąś zamożniejszą chałupę na swą kwaterę, kazał sobie upiec indyka i zaprosił mnie na tę ucztę, czemu nawet chętnie dałem posłuch, gdyż nie byłem już dobrze zaopatrzony w żywność. Po drodze było łatwo zerwać pomidory, których urodzaj owego lata był szczególnie obfity, ale samymi pomidorami się nie żyje. Te pomidory były zresztą dobrodziejstwem dla wędrowców, gasiły im pragnienie i zaopatrywały w witaminy. Ci co posiadali te krzewy nie zbierali owocu wobec ich nadmiaru i tak stały, jak gdyby opuszczone przy drogach, pokryte pyłem pobliskiej trasy ucieczki. Jakoś teraz niemieccy lotnicy nie interesowali się tą drogą i to skłoniło komendanta, by jednak po zjedzeniu indyka i po drzemce dać rozkaz dalszego marszu, mimo że do zachodu słońca brak

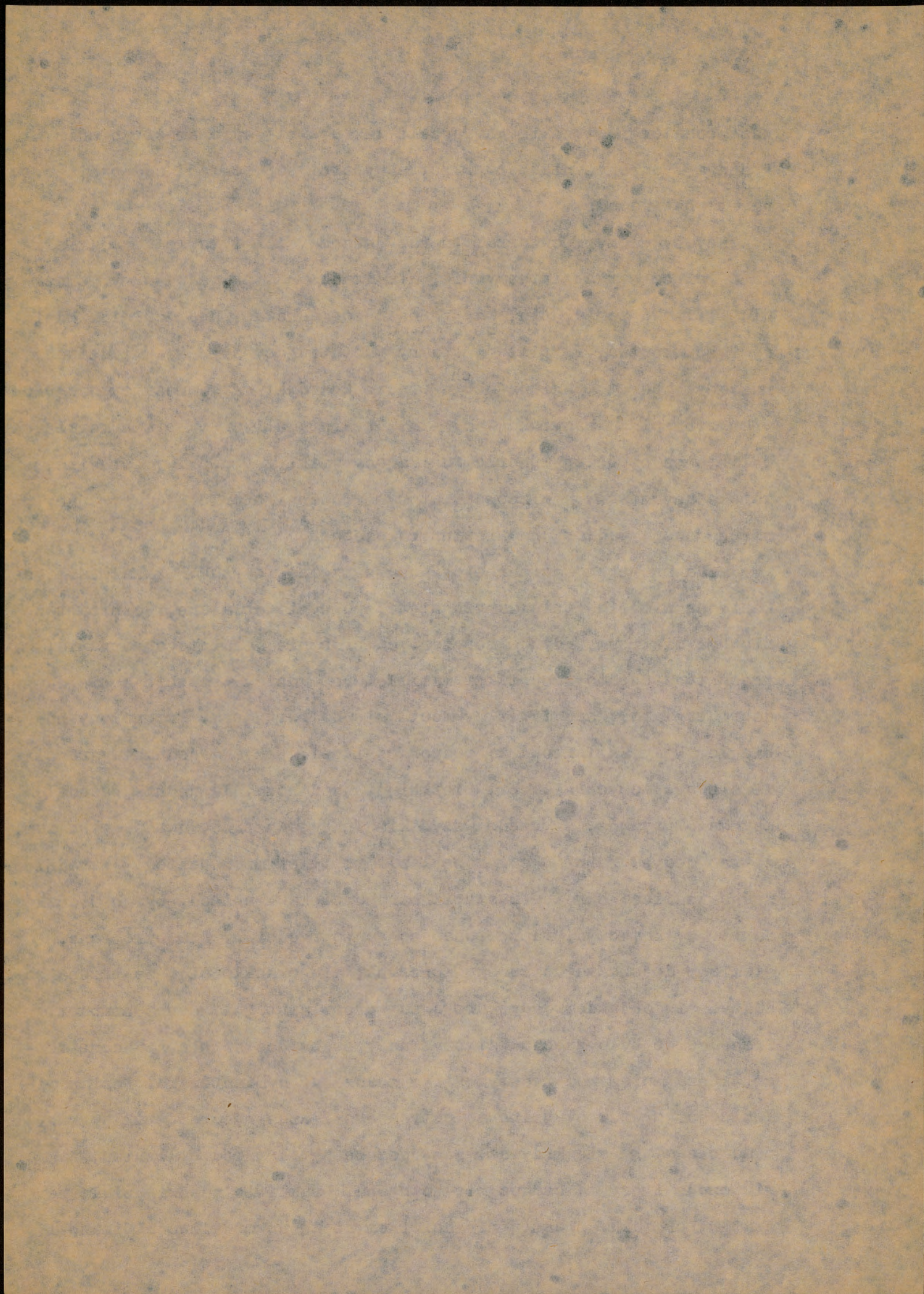


było godziny. Do mnie zwrócił się z następującą sprawą: po drodze z Izby Chorych /zdaje mi się w Opatowcu/ szpital miał zabrać dwóch rannych żołnierzy, prosił abym ja się nimi opiekował w dalszej drodze. Trochę mnie ta prośba zdziwiła, bo przecież była tu pełna obsada lekarzy, zarówno zawodowych jak rezerwowych, a właśnie ja, cywil, przypadkowy gość, miałem pełnić na razie jedyne lekarskie obowiązki. Cywil? to mało. Na prośbę komendanta, który był wielkim widać służbistą włożyć miałem szlafrok chorego, aby nikt nie zarzucił, że się wiezie w wojskowym szpitalu cywila. Wdziałem więc brązowy szlafrok i zasiadłem przy woźnicy, a wóz, na przyjęcie rannych, został wycoszony sianem. Już ciemno było, gdy zajęliśmy przed ową Izbę Chorych. Z dwóch "rannych" jeden był podporucznikiem i nogę miał w gipsie, drugi zaś podchorążym, u którego nie można było dopatrzeć się żadnej rany, sam jej zresztą nie deklarował. Co więcej wraz z nimi położyły się na sianie wozu dwie dziewczuchy, jako "pielęgniarki". Nie moją było sprawą, kogo szpital zabiera. Po odpowiednim ułożeniu jednego z tej czwórki pacjenta i po upewnieniu się, że go nic nie boli i nie potrzeba mu lekarstwa, ruszyliśmy dalej. Co prawda nikt mi nie powiedział jak i gdzie miałbym szukać potrzebnego lekarstwa w konwoju, składającym się z kilkudziesięciu wozów. Widocznie zaufanie do mej zaradności było wielkie. Inna rzecz, że stan zdrowia "pacjentów" nie wzbudzał niepokoju, w dalszej drodze dochodziły mnie odgłosy dobrej zabawy całej czwórki na sianie oraz wionący stamtąd wyraźny zapach alkoholu. Porucznik opowiadał głośno, że postrzelił jakiegoś żołnierza w polskim mundurze, gdyż zawołał on "Heil Hitler!". To chyba była też historia maniactwa na temat piątej kolumny, trudno bowiem przypuścić by ktoś, jeszcze do tego w polskim mundurze, wśród tłumu Polaków miał tak głupio zawołać. Takich "kamikaze" nie było. Natomiast bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że stale pijany podporucznik /co do którego "rany" nie otrzymałem żadnych informacji, on sam zaś mówił o tym niejasno, może nawet po pijanemu spadł ze schodów? /przesłyszał się, żołnierz może wołał "daj śliwkę" lub coś podobnego, a

nasz bohater postrzelił go. Jeżeli tak ujemnie wyrażam się o moim "rannym" podporuczniku, to wkrótce wyjaśni się, że mój sąd o nim był nawet zbyt łagodny.

Wszyscy wiemy, powtarzam to raz jeszcze, że piąta kolumna działała w Polsce bardzo intensywnie, ale rzadko na tak mało ważnym szczeblu i rzadko tak głupio, by ją mogli zdemaskować nawet durnie. Maniacy "szpiegostwa" i "piątej kolumny" dopatrujący się jej w ludziach, noszących berety, oglądający^{ch} w czasie wędrówki mapy, noszących z niemiecka brzmiące nazwiska itd. itd., rekrutowali się z nizin moralnych, byli to najczęściej tchórze, unikający walki z prawdziwym wrogiem, uciekający ze swych placówek, których powinni bronić i odgrywający się za swoją podłość na niewinnych osobach.

Jazda naszego "sanitarbego" wozu zaczęła się psuć. Okazało się, że konie są nieumiejętnie zaprzęgnięte, poprzęgi poplątane, woźnica też nie był mistrzem, gdyż mimo częstych prób nie umiał tego poprawić, prócz tego często zasypiał i musiałem go budzić. Wreszcie konie na dobre zaplątały się i wóz wywrócił się do góry dnem. Przerażony pobiegłem w mym szlafroku ku podporucznikowi. Wszyscy jednak wygramolili się o własnych siłach i nietknięci spod wozu. Ja jednak zażądałem aby dać inny wóz, a przede wszystkim innego woźnicę, uważałem bowiem, że ten jedyny ranny w całym szpitalu powinien mieć jakiegoś zaradniejszego woźnicę. Wkrótce nastąpił bardzo ciekawy epizod, by go jednak dobrze wytłomaczyć, muszę podać co go poprzedziło. Już było rano, mieliśmy dojeżdżać do Nowego Korczyna, ale okazało się, że trzeba posłużyć się objazdem, gdyż droga na wprost jest zniszczona bombami. Trzeba więc było zjechać stromym nasypem by dostać się na boczną drogę, która potem pod prostym kątem zbaczała ku miasteczku. Postanowiłem zejść z wozu by pilnować ostrożnego zjazdu nasypem, tak by rannemu nie stała się krzywda. Raz jeszcze pytałem podporucznika, jak się czuje i czy ma czegoś nie potrzeba. Mrukliwie odpowiedział, że jest w porządku. Zresztą nie dziwiłem się jego mrukliwości także i



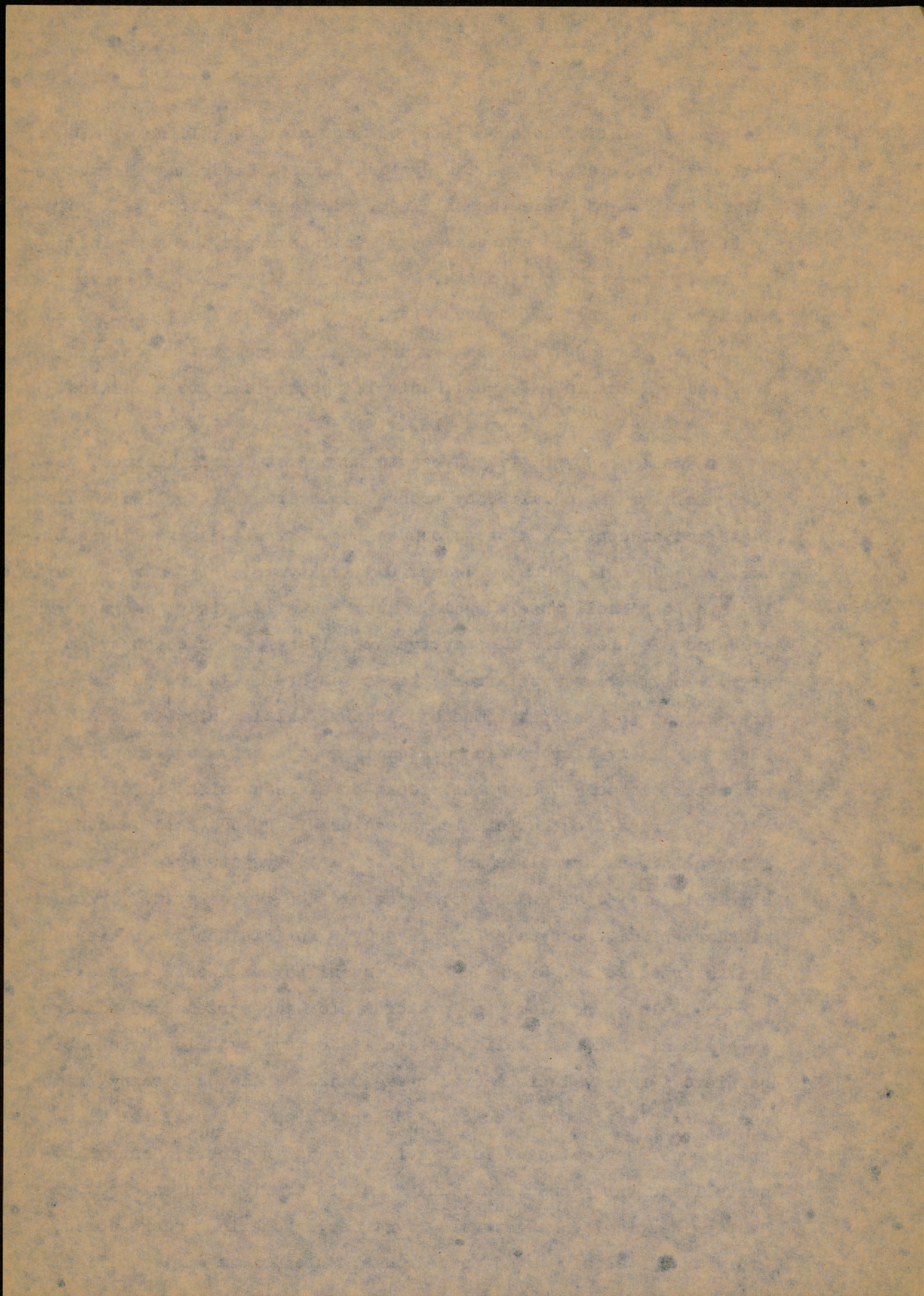
dlatego, że miał przed sobą jakiegoś jegomościa w szlafroku, nie mógł przecież wiedzieć, że tak wygląda lekarz. Kiedy zeszedłem z wozu, zostawiłem na koźle ten szlafrok, gdyż tamował mi ruchy. W moim cywilnym więc ubraniu stanąłem przy zjeździe z nasypu, napominając woźnicę, by ostrożnie zjeżdżał. Oczywiście z tak stromego nasypu wóz musiał zjechać prędko i jeszcze z rozpędu dość szybko jechał równą już drogą. Aby dojść do wozu przeszedłem po przekątnej przez krzaki i wyszedłem właśnie koło wozu. Najlepiej przedstawić to na szkicu.

Szkic.

Sprawdziłem, czy po tym wstrząsie noga jest dobrze ułożona, potem chciałem się oddalić, by trochę pomaszerować w pobliżu wozu. Nagle podporucznik, w którego oczach pojawiły się jakieś dziwne błyski, woła do mnie: "Coś za jeden? Daj legitymację!". Sam nie pokapałem się, że jeżeli mnie w ogóle w nocy zauważył, kiedy pomagałem mu wydostać się spod wozu /a przy tym był pijany/ to przecież byłem wtedy w owym sławnym szlafroku, teraz zaś nie miałem go już na sobie. Widząc jego nieprzytomne spojrzenie, wolałem nie wdawać się z nim w rozmowy i spokojnie podałem mu moją legitymację. Rzucił na nią okiem, zobaczył moje z niemiecka brzmiące nazwisko i "Cieszyn", a to wystarczyło całkowicie temu bohaterowi. "Chodź tu!" zawołał i zaczął odpinać rewolwer u pasa. Mimo że oczywiście było iż mam do czynienia z pijanym szaleńcem, byłem niejako impregnowany poprzednimi zdarzeniami, poczynając od przygody w Dolinie Chochołowskiej na krótko przed wojną. Sięgnąłem do kieszeni po rewolwer w pierwszym odruchu, ale opanowałem się, przecież nie będę strzelał do rannego. Więc mam się dać zastrzelić wariatowi? Jedyne wyjście było odbiec od niego i rzeczywiście zacząłem się oddalać, ale już "ranny" mimo nogi w gipsie zeskoczył z wozu, pobiegł za mną i zaczął palić do mnie ze swego rewolweru. Teraz uciekałem już na dobre, "ranny" wystrzelił do mnie sześć razy, ani razu nie trafił, ale wszczął wrzask "szpieg! szpieg!". Huk strażów wystraszył gołębie z dachu domku, który znajdował się tutaj przy drodze. W pogoni za mną rzucili się

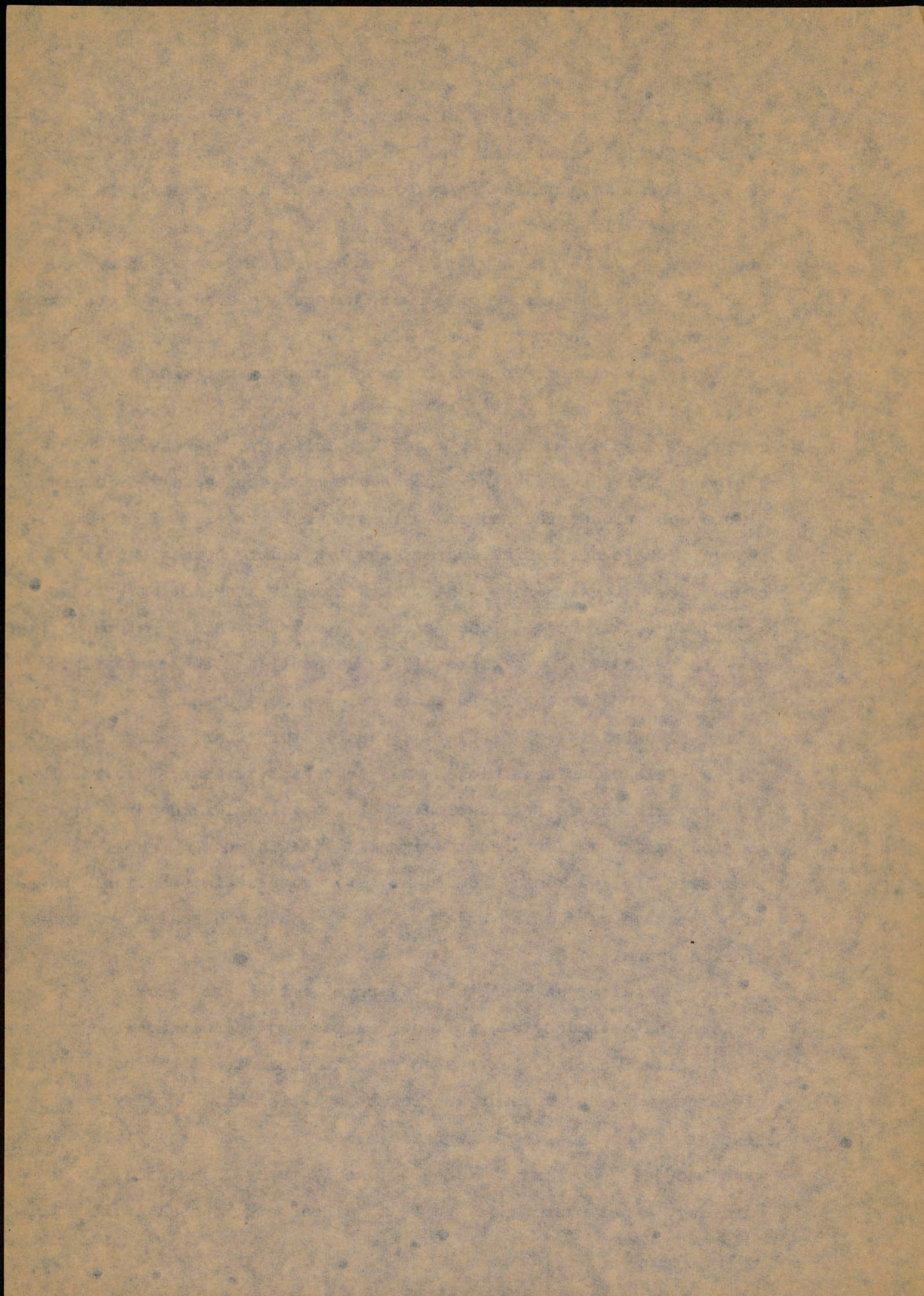
→ przy tym

ly



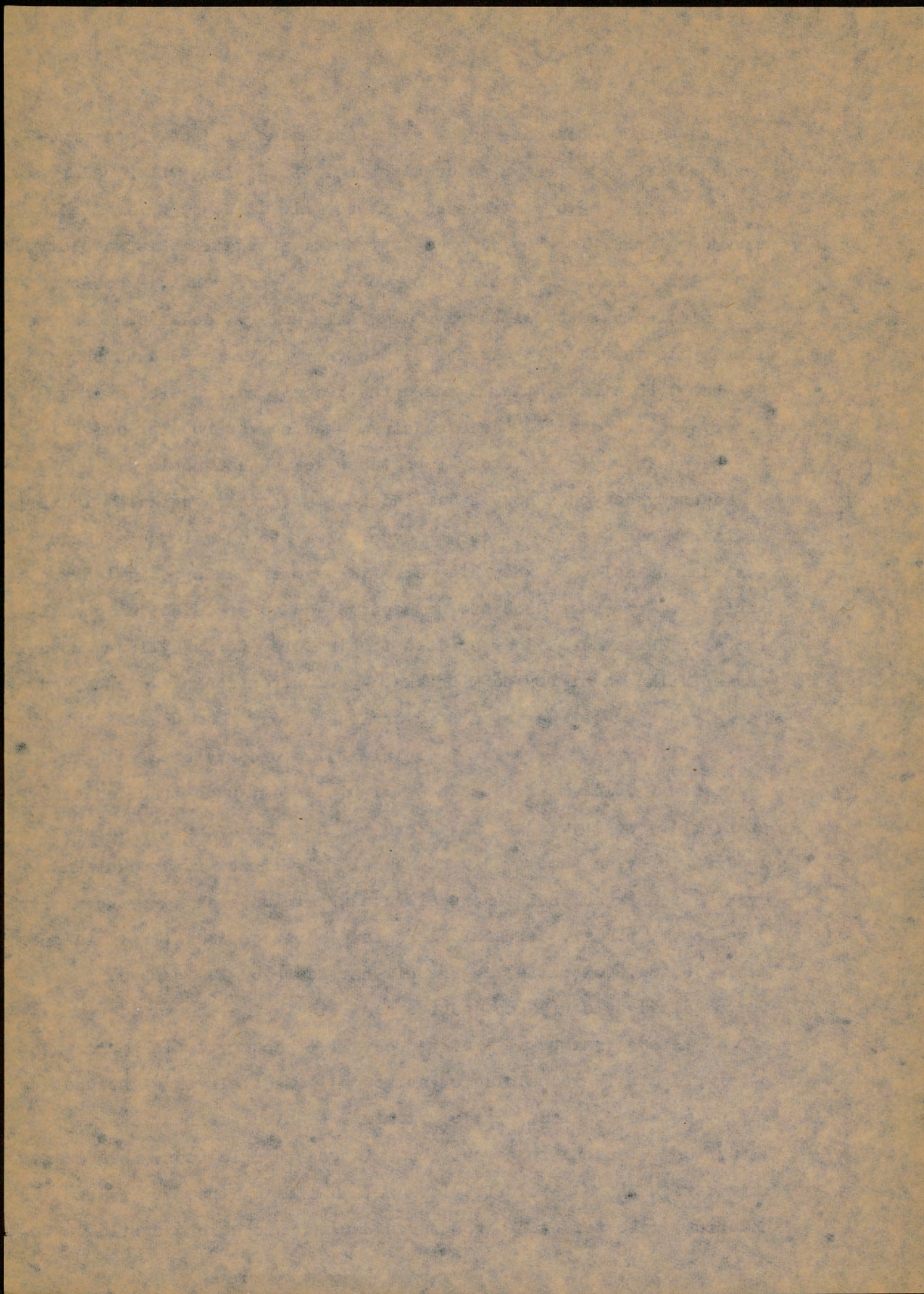
Żołnierze, obiegłem domek i biegłem polem, kątem oka zobaczyłem żołnierza w hełmie składającego się do mnie z karabinu. W biegu zwróciłem się do niego, podniosłem rękę i wołałem "nie strzelać!" ale w tej samej chwili zobaczyłem ogień z lufy i huk wystrzału rozległ się zaraz, gdyż żołnierz był chyba ze trzydziści najwyżej kroków za mną. Za chwilę padł drugi strzał, na szczęście równie niecelny, a ja zrobiłem rzecz najrozsądniejszą chyba w tej nieprawdopodobnej sytuacji, gdyż dobiegłem z powrotem do konwoju szpitalnego. Tu dopadli mnie żołnierze i zaczęli tarmosić, mimo, że wołałem, iż jadę z nimi i komendant mnie zna. Jeden z podnieconych zawołał: "On go łebie puścić!" co miało przypieczętować moją szpiegowską działalność. Mimo wysoce niebezpiecznej dla mnie sytuacji przeszła mi przez głowę myśl, wcale nie pocieszająca: jacy też ludzie bywają głupi! Wtem otaczający mnie tłum rozepchnął jakiś starszy sierżant, trzymający w ręku mą legitymację /widać przesłaną mu przez mego bohatera w gipsie/ i zawołał: "ja go aresztuję!" co zadowoliło moich opresorów. Następnie pan sierżant zaprowadził mnie do swej bryczki, prosił bym usiadł i powiedział: "Przecież ja pana doktora znam, jestem aptekarzem w Bielsku i nieraz miałem pańskie recepty". Teraz, jako rezerwa, był przydzielony do tego szpitala polowego. Podziwiałem jego przytomność umysłu z jaką aresztował mnie, wybawiając z opresji. Za chwilę zjawił się /na koniu/ komendant, którego służbiste sumienie kazało mu jeszcze sprawdzić, czy to ja jestem ja, choć znał mnie przecież od dawna.

Ale ja miałem już dość tego towarzystwa i po przyjeździe do Nowego Korczyna oświadczyłem, że muszę szukać mej jednostki, więc dziękuję za dalszą gościnę. Pożegnałem się z komendantem i bardzo serdecznie z moim wybawcą, rozsądnym aptekarzem z Bielska. Ruszyłem znów piechotą i postanowiłem przeprowić się z powrotem przez Wisłę, porzucając już, wobec zagnatwanej sytuacji, mą myśl dostania się do Warszawy, a przypuszczając, że ta moja jednostka jednak idzie z Kra-



kowa na Wschód. Doszedłem do Wisły i znalazłem miejsce, skąd przeprowiano się małą tratwą na drugi brzeg. Wisłą płynęły też galary pełne ludzi, ciągle wpatrzonych w niebo, nie dlatego, by stamtąd szukać ratunku, lecz by na czas dojrzeć nieprzyjacielskie samoloty, choć płynąc środkiem rzeki byłiby wobec nich bezbronni. Podobno lotnicy niemieccy zatopili bombami dwa takie galary, dodatkowo ostrze-
liwując topiących się z karabinów maszynowych. Teraz jednak obeszło się bez tych ataków, tak, że przeprowiłem się na tratwie na drugi brzeg, poczem doszedłem do Szczucina, skąd pomaszerowałem dalej. Noc zapadała, byłem zmęczony i postanowiłem szukać noclegu.

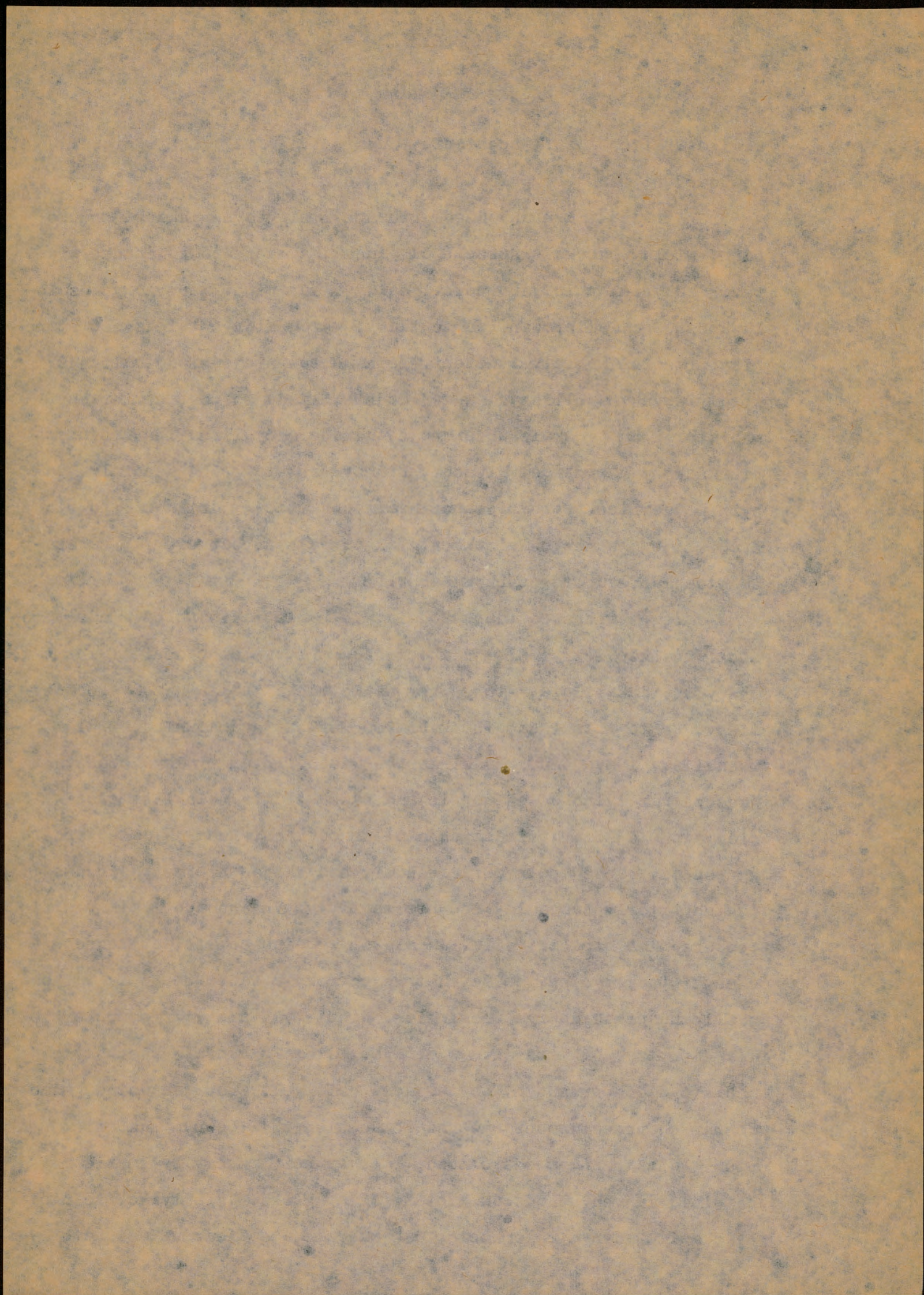
Nauczony dotychczasowymi doświadczeniami, raczej unikałem ludzi, znalazłem jakąś pustą stodołę i wyspinałem się na górę, nie chcąc zostawać na dole, by znów nie natrafił na mnie jakiś poszukiwacz szpiegów. Przespałem się nie najlepiej i długo przed świtem obudziłem się. Usłyszałem głosy na dole i ostrożnie się wychyliwszy zobaczyłem kilku żołnierzy na klepisku. Wyobraziłem sobie, że znów, gdy nagle zejść z góry wezmą mnie za szpiega, który podsłuchiwał ich i śledził. Sytuacja wydała mi się nie tylko nieprzyjemna, ale także i śmieszna. Wolałem więc czekać póki nie pójdą, choć traciłem cenny czas, który mógłbym zużyć na dalszą wędrówkę na Wschód. W dalszej drodze nie byłem samotny, ku Wschodowi szły liczne rzesze uciekających. W pewnym momencie naprzeciw ukazał się oddział konny żołnierzy z żelaznymi pikami. Serce mi się ścisnęło na ten widok. Wiedziałem już od czasu Oświęcimia, że przeciw nam idą czołgi. Podobno, jak potem skądinąd było wiadomo, gdzieś udał się taki ułański atak na czołgi, mógł to jednak być tylko wyjątek. Ileż młodego życia zmarnowano przez głupotę i niedbalstwo czynników odpowiedzialnych za przygotowanie do takiej, wiadomo było przecież, że nieuchronnej wojny. Przekleństwa miotane na te czynniki od pierwszych dni wojny będą trwały na zawsze w naszej historii. Poważne, a nawet smutne były twarze tych chłopców, mało też było serdecznych okrzyków ze strony cywilów. W ta-



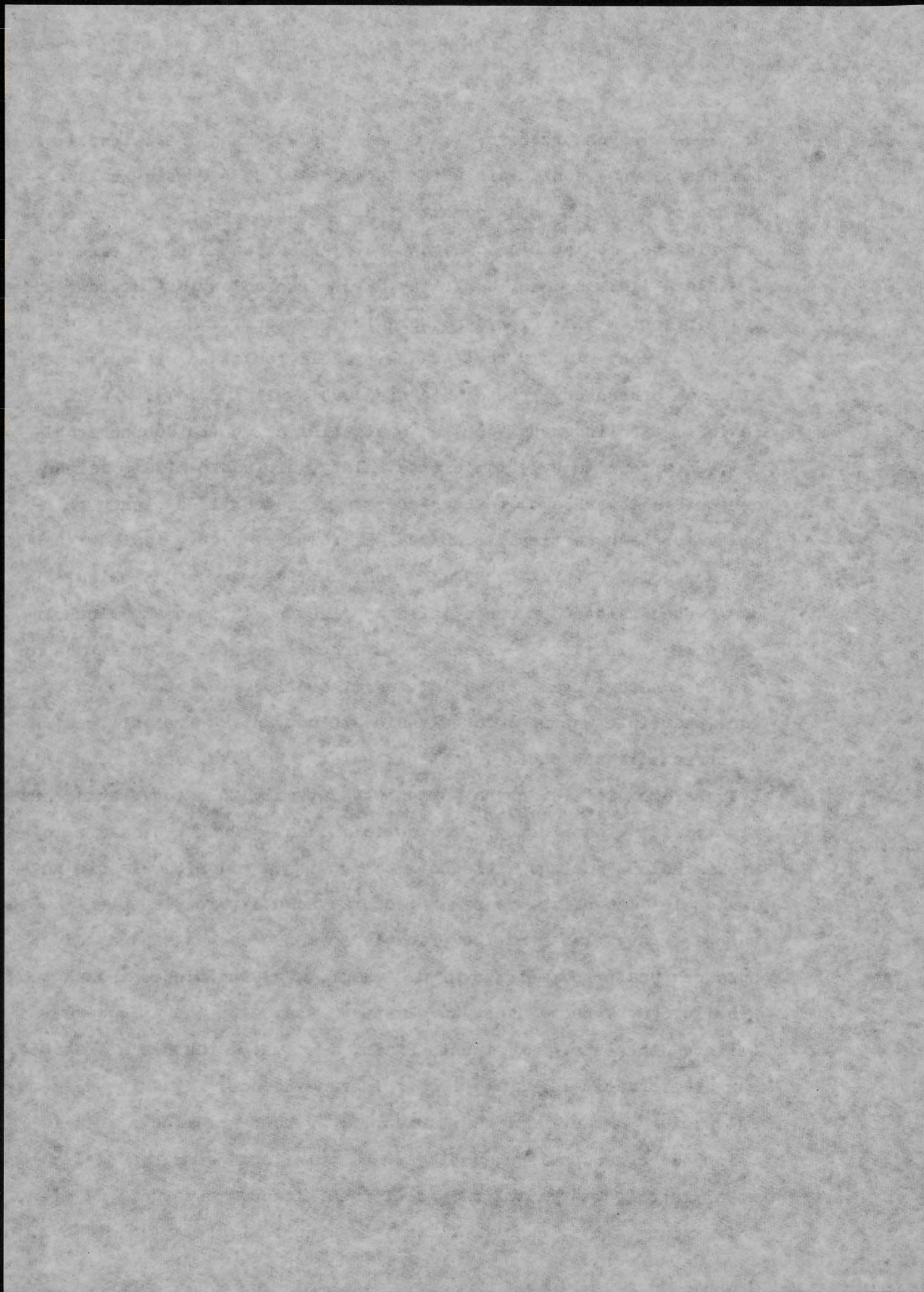
kiej chwili czuło się tchnienie ponurej tragedii, jaką przygotowali nam zarówno nasi wrogowie, jak i nasze rządy.

12 Brak entuzjazmu u uchodźców tłumaczył się chyba także i zmęczeniem, wielu wędrowało jeszcze od Śląska, a na pewno po drodze nieraz nękały ich naloty bombowe i salwy z karabinów maszynowych z lotu koszącego, skierowane na te tłumy, wśród których większość stanowiły przecież kobiety i dzieci. Zepewne też niejedni doznali już straty swych najbliższych w tej wojnie, kiedy to po raz pierwszy w historii na tę skalę wojowano z ludnością cywilną. Ten zaszczyt pierwszeństwa przypadł Niemcom, którzy zresztą próbę generalną odbyli w Guernice. Zbrodnicza działalność Hitlera odbiła się po sto-kroć na jego własnych ziomkach. Tak to całe narody cierpią za szaleństwa lub głupotę swych władców.

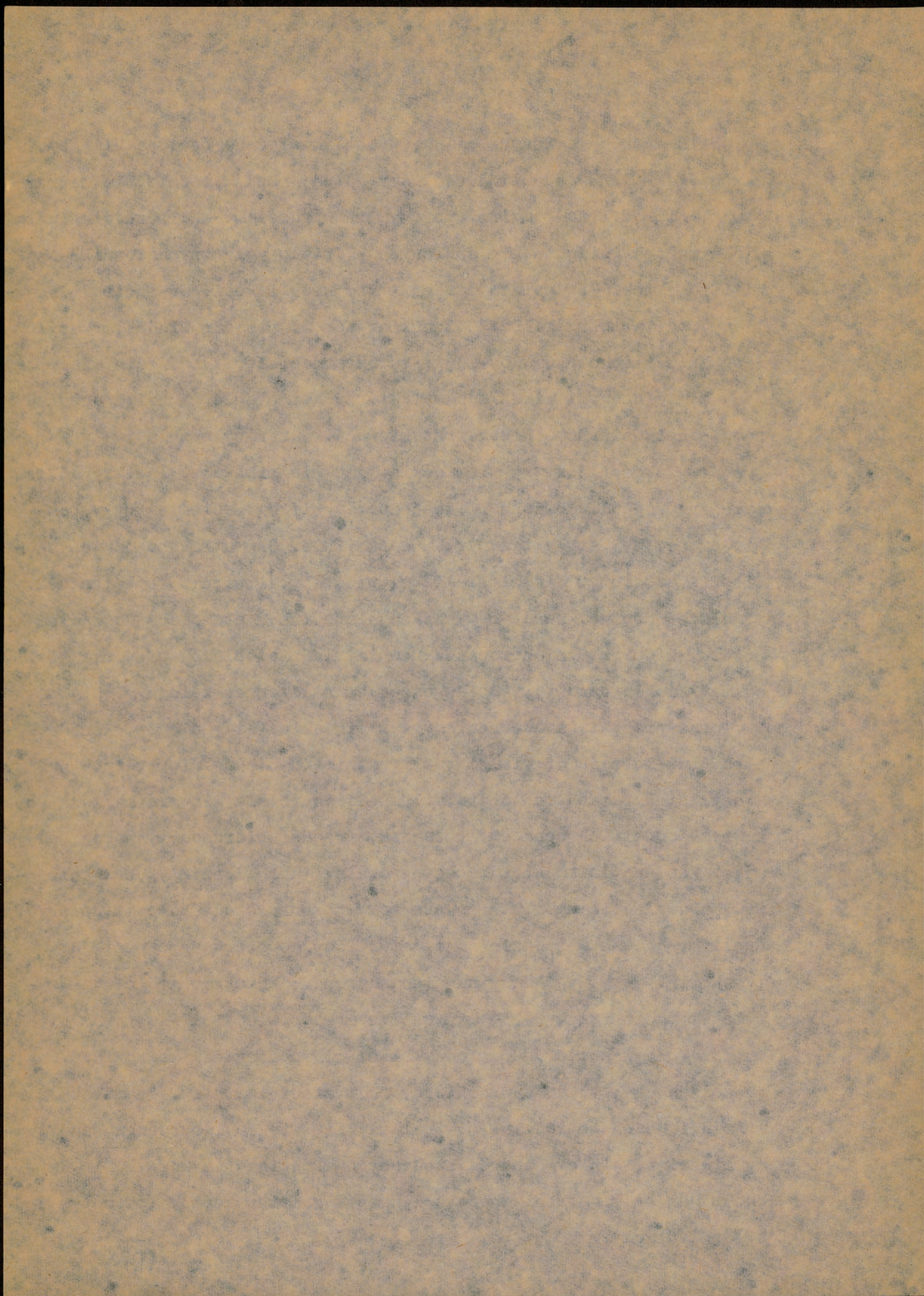
13 W dalszej wędrówce zdarzyło się, że nadleciał samolot, ludzie poczuli uciekać i kryć się po zboczach drogi, samolot obniżył lot tak, że było widać pilota, który przyjaźnie machał ręką - wtedy zobaczyliśmy, że to polski samolot z biało-czerwoną szachownicą. Z ulgą pomachaliśmy i my jemu. Rzadki to był widok. Potem miałem zobaczyć jeszcze raz tylko w tej wojnie nad naszą ziemią polski samolot w locie, ale w dużo smutniejszych okolicznościach. Szedłem dalej prosto na Wschód, raczej polnymi ścieżkami, spotykając nieraz po drodze takich, którzy już dalej iść nie mogli, gdyż na nogach mieli wielkie pęcherze lub stracili siły. Ja miałem wygodne obuwie, a liczne wycieczki turystyczne, jakie chętnie co roku uprawiałem, były w tych okolicznościach dobrym treningiem. Niestety w niczym nie mogłem pomóc cierpiącym i ustającym w drodze. Dalszą marszrutę wyznaczyłem sobie z dwóch przyczyn, obydwu dość naiwnych. Choć jak dotąd, mimo doznanych przeciwności wyobrażałem sobie, że w pewnym zakresie jestem jednak panem swojego losu, to w gruncie rzeczy byłem nie mniej od wielu innych uchodźców miotany siłą wyższą. Tyle tylko, że nie było moim jedynym celem uciec jak najdalej od Niemców /aż nadto by-



ło wiele różnych przyczyn, też w mej przedwojennej działalności, bym nie pragnął dostać się w ich łapy/, ale, po pierwsze znaleźć - to znaczy dognać - moją jednostkę, a po drugie, co było jeszcze najwazniejsze, dostać się do tego COPu /tak nazywał się wtedy rejon w widłach Wisły i Sanu, Centralny Okręg Przemysłowy, ze Stalową Wolą /, bo to przecież miałoby być najbardziej bronione... Dognać mą jednostkę mogłoby nie być zbyt trudne, jeżeli poruszała się w tym tempie, jak opuszczony przeze mnie niedawno szpital polowy. W każdym razie za najbliższy cel obrałem sobie Mielec i chyba dobrze zrobiłem, bo wprawdzie były tam częste naloty, ale udało mi się wsiąść do pociągu towarowego, pełnego zresztą uchodźców i żołnierzy /niestety trzeba było nieraz położyć znak równania między tymi dwiema kategoriami/. Co prawda zdawałem sobie sprawę, że jazda pociągiem jest wobec nalotów znacznie mniej bezpieczna niż wędrówka piechotą, ale trochę liczyłem na szczęście, a trochę i na to, że jeśli uda mi się część drogi przejechać, łatwiej mi będzie potem znów pomaszerować. Właściwie wszystko tak właśnie się odbyło. Bo w czasie powolnego poruszania się pociągu nastąpił nalot i bombardowanie, bomby nie były bardzo wielkie, chyba półtonówki i padały koło toru, ani jedna nie trafiła w sam pociąg. Bardzo wielu ludzi jednak w czasie nalotu wyskakiwało z pociągu i biegło w pole, więc wśród nich właśnie znalazło się dużo ofiar. Ja sam z początku nalotu położyłem się w kącie wagonu, który okazał się bezpieczniejszym miejscem niż pole, gdyż była ochrona przed mniejszymi odłamkami, a główne niebezpieczeństwo groziło, gdyby bomba uderzyła właśnie w ten wagon lub w jego najbliższe otoczenie. Tak się nie stało, lecz znów, tak jak w Krakowie, musiałem opuścić to względnie bezpieczne miejsce, gdyż słyszałem nawoływanie "Sanitariusz! sanitariusz!", wyskoczyłem więc z /ciagle wolno jadącego/ pociągu, dobiegłem na pole, skąd głos pochodził; to wołał kapral, który stał nad żołnierzem, leżącym bez ruchu na ziemi, z krwawiącą głową, rozbita klatką piersiową. Niestety już nie żył.

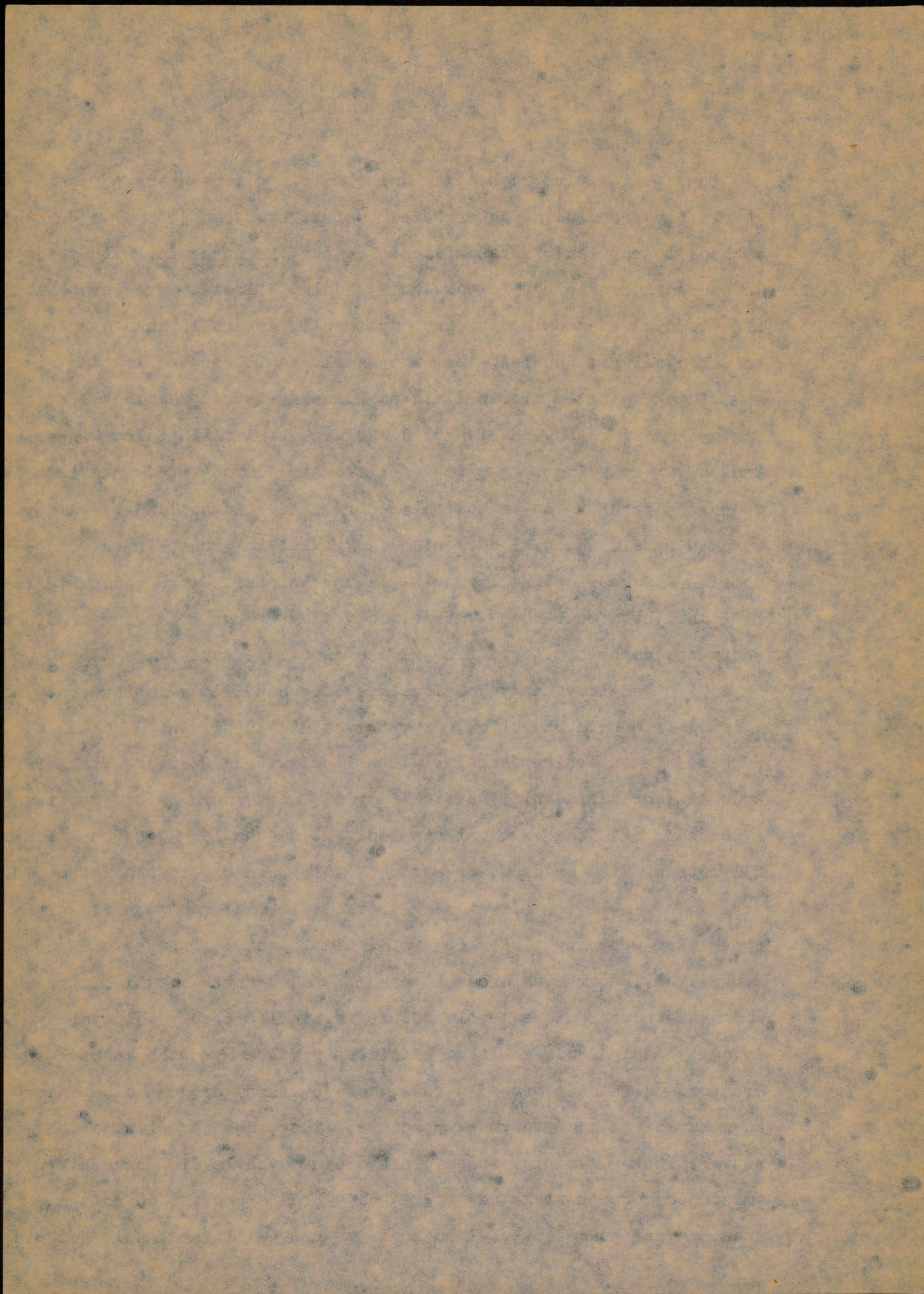


W pobliżu nie było innych ofiar, wróciłem więc do pociągu biegiem, wskoczyłem i znów powoli jechaliśmy dalej; pociąg często się zatrzymywał, nieraz i na godzinę, po czym znów ruszał. Po drodze widziałem wiele małych wsi zupełnie spalonych - dzieło walecznych lotników hitlerowskich - na polach czasem trupy krów i koni. Wreszcie dojechaliśmy pod Tarnobrzeg. Dalej ten kierunek mi nie odpowiadał, ruszyłem więc znów piechotą na Rozwadów, zatrzymując się tu i ówdzie dla rozmowy z miejscowymi mieszkańcami, którzy też ciągle wznosili oczy ku temu niemiłosiernemu niebu wrzesniowemu. Dwa razy przelatywały na dużej wysokości eskadry niemieckie, ale nie pikowały, leciały gdzieś dalej na Wschód. Mówiono mi że jednak pobliskie wsie też były bombardowane. Czy stały tam nasze wojska? Nie. Czy strącono jakieś niemieckie samoloty? Nie widzieliśmy, niestety. A więc to był ten COP. W dalszej drodze, nocując w kopach siana lub w stodołach doszedłem przez Przeworsk /zniszczona cukrownia, ludzie obciążeni workami z cukrem/ do Jarosławia, gdzie poszedłem na dworzec kolejowy. Stało tam oraz przed i za dworcem chyba z pięćdziesiąt pociągów, wśród nich "Lux-Torpeda" i wielki pociąg sanitarny, zupełnie zresztą pusty. W ostatnich fazach mej wędrówki powoli dobierała się grupka ludzi o pewnych dodatnich cechach: rozsądek, przedsiębiorczość, spokój, odwaga. Zastanawiałem się dlaczego powstał taki olbrzymi korek kolejowy. Nasuwała się myśl, że pewnie tory są zniszczone bombami. Zapragnęliśmy jednak sprawdzić to i dotarliśmy do pierwszego pociągu w tym korku. Tory wyglądały na nienaruszone. "Dlaczego stoicie" - zapytałem maszynisty. "Jadę aż ze Śląska" odpowiedział - a teraz nie mamy już wody w kotle". Rozglądając się i zobaczyłem, że poniżej nasypu kolejowego, tu dość wysokiego, jest niewielki staw. "Zaraz będziemy mieli wodę" powiedziałem. Znalazły się wiadra i oprócz naszej grupy liczni ochotnicy spośród siedzących w pociągu, utworzył się łańcuch, jak przy gaszeniu pożaru i za pół godziny kocioł lokomotywy był pełen wody.

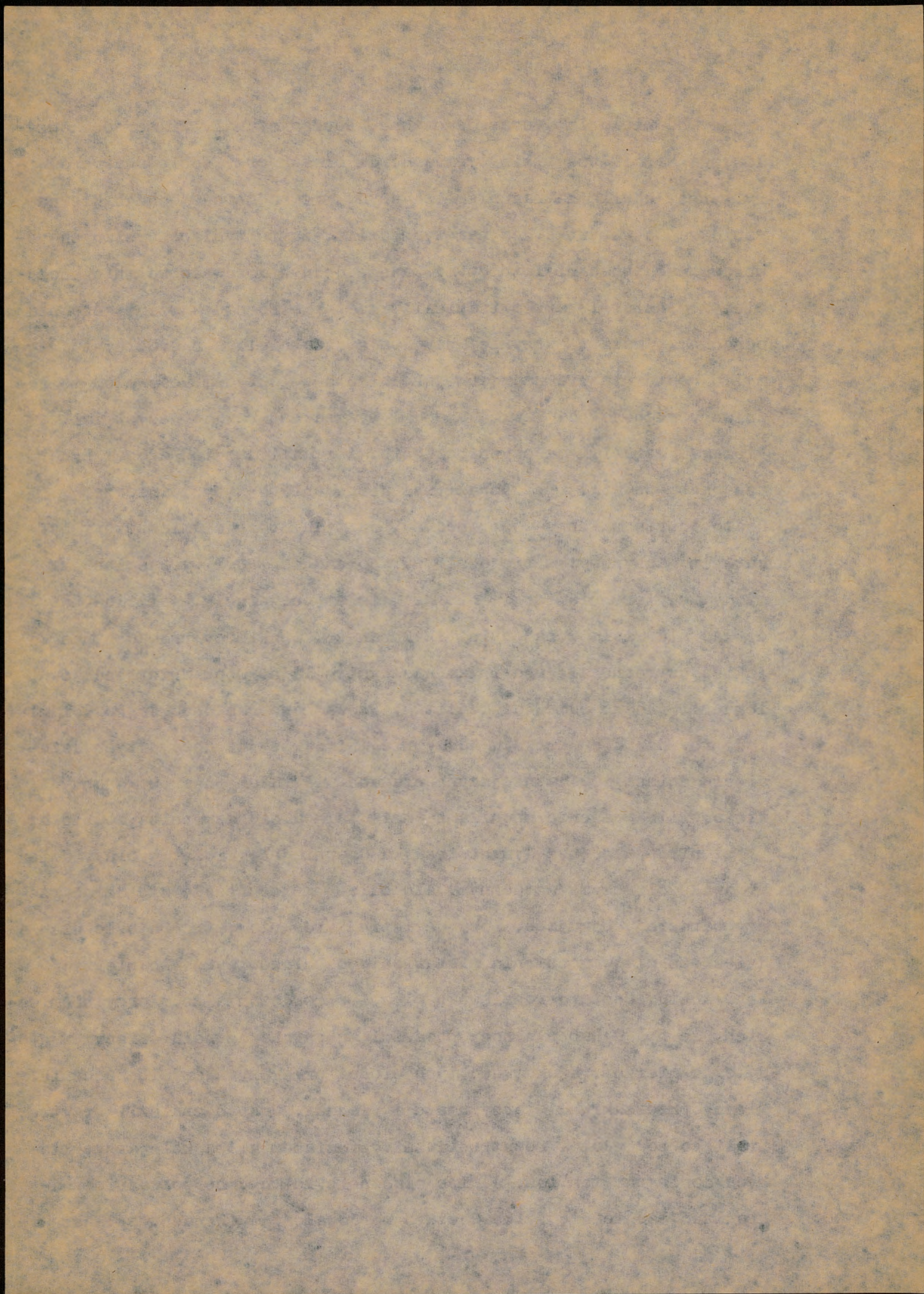


Tymczasem na jednym z bocznych torów zrobił się rwetes, bo stamtąd inny pociąg miał ruszyć na Munino, wielu z tego "naszego" pociągu się tam przesiadło, bo przecież pociąg, który ma jechać na Wschód, to rarytas! Zastanawiałem się, czy tam pojechać. Byłoby to dalsze odskoczenie od Niemców. To był dzień dziesiąty września. Nikt nie wiedział, jak daleko Niemcy już zaszli. Wybór kierunku oparłem na mej myśli przewodniej, że mam tę kartę mobilizacyjną i z tym się mam liczyć, a zatem kierunek nie na Północny-Wschód /Munino/ lecz na Przemyśl jest chyba właściwszy. Jakkolwiek bowiem widziałem wszędzie krańcowy rozgardiasz, to przecież tliła się jeszcze wtedy nadzieja, że gdzieś bardziej na Wschód jakaś obrona się skonsoliduje. Byliśmy wszak w czasie wędrówki odcięci od jakichkolwiek konkretnych wiadomości o sytuacji ogólnej. zdani tylko na wnioski z tego cośmy widzieli i choć było to bardzo wymowne, to jednak w owych pierwszych dniach wojny trudno było uwierzyć, że klęska jest zupełna.

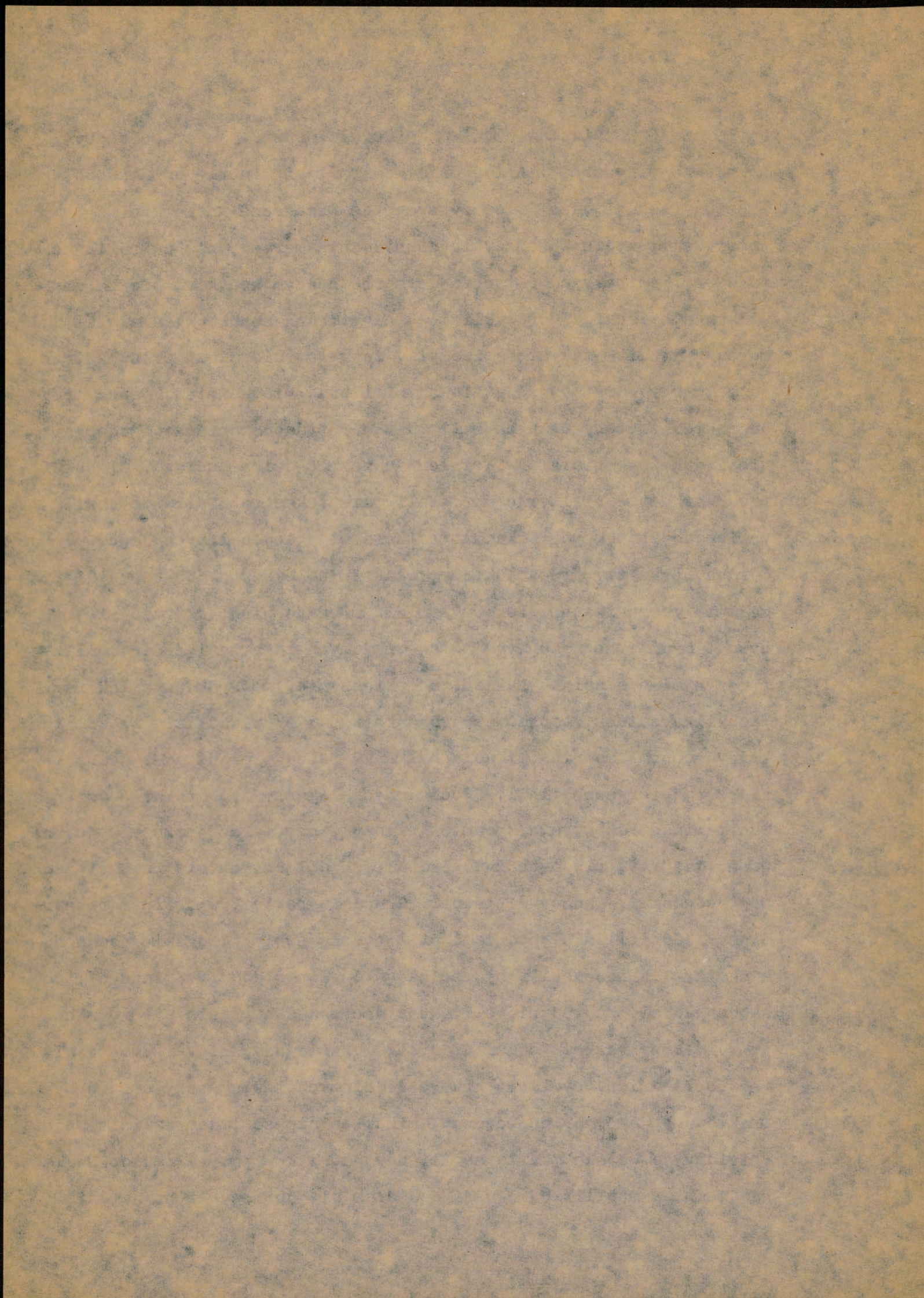
1 a
A więc jedziemy naszym pociągiem, który napoiliśmy dopiero co. W przedziale było nas kilku, niektórzy byli zaopatrzeni w butelki z rozbitej bekoniarńi w Jarosławiu, no i oczywiście we wódkę, tak, że było tu dobre śniadanie. Rozsiadliśmy się w poczuciu bezpieczeństwa i dokonanego dzieła uruchomienia pociągu. Ujechaliśmy debrych kilka kilometrów. Wtem wpada do przedziału jakiś jegomość i woła "Niemcy!". Inni go ofuknęli, by nie gadał głupstw i nie siał paniki. Patrząc przez okno w stronę pobliskiej wsi i widzę gromadę młodych chłopców z węzełkami, pędzących drogą ku nam i wymachujących rękami. Patrząc w drugą stronę i widzę w polu żołnierza niemieckiego z różowymi wyłogami /później już, z bliska widziałem na tych wyłogach znaczek spadochronowy/. Wtem z prawej strony ukazuje się na drodze auto pancerne z karabinem maszynowym na przodzie, widzę, że ostrzeliwuje lokomotywę. Pociąg zwalnia, z sąsiedniego okna wychyla się porucznik w galowej czapce czworokątnej i wymachuje brudną chustką do nosa na znak, że się poddajemy /był to zresztą znany mi lekarz, dziś już nie



żyjący od wielu lat, oraz jego żona. Pociąg stanął, Niemcy obkoczyli go i kazali wszystkim wysiadać. Ja miałem przy sobie dwa rewolwery. Przez chwilę zapragnąłem ich użyć, przynajmniej jednego Niemca zabić za to wszystko, co nam wyrządzili, za te tysiące cywilnych pomordowanych bombami lotnictwa. Zawsze jednak górowało we mnie poczucie, że jestem lekarzem i dzięki temu także rozsądek wziął górę nad odruchem. Jeśli to uczynię, zły los spotka wielu z nas. Byłby to więc tylko gest i to nie najmądrzejszy. I oto ze wstydem schowałem te rewolwery głęboko pod ławkę wagonu i wyszedłem wraz ze wszystkimi. Niemcy oddzielili mężczyzn od kobiet i kazali nam iść drogą. Było nas chyba ze stu. Konwojowali nas uzbrojeni po zęby żołnierze, a nadto poprzedzał nas wóz pancerny, na tyle którego umieszczony był karabin maszynowy: z niego mierzył do nas ze złośliwym uśmiechem młody żołnierz niemiecki. Nie wiedziałem oczywiście, jaki los nas czeka, ale wielu z nas było przekonanych, że Niemcy prowadzą nas w jakieś ustronne miejsce i tam nas wystrzelają. Obok mnie siedł ów lekarz i głośno odmawiał modlitwę. Prowadzono nas dość długo polami i doprowadzono do rynku w Rađymnie. Mimo, że już dość w tych dziesięciu dniach i w dawniejszych czasach widziałem pożarów wojennych, niesamowite wrażenie zrobiła na mnie paląca się dzwonnica kościoła; płomienie, jakoś bez dymu i trzasku ogarniające wieżę, w biały dzień wydawały się czymś sztucznym. Ale bliżej mnie zaczęły się dziać rzeczy bardziej dojmujące. Żeby je lepiej zrozumieć, trzeba było wiedzieć, że dla wzmocnienia nienawiści do Polaków wśród żołnierzy Wehrmachtu, Gestapo rozsiewało wieści o mordowaniu żołnierzy niemieckich, że np. w Rabce w nocy poderżnięto gardło sześciu śpiącym w stodole żołnierzom. O skutkach tych wieści przekonywałem się naocznie. Niemcy przeszukiwali torby nasze i plecaki. U kogo znaleźli brzytwę, brali go pod plot i rozstrzeliwali. Widziałem kilku kolejarzy, których dosięgnął ten los. A więc słuszne było to, co po wojnie podkreślano, że to nie tylko Gestapo mordowało /a Wehrmacht był bez wi-

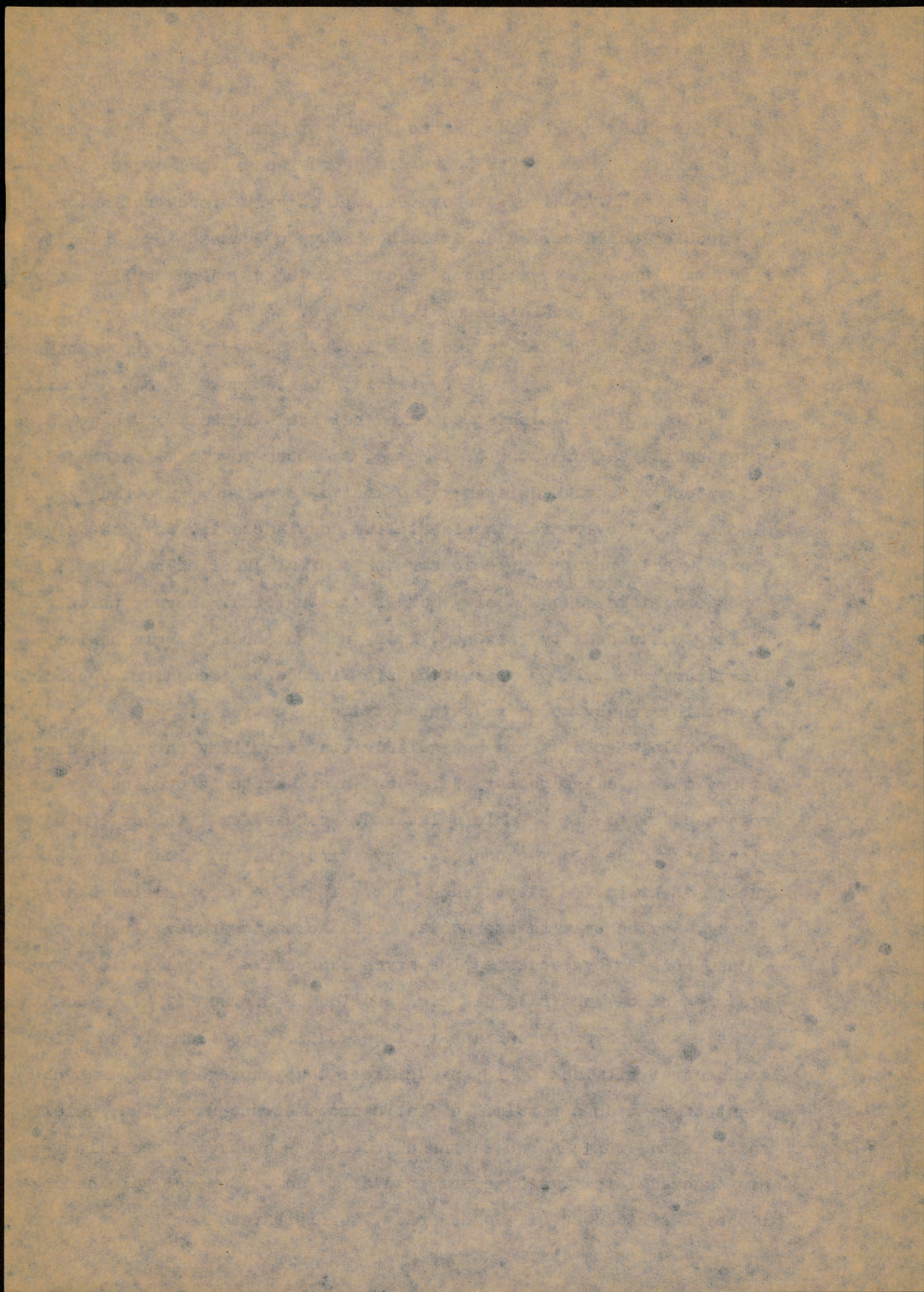


ny i nawet przeciwstawił się tej działalności/. To przecież byli żołnierze pierwszej linii frontu /dostali się tu nie od Zachodu, lecz od Południa, ze Słowaczyny przez przełęcze karpackie zagonami motorowymi, które w niezwykle pospiesznym marszu, nie natrafiając na opór, odcinały odwrót cofającym się naszym wojskom; nie zapomnę widoku niemieckich motocyklistów, na których nosach widniały stożki kurzu z drogi - tak się spieszyli, że nawet nie mieli czasu zetrzeć go z twarzy/ Gestapo podążało za nimi znacznie wolniej. Prócz tych jednostek zmotoryzowanych byli tu też i spadochroniarze, jednego z nich, jak wspominałem, widziałem jeszcze z okien pociągu. Ci żołnierze Wehrmachtu nie tylko mordowali, ale także rabowali- za chwilę bowiem dojrzałem pod arkadami ratusza siedzących innych jeńców w mundurach. Była tam grupa lekarzy, właśnie należących do jednostki przeze mnie poszukiwanej. Dołączyłem się więc do nich, okazało się, że było tam aż trzech dobrych moich znajomych lekarzy i jeden sanitariusz z mego oddziału zakaźnego w Cieszynie. Otóż jeden z lekarzy /po kilku latach zamordowano go jako Żyda/ opowiadał mi, że żołnierz, który go brał do niewoli ściągnął mu z palca pierścionek. Też żołnierz najpierwszej linii. Dwóch innych lekarzy żyje po dziś dzień. Sanitariusz /sabatysta/ również przeżył, czy teraz jeszcze żyje, nie wiem. Ta grupa nie oznaczała jednak, że dołączyłem się wreszcie do mej jednostki, choćby w niewoli. Grupa ta bowiem, w ogólnym rozgardiaszu oddzieliła się od całości i poszła swoimi drogami /jeden z nich tak ich prowadził, by móc zejść do swego domu rodzinnego/, co skończyło się na tej niewoli. Moja decyzja dołączenia się do nich znów, jak przyszłość okazała, była słusniejsza, niż trzymanie się mej poprzedniej, cywilnej grupy. W dalszych bowiem perypetiach byłem traktowany jako jeńiec wojenny, mimo, że nie zostałem definitywnie wcielony do wojska /karta mobilizacyjna, jak wspominałem, opiewała na 11 dzień mobilizacji, a ja dostałem się do niewoli na dziesiąty dzień/.



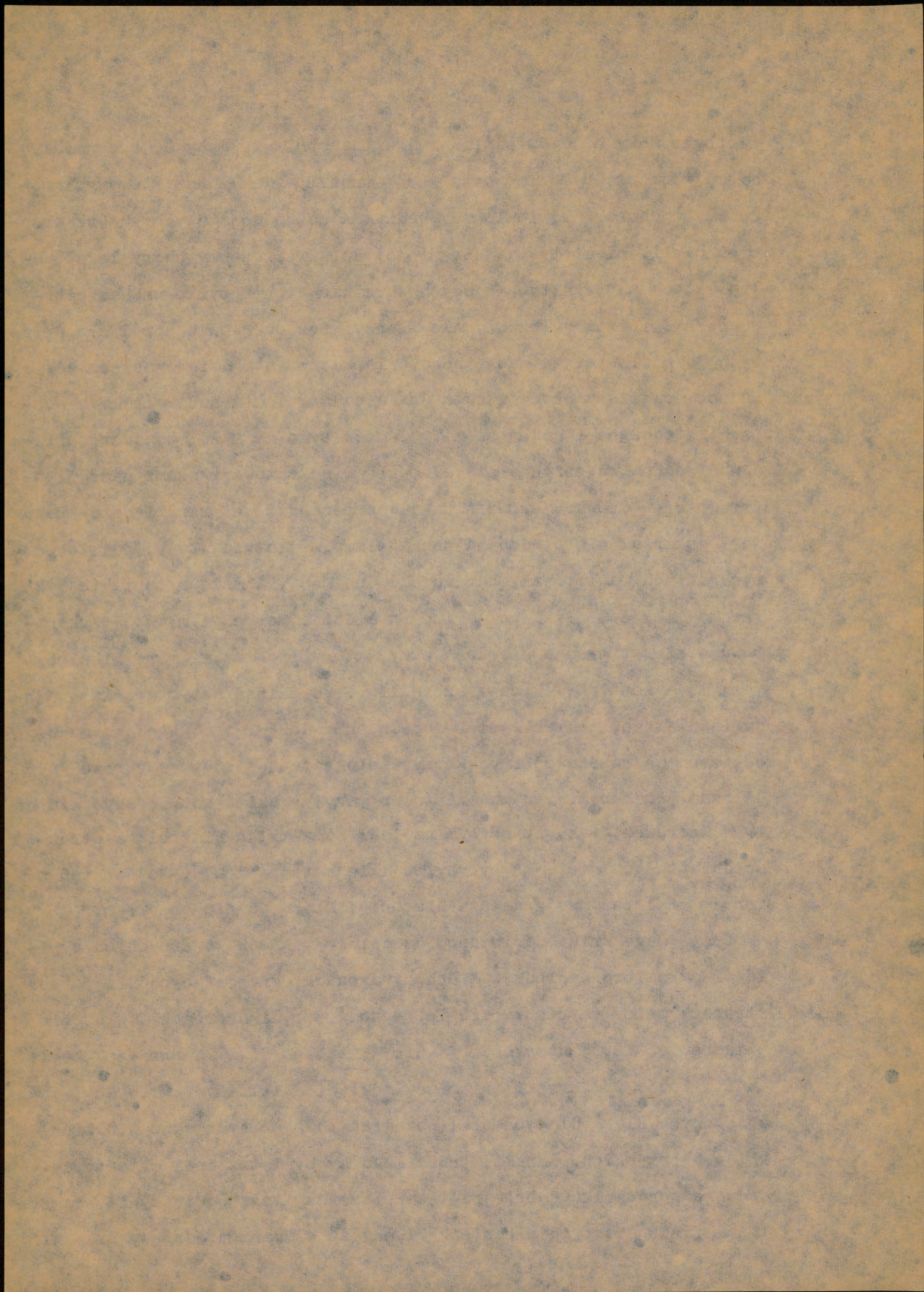
Z radzywińskiego rynku przeprowadzono nas na pole, gdzie urządzono dwa wielkie czworoboki, jeden dla jeńców wojennych, drugi dla mężczyzn cywilnych. Boki czworoboku oświetlone były w nocy reflektorami, by zapobiec ucieczce. Nadchodziła bowiem znów jeszcze jedna noc, tym razem tak inna od wszystkich poprzednich. Jeńcy wojenni byli przepytывani przez jakiegoś oficera niemieckiego. Ze mną rozmowa była krótka. Kazał sobie pokazać dokument wojskowy. Pokazałem mu więc kartę mobilizacyjną. "Widzi pan" - powiedział po niemiecku - "ma pan kartę na 11 dzień, a już dziesiątego dnia jest pan w niewoli". Nie uważałem w tej chwili za korzystne oświadczyć, że wobec tego nie jestem jeńcem wojennym, odpowiedziałem tylko krótko, że sprawy istotnie szybko się toczą. To było zresztą niewątpliwe doświadczenie. Szybkość z jaką Niemcy wpadli przez przełęcz karpackie niewielkimi chyba siłami, imponować musiała jako właściwy manewr strategiczny. Wszyscy przecież byliśmy zaskoczeni tym zagonem, który nas zagarnął, ciągle bowiem liczyliśmy się tylko z posuwaniem się Niemców od Zachodu na Wschód. Wszystkie rachuby mojej prywatnej strategii zawiodły.

Przeszła więc następna noc gwiazdzista, leżeliśmy na ziemi, niektórzy może spali zdrożeni, ja jednak nie. Wkrótce z "cywilnego" czworokąta odezwało się wołanie o lekarza. Przeszedłem i zobaczyłem na cienkiej wiązce słomy chorego, który skarżył się na nieustającą biegunkę. "Z krwią?" - zapytałem - "Tak, ciągle" - odpowiedział słabym głosem. A więc była tu czerwonka, nieodłączna towarzyszka pobitych wojsk. Może to był jeden z pierwszych chorych, w każdym razie w tych właśnie dniach poczyną się ciężka epidemia czerwonki, która dotknąć miała w następnych tygodniach tysiące ludzi. Zgłosiłem się do polowej żandarmerii niemieckiej i powiedziałem: tego chorego należy natychmiast odwieźć do szpitala. To jest choroba bardzo zaraźliwa, jeżeli zostanie tu, inni masowo zaczną chorować i - dodałem z naciskiem - nie oszczędzi też was! Żandarm przyjął to do wiadomości, ale choćby i chciał zastosować się do mej rady, to nie bardzo mógł, gdyż narazie



10
nie było mowy o odpowiednim środku transportu. Gdyby dobrze pojął,
co mu tłumaczyć byłby może ze swej strony poruszył na tyle swych wo-
dzów, że chorego odwiezionoby jednym z wozów wojskowych, które prze-
cież mieli. Niestety tak się nie stało. Nieszczęsny chory leżał da-
lej w tych najprymitywniejszych warunkach i nie tylko on sam cier-
piał /nie mieliśmy leków/, ale szerzył też czerwonkę wśród wyczerpa-
nych jeńców. W ciągu następnego dnia kazano nam dalej maszerować,
na noc doszliśmy obok Łańcuta do Kańczugi, gdzie nocowaliśmy w szo-
pach, stodołach^{na} i gołej ziemi. Niemców było za mało, by dobrze pil-
nować jeńców wojennych, stykałem się więc z towarzyszami naszej po-
przedniej wędrówki, wśród nich jeden pochodził z przedmieścia Krako-
wa i uskarżał się bardzo na nocne zimno. Istotnie wtedy, po słonecz-
nych dniach następowały bardzo chłodne noce, a mało było takich, któ-
rzy mogliby coś ciepłego wdziać na siebie. Pożyczyłem mu mój grana-
towy sweter z bardzo ciepłej wełny, który zrobiła mi parę miesięcy
temu moja żona. Był wprost szczęśliwy. Wspominam o tym drobiazgu je-
dynie dlatego, że ten sweter możnaby nazwać "nr 1" ; w ciągu mych
dalszych wędrówek wojennych były wielokrotne epizody "swetrowe" z
dalszami "numerami", a zawsze towarzyszyły jakimś ważniejszym etapom
tych wędrówek, tak, że gdybym napisał samą tylko historię swetrów
moich w tej wojnie, już byłyby to dzieje tej anabazy. Bo już ten
"nr 1" miał też swoją dalszą historię, którą później opowiem.

~ Yna
Następnego dnia oddzielono już ściślej jeńców wojennych od cywi-
lów i zakwaterowano nas w dwóch synagogach, znajdujących się po obu
stronach ulicy naprzeciw siebie. W jednej byli szeregowi, w drugiej
oficerowie, wśród których i ja się znalazłem jako lekarz /taka była
kwalifikacja żandarmerii niemieckiej/. Siedzieliśmy na ławkach, prze-
znaczonych dla modlących się, wokół na półkach było dużo wielkich
ksiąg hebrajskich. Z nami, prócz lekarzy byli też inni oficerowie,
jednego porucznika dobrze pamiętałem ze szpitala w Cieszynie, gdzie
1em leżał przez dwa tygodnie nieprzytomny ze złamaniem podstawy czaszki

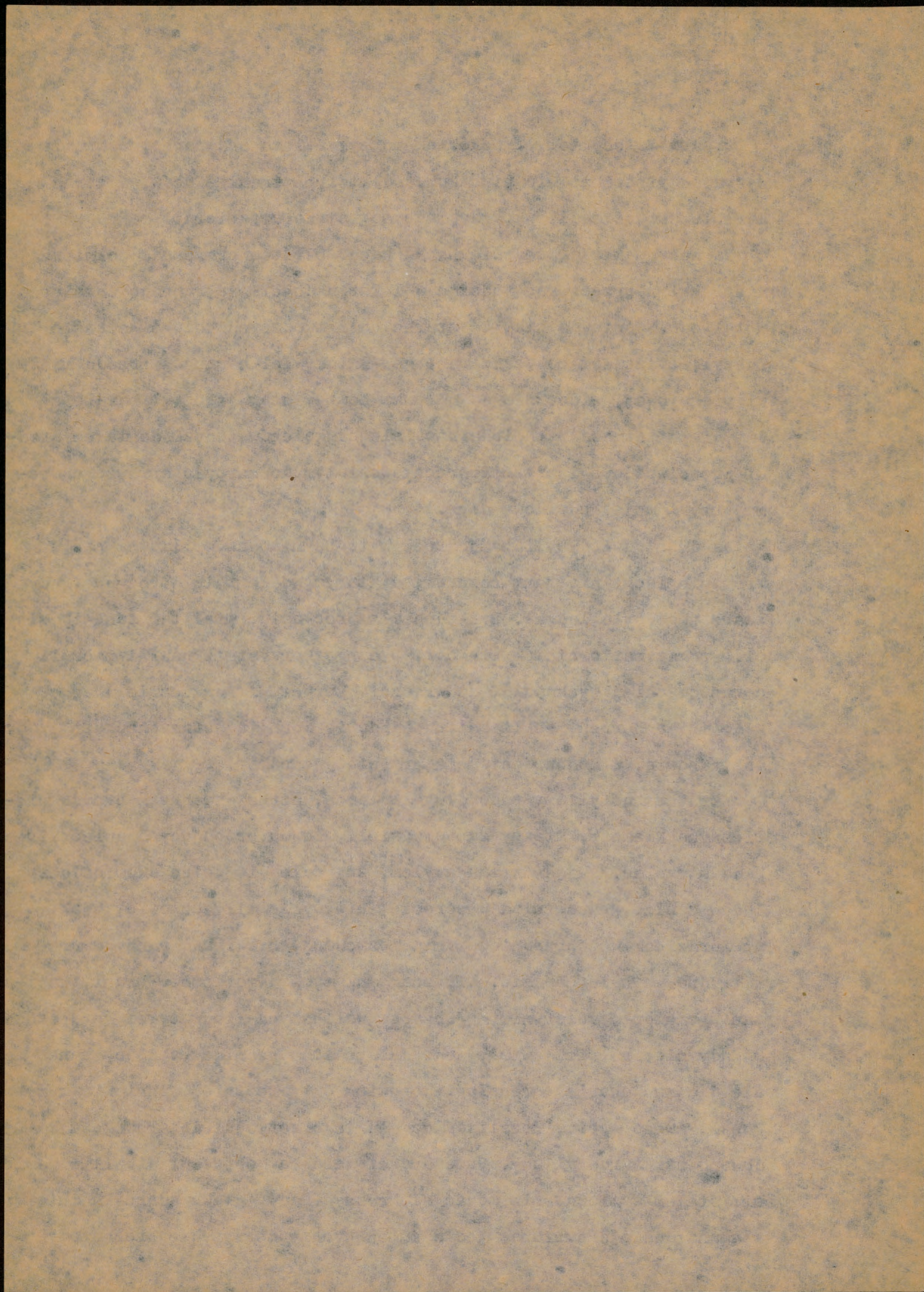


w wypadku motocyklowym. Człowiek to był bardzo ordynarny, w drodze wygrażał pięściami wieśniaczkom, od których żądał owoców, a teraz darł te księgi modlitwy, gdy mu było potrzeba papieru.

Na noc poukładaliśmy się na ławkach. Wkrótce przyszedł żołnierz niemiecki z przeciwka, prosząc o lekarza do ciężko rannego żołnierza polskiego. Ponieważ nikt ze starszych i młodszych kolegów się nie ruszył, poszedłem zobaczyć rannego - miał wielką ranę z przodu klatki piersiowej, widocznie od odłamka bomby, stan jego był bardzo zły. Sam nie miałem żadnych lekarstw, ale od kolegów jednak dostałem środki przeciwbólowe i przeciwgorączkowe i tym można było sprawić choremu przynajmniej chwilową ulgę.

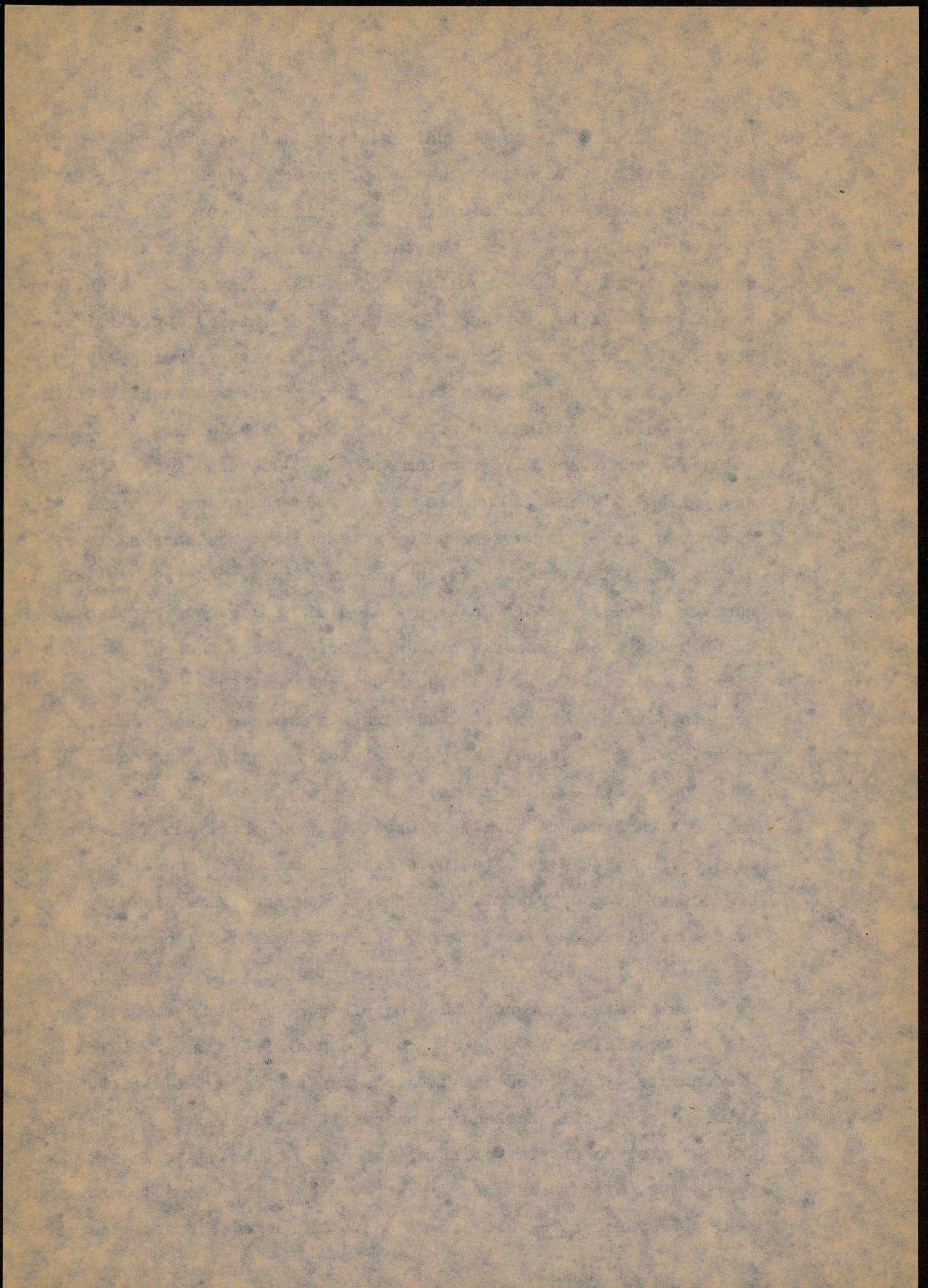
Na drugi dzień byliśmy jeszcze w tej synagodze, pilnował nas u wrót niemiecki sierżant rezerwy, z którym wdałem się w rozmowę, gdyż twarz jego była ludzka. Był kupcem z Wrocławia, miał tam żonę i dzieci. Srogim wartownikiem nie był, z czego korzystali nasi i zaczęli coraz częściej wychodzić, aż wreszcie zwrócił im grzecznie uwagę "Ja, meine Herren, schliesslich sind Sie doch in Gefangenschaft" /No, moi panowie, w końcu jesteście przecież jeńcami/.

N Wkrótce ruszyliśmy znów długą kolumną, strzeżoną przez bardzo nielicznych Niemców, którzy zapowiedzieli, że do próbujących ucieczki będą strzelać. A jednak zauważyłem, że udało się uciec dwom oficerom. Jeden z nich, pancerniak w berecie, niezwykle miły człowiek, jak stwierdziłem w poprzednich z nim rozmowach, był lekko ranny w nogę i trudno mu było chodzić. Nie znam dalszych jego losów. Drugi, kapitan w zielonej pelerynie, z Krzyżem Walecznych /zauważyłem go jeszcze w Radymnie/ również zwiął, jego dalsze losy są mi częściowo znane, ale dla zachowania chronologii opowiem o tym później. Inni nie ryzykowali swego życia. Doszliśmy do długiego konwoju ciężarówek, załadowano nas i ruszyliśmy. Przejazd ciężarówką dobrze mi utkwił w pamięci: stałem w tłoku, nie mogąc się ruszyć, a w głowę uderzała mnie złamana deska drewniana, jedna z mających podtrzymywać brezentowy



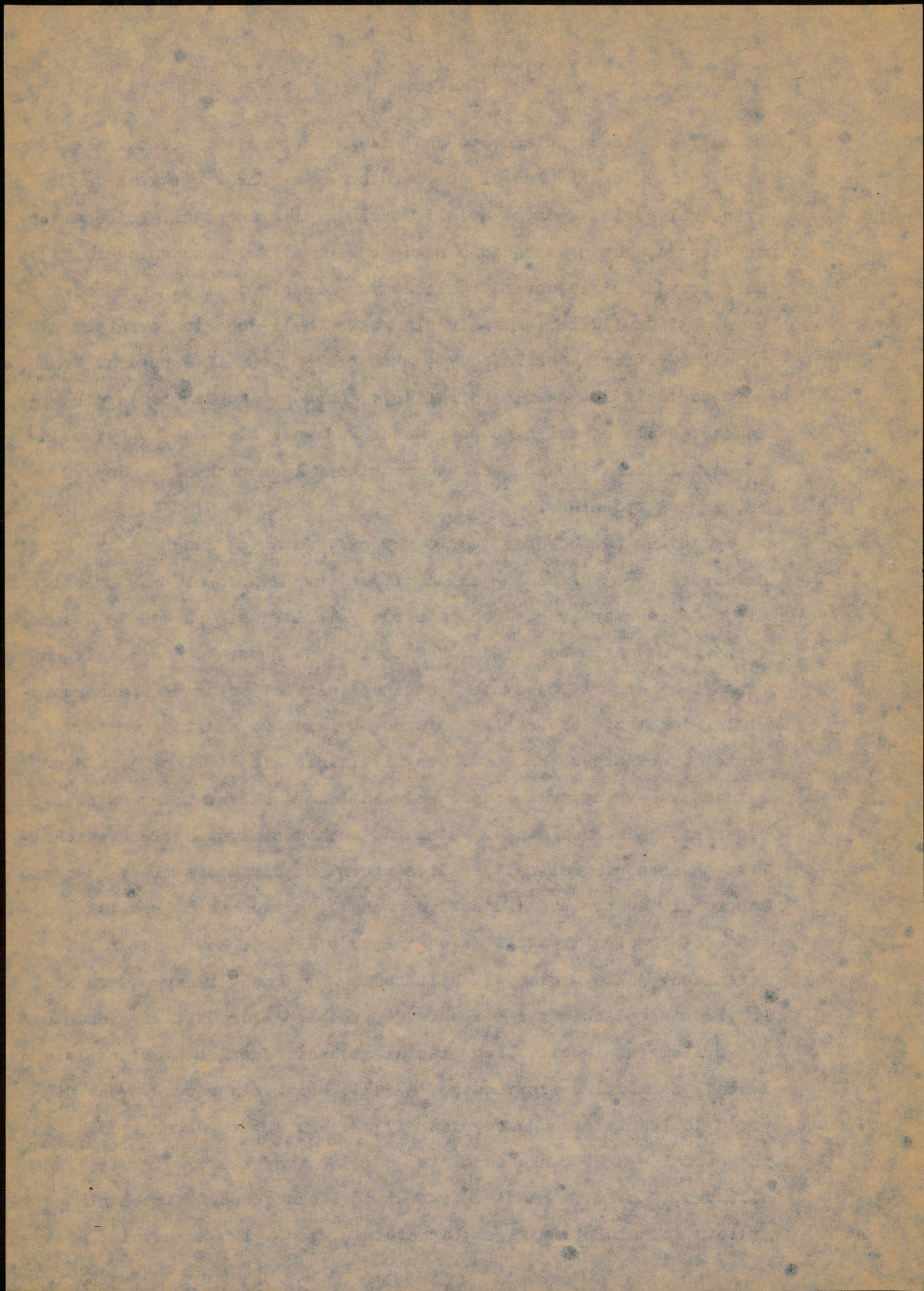
dach ciężarówki. Nie mogłem uniknąć tych uderzeń, chyba gdybym się zamienił się miejscami z sąsiadem. Samochód jechał po bardzo złej drodze z dużą szybkością, szczególnie więc dotkliwie dawała mi się we znaki owa deska na zakrętach i wykrotach drogi. Raz zatrzymaliśmy się na chwilę w pobliżu młodych żołnierzy niemieckich, którzy zażywali kąpieli w rzece, szczęśliwi, zwycięscy, weseli i swobodni. Niedaleko stały ich wozy pancerne, na których widniały rozmaite napisy kredą, jeden utkwił mi szczególnie w pamięci: "Wir kommen von Polen - um England zu holen" /Idziemy z Polski, by załatwić Anglię/. Jechaliśmy dalej, potem znów nas wysadzono i część drogi odbywaliśmy piechotą. Na czele szedł młody podporucznik niemiecki - już sam sposób jego maszerowania, a także jego rozjaśniona twarz dowodziła, jak dobrze się czuje jako zwycięzca. Obserwowałem kilku naszych oficerów, którzy nawiązywali z nim rozmowę po niemiecku, zwłaszcza jednego podporucznika w berecie, pochodzącego ze Śląska Górnego, gdyż uwagę zwracała jego odpychająca fizjonomia. Miałem ją jeszcze później zobaczyć. Załadowano nas znowu na ciężarówki, tym razem otwarte, podobno takie, które wiozły amunicję na Wschód i wracały puste. Byliśmy już podzieleni na grupy, ja byłem w grupie trzynastu, Niemcy nas rachowali, ilekrotnie przenosili nas z miejsca na miejsce. W mojej trzynastce było kilku lekarzy, krakowski aptekarz, ów podejrzany podporucznik w berecie i jeszcze kilku nieznanym mi oficerów. Ile razy tylko mogłem, speszony tym powrotem na Zachód, zgłaszałem się do żandarmerii polowej niemieckiej, remonstrując, że w

V W myśl postanowień konwencji haskiej nie jestem jeńcem wojennym, gdyż nie byłem wcielony do wojska, proszę o zwolnienie mnie. Miałem bowiem nadzieję, że jakoś uda mi się wymknąć spod tej kontroli. Nie dziwię się, że owi sierżanci żandarmerii patrzyli na mnie, jak na głupka, albo po prostu kazali mi dołączyć do naszej trzynastki /gdzie też patrzano na mnie z politowaniem/ albo też objaśniali mnie, że te sprawy rozpatrzy się już w obozie dla jeńców. Pomyślałem, że to



mi całkiem nie odpowiada, to jest dla mnie trochę za późno. Ale cóż było robić? Wdrapywałem się z powrotem na ciężarówkę i wracałem w grono kolegów, z którymi dzieliłem się mymi wrażeniami. Dojechaliśmy do Tarnowa, gdzie zarządzono nocleg. Nocowaliśmy w budynku gimnazjum, mnie przypadło miejsce na podłodze w gabinecie zoologicznym pod wypchanym niedźwiedziem. W sąsiednim pokoju byli jeńcy pancerniacy z podpułkownikiem na czele, gdy tam zajrzałem, rżnęli w brydża. Trochę mnie to zdziwiło, ja nie potrafiłbym, choć nie mogłem sobie nic wyrzucać, jeśli chodzi o me powinności wojenne. Ale może to był objaw równowagi ducha i jako taki nie zganienia lecz pochwały godny. Chyba, że był spóźniony.

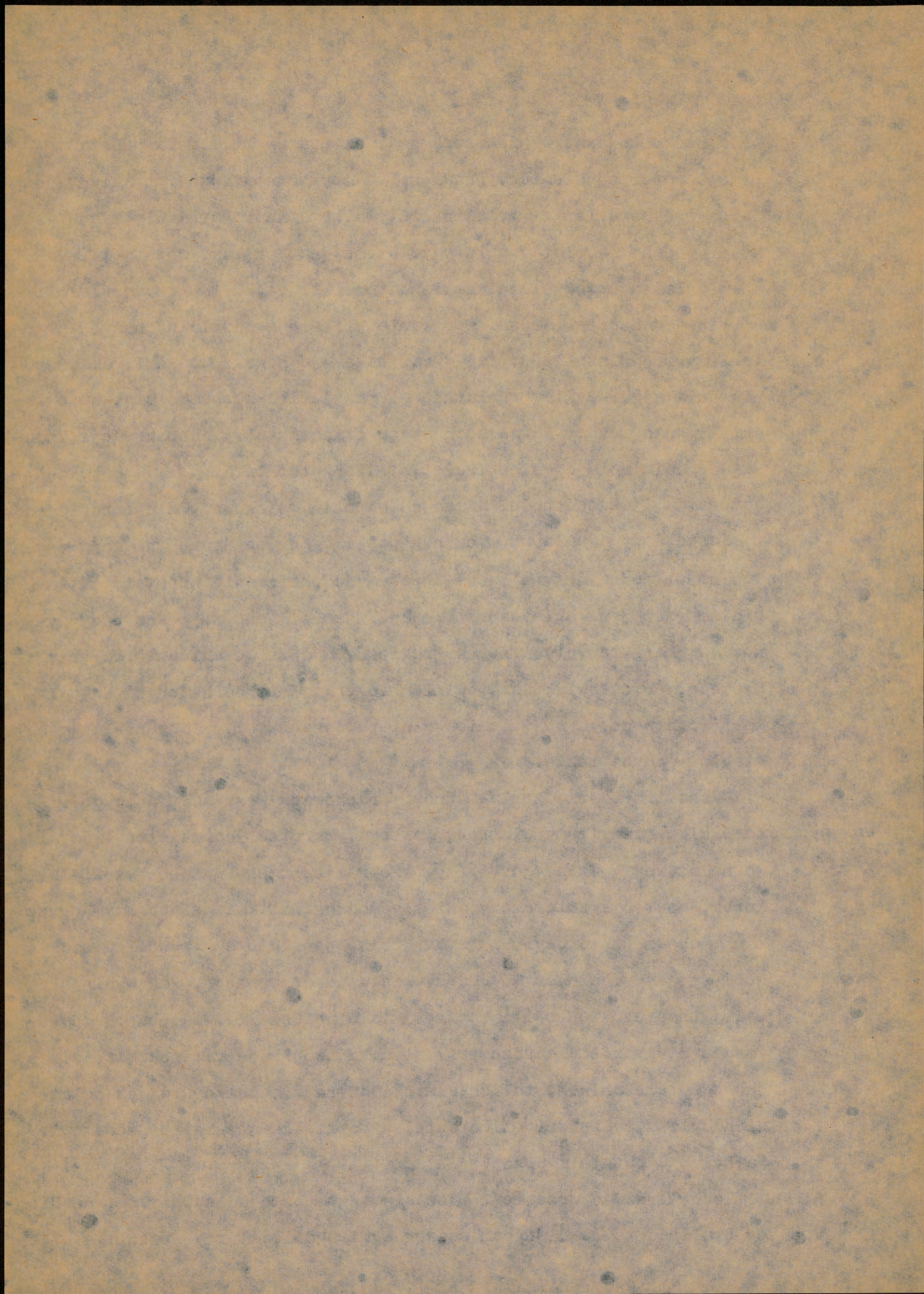
Wyszedłem na podwórze, gdzie zwróciły zaraz mą uwagę pisane kredą na murze w języku polskim różne slogany propagandowe. Znow zgłosiłem się do żandarmerii, gdyż nasza straż zmieniała się na każdym etapie i znow otrzymałem odpowiedź: "wyjaśni się w obozie". Podjechały nowe ciężarówki otwarte, jedynie z bocznymi niskimi ścianami opancerzonymi od wewnątrz, podobno też używane do przewozu amunicji, a teraz puste, wracające ze Wschodu. Oczywiście nie wiedzieliśmy jaka jest sytuacja, wszyscy tylko u nas wzdychali do deszczu, który na naszych błotnistych drogach miałby wstrzymać pochód czołgów hitlerowskich. Było to podobnie naiwne, jak liczenie na rzeki, które miały stanowić zaporę nie do przebycia dla tego pochodu, a tymczasem wspaniała polska złota jesień trwała i ją obwiniano o klęskę. Mówię naturalnie o opieniach, jakie wygłaszali oficerowie w moim najbliższym otoczeniu. Przypomniałem sobie też epizod z poprzedniej wędrówki, gdy jeszcze nie byliśmy w niewoli, kiedy leciał nad nami samolot niemiecki nisko i kosił z karabinu maszynowego, a jakiś porucznik rezerwy /jak się potem dowiedziałem - nauczyciel/ wyjął z kabury rewolwer i oddał szereg strzałów w kierunku samolotu, wołając przy każdym strzale "A masz s...synu, a masz, a masz!". Taką wiarę w skuteczność strzelania z pistoletu do samolotu mógł chyba istotnie mieć tylko nauczyciel, isto-



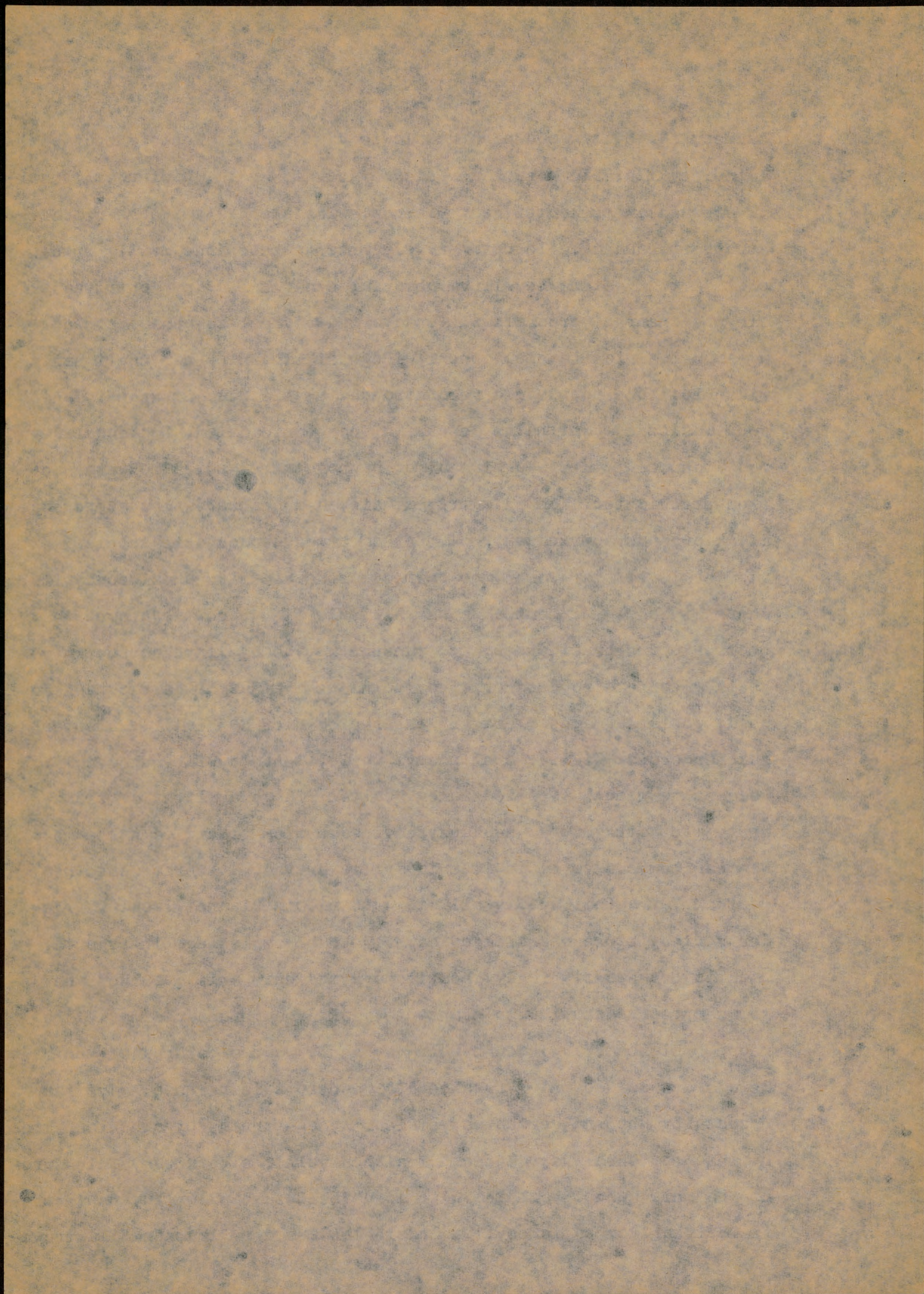
ta u nas pokojowa, w Niemczech zaś, od czasów Bismarcka podstawa potęgi wojennej Niemiec. Drugi epizod był smutniejszy, bo kiedy już jako jeńcy staliśmy w polu przelatywał nad nami na niewielkiej wysokości polski samolot dwupłatowy. Niemcy natychmiast rozstawili na polu działka przeciwlotnicze i zestrzelili go. I to przypomniało mi z wolnej jeszcze wędrówki spotkanie w lesie z oddziałem naszej artylerii przeciwlotniczej. Kiedy zapytałem jednego z obsługi, dlaczego nie działają, gdy tu przelatują nieprzyjacielskie samoloty, odpowiedział: "nie możemy zdradzać naszego stanowiska". Te obserwacje i doświadczenia notuję "sine ira et studio" wiem teraz, że dużo było bohaterstwa i skuteczności w naszej obronie wojskowej, ale bardziej w sferze indywidualnych wyczynów poszczególnych jednostek wojskowych lub nawet pojedynczych ludzi, w owym jednak czasie niestety natrafiałem raczej na opisywane epizody. Stanowią one na pewno przyczynek do charakterystyki owych tragicznych dni. Oczekiwanie od przyrody tego, co człowiek sam powinien uczynić jest cechą chyba człowieka pierwotnego, a obwinianie za niepowodzenia złych demonów, zamiast siebie - chyba także.

Nasza trzynastka została znów porachowana przy wsiadaniu do ciężarówki i ruszyliśmy w stronę Krakowa. Wkrótce jednak stanęliśmy i to na szereg godzin, gdyż przy przeprawie przez Dunajec był wielki korek, most był zniszczony, Niemcy posługiwali się zbudowanym przez nich mostem pontonowym, na który tylko pojedynczo i powoli wjeżdżać mogły pojazdy. Miałem więc dość czasu na obserwacje, jak wyglądała całość naszego konwoju i co się działo w otoczeniu. Ta obserwacja okazała się wkrótce bardzo przydatna. Konwój z jeńcami składał się z około 20 ciężarówek, takich samych jak nasza, tylko w dwóch ostatnich byli umieszczeni oficerowie, w poprzedzających zaś szeregowi. Ja byłem w ostatnim wozie.

To był już 15 wrzesień. W czasie tego postoju zauważyłem, że Niemcy brali do wozów z jeńcam szeregowymi ludźmi, którzy wracali z



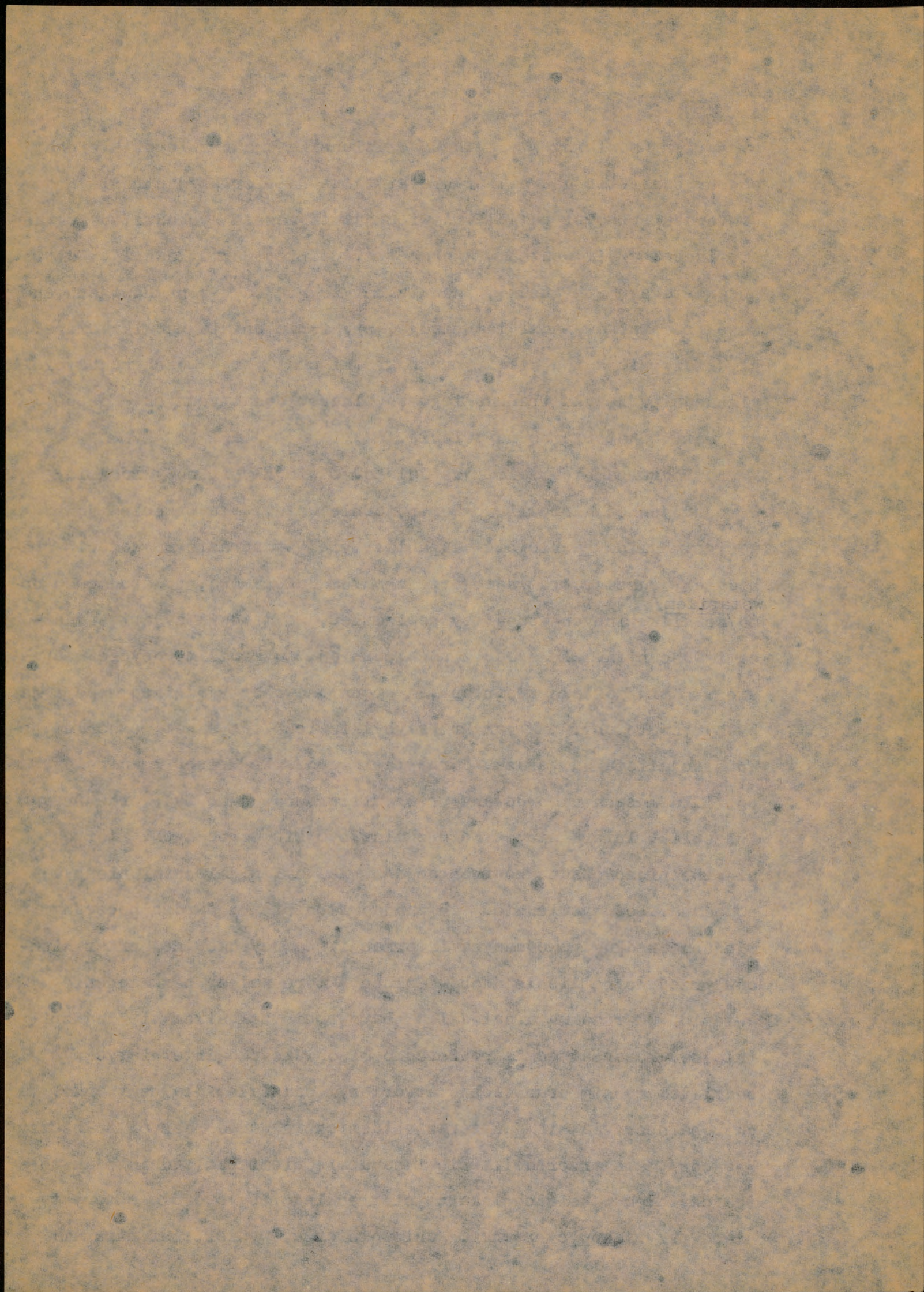
"ucieczki", byli wśród nich uczniowie gimnazjalni, kobiety z dziećmi i inni cywile. Nie pozwalano wsiadać jedynie Żydom. W pierwszej chwili rozważałem tylko ten gest Niemców, widziałem w tym dobrą z ich strony propagandę. Ale potem naszły mnie jeszcze inne myśli. Przecież ja też jestem w cywilnym ubraniu, stale zaliczany do trzynastki, ale nie znany z personaliów. Ponadto zauważyłem, że obsada konwoju w Łarnowie zmieniała się, obecni więc nasi strażnicy nie znali nas z widzenia. Moje poprzednie remonstracje też nie były im znane. Takie dość logiczne myśli smmyślałem, czekając, co będzie dalej. Podjechaliśmy pod Podgórze i tu stało się to, co na podstawie moich rozważań mogłem przewidzieć. Konwój zatrzymał się, a do ciężarówek z szeregowymi, które nas poprzedzały, kolejne, od przodu podchodził żołnierz niemiecki, coś tam wołał, po czym z wozów zaczęli zeskakiwać cywile. Jasne stało się dla mnie, że skoro wiezie się jeńców wojennych do obozu, to trzeba się pozbyć z transportu tych cywilnych osób, które zostały podjęte po drodze. Kiedy żołnierz był już niedaleko naszego wozu, postawiłem mój plecak na parapecie. "Wer da Zivil - herunter" smzakomenderował Niemiec przy naszym wozie, tzn. "cywile schodzić!". smPodąłem mu plecak i powiedziałem "Halten Sie gefaelligst" /"proszę uprzejmie potrzymać"/, zeskoczyłem i odebrałem plecak od uprzejmego Niemca, pomachałem na dowidzenia moim towarzyszom, którzy dosłownie z otwartymi ustami wpatrywali się w to nieoczekiwane widowisko /jeden z nich, którego znałem od dawna jako bezwzględny intrygant, w jakiś czas później, gdy chodziło o wysadzenie mnie z funkcji na tego rzecz, przedstawiał to zdarzenie, jako podejrzanę o moją kolaborację z Niemcami!/. Jeden z kolegów, który szybko połapał się co się dzieje zawołał do mnie "Do sklepa!" co było świetną radą, gdyż tak przestałbym być na oczach wszystkich. A może znalazłby się ktoś, kto by mnie rozpoznał jako "jeńca" i albo umyślnie albo nieumyślnie zwrócił na mnie uwagę. Wszedłem więc do najbliższego sklepiku, tzw. "trafiki" i kupiłem papierosy. Na ladzie leżał numer "Ikaca" /"Ilustrowa-



ny Kurier Codzienny"/ popularnego dziennika krakowskiego, którego obecny charakter ujawnił mi wielki tytuł na pierwszej stronie "Twierdza Przemyśl padła!". A więc już ta gazeta wychodzi pod egidą niemiecką, czyli weszła w szereg tzw. później "szmatławców". Gdy przewertowałem tę gazetę, zauważyłem, że niejeden z przedwojennych współpracowników nadal tam pisuje, np. felietonista Ludwik Tomanek, ględziarz nie z tej ziemi, przez krótki czas przed wojną nauczyciel gimnazjalny języka francuskiego bez laurów dydaktycznych. No cóż, nie sami bohaterzy są na świecie.

Do Podgórze nie miałem już daleko. Otwierał się nowy rozdział w mej wojennej historii, byłem pozornie wolny, ale przecież już wszyscy byliśmy w niewoli okupanta. Tyle, że narazie mogłem się swobodnie poruszać, tramwajem przejechałem do Krakowa, po drodze do ^{wstąpiłem/} mu/ do kilku innych domów, by powiedzieć, że mężowie żyją i są jeńcami wojennymi. Większość z nich później, po krótkim pobycie w obozie w Dabiu została zwolniona, a więc po dwóch tygodniach może i ja byłbym zwolniony, tak jak Dr Przybyłkiewicz /ten nawet wcześniej jako specjalista od zarazka duru plamistego/, Dr Reiner /gastrolog, po kilku latach zamordowany przez hitlerowców jako Żyd/ oraz Dr Szczeklik, internista; a może znalazłbym się wśród tych, których nie zwolniono? Żadna konfrontacja z władzami niemieckimi nie była pożądana. Dość powiedzieć, że znajdowałem się na bardzo poczesnym miejscu /według powojennych informacji/ w przygotowanej przez Niemców przed wojną liście osób w Polsce, które należy bezzwłocznie uwięzić. Od razu na drugi dzień po powrocie zgłosiłem się do szpitala św. Łazarza, gdzie powierzono mi opiekę nad internistycznym oddziałem męskim oraz osobno utworzonym oddziałem dla czerwonki. Ta choroba szerzyła się już teraz epidemicznie wśród naszych żołnierzy /jeńców/, ale przerzuciła się i na armię niemiecką, gdzie /jak potem czytałem w książce lekarza niemieckiego/ było około cztery tysiące przypadków czerwonki. Nasi żołnierze, wyniszczeni marszami

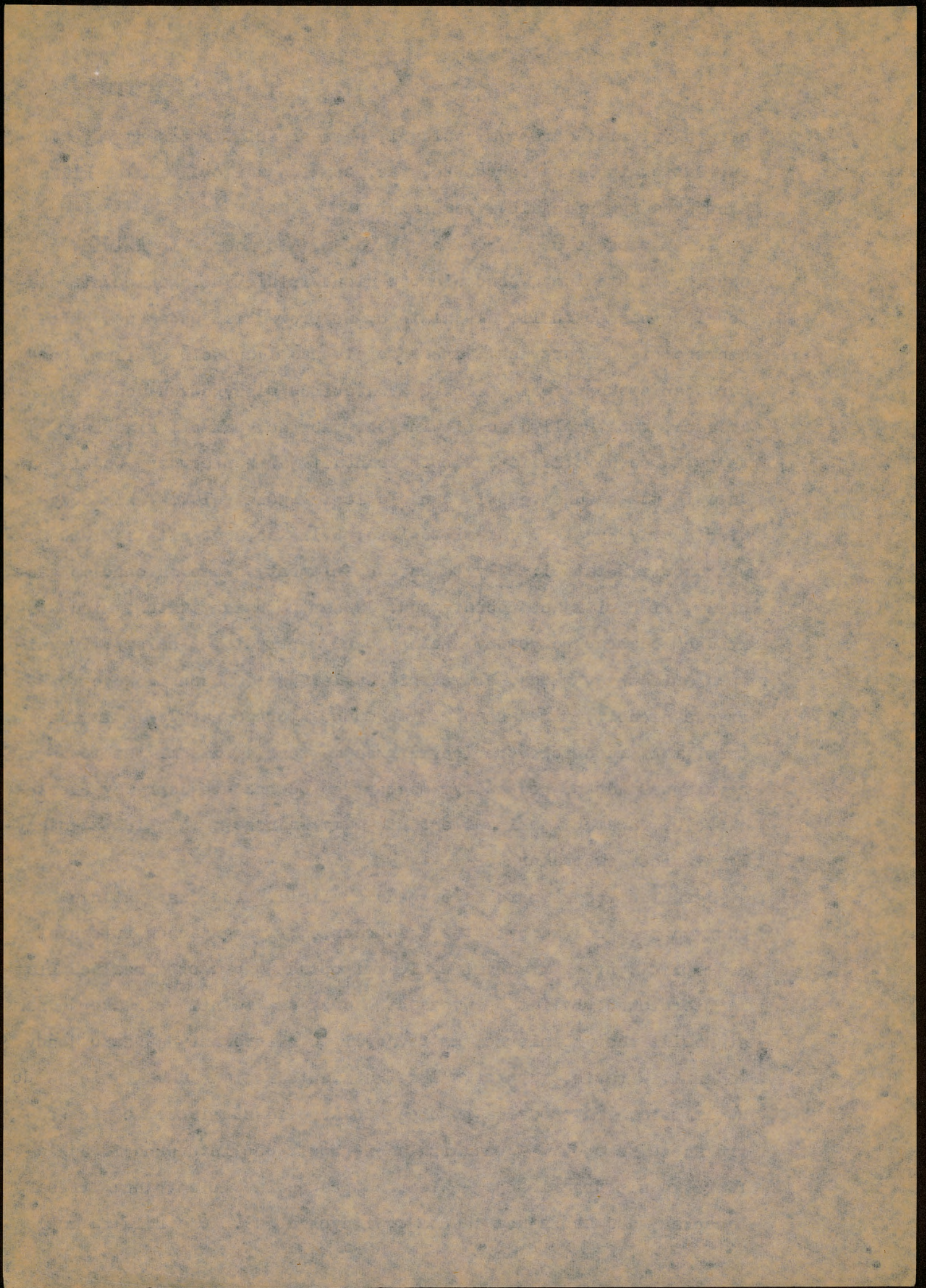
Wstąpiłem



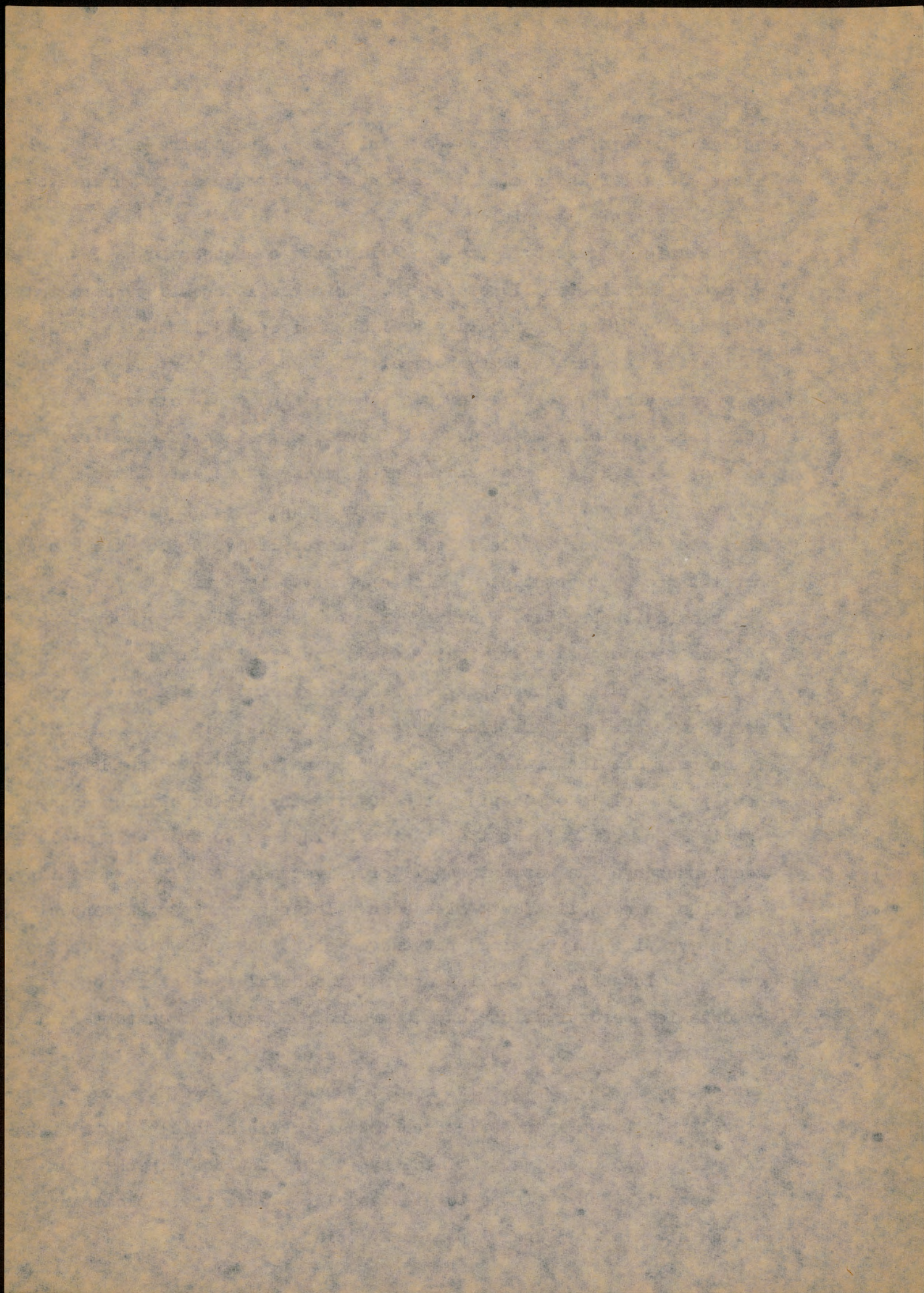
bez pożywienia, daremnymi walkami, bezsennością, depresją psychiczną, łatwo ginęli na czerwonkę, tak, że mimo usiłowań miałem kilka zgonów na tym specjalnym oddziale.

Teraz zaczęło się życie pod okupacją. Nie można się dziwić, że ogół był nastawiony wobec Niemców nienawistnie, nie koniecznie dlatego, że nas pokonali, ale dlatego, że prowadzili wojnę w sposób szczególnie barbarzyński, znęcając się nad ludnością cywilną, bombardując spokojne wsie, siekąc z karabinów maszynowych uchodźców na drogach, rozstrzeliwując niewinnych, rabując, paląc i niszcząc wszystko co napotkali. Słusznie Francuzi już w pierwszej wojnie nadali im nazwę Hunów. Mówię o nastawieniu ogółu Polaków. Ale oczywiście były wyjątki. Jak mi mówiono, byli tacy, co witali Niemców w Krakowie kwiatami. Były tu napewno elementy, same skłonne do grabieży, więc witające pobratymców. Ja sam poznałem takich, kiedy poszedłem odebrać pożyczony sweter /o czym przedtem pisałem/. Przywitała mnie tęga, młoda, ordynarnie wyglądająca małżonka owego towarzysza niedoli, marznącego w zimną noc, którego okryłem moim swetrem, tak pracowicie zrobionym przez mą żonę. Podał mi ten towarzysz swój adres, pod którym mógłbym go odebrać to doprawdy ciepłe okrycie. "Sweter? jaki sweter! nie mamy żadnego"; tak więc zakończyły się losy swetra nr 1.

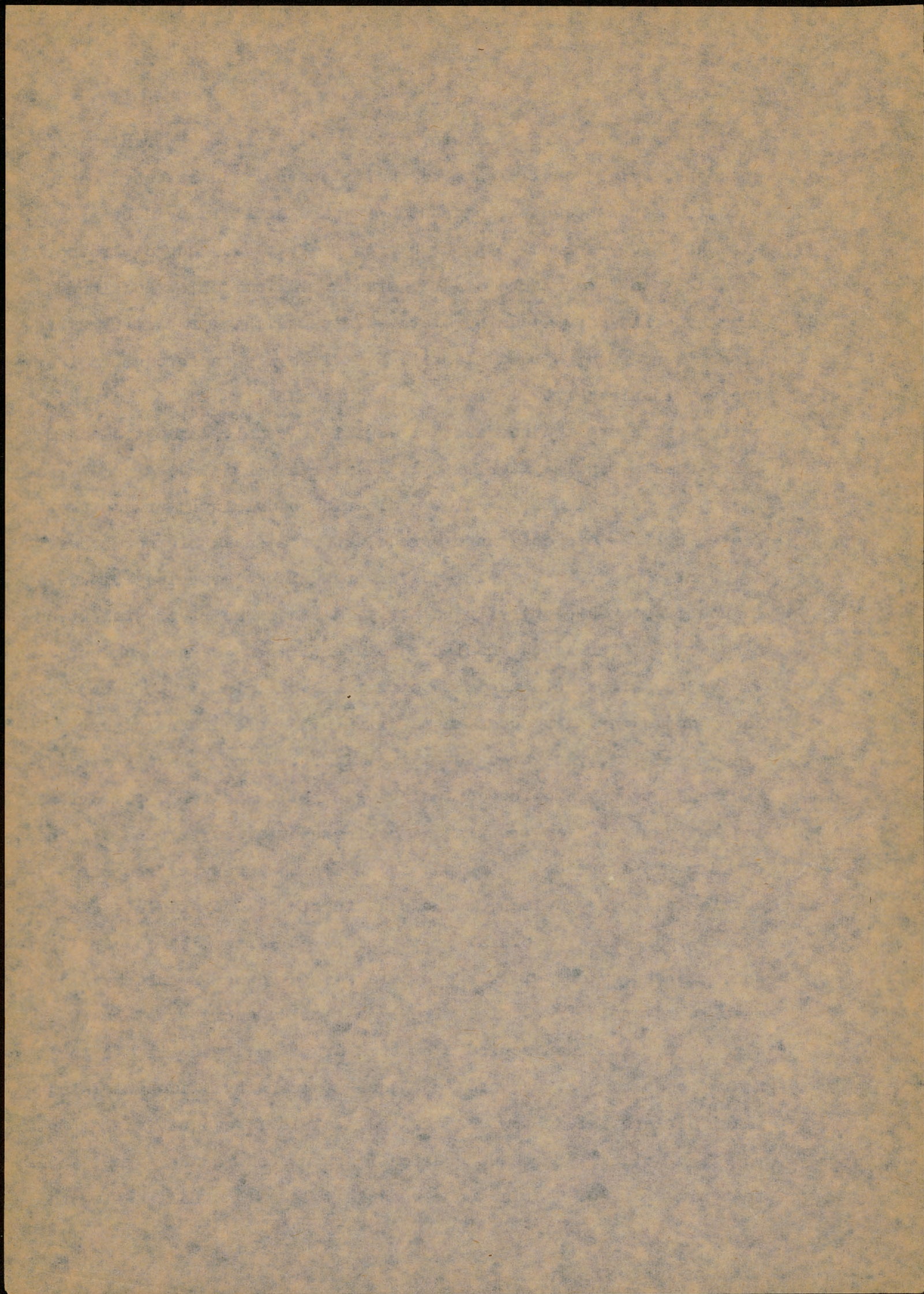
Jeździłem codziennie na ósmą do szpitala. Prócz wspomnianych chorych z czerwonką było też dużo rannych, wymagających internistycznej opieki, np. z krwawymi wysiękami opłucnej po przestrzałach klatki piersiowej. Byli też zwyczajni chorzy szpitalni. Przewagę jednak stanowili nasi żołnierze, którzy byli tu skierowani już jako jeńcy wojenni. W razie, gdy ze względu na stan zdrowia nadawali się już do zwolnienia, przychodziła po nich żandarmeria niemiecka, by ich odprowadzić do obozu. Tu nadarzała się możliwość interwencji. Już utworzyła się organizacja - wiem, że pracowała w niej panna Teresa Lasocka - dostarczająca jeńcom cywilnych ubrań. Moja rola na razie



polegała na tym, że uprzedzałem żołnierza, iż nazajutrz ma być zwolniony. Jeżeli tylko chciał, mógł w nocy zaopatrzyć się w ubranie cywilne /pośredniczyły pielęgniarki/ i ujść. Nadto wielu dawałem zaświadczenie, iż przebyli czerwonkę lub inną chorobę zakaźną i że mogą być niebezpieczni dla otoczenia. Takie zaświadczenia najbardziej odstraszały Niemców i nadawały posiadaczowi rodzaj immunitetu. Po jakimś czasie jednak Niemcy połapali się, że jakoś zbyt mało spomiedzy wysłanych do szpitala jeńców wraca do nich z powrotem. Wezwali dyrektora szpitala, a on następnie wezwał mnie i przekazał otrzymany rozkaz, że na dzień przed zwolnieniem należy sporządzić listę zwalnianych i przekazać ich wraz z listą na drugi dzień konwojowi żandarmerii. Nic się przez to nie zmieniło, tłumaczyliśmy, że uciekli w nocy, szpital nie jest przecież więzieniem, łatwo się z niego wydostać przez ogród. Wobec tego w następnym zarządzeniu Niemcy obarczyli odpowiedzialnością za dostawianie jeńców konwojowi lekarza, prowadzącego salę. A więc mnie na przykład. Ucieczki mimo to nie ustawały, wezwany przez dyrektora tłumaczyłem, że przecież nie mogą stać dzień i noc przy drzwiach sali chorych, a personel, bardzo zdekompletowany jest przy wielkim obłożeniu tak zaabsorbowany pielęgnowaniem chorych, iż nie może pełnić funkcji strażników. Ciągle więc brakowało wielu z umieszczanych na wspomnianej liście. Tymczasem zaszły pewne zmiany. Zwolniony z niewoli zjawił się jeden z lekarzy znany ze skłonności do intryg /i z innych niesympatycznych cech, jak chciwość, skąpstwo oraz służalczość/. Aczkolwiek ordynator oddziału wewnętrznego był człowiekiem bardzo wartościowym, zarówno pod względem charakteru jak i poziomu naukowego, to jednak po pewnym czasie uległ ciągłym nagabywaniom, połączonym z zawołowanymi insynuacjami wobec mej osoby i postawił tego bezwzględego karierowicza na czele oddziału, dotąd przeze mnie prowadzonego, a ja miałem być "drugi". W normalnych warunkach oczywiście bym się na to nie zgodził, w aktualnych okolicznościach nie miałem jednak lepszego wyjścia.

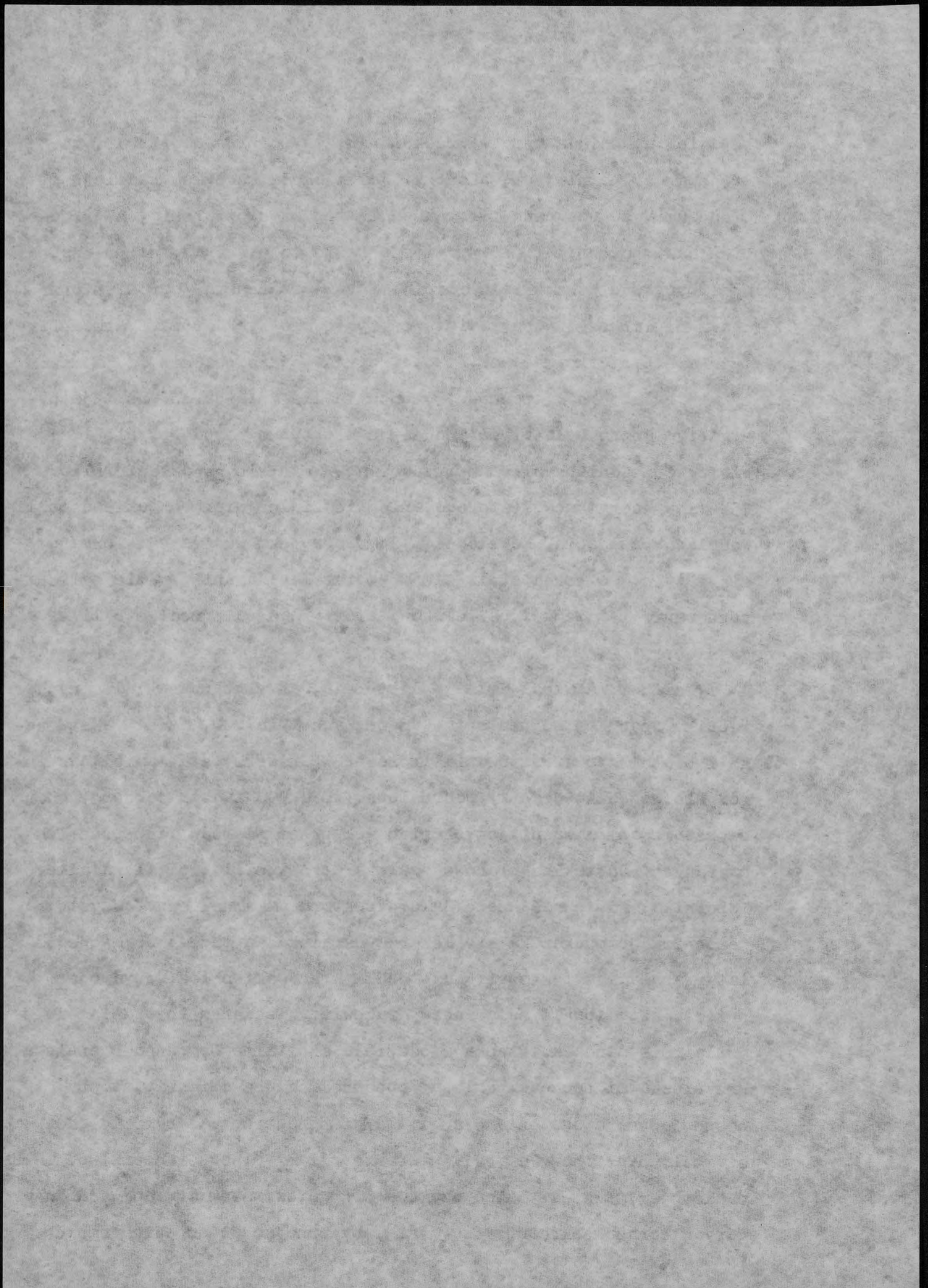


Życie w okupowanym Krakowie, mimo że dla mnie zewnętrznie dość spokojne, było jednak ciężką udręką. Niepewność jutra wobec coraz bardziej panoszącego się okupanta /praca w szpitalu była bezpłatna, skromne zasoby sprzed wojny szybko topniały/, głoszącego wkrótce, że Kraków to "urdeutsche Stadt", miasto praniemieckie, codzienne przechodzenie koło siedziby Gestapo /mieszkaliśmy przy ulicy Wybickiego, a na rogu, w Domu Śląskim, osiedliła się ta zbrodnicza instytucja/ mijanie zbirów w granatowych mundurach, w długich butach, o obliczach, które trudno nazwać ludzkimi twarzami, jazda tramwajem, gdzie często współpasażerami byli żołnierze niemieccy, głośno wyrażający niezadowolenie, że nie ma dla nich oddzielnych przedziałów /potem były/ - oto codzienna porcja, która stawała się coraz bardziej nieznośna. Wobec późniejszych prawdziwych cierpień Polaków i ludności żydowskiej były to bagatele, ale ujmując rzecz dialektycznie, w tych pierwszych miesiącach okupacji można było rozumieć, że wznagający się z dnia na dzień ciężar niewoli stawał się coraz bardziej dojmujący. A z początku na ulicach jeszcze liczne plakaty z Rydzem-Śmigłym, głoszące, że "ani guzika..." - na jednym z nich jakiś sarkastyczny Niemiec dopisał "Irren ist menschl^sich", pomyłki są ludzką rzeczą; coraz groźniejsze obwieszczenia dwujęzyczne okupanta, plakaty propagandowe Goebbelsa: jeden z nich pokazywał zbombardowane miasto i był podpisany po polsku "Anglio, Twoje dzieło". Jak bardzo nie udał się ten plakat propagandzie hitlerowskiej dowodził epizod, którego byłem świadkiem: widziałem, jak dwóch żołnierzy niemieckich stanęło przed nim, więc i ja z ciekawości przystanąłem i słyszałem, jak jeden z nich tłumaczył drugiemu: "widzisz, to Angliycy n a s bombardują". Najbardziej jednak bolesny był widok wielkiej flagi hitlerowskiej, powiewającej nad Wawelem. Tego nie mogłem znieść po kilku dniach, przechodząc ulicami Krakowa odwracałem głowę, by tego nie widzieć. Chociaż może właśnie ta swastyka nad Wawelem naj-



bardziej umacniała mnie w przekonaniu, że to nie może trwać, że prędzej czy później się skończy. Jak i ogół, łączyłem nadzieje z wieściami, że we Francji formuje się też wojsko polskie, że przecież nasi potężni alianci z wiosną ruszą do ofensywy, która chyba musi być zwycięska: wielomilionowa armia francuska, opromieniona sławą z pierwszej wojny światowej, potężnie wyekwipowana armia brytyjska, lotnictwo, no wszystko. Owo zaś wojsko polskie, jaka nikła by nie była jego liczebność, stanowiła dla mnie jakiś punkt jasny, z którym można było wiązać nadzieje nie tylko narodowe, ale i osobiste. Może dałoby się tam przedostać? Na razie, w październiku 1939 i w początkach listopada, nie wiedziałem wiele o jakichś możliwościach przejścia, mówiło się, że owo wojsko we Francji formuje się z tych, co przedostali się z Węgier lub Rumunii /gdzie byli nieternowani/ i może z tych Polaków, którzy już od przedtem byli za granicą.

Tymczasem nadszedł dzień 6 listopada, aż zbyt znany z licznych, publikowanych po wojnie opisów naocznych świadków, dzień podstępnego i brutalnego aresztowania profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie wszędzie jednak podkreślono, że akcja ta była skoordynowana z przejmowaniem ważniejszych placówek przez Niemców lub przez ich zaufanych. Do takich placówek należał też wielki szpital na ulicy Kopernika, gdzie nasadzono jako dyrektora ukraińskiego faszystę, a pomocnicą jego okazała się lekarka-Ukrainka Marta B.; obydwójce od lat pracowali w tym szpitalu i jedli krakowski chleb, obydwójce przedtem studiowali medycynę w Krakowie. Wieczorem tego dnia odwiedziła mnie młoda koleżanka z oddziału szpitalnego, panna Dwernicka, przyniosła mi bochenek chleba /bochenek chleba dziennie, to było nasze jedyne uposażenie w szpitalu/ i przestrzegła, bym się już w szpitalu nie pokazywał, gdyż teraz grozi mi niebezpieczeństwo. Uskuchałem jej, jeszcze dzień czy dwa przygotowywałem się do wyjazdu w góry z coraz konkretniejszą myślą, by przejść przez obie granice



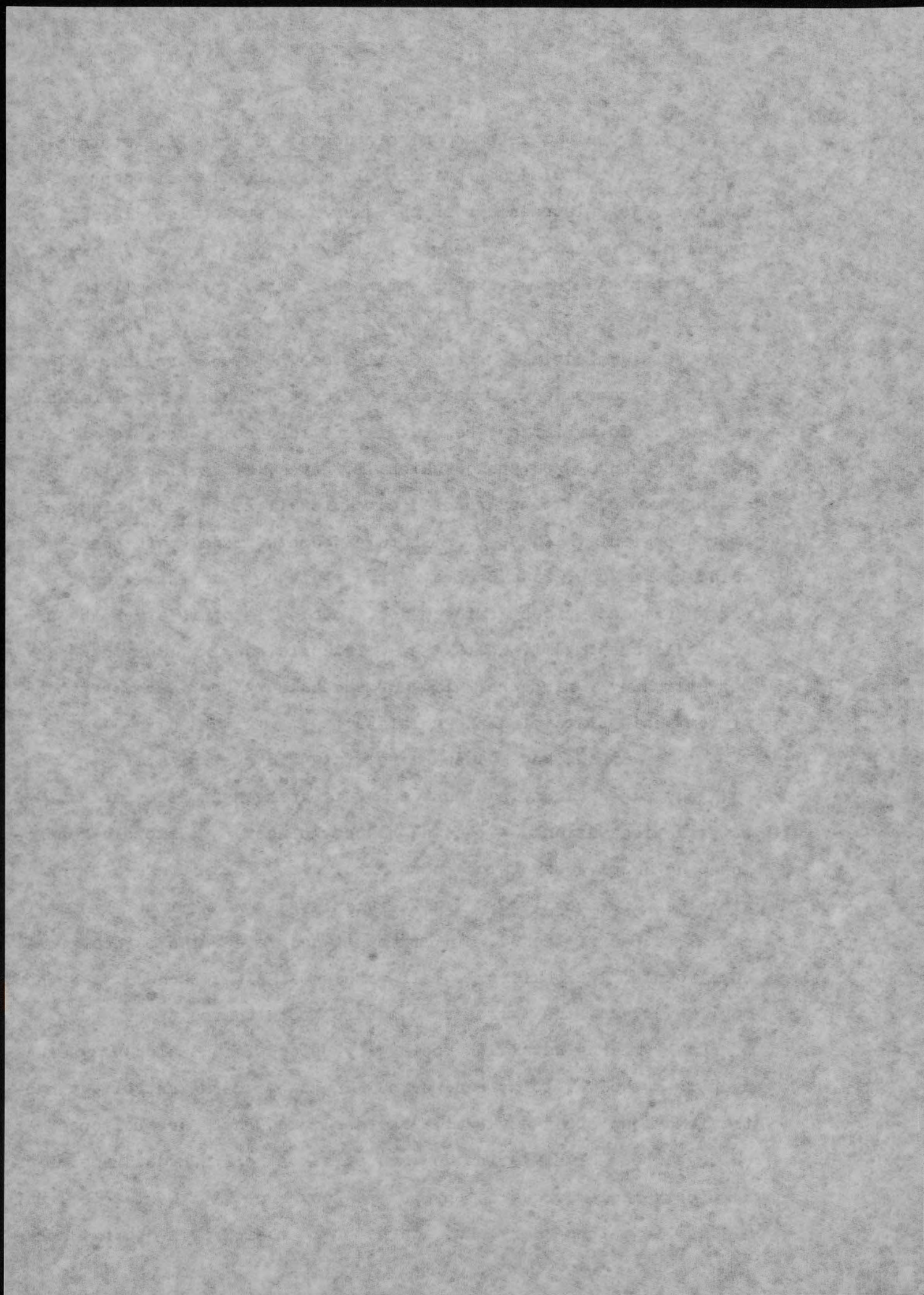
H1 tąd

na Węgry, a stamtąd może uda mi się dostać do Francji. Istotnie, dalszy pobyt pod władzą niemiecką nie mógł się dla mnie dobrze skończyć. Po zniszczeniu różnych dokumentów spakowałem plecak i pojechałem pociągiem do Zakopanego. Wtedy nie było jeszcze "nowych granic" bezprawnie wytyczonych przez okupanta, to był 8 listopada 1939 roku.

W pociągu siedziała grupa górali w odświętnych strojach. Była to garstka zaprzańców, wracająca po złożeniu "hołdu" panu Frankowi na Wawelu. To byli tacy, co ułatwili hitlerowcom tworzenie mitu "Goralenvolku", spod znaku Cukiera i innych, którzy tak łatwo dali się przekupić, a którzy później odpokutowali za to szubienicą, na której powiesili ich rzetelni górale jeszcze przed ostateczną ucieczką Niemców. Podróż więc w tego rodzaju towarzystwie była przygnębiająca, zresztą miałem dość powodów istotniejszych, by nie być najlepszej myśli. Zostawiłem w Krakowie rodzinę, losy nas wszystkich były niepewne. Kiedy przejechalismy Nowy Targ, przypomniałem sobie starą piosenkę góralską:

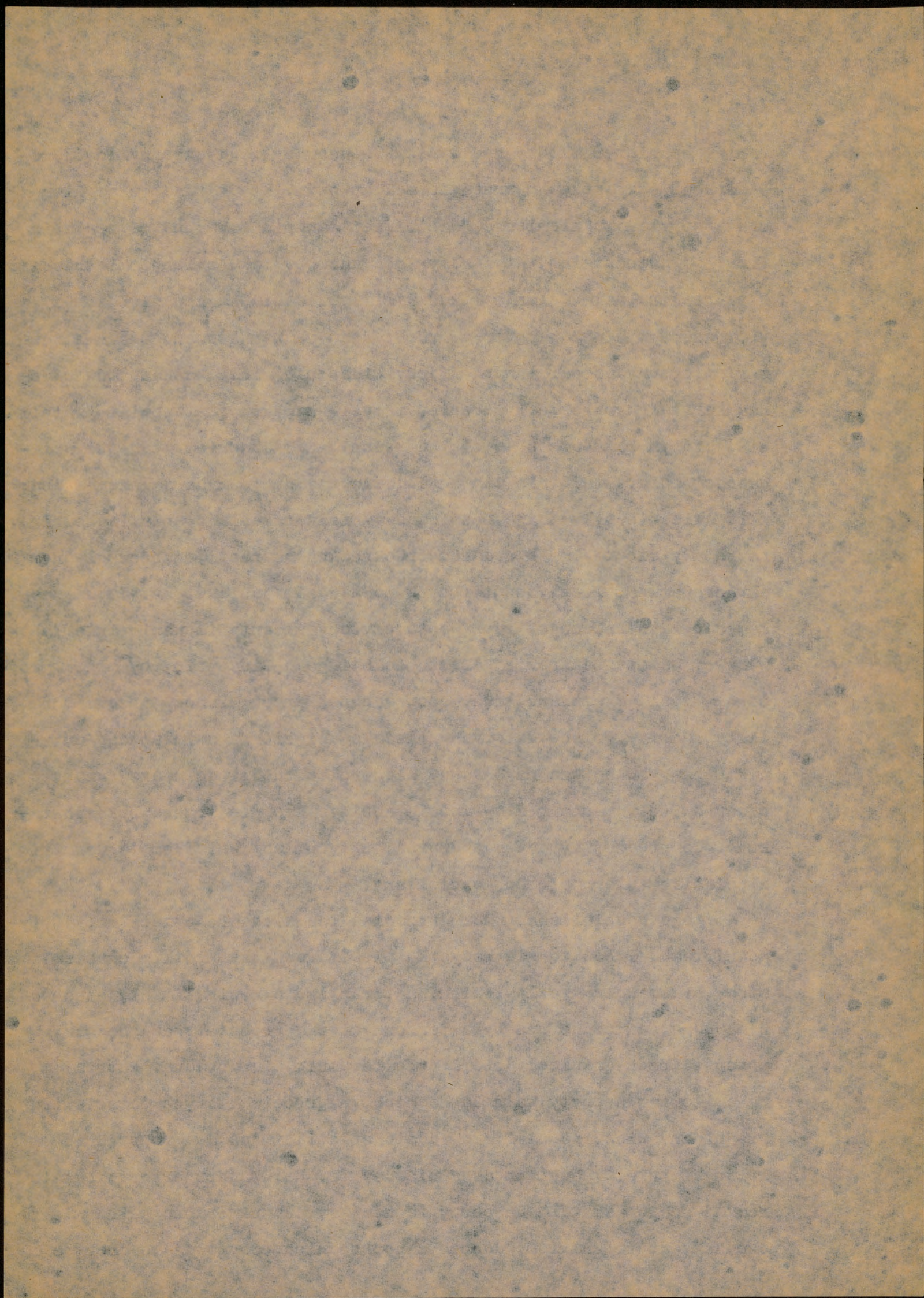
Hej, Nowy Tarzek mine, na pewno nie zginie...

Kiedy zajechalismy na dworzec w Zakopanem, nastąpiła bardzo przykra niespodzianka - pociąg obskoczyło Gestapo i zaczęło kontrolować dokumenty wszystkich podróżnych. W owym czasie wracało też wiele osób ze Lwowa, gdyż władze zgodziły się na wymianę, kto chciał wracać na Zachód, miał tę możliwość /ale tylko bardzo krótko/, również i ci, którzy woleli przedostać się z Zachodu na Wschód, mogli wyjechać, też tylko przez bardzo krótki okres czasu, gdyż prędko "wymiana" ustała. W pociągu było też wielu takich przyjezdnych ze Wschodu i to zapewne było jedną z przyczyn kontroli. Ponadto Niemcy już wtedy szykowali Zakopane, jako "nur fuer Deutsche", co chyba też skłaniało ich do wzmożenia kontroli przyjezdnych. Dla mnie oczywiście każdy, choćby przypadkowy kontakt z Gestapo był jak najbardziej niepożądany. No, ale cóż było robić? Moim jedynym doku-



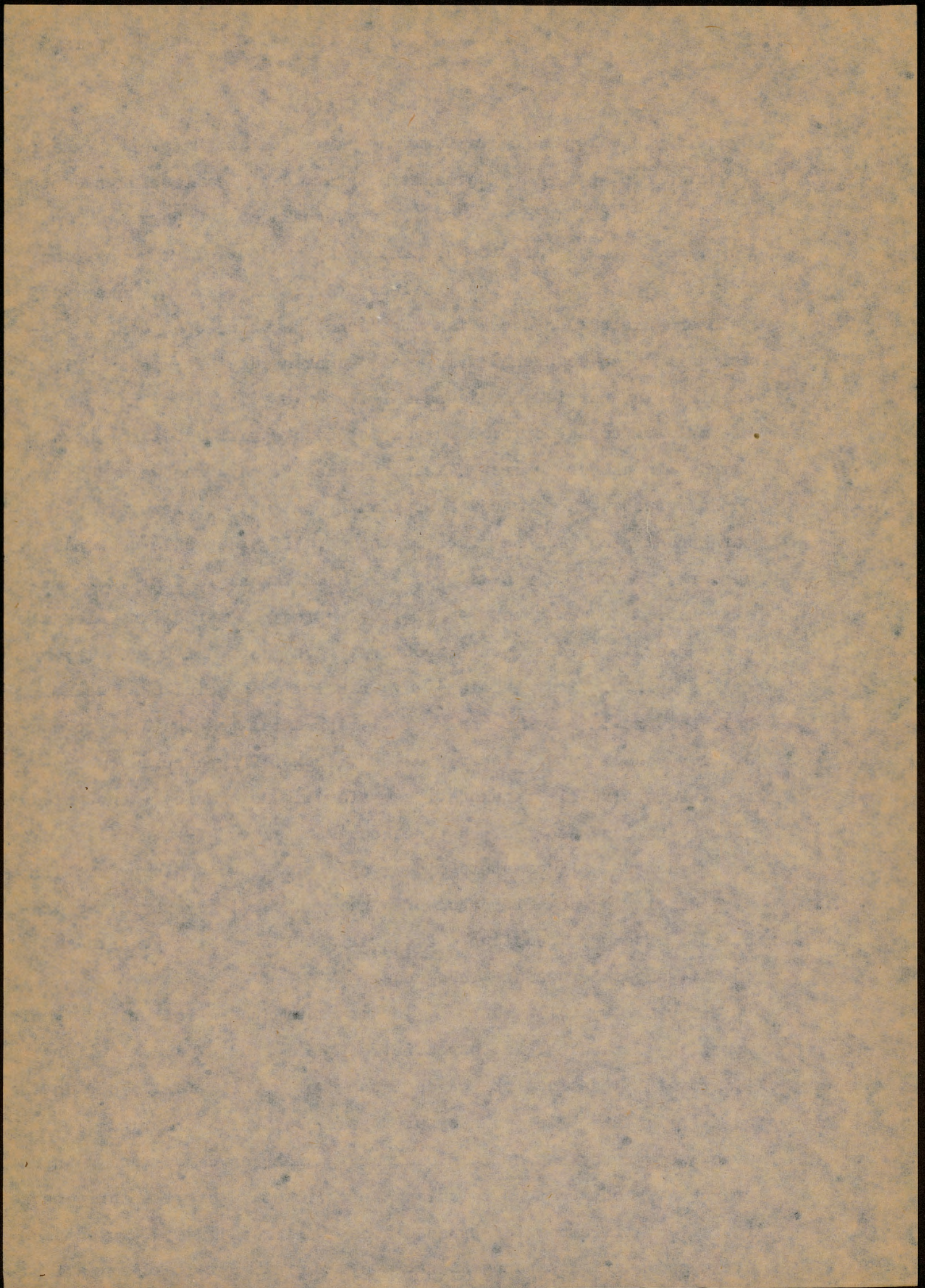
mentem osobistym, który zachowałem ze sobą był dwujęzyczny dowód rejestracji w krakowskim urzędzie meldunkowym. Kiedy podałem go Niemcowi, zapytał po niemiecku "Nie więcej pan nie ma?", na co z głupia frant odpowiedziałem w tym samym języku: "O, tak, chleb i kiełbasę!". Popatrzał na mnie dziwnie i kazał mi wysiadać. Okazało się, że z przyjezdnych uformowano trzy grupy: jednych wypuszczono bez zastrzeżeń z terenu dworca, innych którzy widać nie mieli "dokumentów w porządku" zatrzymano definitywnie, trzecią zaś grupę stanowili "wątpliwi", którym kazano zebrać się na peronie pod daszkiem, tam też zaliczono i mnie. Stało nas tam ze dwudziestu, niepewnych dalszego losu; wprawdzie nie były to jeszcze czasy, kiedy prześladowania ludności rozpętały się tak, jak w dalszych okresach okupacji, z bezwzględnym okrucieństwem, lecz początki zapowiadały się już i wtedy. Ja uważałem się za straconego, gdyż wystarczyłoby zidentyfikowanie mnie jako wydawcy Gazety Lekarskiej Śląska Polskiego w Cieszynie, by mnie wykończyć w myśl wspomnianej już, sporządzonej przez Niemców przed wojną listy ludzi w Polsce, których należało uwięzić za działalność antyniemiecką, zwłaszcza na Śląsku. Ale oto podchodzi do naszej grupy gestapowiec i macha ręką - idźcie sobie! Tego nie trzeba było powtarzać. Co prędzej wypadłem z dworca, natychmiast wsiadłem do dorożki i poleciłem wieźć się do Kościeliska.

Do tego Kościeliska, które przecież tak niedawno opuściłem, 10 tygodni temu. I cóż to się wszystko nie stało w tak krótkim czasie! Wtedy byłem wolnym człowiekiem, a teraz ledwo wywinałem się ze szponów wroga, a przede mną była jeszcze ciężka próba! Trzeba będzie przejść przez granicę! Jeżeli przedtem mnie nie dopadną. Patrzałem na unikowane szczyty Tatr Zachodnich, naprzeciw których rozścieliła się piękna wieś, Kościelisko, gdzie spędziłem już dwa poprzednie urlopy letnie. Zaszedłem do "Gniazda" im. ks. Mauersbergera; był to rodzaj schroniska dla harcerzy, a zawiadywała nim panna Alina Kleczewska, którą znaleźmy dobrze z poprzednich pobytów jako osobę o

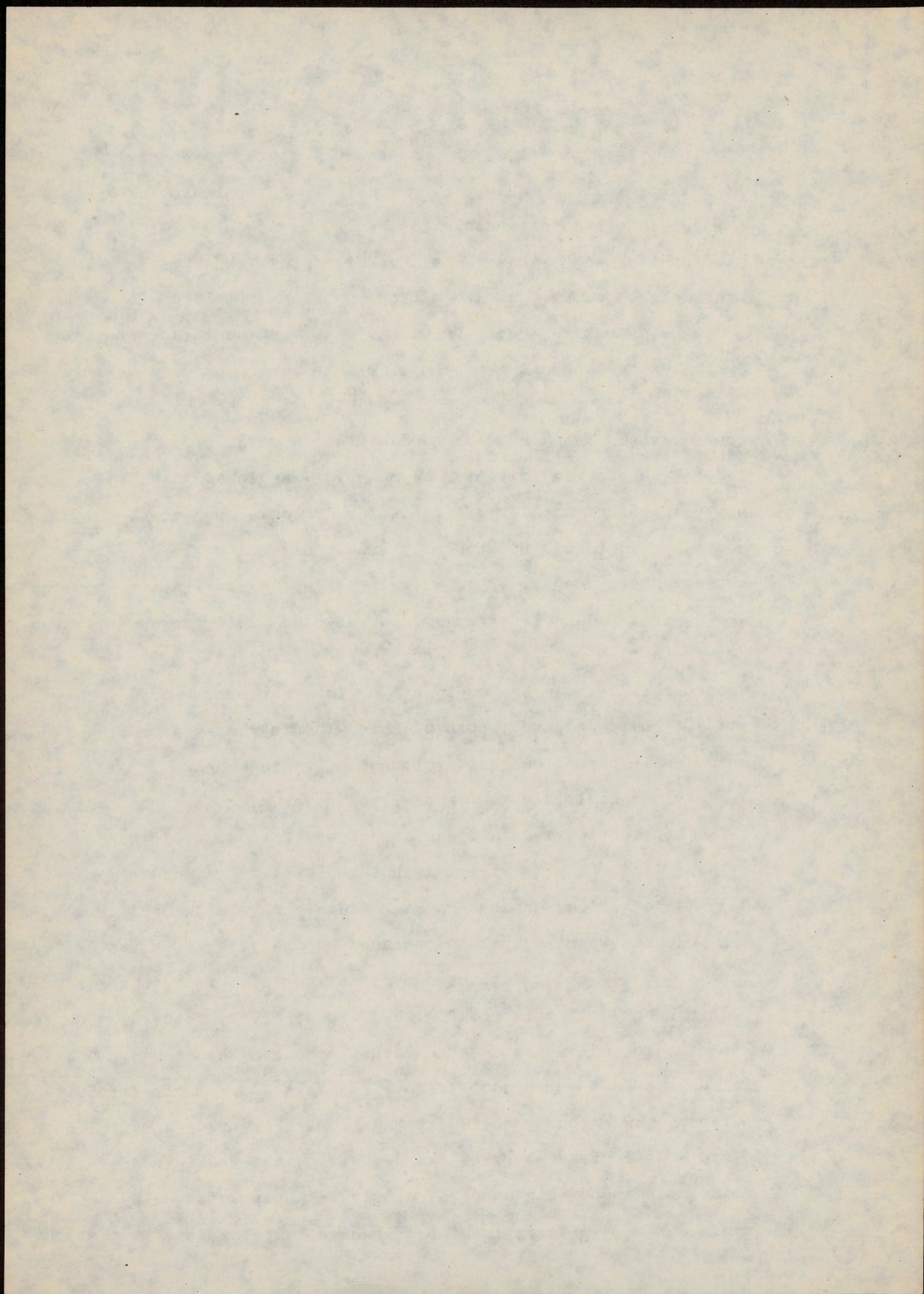


wyjatkowych walorach charakteru, a przytem bardzo miłą. Bez wahania zgodziła się, bym - w opustoszałym teraz domu - zamieszkał na dobre. Po kilku dniach, ku mej radości, przyjechała moja żona z synem naszym. Zaczęliśmy deliberować, jak mam się wydostać. Pierwszy plan był taki, by przejść przez Przełęcz Pysznińską, która, jako wyżej położona nie była jeszcze tak strzeżona, jak bardzo dogodne przejście Przełęczą Tomanową. Tymczasem jednak spadły większe śniegi, a ja nie byłem narciarzem. Zacząłem więc ćwiczyć jazdę na nartach, ale nie szło mi to składnie. Od czasu do czasu szedłem do Zakopanego /wtedy nie ukończoną drogą, zwaną "junacką", gdyż budowała ją przed wojną półwojskowa formacja "junaków"/ po zakupy, jeszcze wtedy Zakopane nadal nie było "nur fuer Deutsche", ale widok chłopca w naszym mundurku szkolnym z wielką opaską ze swastyką na ramieniu też wystarczył. Z trudem hamowałem się, by mu jej nie zerwać, no ale na szczęście dla mnie tego nie zrobiłem, gdyż gest taki wyłączyłby mnie z tego świata. Kiedy indziej, gdy wracałem do Kościeliska sankami, galopował za mną Niemiec na koniu i zaprzestał pościgu dopiero wtedy, gdy we wsi sanki zboczyły w wąską drogę. Przypuszczam, że początkowo chciał się przekonać, czy nie jadę do granicy - choć wtedy jeszcze bardzo mało naszych przechodziło w Tatrach - ale potem wolał nie zapuszczać się samotnie między opłotki. W ogóle Niemcy kręcili się też ciągle rankami po podwórzu naszego domu, gdyż była tam mleczarnia, z której codziennie zabierali nabiał. To też groziło każdej chwili jakąś niepożądaną indagacją.

Oczywiste było, że muszę wyjść jak najprędzej z Polski, narty nie wchodziły w rachubę. Za pośrednictwem "Jasioska" Słodyczki, który "fiakrował" i często w ubiegłych latach woził nas, trafiło się do kogoś w Dzianiszu, kto podjąłby się przeprowadzenia przez granicę. Tymczasem przybyła jeszcze młoda para /narzeczonych/, która również pragnęła wydostać się z Polski na Węgry. Okazało się, że to i dobrze i źle. Ustaliliśmy dzień przejścia na 30 listopada 1939. Pożegnałem się z moją żoną i z panną Aliną, a synek spał. Była także z nami na-



sza gospościa Magdusia, przy pożegnaniu z którą przypomniałem jej, że w razie jakichś indagacji, przedstawi moje zniknięcie jako następstwo wielkiej kłótni małżeńskiej. Wziąłem znów plecak i pod przewodem "Jasioskowej" wyruszyliśmy ku Dzianiszowi. Noc była księżycowa, mróz dobry, szliśmy nie drogą lecz po śniegu i taflach lodowych, po jakimś czasie zamajaczyła przed nami postać właściwego przewodnika. Jasioskowa "oddała" nas i pożegnaliśmy się z nią bożym słowem. Jak wiedziałem od przedtem, nasz przewodnik był głównie przemytnikiem koni i dzięki temu znał dobrze cały teren przygraniczny oraz wielu ludzi po słowackiej stronie, gdyż z nimi handlował. Siwiuteńki, lekko przygarbiony szedł żwawym, góralskim krokiem pod górę, a my troje za nim "gęsiego". Była północ. Przewodnik obliczał, że za trzy, cztery godziny dojdziemy do wsi słowackiej, a stamtąd przewiozą nas w głąb kraju, dalej do granicy, co wszystko miało odbywać się jeszcze pod osłoną nocy, a więc dość bezpiecznie. Niestety, jeden nieostrożny krok Marysia /tak mogło być na imię narzeczonemu/ i lód załamał się pod jego butem, co stało się właśnie na samej granicy i co spowodowało bardzo bolesną dystorsję w stawie skokowym. Marsz się skończył, zaczęło się kuśtykanie, podtrzymywałem nieszczęsnego chłopca, który dobrze wiedział, jak ważne jest korzystać z ciemności w dalszej drodze i mimo wielkiego bólu posuwał się z moją pomocą. Oczywiście szliśmy jeszcze raz tak długo, jak planowano i dniało już, gdy przewodnik zapukał do znanej mu chaty. Wieś nazywa się Witanowa, co dla mnie, lubiącego symbole /acz nie przesądnego/ szczególnie uderzyło: "Vita nova" - nowe życie, czyżby rzeczywiście? Takie symbole mają w sobie jakiś czynnik pobudzający, a na mnie działał on w sposób szczególnie silny, co miało dobre i złe strony. Zwracanie uwagi na symbole jest jednak bliskie przesądności, choć w życiu współczesnego człowieka symbol i wiara w siły nadprzyrodzone nie są tak mocno splątane, jak u człowieka pierwotnego. Wypadek Marysia na samej granicy przez przesądnego byłby uważany za złą wróż-

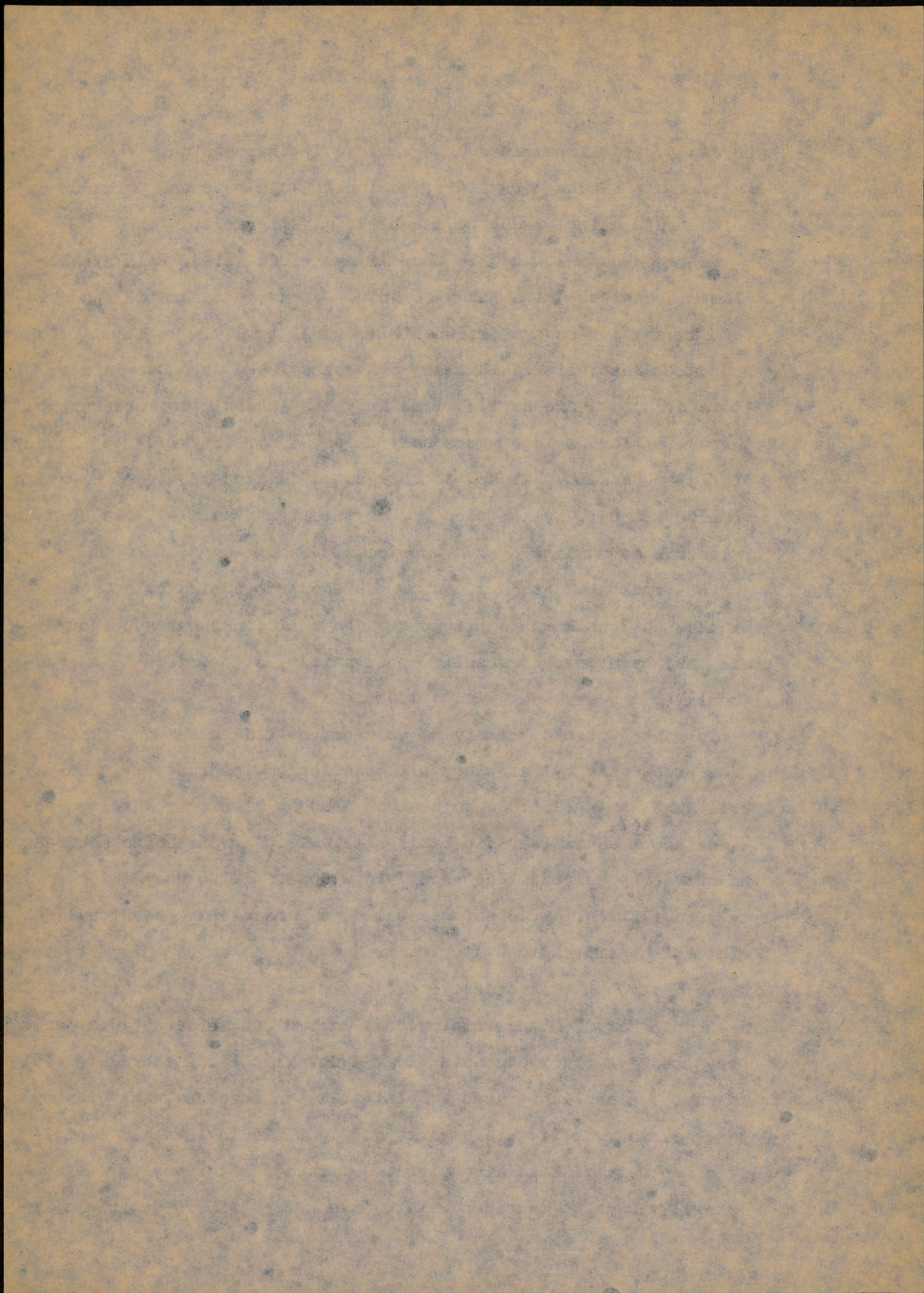


bę dla jego dalszych losów za granicą. Tymczasem wiem, że życie ułożyło mu się bardzo korzystnie, poślubił swą narzeczoną, miał co najmniej troje dzieci i dobrze zarabiał, na emigracji.

Na razie zaś Słowacy nie chcieli nas wieźć dalej. Bali się bowiem niebezpieczeństwa jazdy we dnie. Tymczasem nakarmili nas chlebem i kaszą, a z naszym przewodnikiem targi trwały. Już i tu, podobnie jak w Kościelisku widziałem ową gorącą chęć dopomożenia nam, która utrzymała się na tych i na innych szlakach mimo morderczego terroru hitlerowskiego przez cały okres wojny. Przykłady tej pomocy widziałem na każdym kroku, także w ciągu dalszej mej wędrówki aż po granicę Francji. Tylko jeden raz zbyt tego zaufałem, ale była to wyłącznie moja wina, o czym wkrótce opowiem.

Noc przekonywująca argumentów naszego przewodnika była widać wielka, bo jednak wóz zaprzężono w dwa konie, nam kazano położyć się tak, byśmy nie "sterczeli", pożegnaliśmy się serdecznie z przewodnikiem i ruszyliśmy w nową drogę.

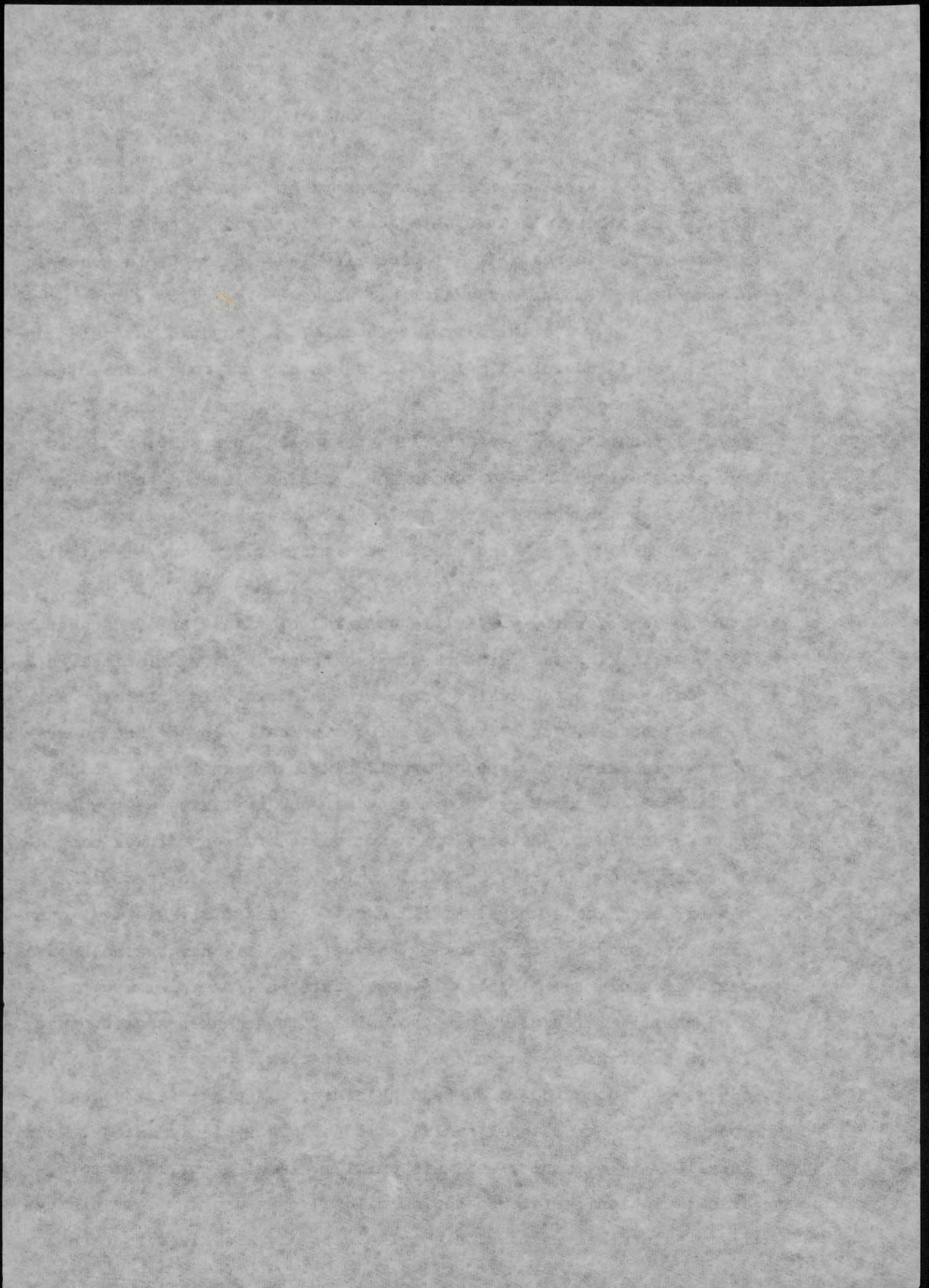
Tu muszę wtrącić, iż nie zauważyłem, by ktoś coś komuś płacił. Nasz przewodnik był umówiony z Kościeliska, wieśniacy z Witanowy byli jego partnerami. Co do naszych zasobów pieniężnych trzeba powiedzieć, ^{że} przedstawiały się bardzo ciekawie. Ja wziąłem ze sobą jak najmniej, by jak najwięcej zostawić w domu. Miałem wszystkiego trzysta złotych. Maryś natomiast i jego narzeczoną opasani byli miękkimi pojemnikami, w których znajdowało się co najmniej sto tysięcy złotych w banknotach. Pochódzenie tego majątku wyjaśnił mi swobodnie Maryś, mianowicie, że był tzw. "Treuhaenderem" dla jakiejś przejętej już przez okupanta firmy żydowskiej i gdy zebrał tę wielką sumę postanowił wyruszyć w świat wraz z narzeczoną. Cały ten majątek okazał się nie wiele wart, gdyż już Słowacy uważali te polskie banknoty za kawałki papieru. Co prawda, mój towarzysz eskapady miał też jakąś twardszą walutę, ale z tego mi się już nie zwierzał.



rzał.

1a Jechaliśmy więc wozem drogą wzdłuż rzeki Orawicy ku Zachodowi. Ranek był pogodny. Światło wstającego dnia łagodne, powietrze przejrzyste, orzeźwiające. Zamiast więc mieć dusze na ramieniu w obawie spotkania z Niemcami poddawałem się urokowi okolicy, nie zaprzętałem sobie głowy myślami o tym, co będzie, co wszystko może się zdarzyć i mojej rodzinie i mnie. Otaczająca nas przyroda jednak tylko chwilowo łagodziła ten trwały niepokój, który musiał mnie gnębić w owych i późniejszych czasach. I na pewno ciągle ryzyko, na jakie byłem wystawiony, kazało koncentrować się na bieżącej chwili - a jednak chyba w duszy tkwiło też jakieś małe ziarenko fatalizmu.

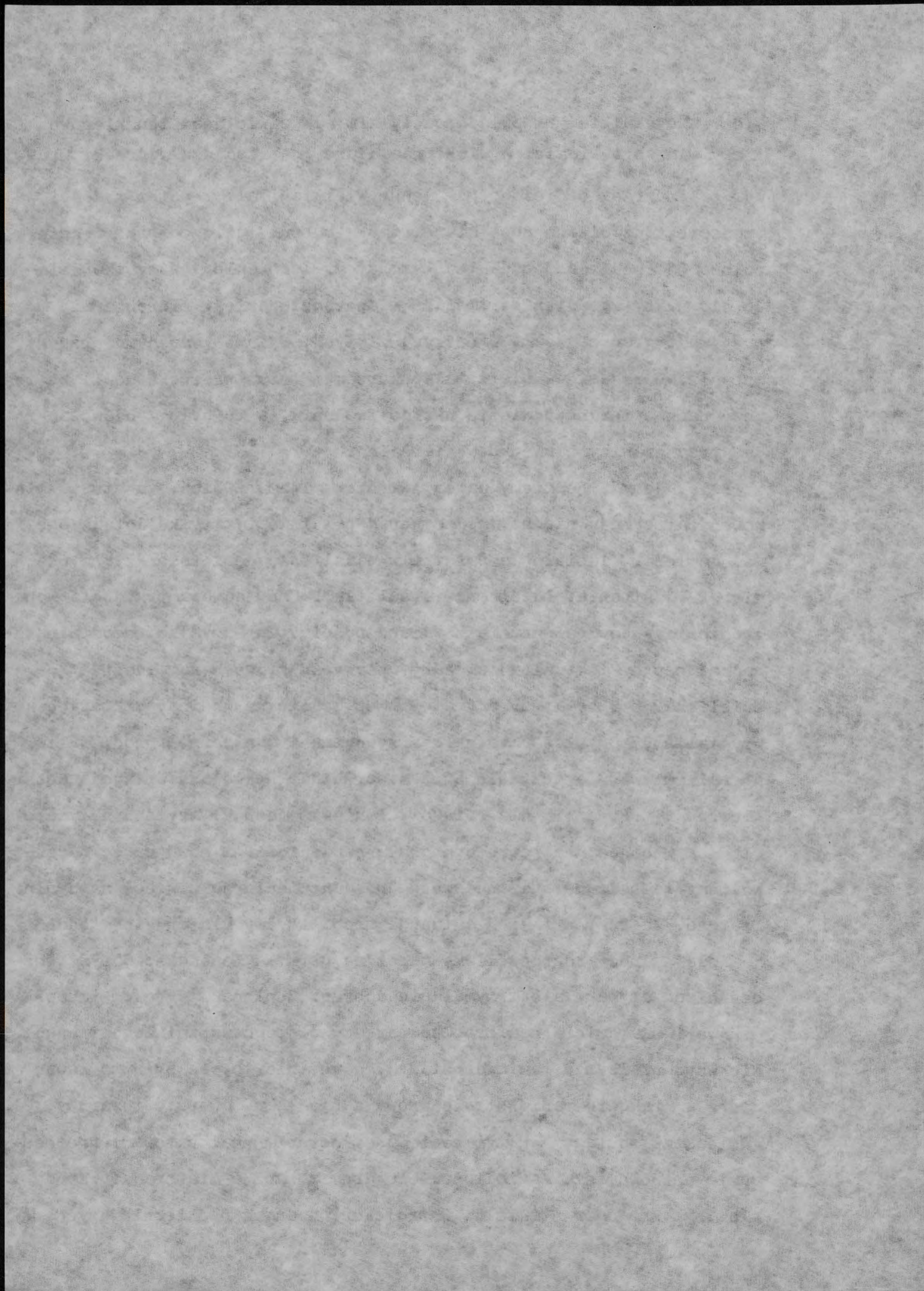
Dojechaliśmy do małego miasteczka Trzciany /Trstena/ i tutaj nasi przewodnicy z Witanowy oddali nas w ręce innego znów człowieka, do którego domu weszliśmy. Wielkie objawiał niezadowolenie, że obarczono go takim kłopotem, kładł na naszego przewodnika z Dzianisza. ciągle powtarzał, że on takich spraw nie załatwia. Nie byliśmy pewni, co dalej będzie. Czyżbyśmy mieli iść przez całą Słowacyznę do granicy węgierskiej, nie znając drogi, ciągle narażani na niepożądane spotkania? A wszak Maryś nie mógłby się podjąć takiej wędrówki, gdyż noga dokuczała mu jeszcze. Tymczasem gospodarz poczęstował nas jajecznicą, którą chętnie spożyliśmy nie tylko dlatego, że byliśmy głodni, ale przede wszystkim dlatego, że cieszyliśmy się tymi oznakami gościnności. Stary Słowak, przypatrując się nam bystro, powtarzał teraz ciągle: "trzeba mieć szczęście" co, jakkolwiek w pierwszej chwili nie wydawało się zrozumiałe, to jednak przecież oznaczało coś pozytywnego. Maryś chciał mu ofiarować zegarek, ale stary odmówił. Wkrótce, bo po jakiejś godzinie, zajęchał przed domek samochód i Słowak pożegnał nas słowami "on was zawiezie dalej". Podziękowaliśmy mu wylewnie, choć nie całkiem wiedzieliśmy, dokąd to będziemy wiezieni. Kierowca bowiem milczał całą drogą a i my nie byliśmy skłonni do rozmowy, nie tylko z powodu wielkiego zmęczenia,



12
50 km
10
ale także skutkiem nieświadomości, kim właściwie jest ten kierowca i czy wie kogo wiezie. A wiózł nas długo, naprzód wzdłuż rzeki Orawy, potem przez ośnieżone przełęcze Wielkiej Fatry, potem w dół i wreszcie, już ciemną nocą stanęliśmy w bocznej uliczce przepięknie położonej, schludnej Bańskiej Bystrzycy. I co dalej? Wszystko działo się jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Kierowca nie przyjmuje grubszej sumy w naszych złotych, ofiarowywanej mu przez Marysia. Porozumiewa się z taksówkarzem i teraz wreszcie mówi, że ten nowy nasz opiekun podwiezie nas do Zwolenia, a to było /podówczas/ już przy granicy słowacko-węgierskiej.

Dziękujemy i jedziemy dalej, wkrótce mijamy Zwolen, za którym kierowca zatrzymuje się na drodze wśród pól i mówi: "tylko dotąd mogę was dowieźć. Widzicie te światła w oddali? To jest Losoncz, po węgierskiej stronie, idźcie na te światła". Znowu odmowa przyjęcia wynagrodzenia, znowu pożegnanie z wdzięcznością. To wszystko pozostało zagadką: czyżby tak daleko sięgały wpływy życzliwych nam ludzi z Kościeliska? Czyżby utrzymały się przez te liczne ogniwa, z których korzystaliśmy? Czy też niezwykle przychylna i skuteczna pomoc, jakiej doznaliśmy na Słowaczyźnie była samorzutna? Dyktowana opozycją wobec Niemców i przyjaźnią dla Polaków? Ponieważ jednak wszystko układało się jak w bajce, na pewno opanowała nas euforia i może nawet odczuwaliśmy te bądź co bądź nadzwyczajne ułatwienia jako rzecz naturalną. Dlatego, że i my w takiej sytuacji zrobilibyśmy dla drugich podobnie.

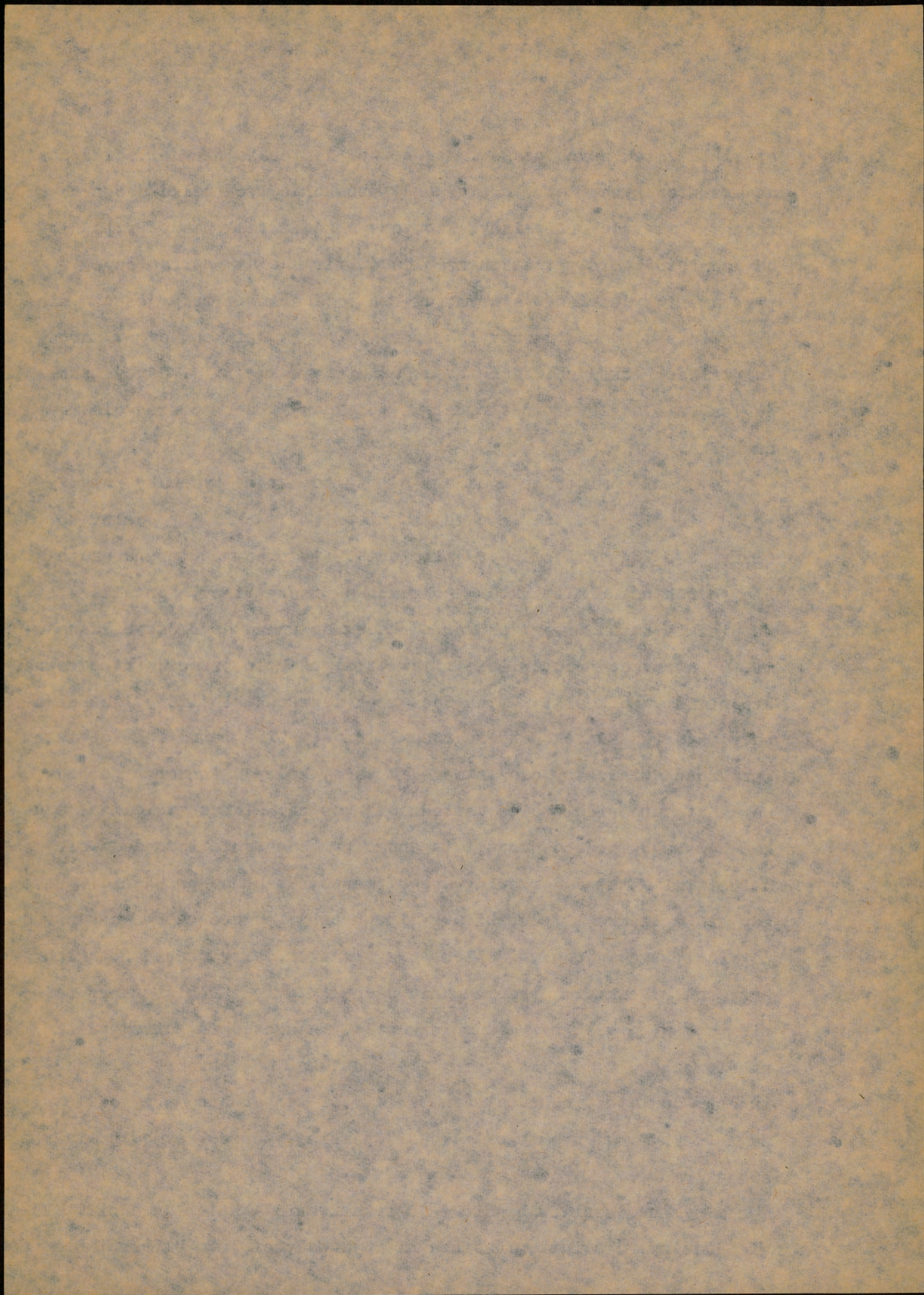
✓
Koło północy rozpoczęliśmy marsz na światła Losoncza. Maryś jeszcze nieco utykał, ale trzymał się dobrze. Z plecaka wyjąłem termos z kawą i znakomicie nam zrobiło parę łyków tego wspaniałego trunku. Nie wspomniałbym o takim drobiazgu, gdyby nie to, że była to kawa, którą w Krakowie pani Estreicherowa zaniosiła na dworzec towarowy, gdzie stał pociąg, a w tym pociągu stłoczeni, zmaltretowani profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego aresztowani 6 listopada. Wśród nich był profesor Stanisław Estreicher, jedna z najpiękniejszych po-



staci ludzkich owych czasów. Żołdactwo niemieckie nie dopuściło żon do aresztowanych, tak, że nie mogły przekazać tych kilku drobnych rzeczy, jak trochę bielizny, koc, czy właśnie taka kawa. Brutalnie odepchnięto kobiety i żaden z żołdaków nie chciał pośredniczyć w przekazaniu paczki tym starym, umęczonym ludziom. Wtedy jeszcze nie było wiadomo, jak straszny los czeka tych prawdziwych wodzów narodu. /Większość rzekomych wodzów była już wtedy w Rumunii/. Gdybym znał ów los, nie mógłbym przełknąć łyka tej kawy, przeznaczonej dla mężczyzny.

Wpatrzni w migocące w oddali światła, które wydawały nam się podwójnie bliskie, tak że chyba za niewiele jak dwie godziny powinniśmy je osiągnąć, szliśmy w milczeniu. Nieznajomość terenu okazała się jednak czynnikiem, który pokrzyżował nasze plany. Dostaliśmy się we wielkie bagna, poprzecinane od czasu do czasu drenującymi kanałami. By utrzymać prostą linię na światła, co było przecież nieodzowne, brodziliśmy po kostki w tych moczarach i przeskakiwaliśmy liczne kanały, których szerokość przekraczała czasem pięć metrów. Podziwiałem sprawność dziewczyny oraz samego Marysia, który w ferworze pochodu mógł już zapomnieć o swej uszkodzonej kostce. Nieraz musieliśmy szukać węższego miejsca, umożliwiającego przeskoczenie i to dodawało dziesiątki minut do przewidywanego pierwotnie czasu przejścia. Czasem gdy dla mnie skok z plecakiem był ryzykowny, przerzucałem go naprzód na drugi brzeg, po czym dopiero sam skakałem. Przy jednej z takich przepraw plecak przy przerzucaniu zsunął mi się z ręki i z przerażeniem ujrzałem go w żywym nurcie kanału. Na szczęście zatrzymał się na sterczącej z wody kępcie i mogłem odzyskać mój skromny, ale jak potrzebny dostatek, choć cały zamoknięty. O tej drobnej przygodzie nie wspominałbym, gdyby nie okazało się później, że znów symbole miały swoją wymowę.

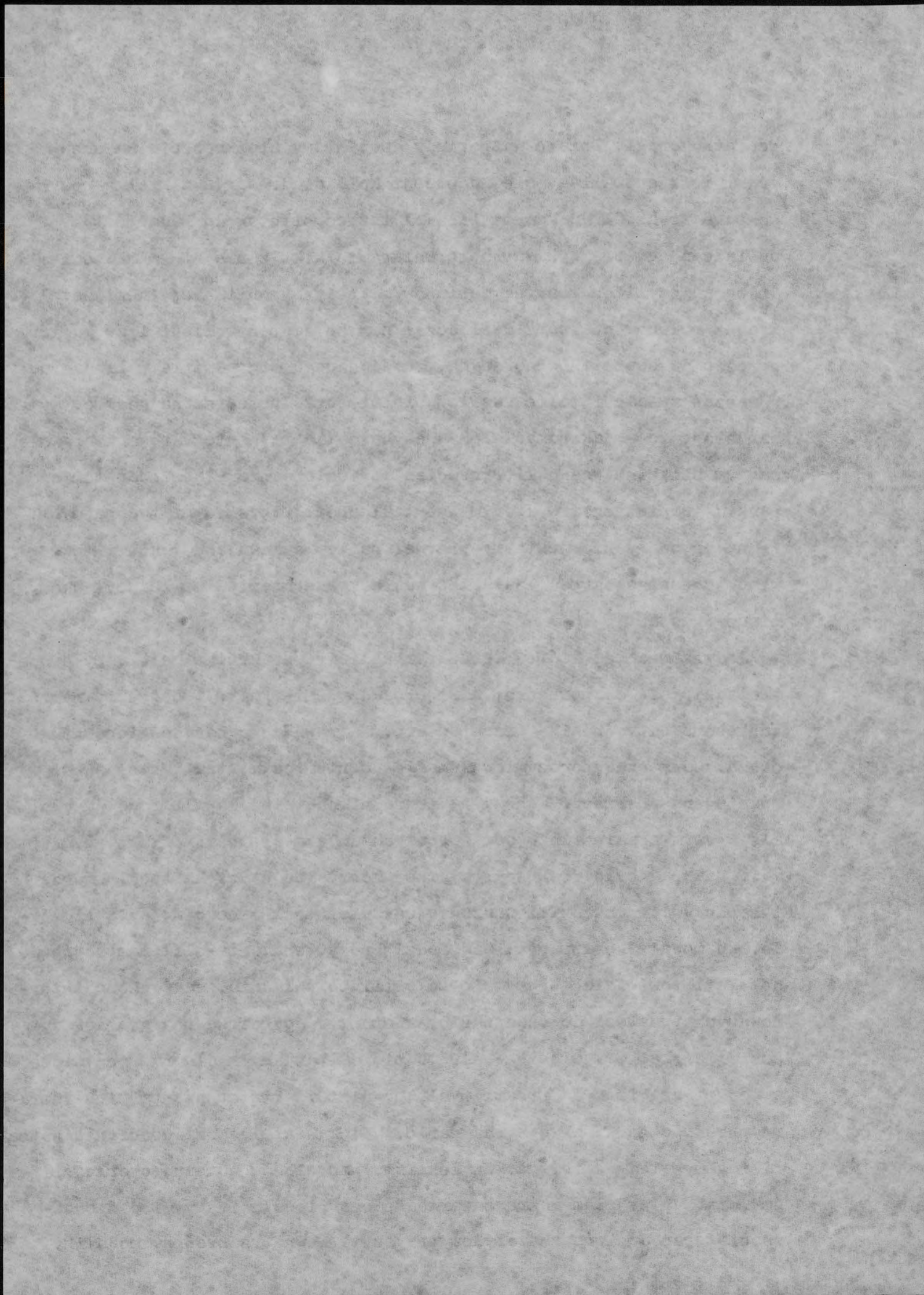
Na tym brodzeniu w bagnie i przeskakiwaniu kanałów schodziły długie godziny, a światła Losonczu nie wydawały się nam bliższe, niż na



12
początku drogi. Dniało już, kiedy dostaliśmy się wreszcie na suchy grunt i skierowaliśmy się ku stacji kolejowej. Maryś z wielką dezynwolturą podszedł do kasy i poprosił o trzech biletów do Budapesztu oświadczając, że może zapłacić dolarami /nikt z nas nie miał bowiem "pengos" czyli ówczesnych forintów/. Wtedy z pobliskiej ławki wstał drobny człeczek, który oświadczył nam że jest z policji i że musimy przejść do obozu internowanych, znajdującego się właśnie w Losonczu. W naszej sytuacji takie rozwiązanie nie było przecież najgorsze. Tym bardziej, że - jak pomyślałem - chyba jakaś tajemnicza ręka kierowała naszym szlakiem wędrówki, przecież dowieziono nas właśnie do takiego punktu granicznego, w którym był taki obóz. Przyszło mi też na myśl, że na pewno my nie jesteśmy pierwsi na tym szlaku, że także i wtedy, mimo wczesnego okresu, już ktoś musiał przechodzić i szlak był już nieco przetarty.

10
Jedyną rzeczą, której teraz pragnęliśmy /na krótką metę/, było doprowadzić się do porządku, a więc osuszyć się, umyć, poczyścić nasze zabłocone buty, no i - przespać się. Zaprowadzono nas do kierownika obozu. Cały czas porozumiewałem się po niemiecku, tak teraz, jak i później na Węgrzech. Węgrzy na pewno niechętnie używali tego języka, ale w owym czasie większość dorosłych umiała się nim posługiwać. Nam zaś było jeszcze przykrzej korzystać z języka tych, którzy tyle krzywdy wyrządzili naszej ojczyźnie. Lecz innego wyjścia nie było. Rozmowa z Węgrem była nad podziw pozytywna: pozwolił nam pójść do hotelu i powiedział byśmy się zgłosili po południu, gdyż część internowanych przewozi do Budapesztu, a stamtąd do Barcsu nad granicą jugosłowiańską. Oczywiście - ale to nie od razu była dla nas oczywiste - w tej strategii była prosta myśl, by ułatwić "internowanym" ich zamiary przekroczenia następnych granic. W tak wielkie możliwości nie potrafilibyśmy wtedy uwierzyć. Znaleźliśmy się więc w hotelu, uporządkowaliśmy się, ja wyjąłem mokrą zawartość mego plecaka i przy tej sposobności teraz dopiero zauważyłem przyszyty wewnątrz srebrny medalik.

1m



Przyjrzałem mu się bliżej, był tam przedstawiony święty Krzysztof, patron podróżników. A więc jeszcze jeden symbol, za sprawą mej teściowej /siostry Stanisława Estreichera/ znalazł się u mnie, a muszę powiedzieć, że mimo braku głębokiej religijności wzruszył mnie bardzo jako symbol, ba, byłem nawet skłonny przypisać mu związek z uratowaniem plecaka z nurtu i w ogóle ze szczęśliwym przebyciem najtrudniejszego odcinka drogi. To też szanowałem bardzo ten medalik także w dalszych latach mej wędrówki, a gdy nie używałem już plecaka, przymocowałem go do łańcuszka z opalami, który dała mi moja żona na drogę. Choć podobno opale "przynoszą nieszczęście", tym razem symbol i przesąd nie zgadzały się ze sobą. Łańcuszek opalowy przetrwał całą moją wędrówkę, raz nawet, skradziony mi, w jakiś tajemniczy sposób został mi zwrócony. Pojechaliśmy do Budapesztu i już na dworcu kierownik, na pewno umyślnie, stracił nas z oczu. Znaleźliśmy locum w znanym już Polakom pensjonacie pani Krakowicz /jeśli dobrze to nazwisko pamiętam, w każdym razie brzmienie jego przypominało Kraków/. Pensjonat był przepełniony, dla nas trojga były tylko dwa łóżka, więc w jednym z nich spałem razem z Marysiem. W tymże pensjonacie zastałem brata mej żony, Antoniego, który wyszedł z Polski krótko przede mną i właśnie tego wieczora wyjeżdżał już do Francji, był bowiem takim fachowcem, którego tam pilnie wzywano. Ja natomiast na drugi dzień zgłosiłem się do słynnego polskiego konsulatu, który dawał ewentualnie "skierowania" do wojska we Francji; staliśmy w kolejkach godzinami, spotkałem tam owego kapitana w zielonej pelerynie, który uciekł z transportu jeńców, o czym przedtem opowiadałem. Nie całkiem jasna była jego rola, gdyż kręcił się w kolejkach konsulatowych, a wiem, że został na Węgrzech, po wojnie spotkałem go w Gdańsku, ale znajomi przestrzegali mnie przed nim, nie chcąc powiedzieć dlaczego. Dziś już od wielu lat nie żyje. Kiedy wreszcie dostałem się przed oblicze otyłego podpułkownika /i jego też spotkałem po wojnie, był nawet dygnitarzem miejskim, on też już nie żyje/, wiedziałem już, że preferowani są ułani, których prze-

ka te

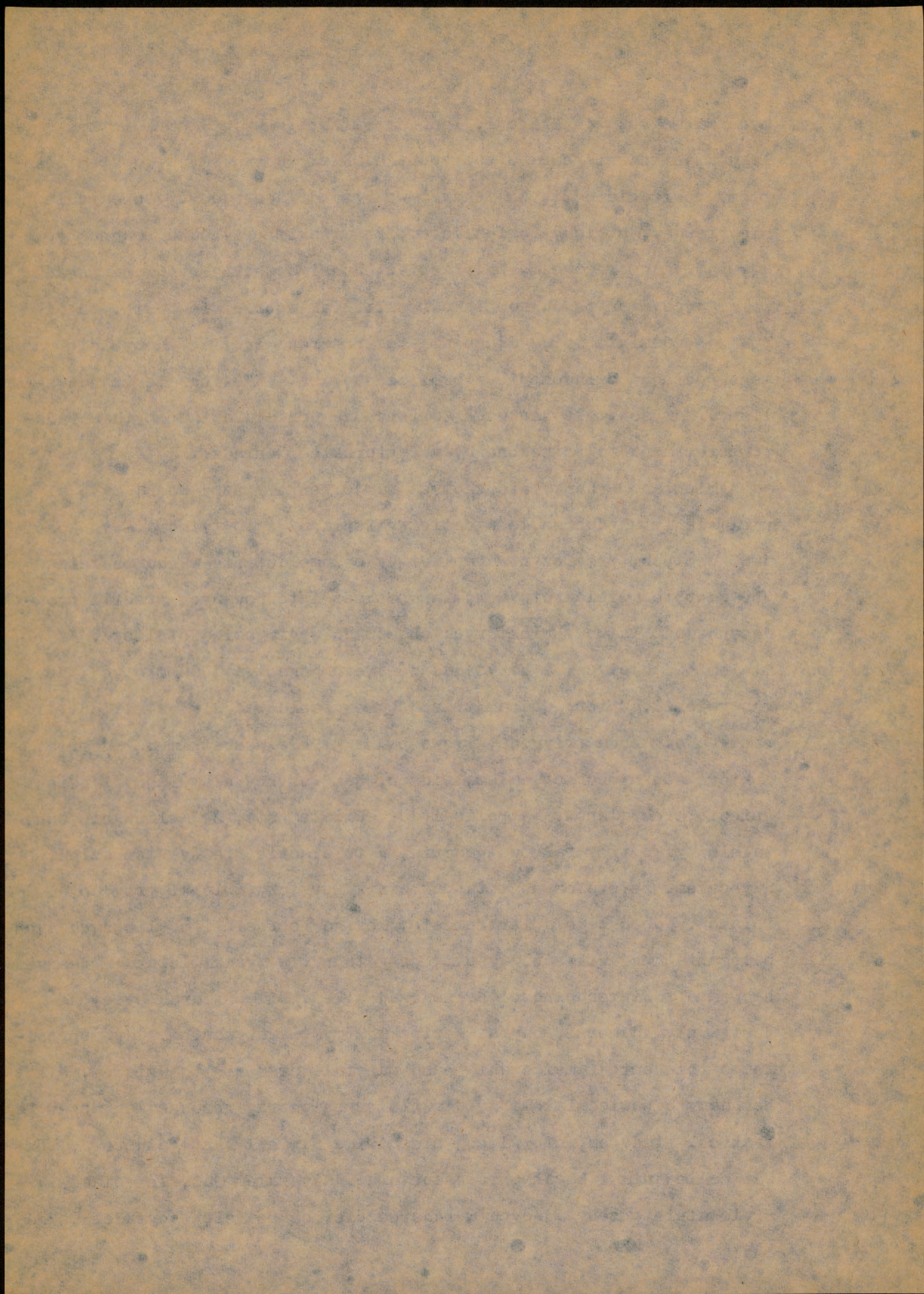
we

ku

"ginew

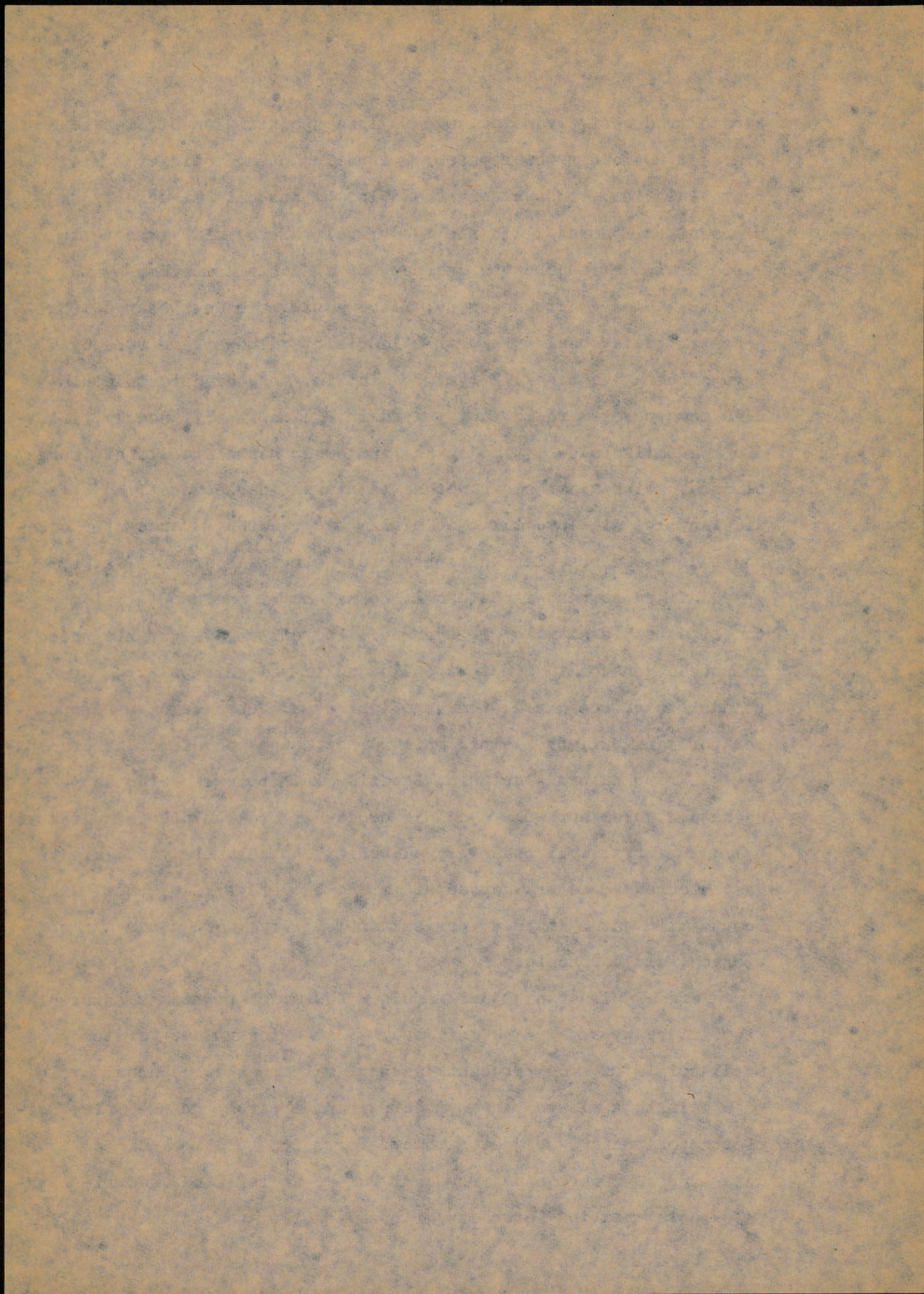
F myca się szybko do Francji. Inni natomiast /z wyjątkiem lotników/ byli uważani za nie bardzo potrzebnych. Kiedy wyznałem, że jestem lekarzem, powiedziano mi, że lekarzy we Francji jest dosyć /to okazało się prawdą/, a kiedy powiedziałem, że w takim przypadku pragnę być zwyczajnym szeregowcem, bo przecież chodzi o to, by być w szeregach walczących, pan podpułkownik odrzekł: "Tak dobrze nie jest". Ta odpowiedź zdumiała mnie, długo nie mogłem zrozumieć, że zdobył się na tego rodzaju oświadczenie w okolicznościach, w jakich się znajdowaliśmy. Zarysowywała się więc konieczność przedłużania pobytu w Budapeszcie, a na to potrzebne były węgierskie pieniądze.

Wymieniano w banku sto złotych na 10 pengó /przed wojną było al pari ale i tak dobrze, że w ogóle wymieniano/ i to tylko do wysokości 1000 złotych, przy czym warunkiem było zameldowanie w Budapeszcie /by zapobiec wielokrotnym wymianom przez internowanych przefiltrowujących dość łatwo z niektórych obozów do węgierskiej stolicy/. Ja miałem 300 złotych, a Maryś dał ze swego bogactwa 1000 złotych, abym mu wymienił. Wpierw jednak trzeba było zameldować się na milicji. Tu zaczyna się nowa przygoda, spowodowana przede wszystkim moją euforią, w którą stopniowo popadałem, widząc, jak wszyscy ułatwiają mi osiągnięcie moich planów. Na policji dowiedziałem się, że meldowanie odbywa się tylko trzy razy w tygodniu, a to właśnie nie był ten dzień. Słyszałem, że szefem jest tu pułkownik Borzicky, wielki przyjaciel Polaków. Wobec tego upierałem się, aby go poprosić i po licznych moich naleganiach zjawił się, wysoki, przystojny, w wysokim czuku - jednym słowem o powierzchowności nadzwyczaj miłej. Widać jednak było, że jest w złym humorze, chyba w związku z moim nagabywaniem. Gdy poprosiłem o polecenie zameldowania nas, zapytał, skąd się tu wziąłem. Nie bez dumy odpowiedziałem, że właśnie przedwczoraj przeszedłem przez granicę. Wtedy on, nic więcej nie mówiąc napisał kartę służbową, wezwał policjanta i kazał mnie eskortować. Słyszałem już, że Polaków, nielegalnie przebywających w Budapeszcie, osadza się w cytadeli, skąd



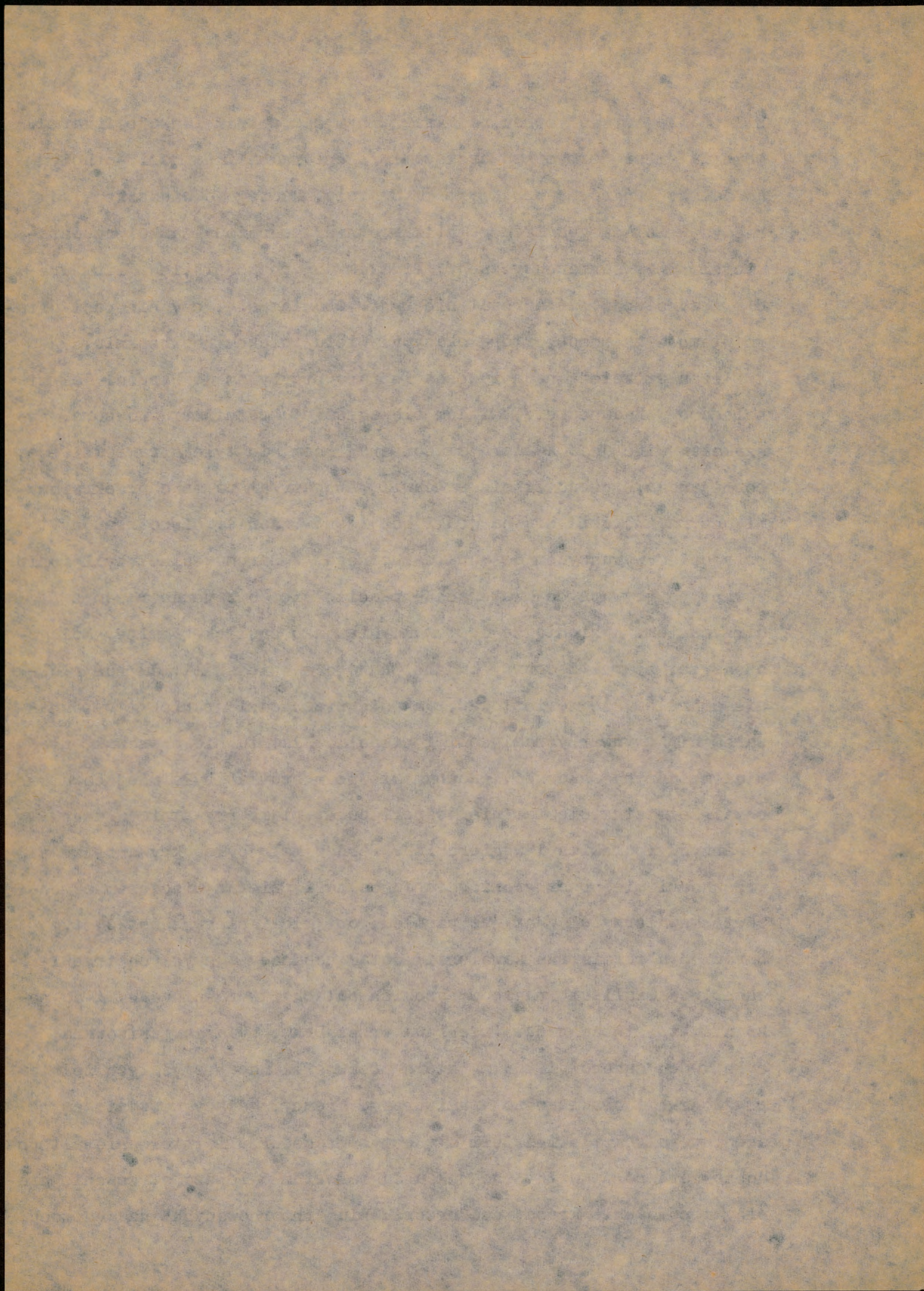
bardzo trudno się wydostać. Tego to losu spodziewałem się teraz. Nawiązałem rozmowę z towarzyszącym mi policjantem, powiedział mi że jest Słowakiem. Próbowałem go namówić, by pozwolił mi uciec /jak kierownik z Losoncz/, ale nie zgodził się na to, miał zresztą tę kartę służbową /schowaną w czapce/, no a ja nie uważałem, by tu popełniać jakieś gwałtowne czyny. Zaprowadził mnie do koszar św. Małgorzaty, gdzie oddał mnie wraz z liścikiem pułkownika w ręce dyżurnego oficera /hadnagh/. Z tym młodzieńcem, może dwudziestoletnim chłopcem począłem rozmawiać, twierdził, że mówi po francusku, istotnie znał kilka słów w tym języku; znajomość nasza stawała się coraz bliższa, zwierzał mi się nawet na temat swej narzeczonej. Mój przewidywany los miał być taki, że miałem być osadzony w areszcie koszarowym do czasu przesłuchania przez rotmistrza żandarmerii, który przyjdzie jutro rano i postanowi, co się ma ze mną zrobić /widmo cytadeli w Budzie stawało się wyraźne/. Pomyślałem, że gdy nie wrócę na noc do pensjonatu i może w ogóle już tam się nie pokażę, Maryś posądzi mnie, że ukradł ten jego tysiączek. Wobec tego zaproponowałem porucznikowi, by zwolnił mnie na noc, a ja pod słowem honoru zjawię się rano na przesłuchanie. Zgodził się. Pobiegłem więc do pensjonatu, zdałem sprawę z mych niepowodzeń i oddałem pieniądze. Maryś był dość zgryźliwy i podśpiewywał wobie "oberecka nie tańc, kiedyś jest niemrawy", co prawdopodobnie miało być przytykiem, lecz puściłem to mimo uszu. Na pewno przeszkadzałem w tym pokoju parze narzeczonych, ale cóż robić.

Na drugi dzień rano zjawiłem się w koszarach i witam z porucznikiem, który wybałuszył na mnie oczy z niedowierzaniem. Wkrótce przyszedł rotmistrz, mój porucznik szepnął mu parę słów do ucha, myślę, że w związku z niespodziewanym dotrzymaniem parolu przeze mnie, rotmistrz powiedział, że jestem wolny. Teraz już zgłosiłem się do żywo działającego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej /głównie czynna była tam hrabina Esterhazy/ i przedstawiłem swą sytuację, dali mi



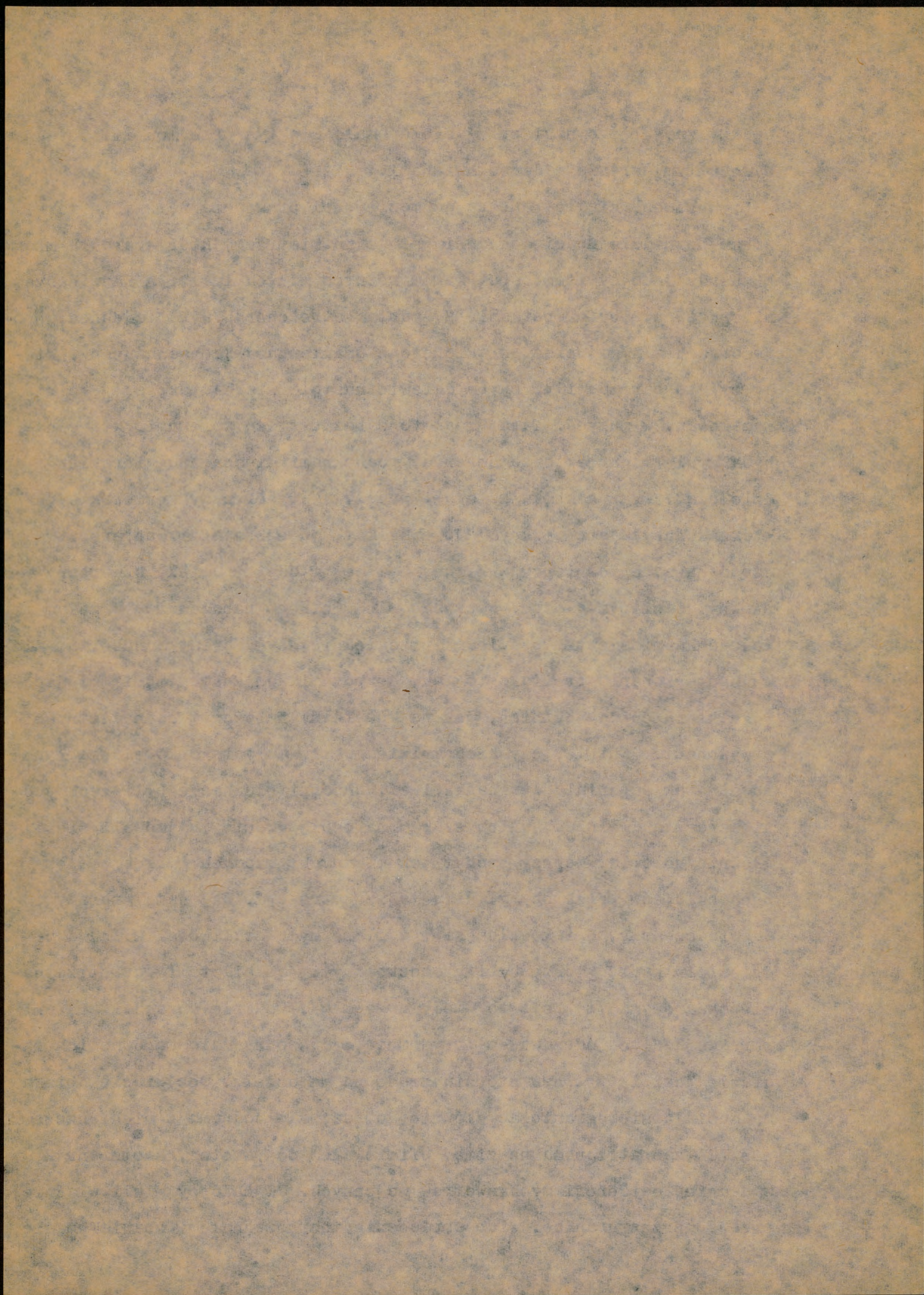
bilet kolejowy do Barcsu nad Drawą, bym tam pełnił funkcję lekarza. Pożegnałem się z moimi towarzyszami /nie zdradzali na razie ochoty do dalszej podróży/ oraz z panem Szekely, którego odwiedziłem, gdyż kiedyś w Polsce gościłem go kilkakrotnie/ podróżował jako przedstawiciel firmy farmaceutycznej/. Pisałem doń po wojnie, lecz list wrócił z adnotacją, że adresat nie żyje. Obawiam się, czy nie padł ofiarą Niemców za pomoc, którą okazywał wielu Polakom po wrześniu.

Jechałem koleją nocą i wcześniej rano przybyłem do Barcsu. Jak mi polecono w Budapeszcie, miałem się zgłosić u rotmistrza Dowbora. Wyszukałem więc jego kwaterę ale on spał snem nie tyle sprawiedliwego, co pijanego, rozbudził się na chwilę, popatrzał na mnie przekrwionymi oczyma, obrócił się na drugi bok i znów zasnął. Nieco zrażony tym przyjęciem wyruszyłem do punktu zbornego. W Barcsu Polacy byli rozlokowani po prywatnych kwaterach - płaciło się po 2 pengo razem z utrzymaniem. A pieniądze dostawało się jako zasiłek z gminy. Moi gospodarze, starsi i dobrzy ludzie, bardzo o mnie dbali. Ja zaś głównie starałem się zorientować, jak się przechodzi granicę i zapoznawałem się z towarzyszami doli i niedoli. Nikt tu nie chorował, nie miałem żadnych zgłoszeń, głównym miejscem spotkań była miejscowa karczma. Rotmistrz się tam nie pospolitował, pijał prywatnie w kręgu towarzyszy polskich i węgierskich. Bardzo mało było ukrywane, że przechodzi się przez granicę do Jugosławii, nieraz wieczorem oficerowie kawalerzyści /jak już pisałem, oni mieli pierwszeństwo, tym bardziej u rotmistrza kawalerii/ dotąd chodzący w zwykłych trzewiakach, pojawiali się nagle w wysokich butach i wyraźnie dawali do poznania, że się żegnają. Przeprawa przez Drawę była zorganizowana, było dwóch saperów i kóodka, którą przewozili nocą przyszłych żołnierzy wojsk Sikorskiego na drugi brzeg. Niemcy, mający wszędzie swych agentów, szybko dowiedzieli się o tym procederze i interweniowali podobno zarówno u Horthy'ego jak u Jugosłowian o lepsze strzeżenie granicy i położenie kresu temu przenikaniu "internowanych" na Węgrzech.



Węgrzy znów, jako nasi przyjaciele, mało się tym przejmowali. Gorzej było w tym okresie z Jugosławianami.

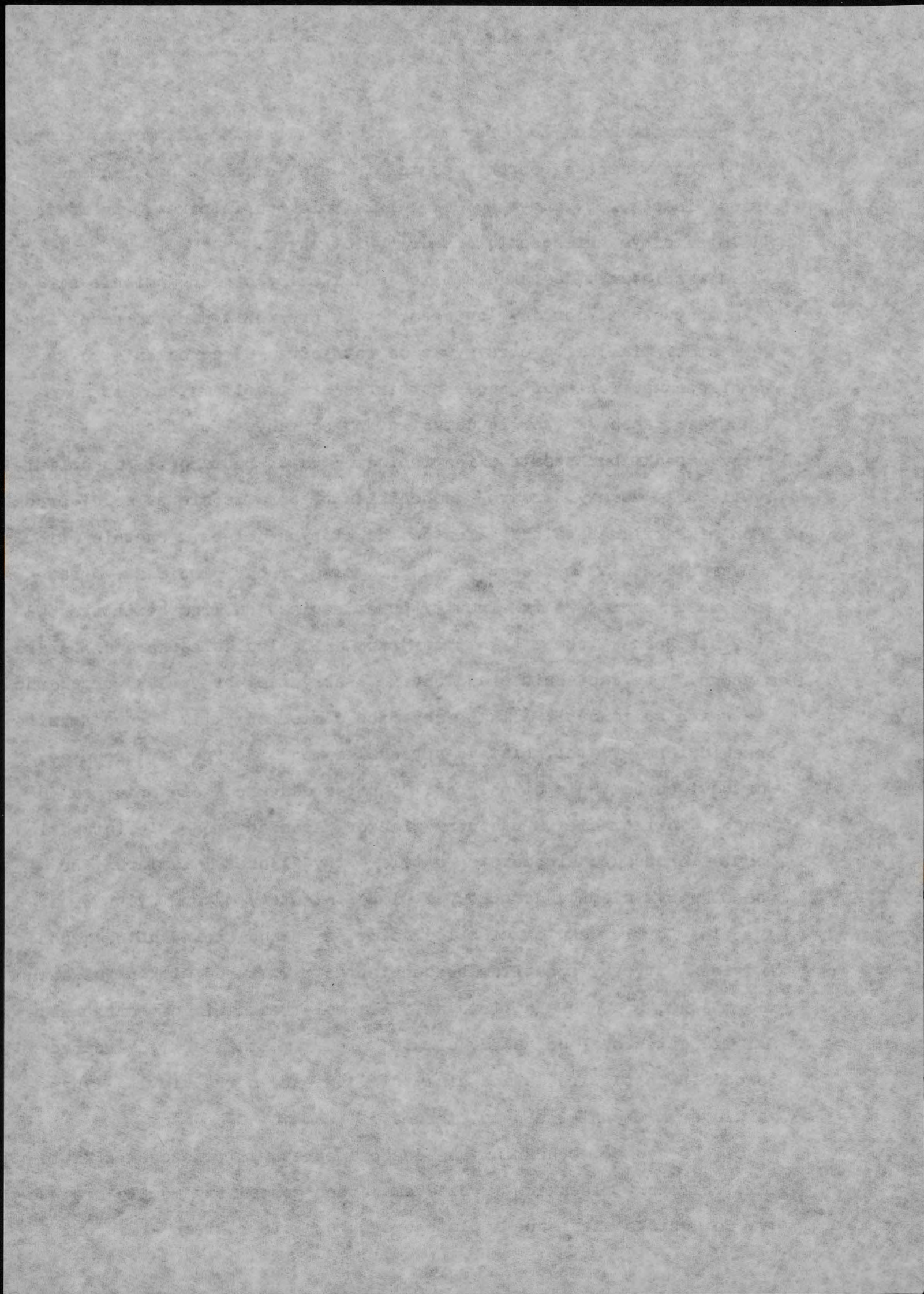
Tymczasem, ciągle penetrując możliwości przejścia na własną rękę, wobec beznadziejności dogadania się z rotmistrzem, który gardził mną z zasady jako cywilem, spotykałem różnych miłych ludzi, a największą niespodzianką było spotkanie Zygmunta Estreichera /syna Tadeusza, profesora chemii, również uwięzionego w Oranienburg-Sachsenhausen/. Wtedy był to bardzo miły, chyba dziewiętnastoletni chłopak, szczególnie zamiłowany w muzyce. Tutaj mógł to wyrażać tylko śpiewami, które odbywały się w charakterze serenady pod oknami mieszkań węgierskich dziewcząt. Wraz z kilku kolegami nauczył się serenady węgierskiej, która kończyła się tęsknym "jo ejszakat, jo ejszakat" /dobranoc/. Wśród naszych żołnierzy w Barcsu był też młody człowiek, obdarzony pięknym i silnym głosem. W czasie niedzielnego nabożeństwa w małym kościółku miasteczka odśpiewał przepięknie "Ave Maria" Schuberta, ale w jego wykonaniu brzmiało to tak, że rozumiałem zastrzeżenia miejscowego kleru co do zbytnej, jak na kościelne nabożeństwo, namiętności w wykonaniu. Wątpię, czy kiedykolwiek wątkę mury tego kościółka rezonowały tak wspaniale wykonaną pieśń. Nabożni słuchacze byli zachwyce- ni, zresztą dla nich, w ich szarym na ogół żywocie /zajmowali się głównie hodowlą wieprzy/ pobyt tak licznych, młodych i często pięknych chłopców polskich był nieustającą atrakcją. Ja, jako starszy i doświadczeńszy, opiekowałem się, w miarę mych możliwości kilku dwudziestolatkami, którzy byli przeszkolonymi już pilotami lub strzelcami pokładowymi /tak się to wtedy nazywało/. Do mnie zwracali się oni per "wujku", co odczuwałem przyjemnie, gdyż oznaczało zarówno ich zaufanie jak i w pewnym stopniu zgodę na moją opiekę. Oczywiście opieka ta musiała się ograniczać głównie do rad, ale jednemu z nich, szczegó- nie źle zaopatrzonemu na zimę, ofiarowałem mój sweter, sweter nr 2 w długiej ewidencji mych swetrów wojennych. Ci chłopcy mieli właśnie przejść przez granicę, więc serdecznie ich pożegnałem. Obawiam się,



czy nie spotkał ich los przydzielonych do lotniska pod Lyonem, które, pozbawione właściwej obrony, zostało później ciężko zbombardowane przez Niemców, przy czym zginęło wielu polskich lotników, nie mówiąc już o zupełnym zniszczeniu eskadr powietrznych.

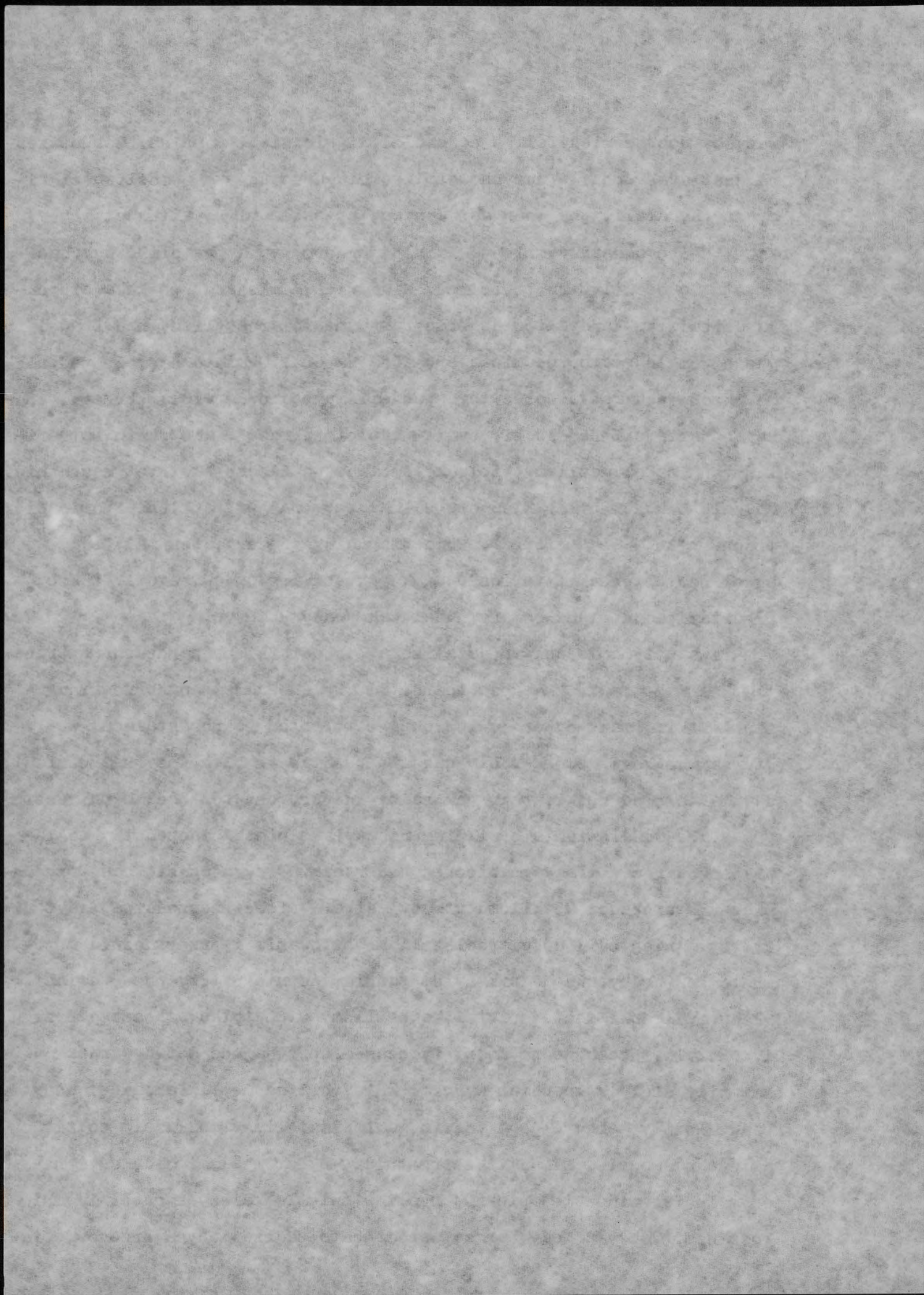
Najważniejszym jednak dla mnie kontaktem było zaznajomienie się ze sympatycznym, dorodnym saperem, który przewoził naszych przez Drawę i który miał za to otrzymywać od rotmistrza wynagrodzenie za każdą przeprawę. Ponieważ jednak rotmistrz nie płacił mu już nic od dłuższego czasu /łatwo się domyślić, na co zużywał powierzone mu przez ośrodki budapeszteńskie pieniądze/ saper postanowił już definitywnie wraz ze swym /rudym/ pomocnikiem przeprowić się na drugi brzeg. I on miał kilku "swoich" klientów, do których dołączył chętnie mnie i Zygmunta. Wolałem zdobyć przed przeprawą trochę pieniędzy. Wprawdzie saper chciał /i tak zrobił/ przewieźć nas całkiem bezinteresownie, ale jednak trzeba było przez parę dni kilku kolejek rumu /bardzo marnego/, aby zacieśnić znajomość z towarzyszami przeprawy, przekonać się o ich solidności, a także aby mieć w kieszeni kilka pengó na nieprzewidziane wydatki. Dlatego sprzedałem moją srebrną papierośnicę, wartości chyba 150 złotych przed wojną, z dedykacją dla mnie, za 30 pengó. Umówiłem się na następny wieczór /kończący mój dziesiąty dzień pobytu w Barcsu/. Wieczór ten o tyle sprzyjał naszym zamiarom, że z początku był ciemny, deszczowy i zimny. Niestety ja sam byłem w bardzo złej formie wskutek ciężkiej astmy, z powodu której ubiegłą noc i dzień krytyczny spędziłem bezsennie. Astmę, której ataków już dawno nie miałem, spowodowała pierzyna, jaką moi troskliwi gospodarze kładli mi na łóżko. Podczas gdy dawniej miewałem ataki astmy z różnych powodów, w ostatnich latach stały się już bardzo rzadkie i jedynym uczulającym czynnikiem było pierze.

Ciężko dysząc, ochraniany od deszczu ceratowym płaszczem z kapturem, obarczony plecakiem, wyszedłem /wobec gospodarzy mówiło się wtedy, że dostało się pracę i dlatego opuszcza się kwaterę - ale oni



wszyscy dobrze wiedzieli o co chodzi, i wiedzieli również, że potrzebna jest dyskrecja/ w dużych wątpliwościach co do mych możliwości fizycznych, atoli, jak to z astmą bywa, przeszła mi po kilkuset krokach, które oddaliły mnie od fatalnej pierzyny, a pozwoliły wdychać czyste, choć wilgotne powietrze. W umówionym miejscu spotkała się cała dziewiątka kandydatów do przeprawy, poczem ruszyliśmy nad Drawę, gdzie w małej zatoczce miała być łódź sapera. Okazało się, że jej nie ma, ktoś ją ukradł. Wobec tego poczęliśmy wędrować wzdłuż brzegu, szukając jakiejś innej łodzi, by ją skolei "ukraść", ale zanim natrafiliśmy na taką, uszliśmy wiele kilometrów po bardzo błotnistym gruncie. No, ale w końcu była! Niestety za mała, by nas wszystkich 9 pomieścić, trzeba było dwóch przepraw. Pomocnik dużego sapera, ten mały rudy wziął nas czterech i powiosłował ku przeciwległemu brzegowi. Deszcz przestał padać, lecz chmury nadal zakrywały księżyc.

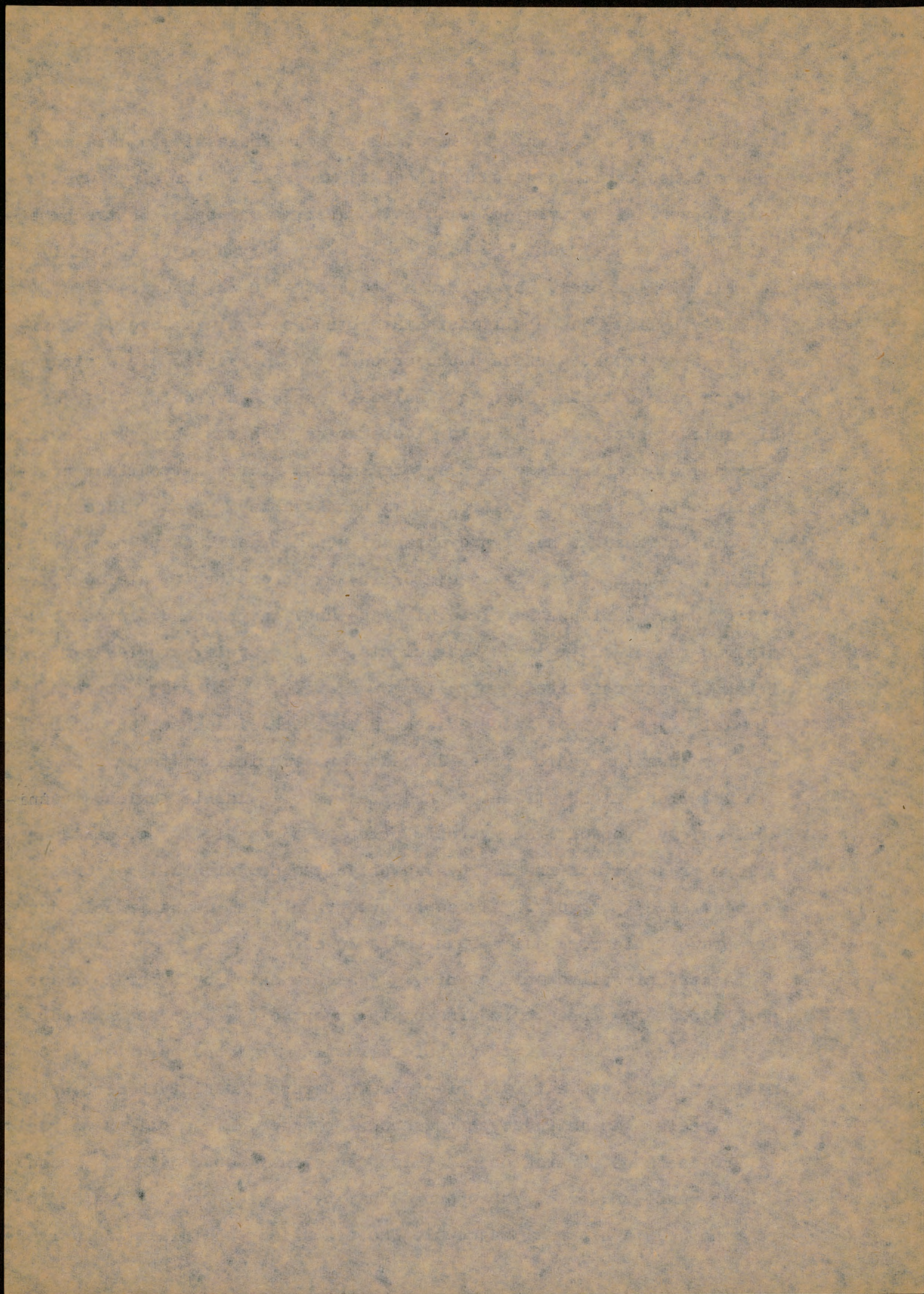
Drawa w tym miejscu to duża rzeka, po ostatnich deszczach wozbrana tak, że przeprawa szła dość wolno. Gdy wylądowaliśmy na brzegu jugosłowiańskim, mały saper powiosłował z powrotem po pozostałą na węgierskim brzegu czwórkę. Dla nas zaś powstał problem, czy natychmiast oddalić się od rzeki, tak, jak radził saper, czy też czekać na resztę grupy. Za oddaleniem się silnie przemawiało niebezpieczeństwo dostania się w ręce straży granicznej nad rzeką. W owym czasie pas przygraniczny szerokości 25 kilometrów był strefą niebezpieczeństwa, gdyż ci, którzy w niej byli ujęci podlegali aresztowaniu i przerzuceniu z powrotem na Węgry. Ja jednak byłem zdania, że nie należy pozostawiać własnemu losowi tamtej piątki, odeszliśmy więc tylko od samego brzegu i położyli, czekając na łódź. Tymczasem sprzyjające dotąd warunki zmieniły się: z za chmur wyjrzał księżyc i oświetlił okolicę. Wody Drawy lśniły teraz w jego poświacie i widzieliśmy dokładnie co się dzieje na wodzie. Mimo, iż zaprzątnięty byłem myślami o dalszym naszym losie, widok tej pięknej rzeki w świetle księżyca napełnił mnie podziwem. Toczyła wody bardzo wśród gęsto zadrzewionych brzegów, wia-



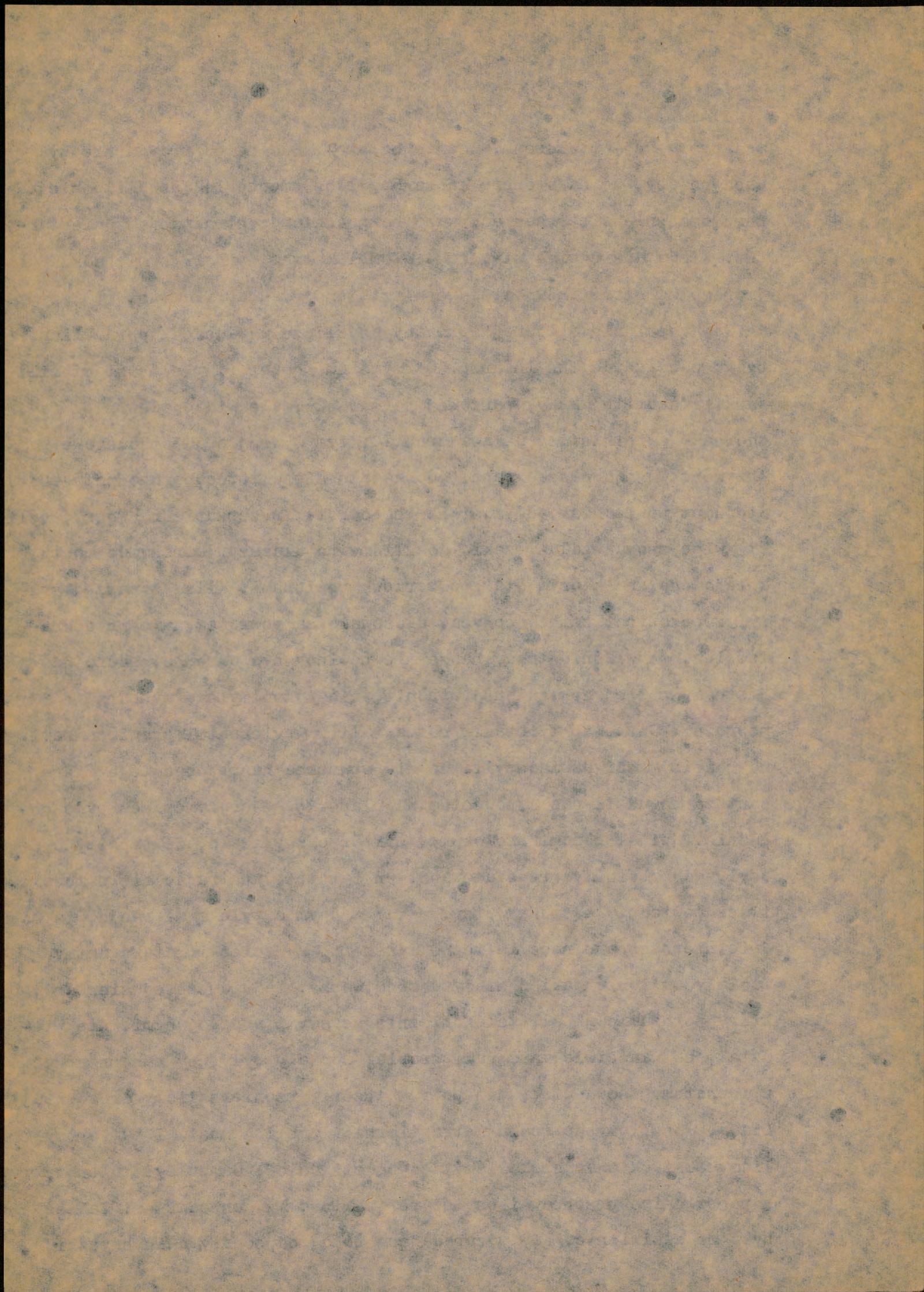
ła od niej jakaś tajemnicza cisza. Długi czas Łódka nie pojawiała się, wreszcie zobaczyliśmy ją znacznie niżej miejsca, w którym nas wysadzoną na brzeg. Kiedy była już w połowie nurtu, widać było, że trzeba będzie iść w dół rzeki, by połączyć się z nadpływającymi kolegami. Poczęliśmy więc iść, aby zdążyć na to spotkanie na brzegu.

Kiedy byliśmy już o kilkadziesiąt metrów od wysiadających, wyłoniło się z za krzaków trzech uzbrojonych Serbów i rzuciło się w stronę naszych pięciu towarzyszy. Może należało jeszcze zawrócić, ale poczucie solidarności, które kazało mi czekać na nich przy brzegu i teraz przeważyło, podbiegliśmy więc do strażników, którzy natychmiast przybrali postawę bojową i skierowali ku nam karabiny, sądząc widocznie, że gotując zasadzkę na płynących, sami w nią wpadli. Na pewno w dziewiątkę, z dwóch stron atakując, moglibyśmy ich rozbroić, ale uważałem takie postępowanie za zupełnie nie wskazane. Za pomocą ogólnie zrozumiałych gestów dałem im do zrozumienia, że nie żywimy wrogich zamiarów i tak wszyscy dziewięciu popadliśmy w niewolę. Tutaj muszę wtrącić, że mieliśmy już w ostatnich dniach na Węgrzech wiadomości o zaostrzeniu strażowania granicy przez Jugosłowian, widzieliśmy teraz dość gęsto ustawione wieże strażnicze nad rzeką, no i właśnie takich strażników. Księżyc pozwolił im wytropić przepływającą się Łódkę, znoszoną silnym prądem w dół rzeki. To było przyczyną opóźnienia i zapewne też powodem całej przygody. Mały saper był przecież zmęczony trzecią już przeprawą i nie mógł już sprawnie wiosłować.

Zaostrzenie pilnowania granicy jugosłowiańskiej było bardzo znaczne. Podczas gdy przedtem zdarzało się najczęściej, że przeprawy odbywały się bez przeszkód, to obecnie strażnicy /podobno bardziej wyrozumiali Chorwaci zostali zastąpieni przez bardzo służbistych Serbów/ nawet strzelali do usiłujących przekroczyć granicę. Nie mogliśmy na razie liczyć na żadne pertraktacje. W placówce straży, dość odległej, esaul, widząc nasze znużenie, zaproponował nam byśmy się przespali, a dopiero rano będzie się nami zajmował. Skorzystaliśmy chętnie z tej uprzej-

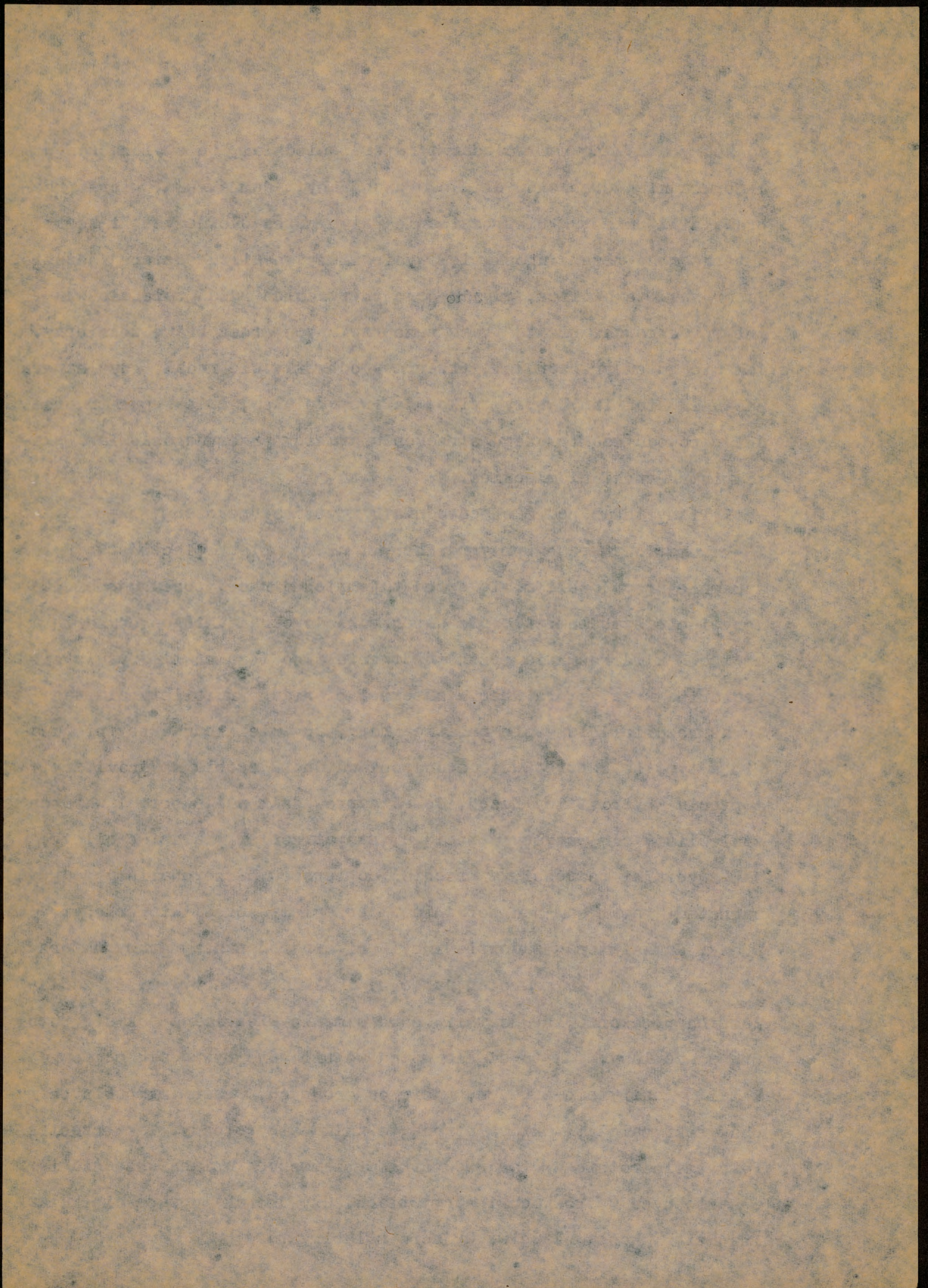


mejej propozycji starszego, wąsatego Serba. Nocleg co prawda nie był zachęcający, bo na stercie kaczanów, lecz zmęczenie pozwoliło niejednemu smacznie się przespać. Rano rozpocząłem pertraktacje z sierżantem. Kiedy dowiedział się, że jestem lekarzem, prosił bym zbadał jednego ze strażników, który czuł się chory. Uczyniłem to, stwierdziłem zapalenie opłucnej i zmiany gruźlicze w płucach, poradziłem, by go odesłać do ich lekarzy. Otrzymałem "honorarium" w postaci filiżanki znakomitej kawy, parzonej po turecku, ale widać, że przez fachowca - świetnie mi ta kawa zrobiła, tym żywiej objąłem duchowe przywództwo nad naszą grupą, co okazało się wkrótce bardzo potrzebne. Sierżant powiedział, że musi nas z powrotem przerzucić na Węgry, szliśmy więc znowu wzdłuż rzeki, doszliśmy po dłuższym marszu do mostu kolejowego, na którym stał posterunek węgierski. Kilku z naszej grupy, zmęczonych, zniechęconych, głosowało za powrotem, ale przekonałem ich, że właśnie trudy nasze nie powinny być daremne, skoro już jesteśmy po tej upragnionej stronie, nie pozwólmy się wypchnąć z powrotem. Serbowie tymczasem rozmawiali z węgierskimi granicznikami na moście, a ci oświadczyli, że nie wpuszczą nas. Wobec tego sierżant zaprowadził nas z powrotem na placówkę - już tymczasem było po południu. Spisał z nami protokoły, z których wynikało, że prosimy o azyl, gdyż byliśmy prześladowani. On sam też, wpatrując się w moją twarz powiedział: "muka" /tzn. męka/ w czym o tyle miał rację, iż dwie nieprzespane noce i liczne marsze po moim ciężkim ataku astmy musiały wyźłobić jakieś ślady w mej twarzy. Najwidoczniej sierżant, który porozumiewał się telefonicznie ze swymi przełożonymi, nie wiedział, co właściwie ma z nami zrobić, rozkazy były, by nas przerzucić z powrotem. Znowu więc, już po raz trzeci przemierzaliśmy drogę nad Drawą, doszliśmy do rodzaju traktierni w pobliżu mostu i tam spożyliśmy posiłek oraz czekaliśmy, co będzie dalej. Saper był tu znany z poprzednich przepraw i on też pertraktował z gospodarzem. Jakież było me zdziwienie, gdy z zapadającą nocą podjechały dwie bryczki,



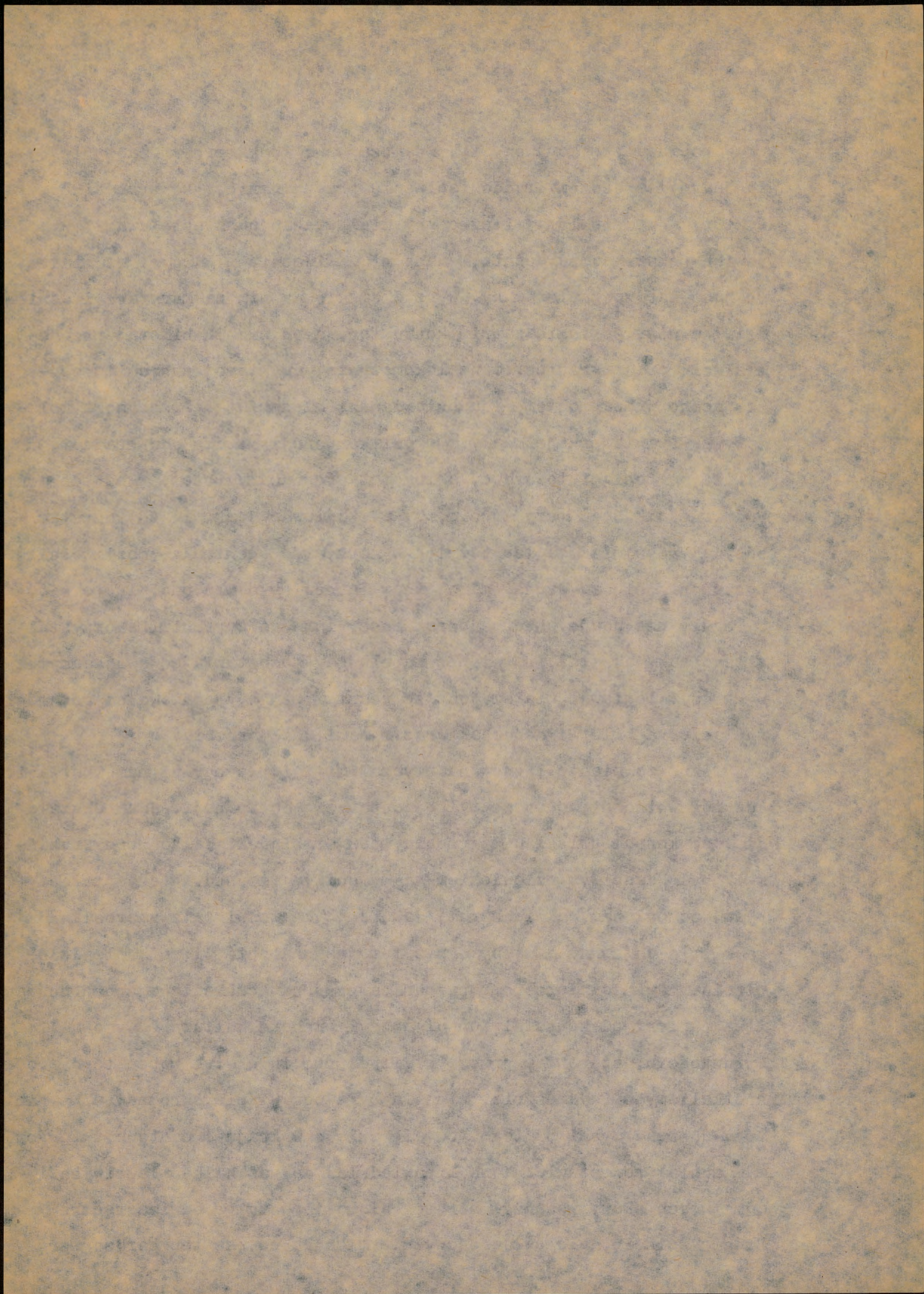
do których kazano nam wsiadać i saper powiedział, że zawiozą nas w głąb kraju! A więc znów działała owa jakby tajemna ręka, która przeprowadziła mnie tak niespodziewanie^e łatwo przez Słowacyznę i Węgry, a teraz może przez Jugosławię? Wysiedliśmy po kilkugodzinnej jeździe. Saper znał te okolice, gdyż do jego poprzednich zadań należało właśnie przeprowadzanie tą trasą przeprawianych przez Drawę żołnierzy. Jak się potem przekonałem, przeprawy odbywały się nadal, gdyż sapera zastąpił ktoś inny, były tylko, jak wspomniałem, zwiększone trudności z powodu zaostrzonego strzeżenia granicy przez Jugosłowian wskutek interwencji niemieckich.

Byliśmy teraz pod miejscowością Virovitica, położoną już poza 25-kilometrowym pasem przygranicznym, a więc niebezpieczeństwo było już mniejsze. Jeżeli mówię o tej tajemniczej ręce, posługuję się oczywiście symbolem. Ale oto saper puka do okna jakiegoś domku i krótko z kimś rozmawia przez półotwarte okno i za chwilę wysuwa się prawdziwa ręka, która wręcza saperowi pieniądze na bilety dla nas! Teraz rozdzieliliśmy się na dwie grupy, aby nie zwracać zbyt uwagi, z tym, że czterej wsiadą do pociągu do Zagrzebia w Viroviticy, a pięciu w Viroviticy Dużej, dokąd zaprowadził nas saper. I wkrótce znaleźliśmy się wszyscy w pociągu, zaopatrzeni w prawdziwe bilety, jak zwyczajni podróżni, a przecież dopiero co maszerowaliśmy pod bagnietami tam i sam nad południowym brzegiem szczęśliwie przebytej Drawy. Jakżeż teraz zadowoleni byli ci spośród naszej grupy, którzy głosowali wtedy za powrotem na Węgry i jak się cieszyłem, że zdołałem ich przekonać, by zostali, choć sam nie wiedziałem jak się potoczą nasze losy. Tak to ciągle w tej wojnie porównywać się mogłem do kulki w labiryncie-zabawce, gdzie od drobnych, czasem mimowolnych ruchów ręki zależy, w którą stronę ta kulka się potoczy. Tak przecież było wielokrotnie w ciągu wędrówki w pierwszych dniach września i w następnych wędrówkach i perypetiach. Czy jednak tocząca się kulka znajdzie w końcu właściwe wyjście z labiryntu?



W pociągu przekonałem się, że przeprawa łódką przez Drawę nie była jedynym sposobem przedostania się przez granicę. Do przedziału, w którym siedzieliśmy milcząc /by nie zwracać na siebie uwagi/ wpadł pewien polski podporucznik, znany mi z widzenia w Barcsu. Widziałem, że jest bardzo zaaferowany, wyszedłem więc z nim na korytarz i dowiedziałem się, że idzie za nim konduktor, a on nie ma biletu; przedostał się przez granicę... na lokomotywie, do której zaprosił go - stojącego przed mostem - jugosłowiański maszynista. Przez most kolejowy na Drawie przejeżdżały, w myśl konwencji między obu krajami, nieliczne pociągi towarowe, a lokomotywy wracały potem przez ten most. Podporucznik stał przy moście, by wystudiować, jak się to wszystko odbywa, gdyż miał zamiar później wykorzystać ewentualne możliwości posłużenia się tą drogą, mimo, że w Barcsu było wiadomo, iż to się z reguły nie udaje. Skoro jednak maszynista go zaprosił, skorzystał z tego tak jak stał, nawet bez kapelusza, pozostawiając swój dobytek w Barcsu. Ponieważ miałem jeszcze resztki pengo, poratowałem go, mógł zapłacić za bilet i dojechał wraz z nami do Zagrzebia.

Piękne to miasto i znów nadzwyczaj mili i przychylni nam Chorwaci. Już pół wolności, jeszcze tylko dostać się do Francji. Jak? Okazało się, że konsul polski w Zagrzebiu, pan Grabiński /albo może Grabiński/ był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. W czym trzeba było, pomógł nam, a wieczorem, jako że była to wigilia zaprosił nas na karpia do konsulatu /było nas tam już znacznie więcej, niż dziewięciu, gdyż żołnierze z poprzednich przepraw czekali na sposobność i na papiery od konsula. Konsul łączył głęboką kulturę z wysoką sprawnością, stanowiąc przez to silne przeciwieństwo wobec tego, co spotkaliśmy w Budapeszcie. Wigilia była oczywiście skromna, nikt nie mógł oderwać myśli od tego, co się dzieje w kraju i od tych, których tam musiał pozostawić. Konsul powiedział do nas kilka właściwych i ujmujących słów, posłużył się też słowami poety: "Podnieś rączkę Drogie Dziecię, błogosław ojczyźnie miłej", co nas też bardzo wzru-



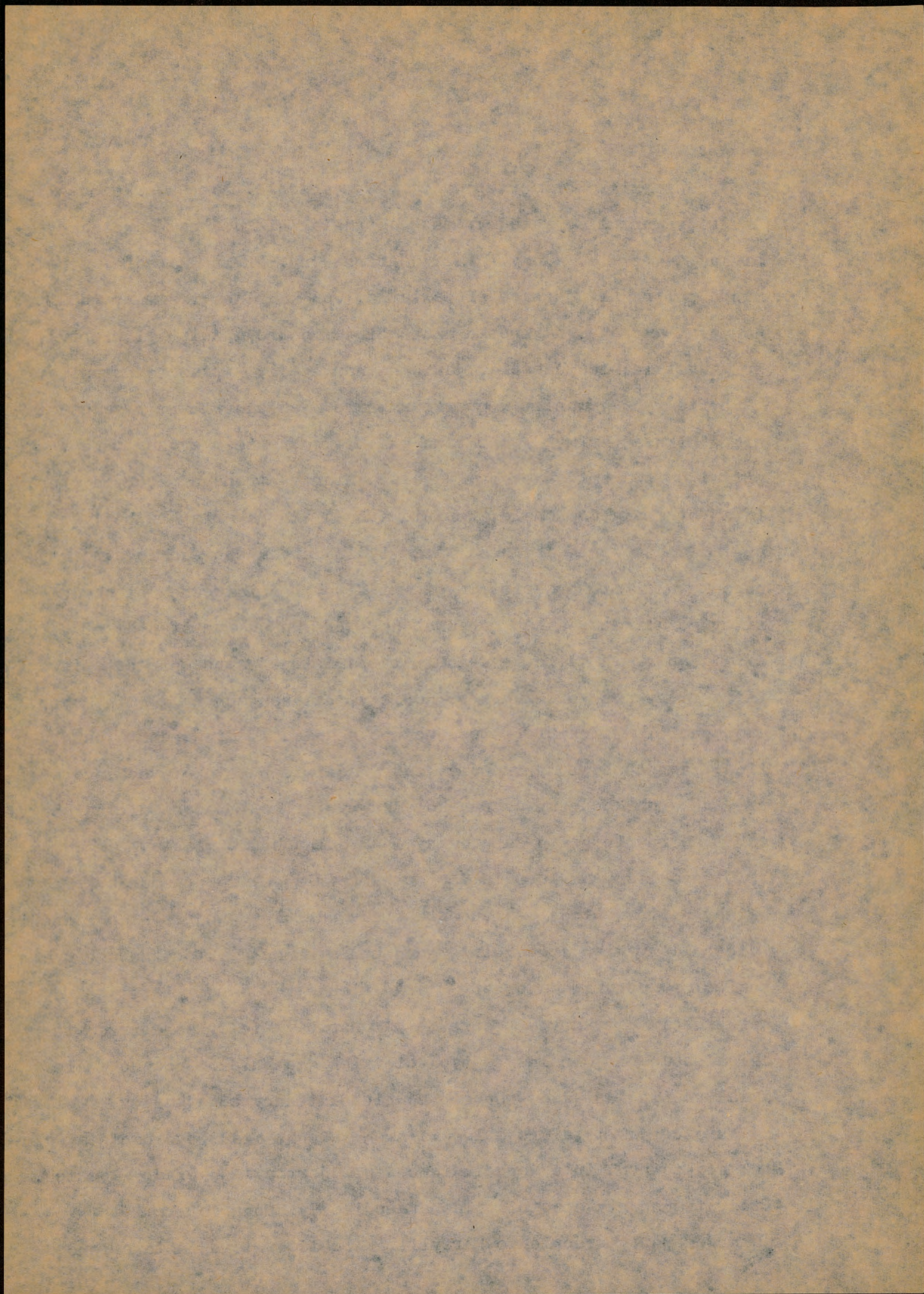
szyło.

Jeszcze kilka dni przebywaliśmy w Zagrzebiu. Na pasterkę poszliśmy z Zygmuntem do katedry, mszę odprawiał biskup, czy nawet arcybiskup Zagrzebia, młody i bardzo przystojny. Piękna katedra, wypełniona po brzegi, jarzące się światła, woń kadzideł i szmery modlitewne pozwalały choć na krótko ukoić się w nastroju święta i wierzyć, że wszystkie nieszczęścia, jakie na nas spadły, wreszcie przeminą.

Byliśmy z Zygmuntem w operze na narodowym chorwackim przedstawieniu /"Mikołaj Zrinyi"/ o bardzo wysokim poziomie muzycznym, ze znakomitymi śpiewakami, a chóry, ta słaba nieraz strona niektórych oper, tutaj brzmiały doskonale. Wspaniała była sławna aria "Na bój! Na bój!", szczególnie aktualna także i dla narodu chorwackiego, z którego wywodzi się przecież zwycięski Tito. W świąteczne dni chodziliśmy po ulicach, sycąc się swobodą, obserwując wszystko dokoła, podziwiając główną ulicę - Ilicę, ale bardziej jeszcze piękne dziewczęta, z których słynie Zagrzeb, kobiety, balansujące na głowie kosze z owocami i wdzięcznie zstępujące po schodach tworzących tu całe ulice; Zagrzeb bowiem położony jest właściwie na stoku wysokiego wzgórza, a komunikację upraszcza kolejka-wyciąg, wspinająca się na szczyt wzgórza, równie gęsto zabudowany, jak dolna część miasta.

Otrzymaliśmy od konsula papiery uprawniające do przejazdu przez Włochy - które wtedy jeszcze nie brały udziału w wojnie - do Francji. Pożegnaliśmy więc szczególnie serdecznie konsula, który zawsze w mej pamięci pozostanie jako ten, który /niestety w przeciwieństwie do większości spotykanych przeze mnie konsulów/ nie tylko dobrze wiedział co do niego należy w tych ciężkich dla Polaków czasach, ale umiał również działać w sposób równie skuteczny co ujmujący.

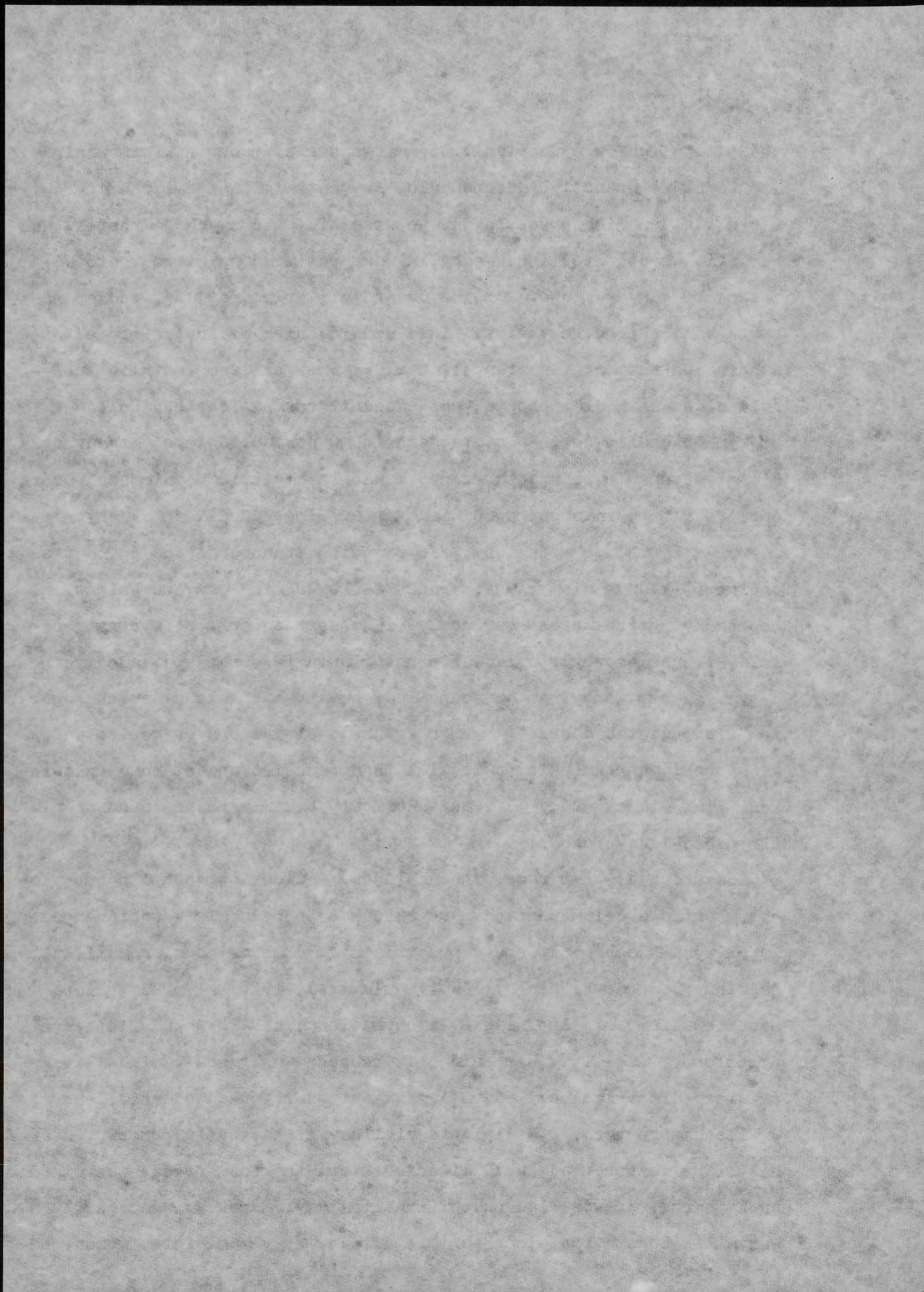
Wkrótce już i ta droga lądowa przez Włochy miała być odcięta wskutek gwałtownych interwencji Niemców w tej sprawie u władz włoskich. Wtedy transporty ochotników do Francji szły drogą morską i to okrężną przez porty greckie do Marsylii, w pobliżu której ustanowiono



obóz dla oficerów w Carpiani. Od samego bowiem początku formowania się wojsk we Francji widoczne było, że jest wielki nadmiar oficerów, skoro wielu z nich przeszło już we wrześniu, bez swych jednostek, do Rumunii, wkrótce też i na Węgry, a jako posiadający więcej gotówki /czasem i kasy pułkowe/ łatwiej uzyskiwali "plecare", tj. rodzaj paszportu rumuńskiego, czy wizy. Wielu spośród nich miało też protektorów w polskich sztabach we Francji, a ci, którzy się tam dostali, zabiegali o wezwania dla pozostałych w Rumunii czy na Węgrzech kolegów, którym obiecali, że będą starać się ich wydostać. Selekcja ta wzmogła się niesłychanie po upadku Francji, ale to historia późniejsza, którą opowiem z mego namiętnego doświadczenia. Piszę tu dzieje własnych peregrynacji, notuję moje losy, ale przecież trudno oderwać je od tła ogólnego, ^w którym się rysują; trudno też było mieć oczy zamknięte na szczegóły, które wprost narzucały się obserwatorowi. Ze strony generała Sikorskiego były usiłowania przesiania tego napływu, ale myśląc o tym, zawsze wspominam ową odpowiedź budapeszteńskiego "selekcjonera", że "nie jest tak dobrze", by móc zgłaszać się jako szeregowiec do walki z bronią w ręku. Nie powiedział tego przecież ani staremu człowiekowi /lat miałem wtedy 37/, ani ułomkowi /byłem w pełnej sprawności fizycznej i umysłowej/.

Hma

Nasza droga - tym razem znów kolejowa - wiodła przez północne Włochy, kontrola celna naszych marnych bagaży odbyła się w pociągu przez życzliwych Włochów, którzy z przymrużeniem oka sami deklarowali, że jedziemy "do pracy". Nie było w tym kłamstwa, tyle, że praca, którą spodziewaliśmy się spełniać była chyba inna, niż ta jaką oficjalnie określono. Jechaliśmy wzmocnić siłę roboczą we Francji, ale nie w kopalniach, fabrykach czy na roli, jak emigranci przedwojenni, lecz w siłach zbrojnych. W Mediolanie mieliśmy kilka godzin przerwy, którą zużyliśmy na przechadzkę po mieście, kierując kroki przede wszystkim ku katedrze, prawdziwemu cudowi architektury. Zmrok już zapadał, wszystkie bogato rzeźbione portale katedry były zamknięte, można jed-

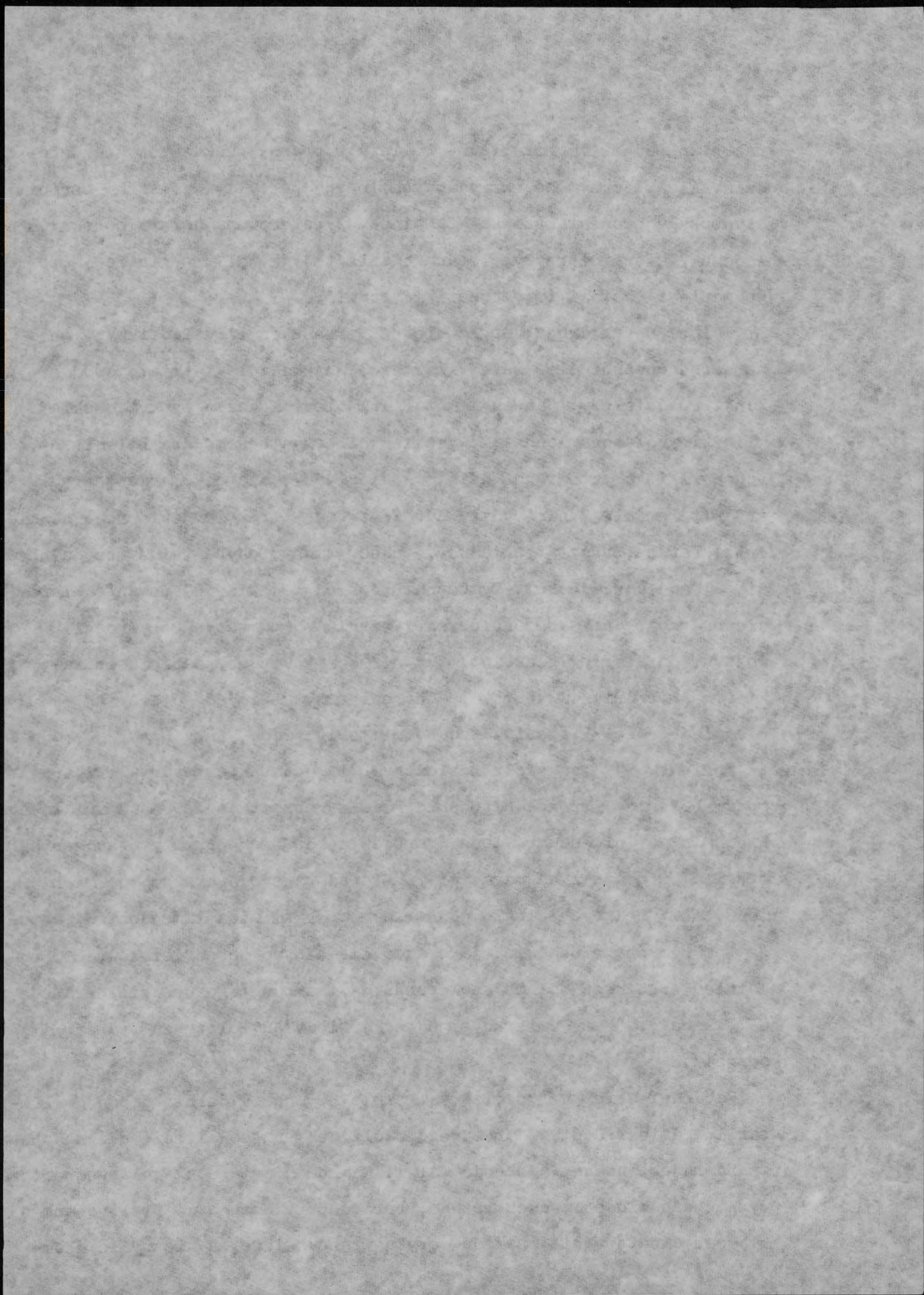


nak było podziwiać przepiękne reliefy z brązu, zlekka pokryte śnieżką. Ale w jednym ze skrzydłowych lewych portali, w niższej części błyszczała złoćista główka "Bambino", wypolerowana ustami pobożnych Włoszek, które wierzyły, że ucałowanie tej główki przyniesie im powodzenie i pozwoli im szczęśliwie rodzić.

Dalsza nasza droga odbyła się bez przeszkód i wysiedliśmy w Modane, miejscowości alpejskiej, w której wojsko polskie miało swój punkt rozdzielczy. Zauważyłem tam znajomego lekarza /z krakowskiej kliniki profesora Rosnera/ wysokiego i przystojnego dra Bolesława Fogonowskiego /który już dziś też nie żyje/, ale chyba nawet nie przywitałem się z nim, gdyż właśnie byłem w trakcie "ewidencjonowania" ^u mnie, bardzo zresztą pobieżnego, choć właśnie chyba tutaj przydałoby się więcej dokładności. Tymczasem później to ewidencjonowanie miało się okazać jedną z zasadniczych i ciągle powtarzanych czynności w wojsku, do którego zdążyłem. ^{Wy}znikało z potrzeby zabicia czasu, którego nie umiano wykorzystać na coś przydatniejszego, czy też z nieumiejętności liczenia, trudno mi powiedzieć.

Nocleg w tym punkcie rozdzielczym miał charakter spartański, na gołym betonie w zimne, alpejskie godziny przedranne. Tu już działało niedbalstwo, nie nasze, lecz francuskie, ów brak prymitywnego zaopatrzenia /mimo pełnych magazynów/, spowodowanego swoistym "je m'en foutyzmem" będących ciągle pod silnym wpływem wina intendentów, a poza tym wyraźną niechęcią, jaką dało się odczuć wobec Polaków, którzy zdaniem znacznego odłamu społeczeństwa francuskiego wpędzili Francję w tę kabałę. "Mamy umierać za Gdańsk? Nigdy!" /Polacy za Francję i owszem/.

Na drugi dzień wyruszyliśmy w około 50 osób w dalszą drogę do Bretanii, gdzie w Coetquidan i jego okolicach znajdowały się główne obozy formujące nasze wojsko do walki. Na komendanta naszego transportu wyznaczono młodego podchorążego, bardzo przyjemnego i inteligentnego chłopca. Niestety nie znał on języka francuskiego, a niezwykle skom-



plikowana podróż, która nas czekała wymagała jednak dobrej orientacji w języku gospodarzy. Jeżeli bowiem połączenia kolejowe we Francji w sensie południkowym były dobre, to jeżdżenie na poprzek tego pięknego kraju wymagało niezwykle licznych przesiadań i trwało niewspółmiernie długo do odległości. Pierwsza zmiana nastąpiła już w Chambery /dawnej stolicy sabaudzkiej/, skąd dostaliśmy się do Lyonu. Tu był dłuższy postój, zaproszono nas do kantyny dworcowej, obsługiwanej przez wytworne panie z Czerwonego Krzyża i przyjęto nas - żywo oczekiwanym - skromnym posiłkiem. Oglądałem przy sposobności propagandowe plakaty na ścianach, tu pierwszy raz widziałem ten, który był najczęściej spotykany: przedstawiał sylwetkę żołnierza francuskiego w hełmie i z karabinem, a napis brzmiał: "Il veille" /on czuwa/. Istotnie teraz już nic więcej się nie działo na owej słynnej linii Maginota. Jeszcze drugi plakat zwrócił mą uwagę, był przeznaczony dla Anglików /na lotnisku pod Lyonem byli też Brytyjczycy/, a widniał na nim duży napis: "Keep your mouth close and your bowels open", tej dowcipnej gry słów nie da się trafnie przetłumaczyć; chodziło o to, by nie zdradzać zbyt dużą rozmownością wiadomości przydatnych szpiegowi i by dbać o... regularne wypróżnienie. Bardzo mi się podobał ten swoisty humor angielski, zwłaszcza w sąsiedztwie patetycznego i w gruncie rzeczy bezsensownego plakatu francuskiego.

Do których pociągów mieliśmy wsiadać, informował nas dyżurny oficer ruchu. Musiałem się tym zajmować, gdyż tylko ja w naszym transporcie mówiłem po francusku. Zygmunt zaś zorganizował szybko chór i wkrótce nasze przedziały rozbrzmiewały wcale harmonijnym śpiewem, ku zdziwieniu otępiałych pasażerów francuskich, którzy widać spodziewali się zobaczyć Polaków raczej podobnych do rozbitków z kampanii 1912 roku, a nie pełnych humoru /pozornego oczywiście/ młodzieńców, jadących celem podjęcia dalszej walki z Niemcami. Nie pamiętam już, jak często musieliśmy przesiadać, ale chyba ze czternaście razy. Dłuższy postój w Bourges wykorzystaliśmy na zwiedzenie pięknej kate-

H on

1 B 5

Zamknięte
napięte

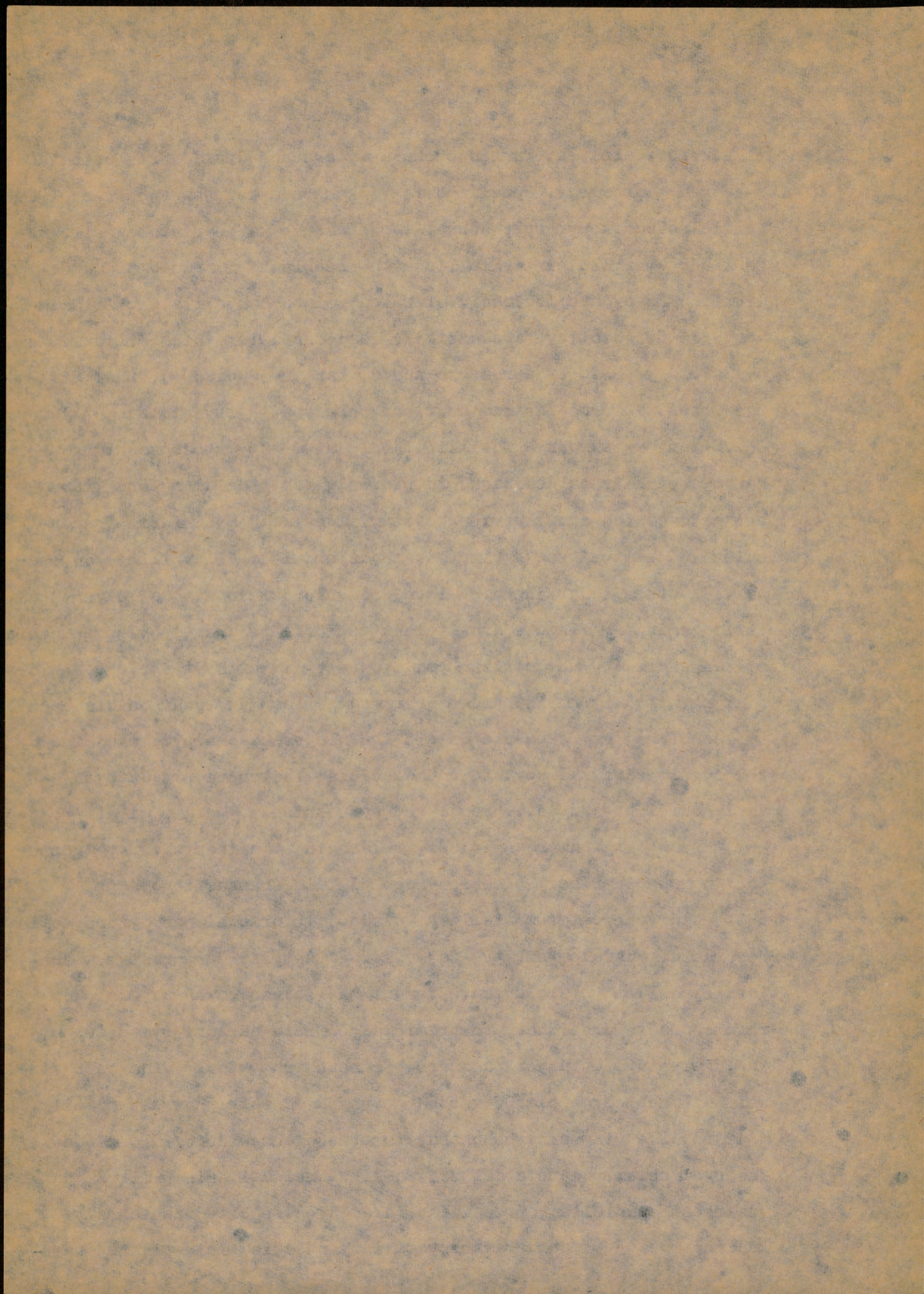
1 a

1 w i

1 do

1 h

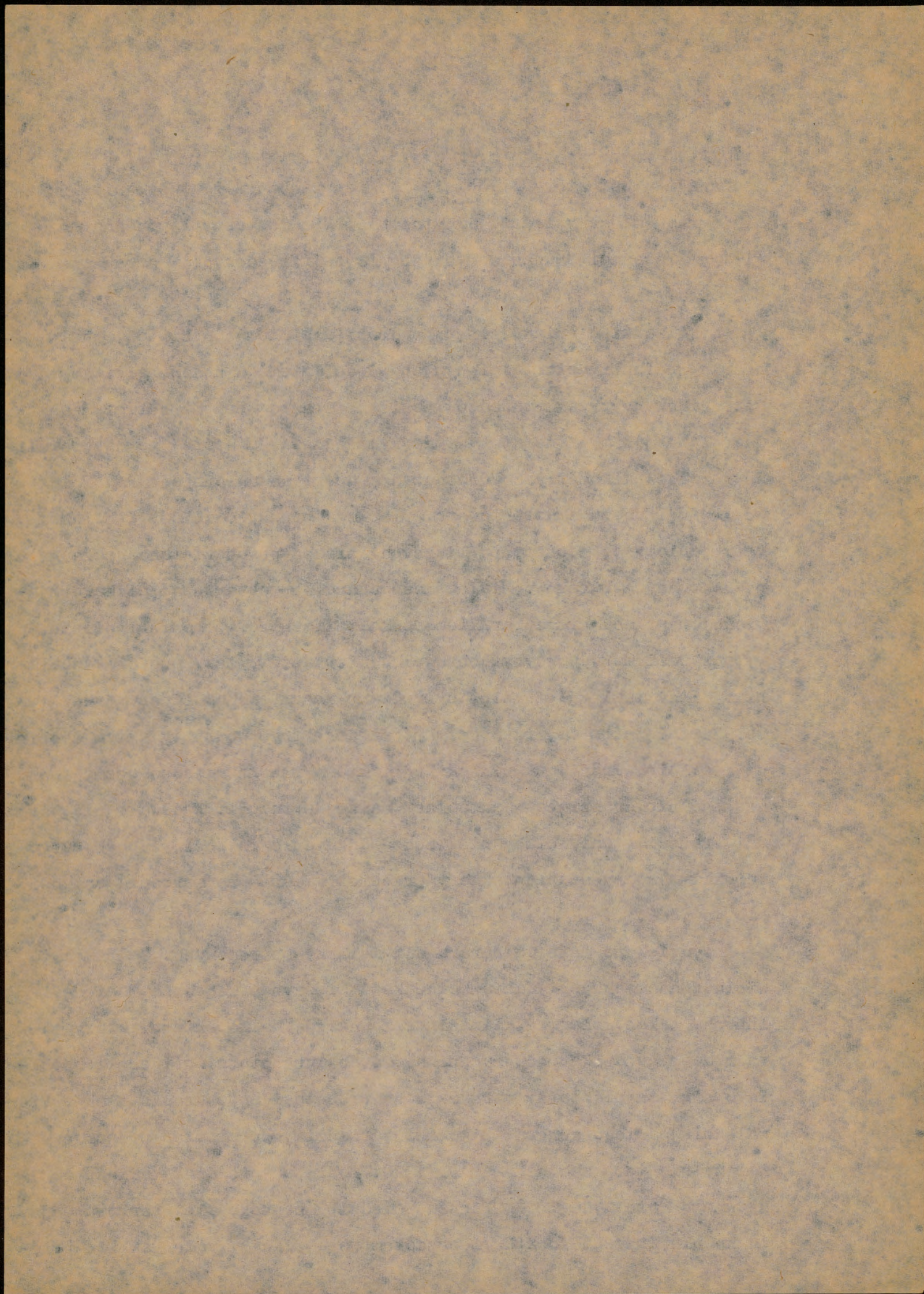
1 a



(W) dry w tym mieście. Kiedyśmy ją już opuszczali, wyszedł nam na przeciw elegancki abbe, który widocznie z okien plebanii zauważył niezwykłą dlań grupę młodych ludzi. Wypytał nas, kto jesteśmy i pożegnał nas pięknymi słowami "Que Dieu Vous benisse et preserve!" /niech was Bóg błogosławi i zachowa/.

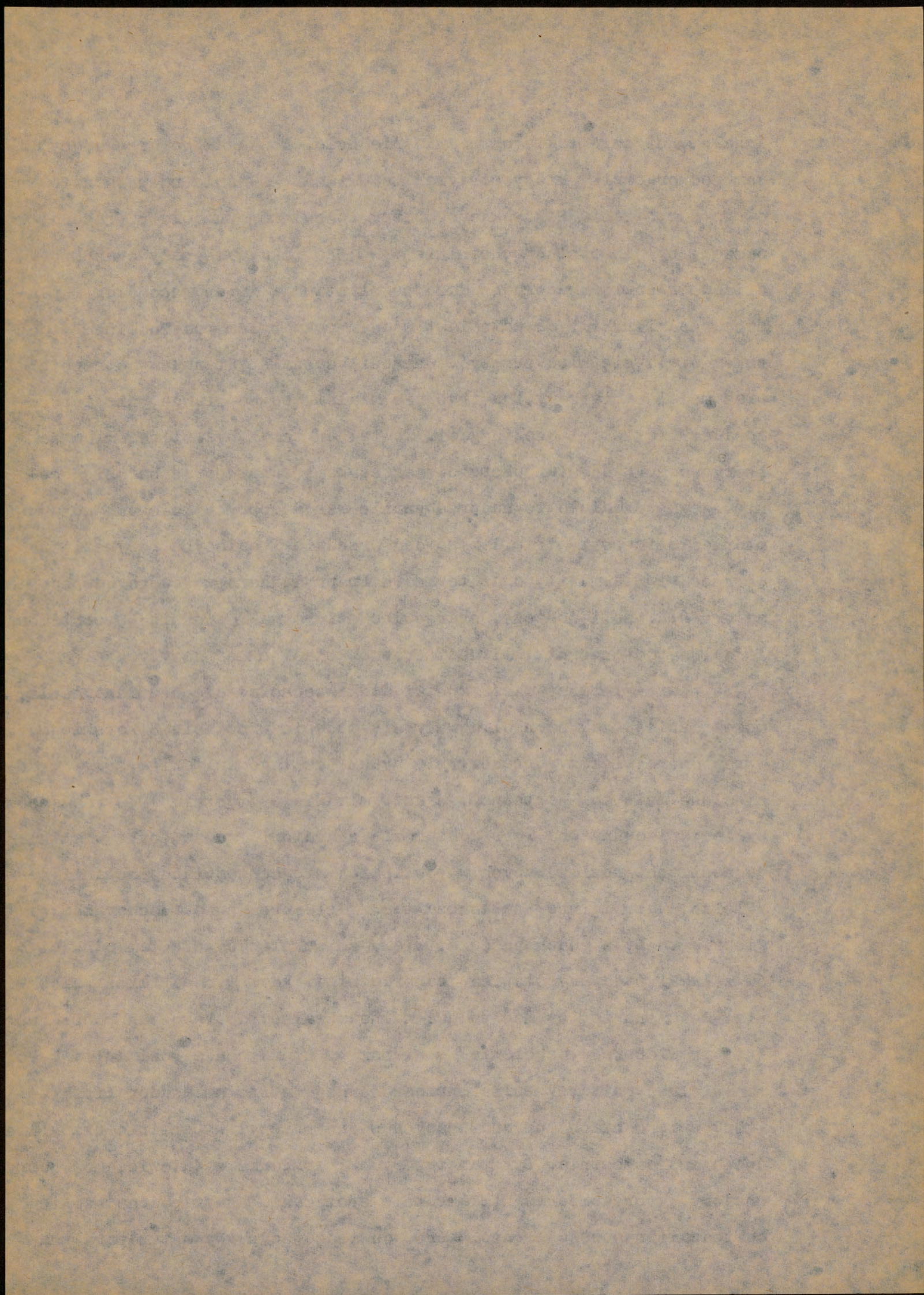
Po kilkudziesięciugodzinnej podróży dobiliśmy do Rennes, już w bramie Bretanii, stamtąd innym znów pociągiem do Redon, gdzie był zorganizowany przez Francuzów posiłek, stamtąd innym pociągiem do Guer i to już była ostatnia stacja kolejowa, z której pomaszerowaliśmy około 4 kilometry do Coëtquidan, owego osławionego wśród Polaków we Francji obozu szkoleniowego. Pierwszą noc spędziliśmy w baraku "przejściowym", poczem, po licznych spisach porozdzielano naszą grupę do różnych baraków. Miałem dość czasu, by obserwować ciekawe zjawisko: na placu przed barakiem czekali liczni oficerowie i pilnie wypatrywali wśród przybyłych swoich sierżantów, tzw. szefów kancelarii. Kiedy taki zjawił się, był witany przez swego oficera jak zbawca. Zapamiętałem to, gdyż cały późniejszy tryb wojskowy w tym obozie opierał się właśnie na biurokracji, która niesła ze sobą bezmyślność, szczególnie drażniącą w aktualnej naszej sytuacji. Wydawało się, że ani Francuzi, ani Polacy nie wiedzą dokładnie co robić, wobec czego uciekli w stary szablon, który przecież właśnie we wrześniu całkowicie zawiódł.

Przydzielono mnie do baraku dla lekarzy szeregowych. Zastałem tu wielu znajomych, np. Kazia Kolaczka z Cieszyna, Tadeusza Magierę i innych, także kolegę z kliniki krakowskiej, Walkowskiego, który paradował z gwiazdką podporucznika. Co do tych stopni oficerskich okazało się, że niektórzy otrzymali je w Coëtquidan w drodze łaski. Niezależnie od tego generał Sikorski zarządził, że stopień podporucznika należy się też ochotnikom z r. 1920. Moje podanie miał zawieźć do sławnego hotelu Regina w Paryżu, siedziby naszego ministerstwa wojny, pułkownik Krzyski /o którym przedtem wspomniałem/, ale jak się prze-



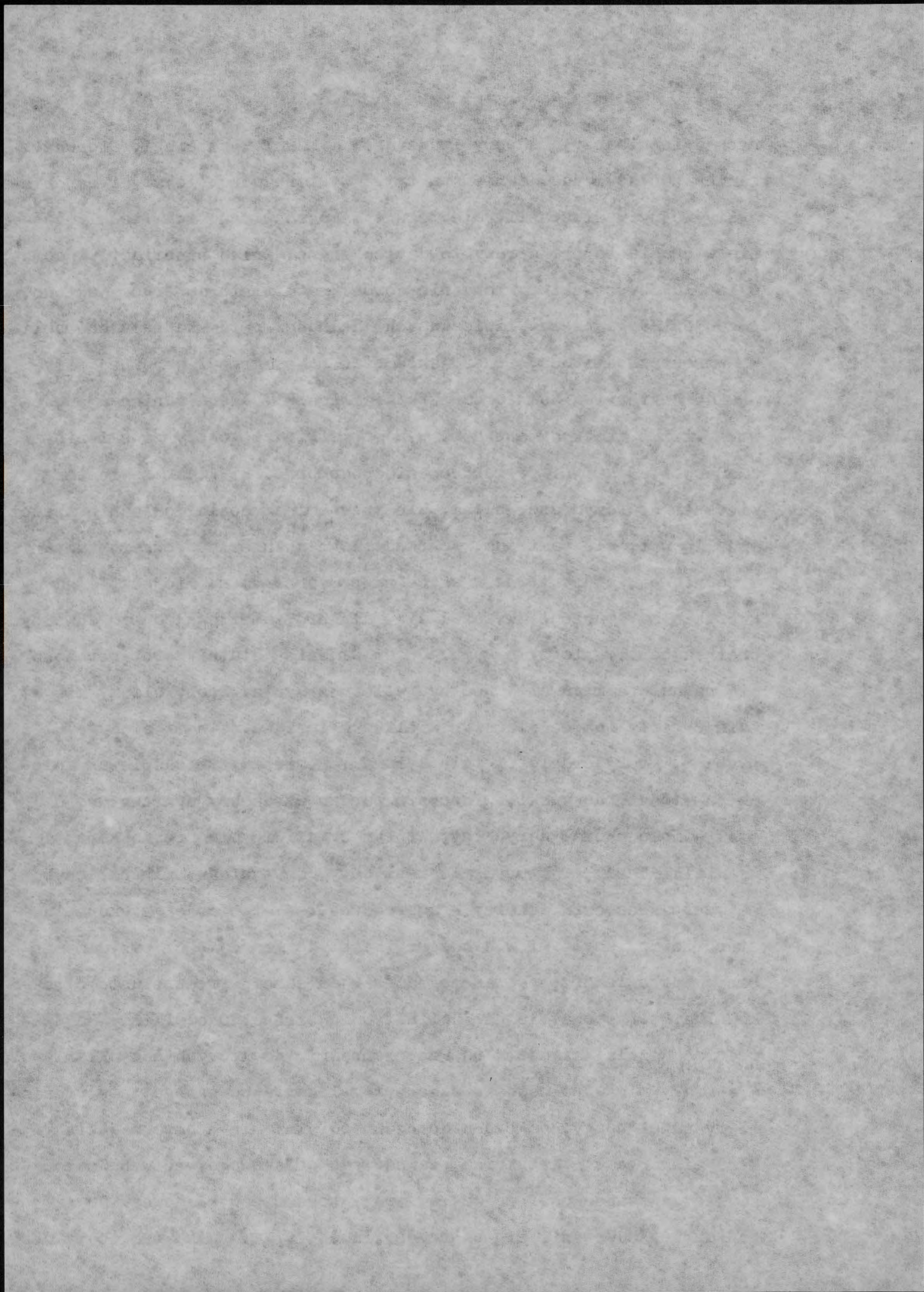
konałem, nigdzie takiego podania nie było. A szukał go urzędujący tam podporucznik, który otrzymał tę gwiazdkę właśnie na podstawie owego zarządzenia Sikorskiego. Dobry to był mój znajomy z Krakowa, owszem, był istotnie "ochotnikiem" w 1920 roku, ale cały czas spędził w Krakowie spacerując dużo po plantach w imponująco długim płaszczu żołnierskim. Ja natomiast w owym roku byłem pod Modlinem i doznałem wielu ciężkich przeżyć. On nosił odznakę "Stanął w potrzebie" oraz medal pamiątkowy, ja tego nie miałem, bo co prawda, nie interesowałem się takimi drobiazgami. To też on teraz był oficerem, a ja szeregowcem. Swoją stan szeregowca zacząłem jednak coraz bardziej cenić, gdyż pozwalało to na przebywanie wśród dobrych kolegów, no a stopień oficerski stracił z powodu września i dalszych perypetii na Węgrzech i w Rumunii, oraz teraz we Francji, dużo ze swego dawnego autorytetu. No i jeszcze, szeregowiec otrzymywał dziennie 50 centimów żołdu, a podporucznik kilkaset franków miesięcznej gaży.

Na pewno pierwszy okres koetkidański cechował się bezplanowością, może później, gdy skonsolidowały się pojęcia w sztabie Sikorskiego, wprowadzono większy porządek, nie byłem już tego świadkiem, gdyż przeniesiono mnie do Parthenay. W każdym razie w styczniu 1940 roku obóz był organizowany na wzór koszar dla rekrutów. Inaczej było w kilku jednostkach, rozlokowanych w pobliskich miejscowościach Bretanii /Plelan, Guer i inne/ zwłaszcza tam, gdzie urządzono podchorążówkę. Ciekawa to była podchorążówka, wielu ze szkolących się tam odrzuciło ów z łaski nadawany stopień podporucznika, gdyż wychodzili z założenia, że są na to, by móc podjąć na nowo walkę: do tego zaś potrzebne jest prawidłowe wyszkolenie żołnierskie, którego nie posiadali; było tam wielu dygnitarzy Polski przedwojennej, m.in. ambasador Lipski, który w tygodniach poprzedzających wojnę przeżył w Berlinie czasy nie do pozazdroszczenia. Był tam też wysoki urzędnik z Katowic, mój dobry znajomy, którego teraz kilkakrotnie spotykałem, gdyż podchorążowie odwiedzali nas dość często. Wśród odwiedzających była też para zna-



nych dziennikarzy, Ksawery Pruszyński i Karol Zbyszewski. Pierwszy z nich zasłużył już dawniej na tytuł wybitnego publicysty i reportażysty wojny w Hiszpanii, ale talent jego rozwinął się w pełni właśnie w czasie wojny, sprawy to dobrze znane. Mniej natomiast wiadomo o Karolu Zbyszewskim, który nie dorósł naturalnie do Pruszyńskiego, rozwojowi jego niewątpliwie dużych zdolności przeszkadzała chorobliwa wprost złośliwość; przez jakiś czas na emigracji wojennej pisywał do "Dziennika Żołnierza" krótkie migawki. Jedna z nich spowodowała wielki gniew sztabowców, w następstwie czego Zbyszewski nie awansował, jak inni po zakończeniu podchorążówki, tak, że został wiecznym starszym szeregowcem. Nie przypominam sobie dokładnie treści tej migawki, ale pamiętam, że chodziło o żołnierza w czasie kampanii wrześniowej, który trwał w walce na powierzonym mu miejscu, a gdy zabrakło mu amunicji, wycofał się, ale nie zameldował o tym dowódcy odcinka bo... nie było komu. O ten właśnie ostatni zwrot obrażono się na autora migawki, choć był wzięty z życia. Spotykaliśmy się w kafejce przy lampce wina lub kieliszku koniaku. Z nami siadywał też Zygmunt, który ciągle chętnie śpiewał. Pamiętam, że zaśpiewał kolędę, a wtedy Pruszyński, widocznie bardzo wzruszony oparł głowę o stół - może chciał ukryć łzy, którym by dziwić się nie można.

Wielki barak, w którym mieszkaliśmy w Coëtquidan, mieścił chyba ze sześćdziesięciu lekarzy - szeregowców. A więc moje przekonanie, które towarzyszyło mi w drodze z Polski do Francji, że przydam się bardzo jako lekarz, podważone już w Budapeszcie przez tłustego pułkownika, teraz okazało się definitywnie błędne. Chodziliśmy na "ćwiczenia" jeżeli tak można nazwać czynności, do których nas skłaniano. Nie miały nic wspólnego ze szkoleniem lekarza wojennego, nie widzieliśmy nawet noszy, od czasu do czasu odbywał się w baraku jakiś "wykład" lekarza czy aptekarza, zawodowego wojskowego, co wzbudzało zwykle dużo wesołości ze względu na ignorancję wykładowcy lub na jego zupełne oderwanie się od rzeczywistości. Np. pułkownik, były szef

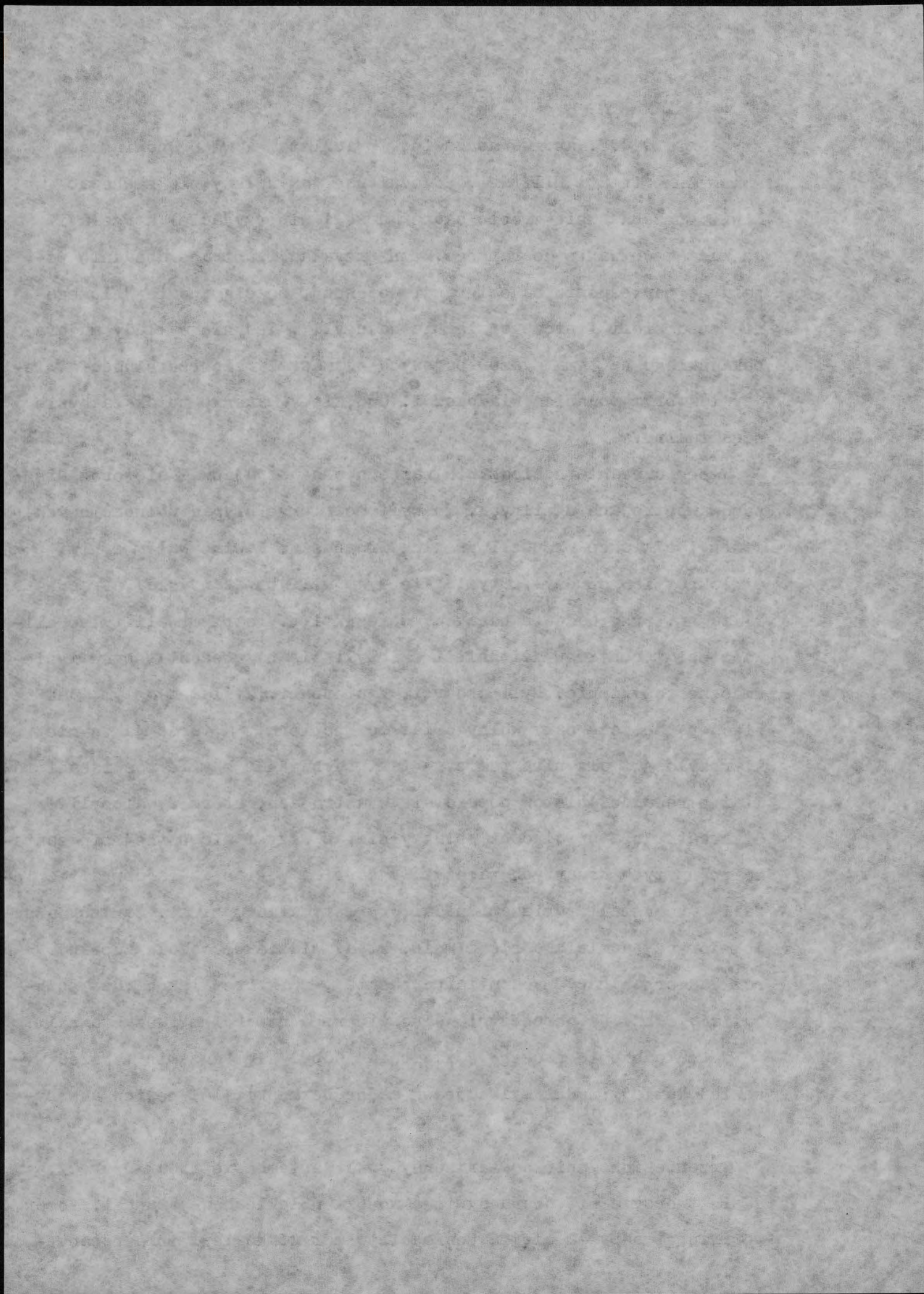


szkolenia w C.W.San. w Warszawie, legionista, a więc obowiązkowo z Krzyżem Virtuti Militari, pouczał nas jak należy się zachować w linii: trzeba sobie zrobić okopek jeżeli nieprzyjaciel strzela i czekać na wezwanie do rannego. Ten przykład ilustruje dosadnie popularne powiedzenie na emigracji wojennej, że ci panowie "niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli". Jedynie wykłady majora Dekańskiego na temat gazów bojowych odznaczały się rzetelnością wiedzy i dobrym podaniem wiadomości, Cóż, kiedy właśnie to okazało się nieaktualne.

W bezpośrednim sąsiedztwie naszego obozu znajdował się obóz Hiszpanów w strojach cywilnych. To byli żołnierze brygad wolnościowych, którzy po klęsce przeszli granicę francuską. Nawiązywałem z nimi wielokrotnie rozmowy /z tymi, którzy mówili po francusku/. Pracowali tu np. przy budowie baraków, ścieżek itp., otrzymywali tylko kilkadziesiąt centimów dziennie i skarżyli się na niedostateczne i niesmaczne pożywienie. Byli obdarci, zaniedbani. Myślałem o tym, jak niedawno jeszcze cały wolny świat ich popierał, a teraz jakoś nie starczyło już dla nich pomocy - taki chyba jest zwykle los idealistów. Iluż z rewolucjonistów ostało się w ustrojach, które wywalczyli? Szkarłatną szatę wolności oblażył nieraz wszy i nic z niej nie zostało prócz tych nażartych pasożytów. "Arriba parias de la terra!" śpiewali i pozostali pariasami nadal, wyklętym ludem ziemi. Bardzo dużo ich gorczy udzielało się i mnie, kiedy widziałem dokoła zupełny rozkład organizacyjny armii francuskiej, na której tak bardzo polegaliśmy, jako na obrończyni wolności przed natarciem faszystowskim.

Na zakończenie naszego "szkolenia" odbył się "egzamin". Wśród wysokiej komisji nadal tylko jeden major Dekański miał pewien autorytet.

Przeniesiono mnie do Parthenay /w departamencie Deux-Sèvres/, gdzie tworzyła się druga dywizja wojska polskiego we Francji. Pobór we Francji odbywał się za pośrednictwem tzw. komisji inkorporacyj-

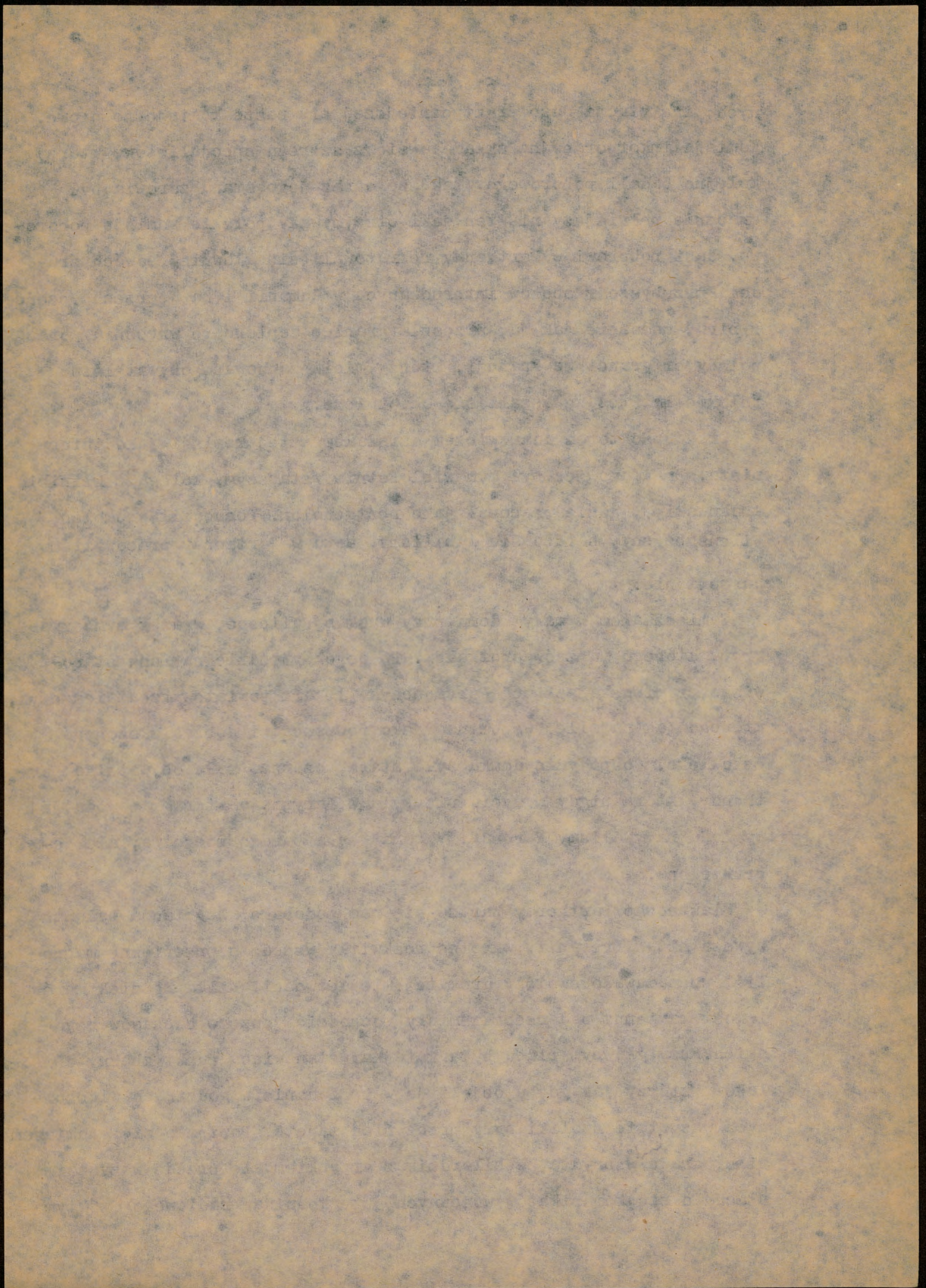


nych, instytucji dużo praktyczniejszej niż nasze komisje poborowe. Komisja inkorporacyjna składała się z szeregu specjalistów, którzy kolejno badali poborowego, tak, że obraz jego stanu zdrowia był znacznie pełniejszy niż ten jaki otrzymywały polskie komisje poborowe. Nasi poborowi w Parthenay rekrutowali się głównie z dwóch źródeł: przybysze z obozów internowanych w Rumunii i na Węgrzech /część z nich, podobnie jak ja, przeszła granicę dopiero po wrześniu/ oraz polscy emigranci we Francji, którzy mieli zachowane obywatelstwo polskie lub też zgłaszali się ochotniczo.

Wraz z doktorem Adamowiczem działałem w tej komisji jako internista. Dr Adamowicz był mym wieloletnim /starszym/ kolegą z kliniki krakowskiej, gdzie pracował jako rentgenolog. Pochodził z okolic Wileńszczyzny, bardzo się lubiliśmy, a tu w Parthenay pracowaliśmy harmonijnie.

Zamieszkałem w małym domu przy wąskiej uliczce, wraz z mym szwagrem, którego tu znów spotkałem. Po jego wyjeździe na inne stanowisko, zamieszkał ze mną Parymończyk, lekarz powiatowy ze Zaleszczyk, którego jak najmilej wspominam jako poważnego i dobrze ułożonego człowieka. Gospodynią domku była stara, czarna, mała obywatelka Parthenay, która nigdy w życiu nie była w Paryżu, a którą z powodu jej wyglądu nazywaliśmy "Wrona". "Wrona" była bardzo poczciwa, ale ograniczona.

Miasteczko Parthenay bardzo się nam podobało, wegetacja była tu żywsza niż w Bretanii, wkrótce rozkwitły wszędzie przepiękne magnolie, co nadawało swoisty urok tej miejscowości. Kilka resztek murów i most kamienny nad rzeczką miały pochodzić jeszcze z czasów rzymskich. Przy głównym placu była kafejka, stanowiąca punkt zborny dla Polaków, którzy jak gdyby objęli ją w posiadanie. W godzinach wieczornych wszystkie stoliki były przez nich zajęte. Popijało się z umiarem wino, grało w brydża, w bilardzik z grzybkiem, ale przede wszystkim słuchało się komunikatów wojennych z głośnika radiowego w tym



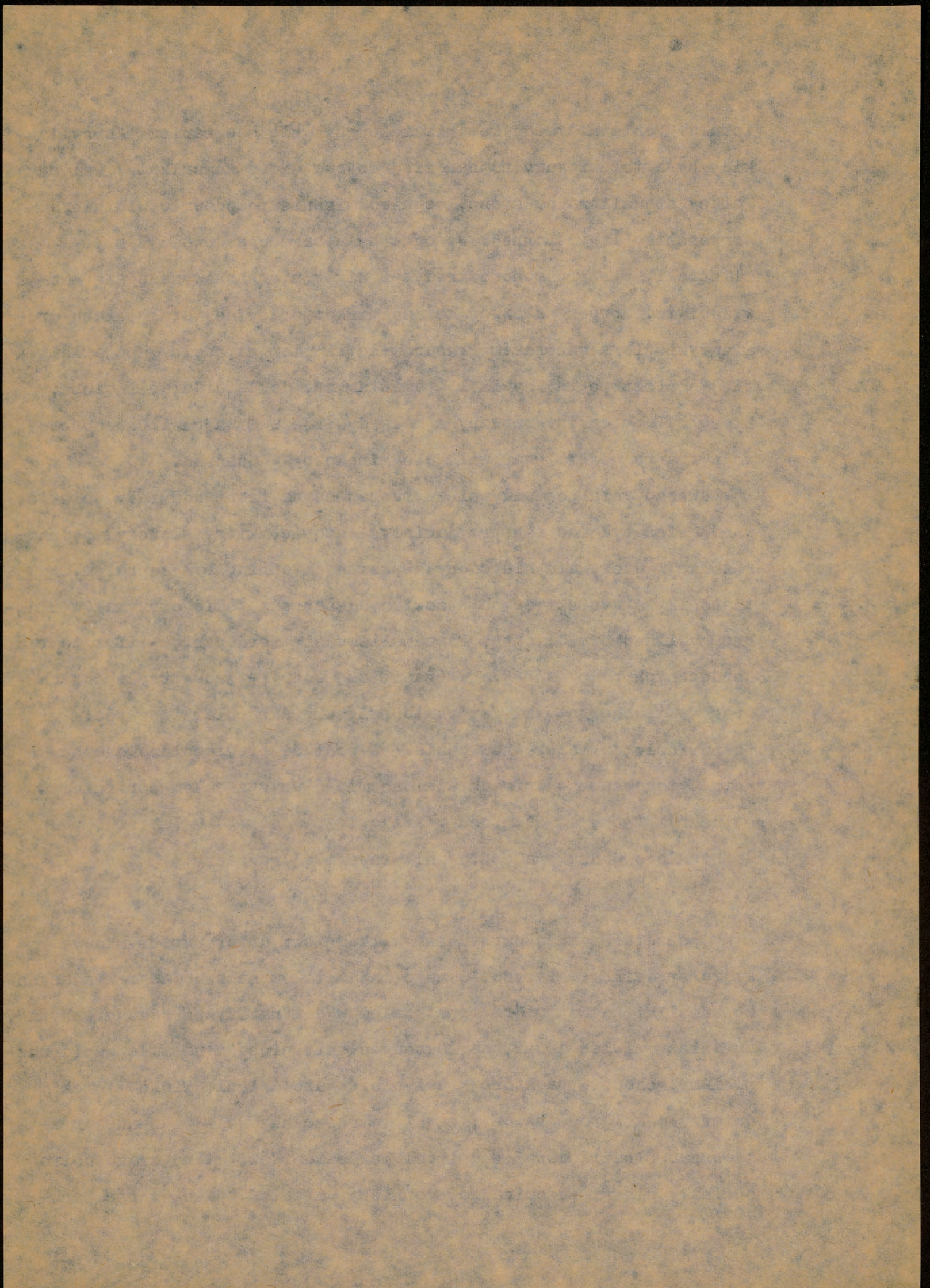
lokalu. Ponieważ każdy komunikat kończył się odegraniem "Marsylianki" /była to z reguły najbardziej bojowa część komunikatu/ wszyscy Polacy stawali na baczność, co nieodmiennie powodowało wielkie wzruszenie "la patronne". Na ogół była bardzo zadowolona z tej klienteli, nie proszono o kredyt i nigdy nie zachowywano się niewłaściwie. Oprócz członków komisji inkorporacyjnej oraz sztabu drugiej dywizji /z generałem Prugarem-Ketlingiem na czele/, pojawiali się też lekarze tej dywizji, pamiętam np. doktora Gardzilewicza, który był potem internowany z całą dywizją w Szwajcarii do końca wojny, a po wojnie pracował jako ginekolog w Gdańsku.

Pewnego dnia pojawiły się wyruszające na front oddziały polskie, wśród nich był też mój przyjaciel z Katowic, który skończył podchorążówkę w Guer, ale nie zdobył wyższego stopnia, był kapralem, za to nosił wstążeczki swych wysokich odznaczeń, jakie otrzymał w służbie cywilnej przed wojną. Pożegnaliśmy się serdecznie - ileż to tak serdecznych pożegnań było w czasie tej wojny - zaopatrzyłem go na drogę w trochę gotówki /którą to pożyczkę skrupulatnie zwrócił mi po powrocie do Polski po wojnie - w postaci pięciodolarowego banknotu, tego samego dnia ukradziono mi go wraz z całym portfelem w sztucznym tłoku do autobusu w Krakowie/.

Niedługo jednak nadeszły dni prawdziwej rozpacz.

+ + +

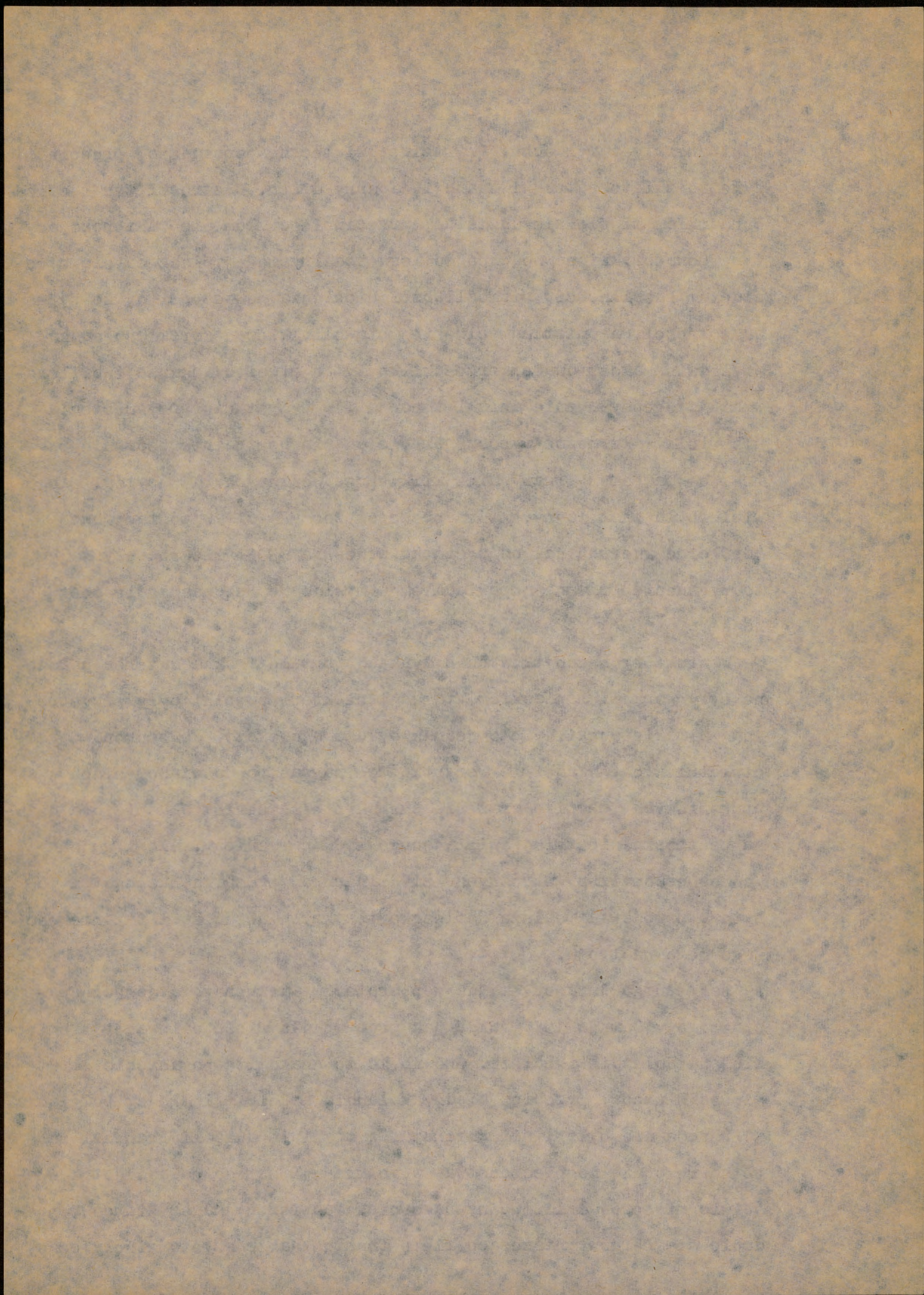
Z początkiem maja otrzymałem kilkudniowy urlop wypoczynkowy, który spędziłem w Paryżu. Ósmego maja stałem na schodach, wiodących do bazyliki na Montmartre i patrzyłem w dół na słynne "dachy Paryża", na świeżą zielenią drzew, na łagodny błękit nieba i na małą esplanadę poniżej schodów, na której bawiło się dużo dzieci, wiele z nich dzierżyło kolorowe balony, często wypuszczają je w wiosenne przestworza. Śledziłem wraz z dziećmi lot baloników, które zrazu ostro odcinały się ^{od/}niezapominajkowego nieba, a potem, jako czarne punk-



ciki znikają nam z oczu. Prawdziwe świąteczne popołudnie, przecież było to święto patronki Francji, Joanny d'Arc. Bez troski ten nastrój bynajmniej mi się nie udzielał, przeciwnie czułem się zaniepokojony tym spokojem. Niepewność co do losu rodziny mojej, łącząca się z poczuciem bezsilności, niemożliwości niesienia pomocy, mimo, że żyję na wolności, a oni tam w ciężkiej niewoli, której gorzkiego smaku ja ledwie zakosztowałem przez kilka tylko miesięcy okupacji hitlerowskiej, dręczyła mnie dniami i nocami. W tym stanie przygnębienia nie wiele mógł pomóc "wypoczynek", choć nie bez zainteresowania patrzyłem na Paryż, znany mi z kilku przedwojennych tu pobytów. Nie wiele było znać wojny, która przecież toczyła się w postaci owej "drôle de guerre" już od początku września 1939. Ilekroć słyszałem to wyrażenie, zawsze odpowiadałem w myślach - "ce pas drôle chez nous!" .

W niektórych zabytkowych budynkach portale i okna suterren obłożone były workami z piaskiem, także i niektóre pomniki były przystrojone w takie worki. Mało jednak było drogowskazów do schronów przeciwlotniczych. Właściwie wszystko to, na nas po doświadczeniach wrześniowych, czyniło wrażenie czegoś nie na serio. Właśnie owa dziwna bez troska nie tylko świętującego ludu paryskiego, ale i wojska /co obserwowaliśmy w różnych dziedzinach od początku naszego tu pobytu/, powodowała dalszą domieszkę przykrych uczuć do i tak niewesołego mego nastroju.

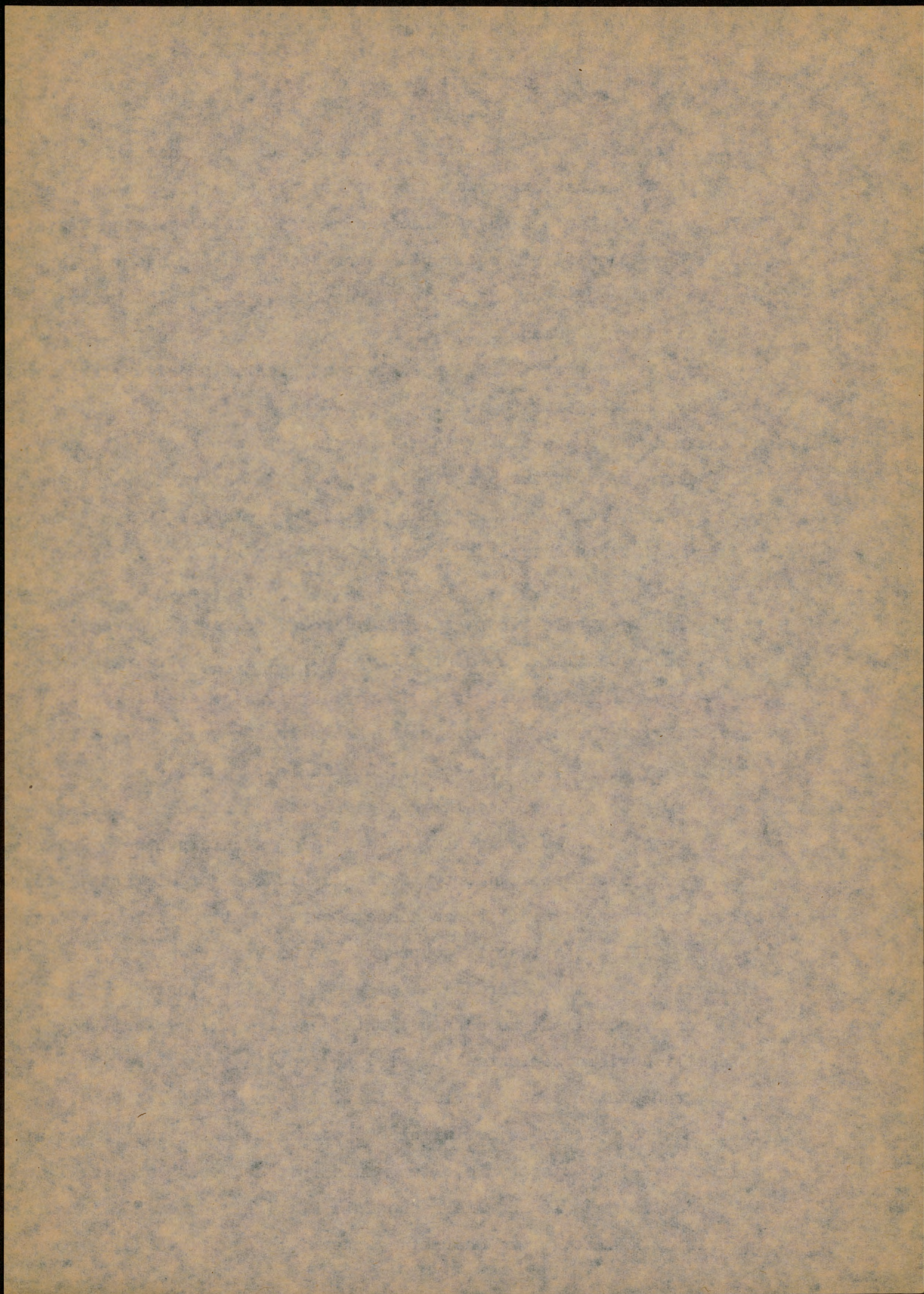
Następnego dnia byłem już z powrotem w Parthenay, a jeszcze następnego, 10 maja 1940 roku, jak grom spadła wieść o inwazji niemieckiej na Holandię i Belgię. Znowu było to znakomite posunięcie strategiczne Niemców: przecież między Holandią a Belgią i między Belgią a Francją nie było linii Maginota! A tę linię uważali Francuzi za pełną rękojmię bezpieczeństwa swego kraju i z tego powodu dotąd właściwie nie prowadzili wojny na serio. Pospieszny marsz Niemców, podanie się Belgów, niszczące linię frontu /jakoż szybko minęły czasy



króla Alberta I ! /, Dunkierka - te wiadomości, jak uderzenie obuchem spadały na nas, rozrywając w strzępy nasze największe nadzieje. Mało powiedzieć że z każdym dniem, bo raczej z każdą godziną wszystko, na czym budowaliśmy możliwość oswobodzenia naszej ojczyzny spod okrutnej okupacji, rozpadało się w gruzy. A wzmagająca wielokrotnie nasze cierpienia świadomość, jak strasznym ciosem było to dla naszego kraju, gdzie przecież żywienie tych nadzieji, to jedyna iskierka pociechy, która teraz zagasła.

W Parthenay pracowaliśmy nadal w komisji inkorporacyjnej, napływ ludzi do naszego wojska był ciągle duży. Ale na drogach, wiodących na Południe, poczęły już pojawiać się samochody z Belgii i z Północnej Francji z uchodźcami, znany nam z września widok, choć ucieczka nie przybierała jeszcze tak masowych rozmiarów. Wysłuchiwanie komunikatów radiowych było teraz prawdziwą udręką. Wezwanie starych i nowych wodzów /Gamelina, a później Weyganda/ kryły w sobie nutę rozpaczy i rezygnacji. Nigdzie armia francuska nie stawiała większego oporu. Ciągłe słyszało się o tym, że "żołnierze rzucają broń i idą do domu". Cały kraj był w bezwładzie, bezładzie i rozkładzie.

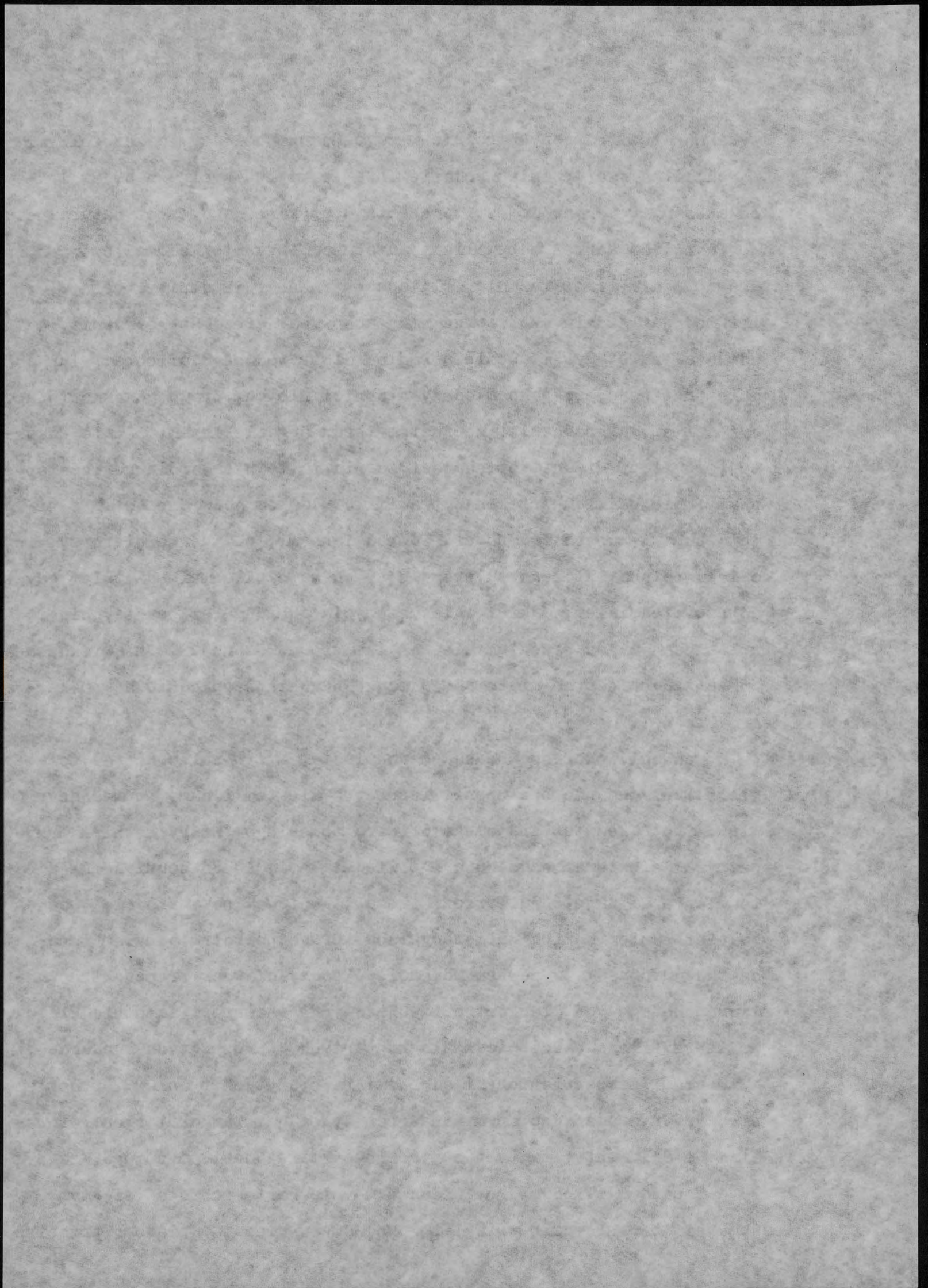
Miałem próbkę tego wszystkiego, gdy dostałem polecenie odwiezienia chorego umysłowo porucznika do szpitala psychiatrycznego w Nantes. Otrzymałem potrzebne dokumenty od francuskiego majora-lekarza, który był rodzajem szefa sanitarnego naszego okręgu; nie obeszło się przy tym bez śmiesznej sytuacji: podpisywał dokumenty prawą ręką, lewą zaś wyciągnął w moim kierunku. W pierwszej chwili nie zrozumiałem tego gestu, sądziłem, że chce ode mnie jeszcze jakichś legitymacji, po chwili dopiero zorientowałem się, że jest to praktykowany nieraz przez Francuzów sposób podania ręki, tymczasem major, którego ręka zawisła w powietrzu, ze zdziwieniem spojrzał na mnie, gdy ja właśnie, połapawszy się w zaszczycie, który mnie spotkał, podjąłem jego lewą rękę również moją lewicą dla zachowania symetrii. Wspominam ten drobny epizodzik dlatego, że charakteryzuje nieporozumienia jakie mogą



wyniknąć też z drobnych różnic w zwyczajach pomiędzy poszczególnymi narodami. U nas przecież podanie lewej ręki uważa się za objaw lekceważenia, we Francji jest to często spotykane jako rzecz naturalna.

Podróż do Nantes odbywaliśmy autobusem, było to koło 15 czerwca, droga wiodła przez Turenję, "la douce France", istotnie uroczą w letniej już szacie. Mój porucznik zachowywał się dość poprawnie, zdradzał nawet myśli, wcale normalne dla zawodowego oficera: miał do mnie pretensje, że jako młodszy stopniem nie mam prawa go eskortować. Wyjaśniłem mu grzecznie, że jestem teraz jego lekarzem, że nie eskortuję go, lecz się nim opiekuję i że nie ma to nic wspólnego ze stopniami. Nie całkiem przekonany zamilkł. Oddałem go w Nantes do szpitala bez większych trudności. Powiedziano mi, że to nie pierwszy oficer polski, którego tu przyjmują, co napełniło mnie smutkiem, gdyż dobrze wiedziałem, jak ciężkie przeżycia odbijają się na psychice, zwłaszcza już od przedtem nie całkiem zrównoważonej. To zjawisko zaburzeń psychicznych miało się jeszcze bardziej zaakcentować po klęsce Francji.

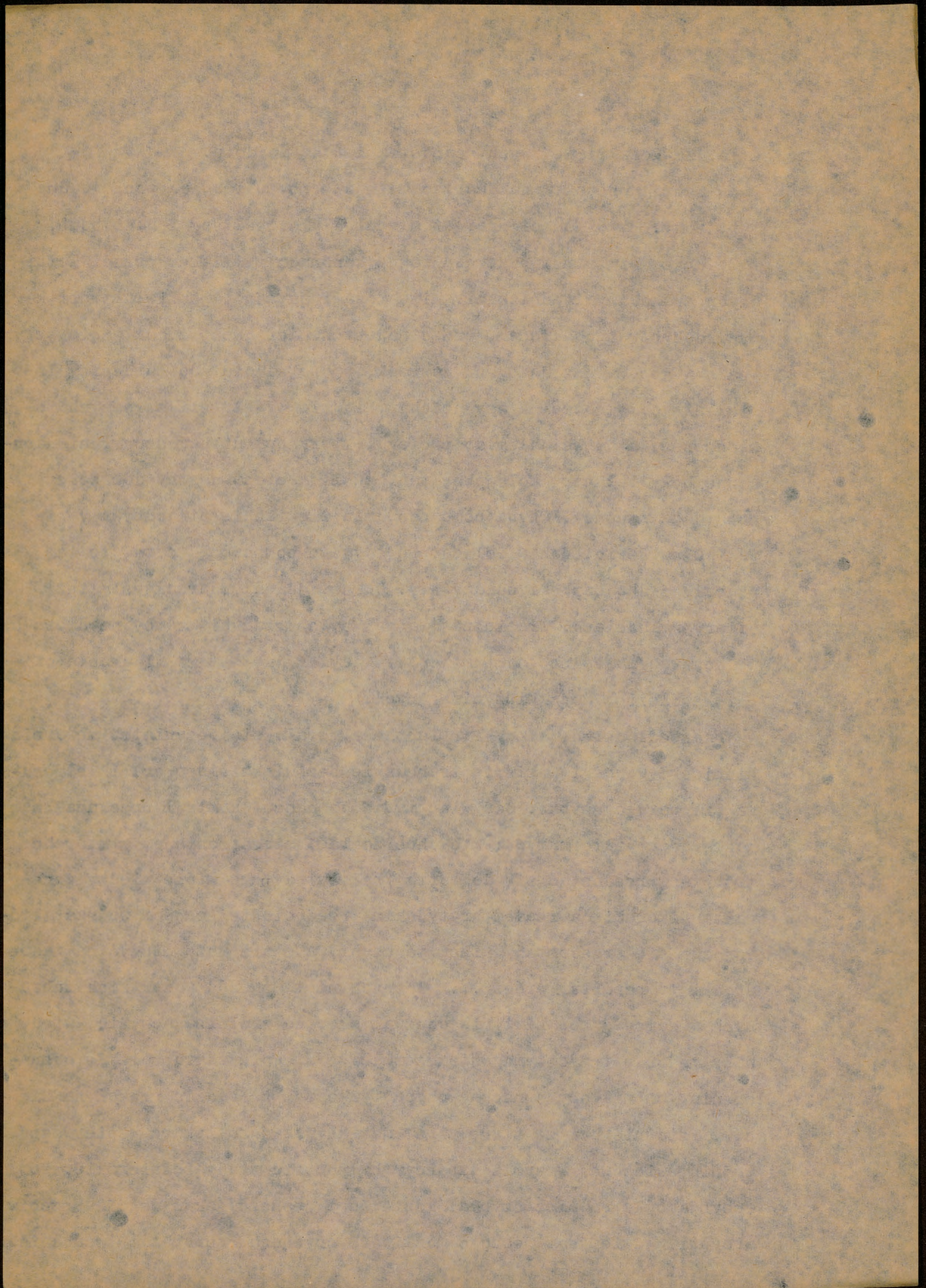
Po oddaniu chorego poszedłem do miasta, które roiło się od żołnierzy, przeważnie bez broni, kręcących się tam i sam, popijających wino. Spotkałem też znajomego oficera polskiego, który również przypatrywał się temu bezhołowi i powiedział mi, że Francuzi uważają to miasto za zajęte już przez Niemców, ponieważ pokazało się dwóch żołnierzy niemieckich na motocyklach. Drogę powrotną odbyłem z początku autobusem, w pewnym momencie wkroczyło dwóch francuskich żandarmów wojskowych dla kontroli wojskowych pasażerów. Istotnie kilku żołnierzy francuskich siedziało rozpartych, w rozpiętych mundurach, z twarzami zaczerwienionymi od nadmiaru spożytych trunków. Oprócz nich jedynym umundurowanym pasażerem byłem ja. Żandarmi skontrolowali moje dokumenty, tarych o nic nie pytali. Wnosiłem z tego, że był to dla żandarmów codzienny widok i że nie warto zajmować się tym, skąd ci wojownicy się wzięli i dokąd się wybierają. Wiadomo przecież



było, że uciekli ze swych jednostek i jada do domu.

W Tours poszedłem na dworzec kolejowy, by wsiąść do pociągu do Parthenay. Było już ciemno. Wtem rozległy się świsty i huki bomb, tak dobrze mi znane, oraz gwałtowna kanonada z działek przeciwlotniczych znakowanymi pociskami. Mimo powagi sytuacji podziwiałem piękny widok barwnych kresek, przecinających ciemności, zresztą nie szły wcale w górę, lecz jakby na poprzek, może samolot bombardujący leciał nisko. Wkrótce hałasy ucichły, ludzie wypełznięli z różnych pomieszczeń, a ja wsiadłem do pociągu, który był nienaruszony, nienaruszone były też tory kolejowe, tak, że i ja nienaruszony dobrnąłem nocą do Parthenay. Chyba bombardowania niemieckie nie odbywały się tu tak na serio, jak w Polsce. Pojedyncze bombowce, to tu, to tam rzucały jedną bombę i odlatywały. Czasem jednak zdarzały się też ofiary w ludziach. Tragiczne dla nas było zrzucenie bomby na dworzec w Thouars /na Północ od Parthenay/, gdyż zginęło tam kilkunastu oficerów polskich wojsk inżynieryjnych.

Nadszedł dzień, kiedy i w Parthenay stało się oczywiste, że armia niemiecka wchodzi w ziemie francuskie bez większego oporu i że posuwa się bardzo szybko. Cóż więc my? Wódz naszej komisji przekazał nam następującą alternatywę: kto chce zostać, niech zostaje, a kto chce próbować przedostać się do portu /było wtedy uzgodnione między generałem Sikorskim a rządem brytyjskim przejęcie tej części wojska, której uda się przedostać/ niech to czyni, ale nie może liczyć na żadne środki transportu, prócz ... własnych nóg. Spośród wszystkich zebranych w salce jakoś nikt nie odezwał się, co zamierza uczynić, wtedy nasz major patetycznym gestem zerwał ze swego munduru polskie odznaczenia, co miałoby oznaczać chyba tylko to, że będzie czekał na Niemców. Istotnie był za stary /brał udział już jako lekarz w pierwszej wojnie światowej w armii zaborcy/ by ponosić trudy żołnierskie. Moja decyzja była również szybka: gdzie jest jeszcze jakaś ostoja przeciw wrogowi, gdzie jest jeszcze możliwość czynnego oporu, tam trzeba iść.



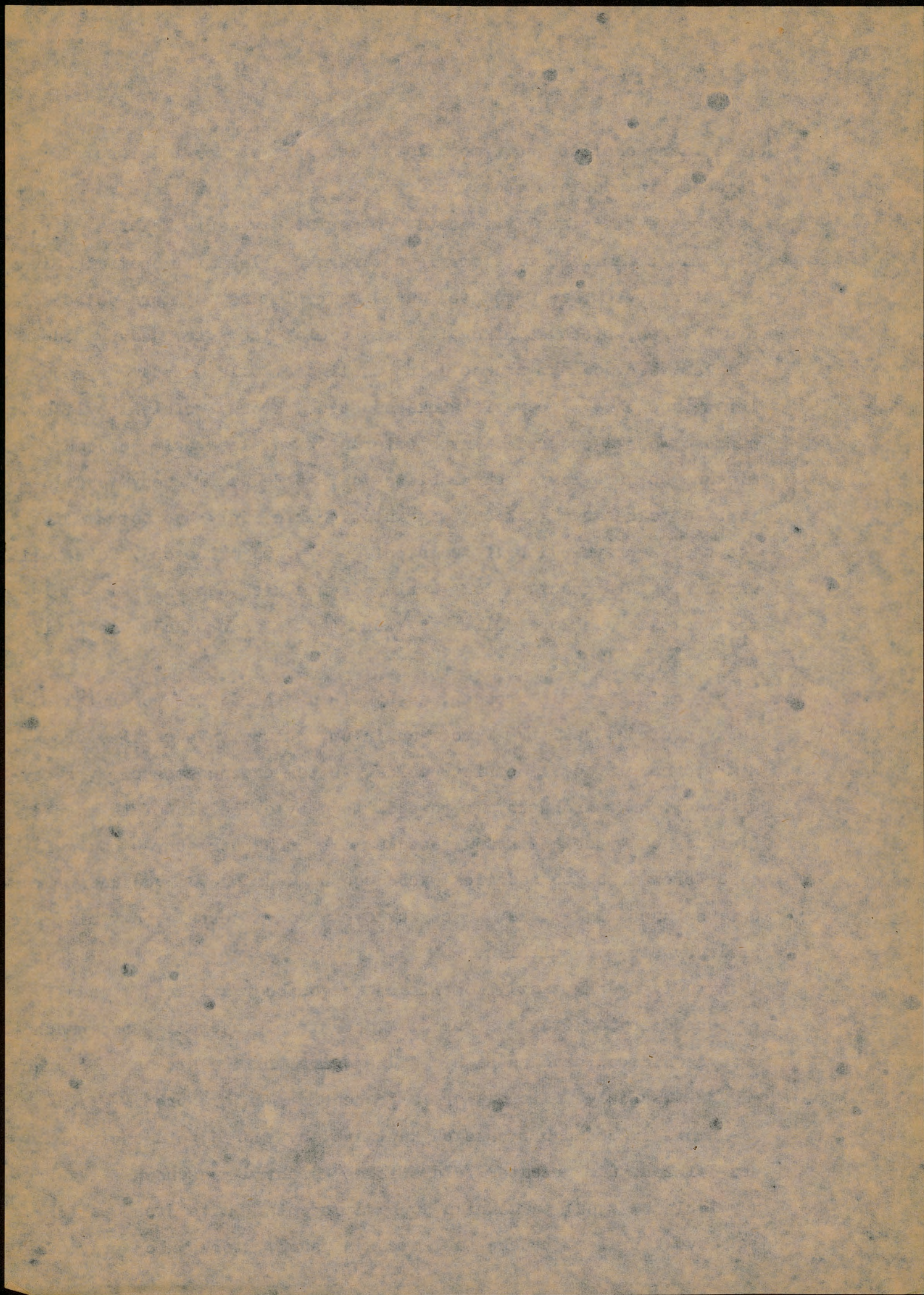
Inna ważna okoliczność wzmocniła mą decyzję: oto powiedziano, że formuje się oddział wojska, który /pod dowództwem pułkownika Ruchaja/ będzie się starał przedostać do portu. Czy macie lekarza? Nie. Więc idę z wami. Postarałem się o skrzynkę z lekami i opatrunkami. Zdziwiony byłem, że wśród tej dużej grupy lekarzy z którą dotąd przebywałem, nie było nikogo, kto by chciał iść z tym jedynym oddziałem zdecydowanym szukać dalej możliwości walki z podwójnym już teraz najeżdżcą. Wprawdzie większość tych, którzy wcieleni byli do naszego wojska spośród dawnych emigrantów wolała wrócić do domu, miotana obawą o los swych najbliższych, to jednak w naszym oddzialeku była także grupa takich emigrantów. Jakie mogły być motywy ich decyzji? Z przysięgi byli zwolnieni po tym, co ogłoszono. Może byli wśród nich nieżonaci, a może w niejednym z nich odezwała się zaciętość polskiego chłopca, Ślimaka, który tak łatwo nie daje Niemcowi za wygraną.

Nie dziwiłbym się zresztą, gdyby wielu spośród nich ogarniał podobny nastrój, jaki był i moim udziałem, dziwny, nie całkiem zrozumiały, energia, omal że nie wesołość, w tak czarnej przecież rzeczywistości. Na pewno jednym z powodów tego było, że właściwie po raz pierwszy od wyjścia z kraju poczułem się znów potrzebny w swoim fachu. Wbrew temu, co sądziłem wychodząc na wędrowkę do wojska we Francji, sytuacja była taka, że czy byłbym w danym zespole, czy nie, niewiele by się tam zmieniło.

A tu tymczasem zaszły komplikacje z gospodarzami kraju: żądali, by odchodzący oddział zdał broń. Widocznie nie chcieli wobec nadchodzących Niemców brać na siebie żadnej winy. Działo się to 19 czerwca, gdy już wszędzie milionowa armia francuska składała broń.

Namówiłem jednego z naszych kapitanów by zabrać potajemnie dwa przydzielone nam przedtem /dla ćwiczeń/ karabiny maszynowe i tak rzeczywiście za zgodą pułkownika Ruchaja uczynił. Nadto sformowaliśmy z jednym kapralem, trochę już starszym panem, który jakoś przypadk

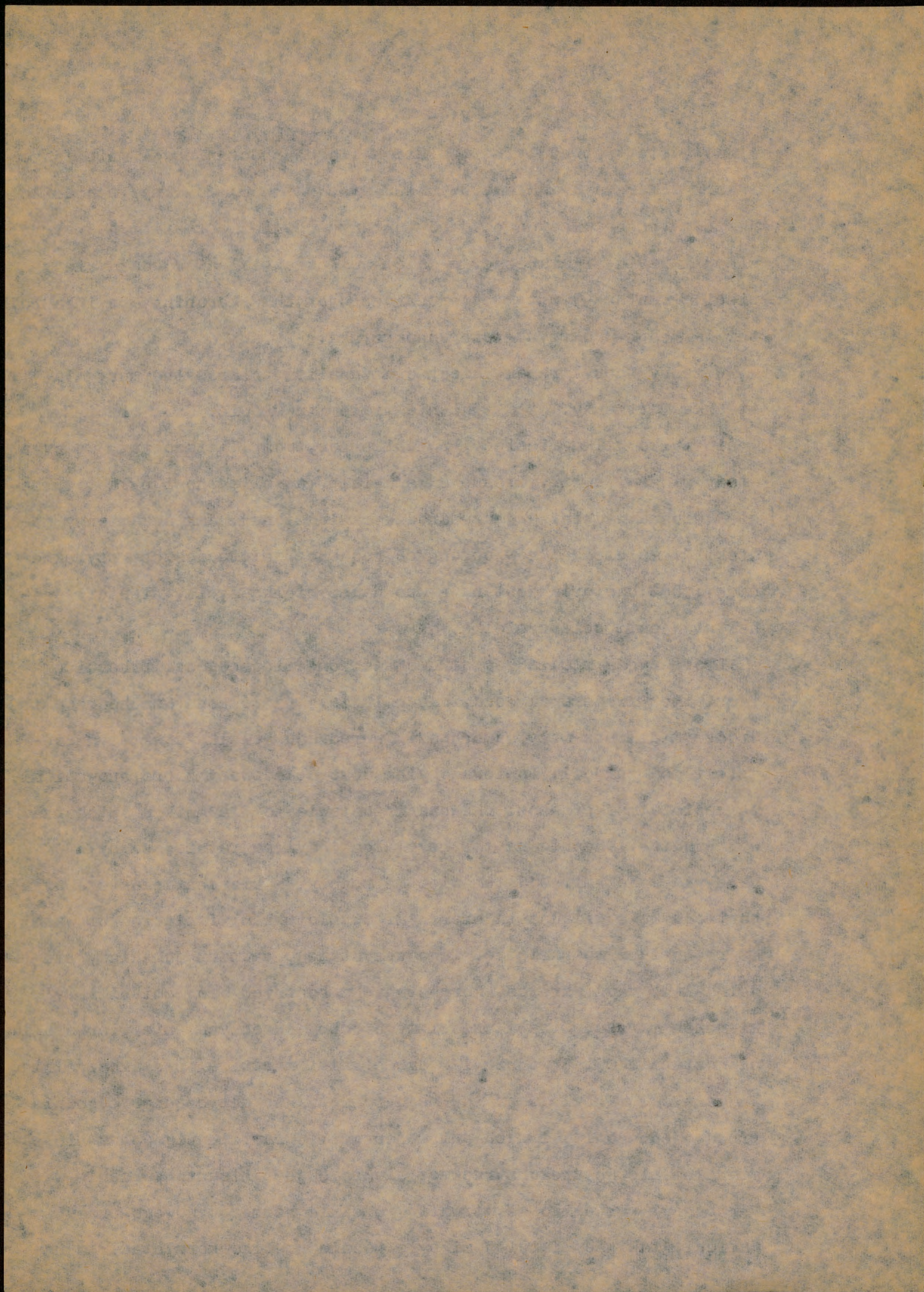
1)
zawieszony
nadzany



mi do gustu, "straż tylną", w skład której prócz niego i mnie /jako lekarz w marszu uważałem, że należy iść na końcu kolumny/ wchodziło jeszcze trzech młodych chłopców, którzy również potrafili zaopatrzyć się w karabiny i amunicję. A zatem owa straż tylna składała się z pięciu żołnierzy, w tym czterech uzbrojonych w karabiny /bo i kapral też/ a jeden w skrzynkę czerwonokrzyską.

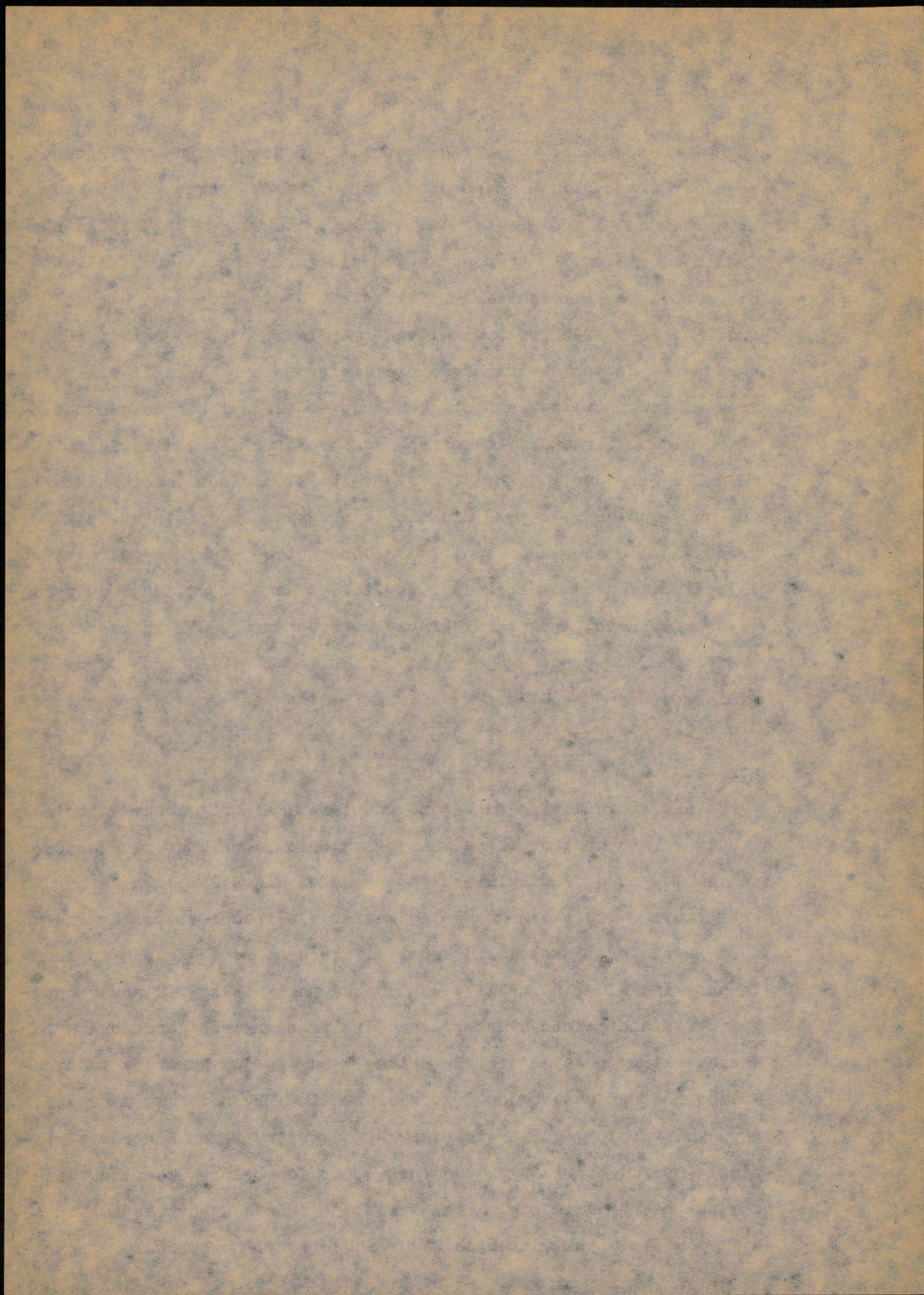
Wczesny to był ranek, kiedy opuszczaliśmy starożytne mury miasteczka Parthenay. Nigdy już nie miałem tu wrócić. Choć przeżyłem w nim tylko kilka miesięcy, polubiłem je, może dlatego też, że była wtedy wiosna, kwitły liczne i wspaniałe magnolie, no i była to przecież wiosna nadziei - jakże srodze zawiedzionej. Jakiś kamienny mostek, jakaś część murów obronnych podobno pamięta jeszcze rzymskie czasy. Cóż, historia jest na pewno nauczycielką życia, niestety jednak nie jest pocieszycielką.

Droga naszą wiodła początkowo w stronę miejscowości Bressuire /gdzie też kwaterowały oddziały polskie/, na północny zachód. Na tej drodze mijał nas mały samochodzik w rodzaju "kzazika", w którym siedzieli moi znajomi. Ponieważ byłem dość obciążony zaproponowali mi, że zabiorą mój płaszcz, chlebak i zostawią to dla mnie u aptekarza w Bressuire. Chętnie na to przystałem, gdyż najważniejsza była skrzynka z lekami. Oddałem więc me rzeczy, w kieszeni płaszcza była portmonetka z kilkunastu srebrnymi dwuzłotówkami i pięćdziesięciu złotówkami, które nosiłem na pamiątkę. Tego wszystkiego również już nigdy nie oglądałem, gdyż wkrótce, korzystając z bocznych dróg zmieniliśmy kierunek marszu. Strata części moich dóbr doczesnych, nie pierwsza i nie ostatnia w tej wojnie i w ogóle, nie zmartwiła mnie szczególnie, jedynie żal mi było naprawdę mego pamiętnika, dotyczącego tygodnia przedwojennego i dalszych dni wojennych. Wprawdzie nigdy już nie starałem się go zrekonstruować, ale samo jego pisanie /właśnie w Parthenay/ pozwoliło mi utrwalić wszelkie szczegóły owego czasu w pamięci, tak, że łatwiej mi było później z tego korzystać. Na na-



szym manewrze marszowym straciłem nadto jeszcze dwa swetry /jeden wojskowy francuski, a jeden otrzymany od "matki chrzestnej", którą mi wyznaczono i z którą korespondowałem, ale której oczywiście nigdy nie widziałem. Na pewno była to dziewczyna z rodziny polskich emigrantów w okolicach Lille. Przyznam się, że trochę mi się żal zrobiło, że dzieło jej pracowitych rąk miało pójść na marne. Wspominam jednak o tych swetrach głównie dlatego, że z historii moich swetrów czasu tej wojny możnaby skonstruować długą i bardzo urozmaiconą opowieść. Straciłem ich osiem, a każda strata łączyła się ściśle z jakimś epizodem wojennym i mogłaby być tłem dla spisania historii wojennej ogólnej. Po pozbyciu się tego wszystkiego moja sylwetka przedstawiała się już znośniej dla obserwatorów takiego pokroju, co to bez względu na okoliczności największą wagę przykładają do wyglądu zewnętrznego. A ja teraz kroczyłem swobodnie w lekkim mundurku, z przewieszoną przez prawe ramię skrzynką z lekami a przez drugie manierką, owym nieodłącznym "bidonem" /stąd nasi nazywali żołnierzy francuskich "bidoniarzami"/, o którego zawartość dbał wódz tylnej straży.

Zmiana kierunku marszu bardzo podniosła mnie na duchu. Przecież oznaczała, na krótko przynajmniej, zmylenie pogoni, którąby wszczęto za nami. Wprawdzie niewiele by to pomogło, ale było dla mnie bardzo krzepiającym świadectwem, że w tej zawierusze i ogólnym rozgardiaszu żyła jednak myśl naszego pułkownika. Skoro mówię o jakiejś pogoni, to oczywiście mam na myśli pędzących za nami Niemców. Tymczasem pogon była, ale zainicjowana przez wodza francuskiego garnizonu w Parthenay, który połapał się, że zniknęły mu owe dwa karabiny maszynowe. Dopadł nas samochodem i żądał i zaklinał by oddać te maszynki, gdyż kosztowałyby go to wiele: byłby oskarżony przez Niemców o stawianie oporu, chociażby w tej formie. Trudno było pułkownikowi Ruchajowi nie zgodzić się na ten zwrot w istniejącej sytuacji. Tak tedy te dwie maszynki, których widok nas cieszył powędrowały z powro-

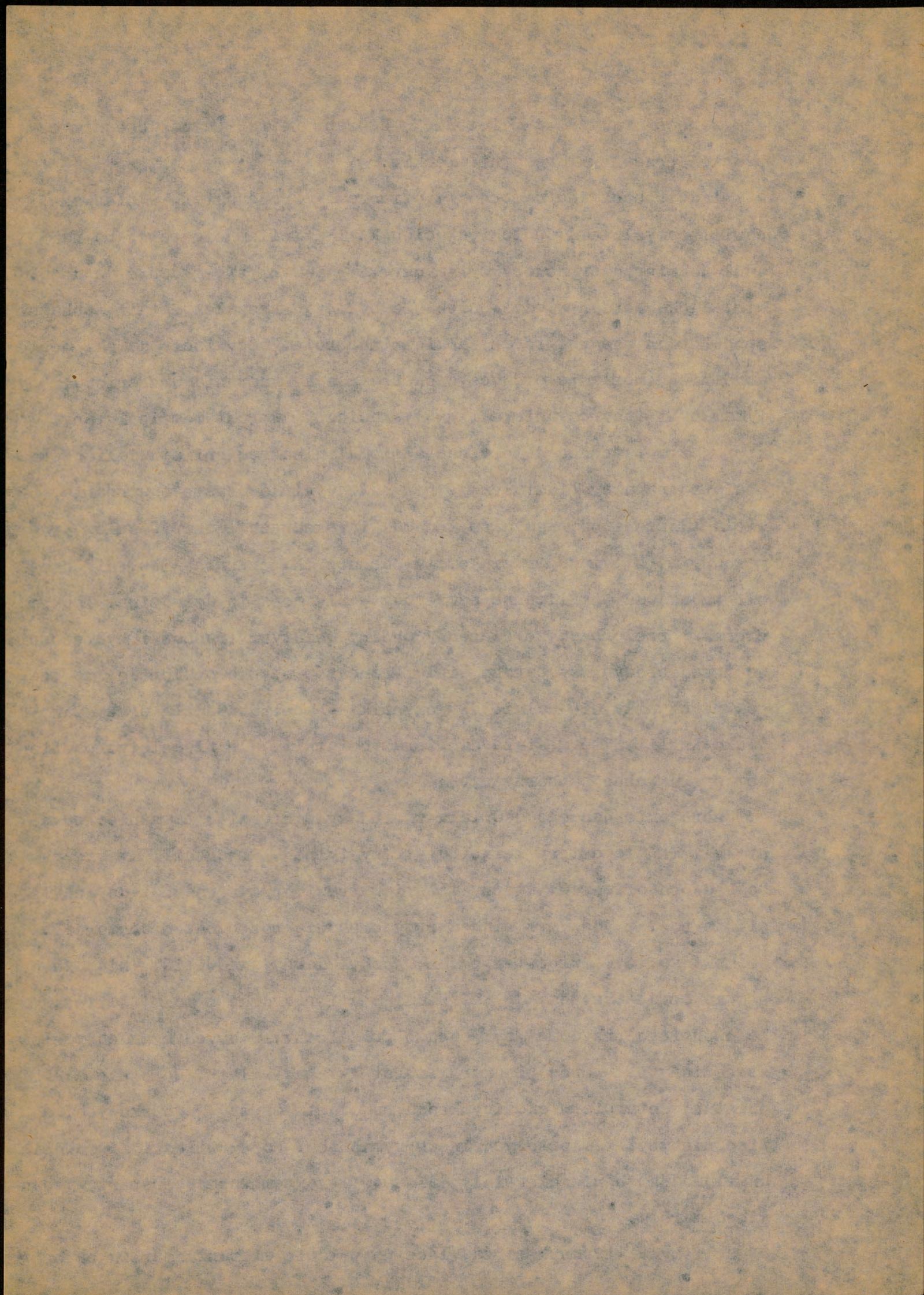


1ej
1.
tem w ręce prawych właścicieli, z których to rąk chyba wcześniej czy później przeszły w ręce niemieckie.

11
Kiedy zobaczyłem samochód z oficerami francuskimi, w pierwszej chwili pomyślałem, że to ich ucieczka i dziwiłem się temu, bo na ogół żołnierze francuscy w tym okresie udawali się głównie do domu. Nie, ducha Verdun wtedy w nich nie było, a marszałek Petain, bohater spod Verdun odegrał teraz całkiem inną rolę. Oczywiście daleki jestem od/uogólnień, mogła tego oduczyc choćby nasza kampania wrześniowa, bo i tam byli tacy co uciekali w błyskawicznym wprost tempie i tacy, którzy z ostateczną determinacją niemal nieuzbrojeni stawiali czoła stalowej nawale. Widziałem jednak dużo wycinków naszego września, o wielu zdarzeniach słyszałem też od wiarogodnych ludzi i mogłem je porównywać z tym co widziałem tu od początku czerwca 1940. Nie będę się tu wdawał w militarne szczegóły - nie moja to dziedzina. Jestem zresztą przekonany, że ówczesny ogólny defetyzm francuski był częściowo przejściowy i że bardzo wielu Francuzów szybko ochłonęło, do czego przyczyniły się walenie dwa czynniki - apel de Gaulla oraz stanowisko Anglii, która stała się teraz ostatnim, ale nieugiętym bastionem oporu wobec barbarzyńcy.

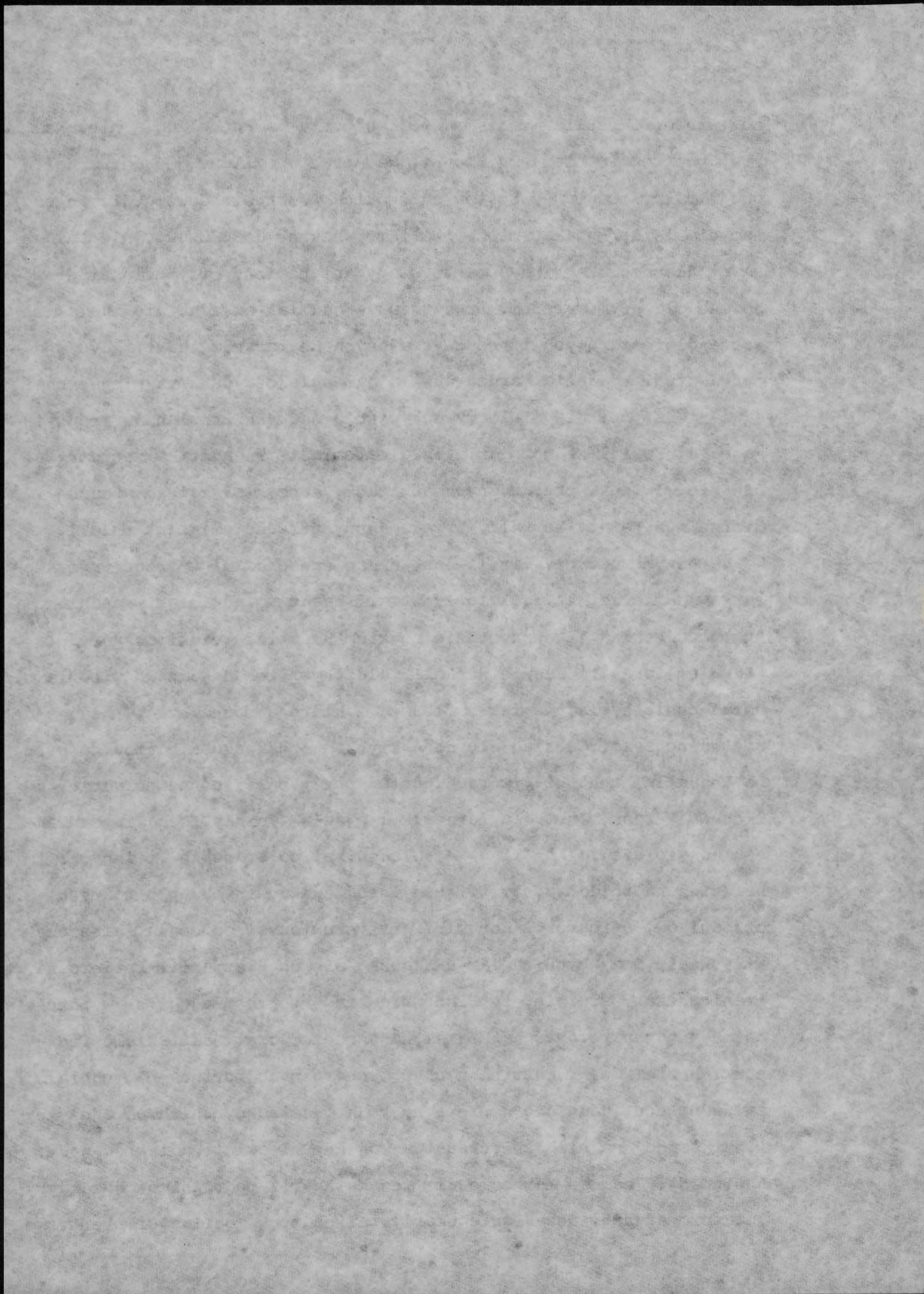
Uzbrojenie naszego oddziału zmniejszyło się więc poważnie: pozostały tylko te cztery karabiny straży tylnej. Wzbogaciliśmy się za to o dwóch oficerów, którzy leżeli w trawie przy drodze i dołączyli się do nas. W jednym z nich z przyjemnością rozpoznałem doktora Pawła Adamowicza. Było więc teraz już dwóch lekarzy, umówiliśmy się, że on będzie szedł przodem, ja zaś nadal w ariergardzie z moimi "wilczkami". Rodowód tego przydomka był bardzo prozaiczny: w owych czasach rozpowszechniony był wśród piechurów zwrot "złapać wilka", co oznaczało powstanie otarcia w okolicy kroku po długim marszu w wojskowych, a więc nie zbyt komfortowych ineksprymablach. Moje "wilczki" wprawdzie chwilowo na to nie cierpiały, ale mówiły o tym wobec perspektywy długiego marszu.

Szliśmy w kierunku morza, lecz po zmianie kierunku marszu było



oczywiste, że zbliżamy się raczej do portu La Rochelle, a nie, jak przy poprzednim kierunku, do St. Nazaire. Weszliśmy już do Wandei, owej krainy sławnej z buntów chłopskich w okresie Rewolucji. Pogoda nam ciągle sprzyjała, maszerowaliśmy wszyscy dość zwawo, nie było nawet jeszcze skarg na obtarte stopy ani na inne przypadłości spowodowane dłuższym marszem. Zresztą nasz oddział składać się musiał ze szczególnie zdrowych i przyzwyczajonych do marszów ludzi, gdyż w samej decyzji podjęcia marszu tkwiła już selekcja co sprawniejszych i odważniejszych. Nie mieliśmy oczywiście żadnych prowiantów prócz tego co kto wziął ze sobą, nie było natomiast trudności w zaopatrywaniu się w wino w przydrożnych oberżach. Korzystał z tego w dużej mierze mój "stary kapral", przedwojenny jeszcze emigrant polski.

W pewnym momencie minęli nas, jadąc samochodami w przeciwnym kierunku żołnierze R.A.F., którzy witali nas owym angielskim znakiem "za powodzenie" i równocześnie znakiem uznania: kciuki do góry! Nie wiem dokąd ci ludzie jechali, ale chyba ich dowództwo wiedziało. Ostatecznie byliśmy w takim miejscu z którego można było, posługując się samochodami, dostać się dość szybko do jednego z portów. Oprócz La Rochelle wchodziły w rachubę też porty bardziej na południe, a więc Le Verdon, port dla Bordeaux u ujścia Zyrandy, skąd istotnie ewakuowało się do Anglii dużo Polaków, nieco Francuzów i innych; im bardziej na południe, tym więcej wśród ewakuowanych było różnych urzędników, oficerów z żonami /i przysłowiowymi od czasu Zaleszczyk Kanarkami/, mających zamiar ewakuować się do Hiszpanii. Dopiero na granicy okazywało się, że Hiszpanie nie przepuszczają i że w porcie można się zakretować na statek, najczęściej brytyjski. Wiele francuskich statków, zakotwiczonych w tych różnych portach nie chciało za żadną cenę udać się w niepewny rejs oddalający ich od ojczyzny i narażający na niebezpieczeństwa wojenne z powietrza i spod wody. A więc St. Jean de Luz było dla tej kategorii podróżników jak gdyby ostatnią szansą. Oczywiście skorzystali z tych możliwości nie tylko

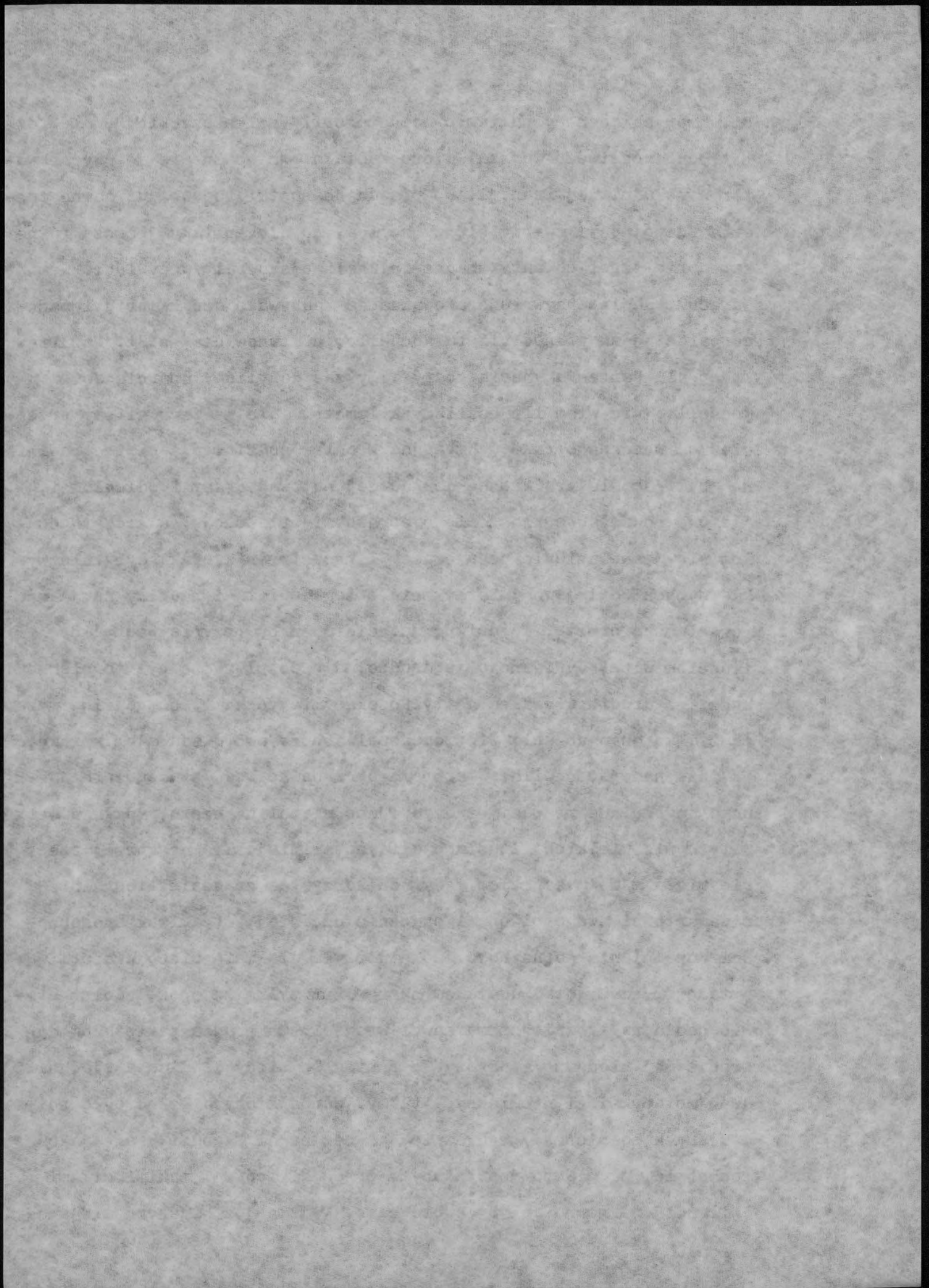


ci, których możnaby zaliczyć do kategorii "zaleszczyckiej", ale też i trochę uczciwego wojska, które musiało ewakuować się ze swych kwater w południowej Francji. Co prawda jednostki bojowe już dawno odszły na północ i zwały się z wrogiem, no ale zostały jeszcze różne kategorie tego, co nazywam urzędnikami wojskowymi /oczywiście w mundurach/. Najintensywniejsza ewakuacja odbywała się z portu leżącego bardziej na północ niż La Rochelle, a mianowicie ze St. Nazaire /port dla Nantes u ujścia Loary/. My zaś dążyliśmy uparcie do La Rochelle, nie wiem ile uszliśmy kilometrów ale maszerowaliśmy przecież od wczesnego rana, chyba już z osiem godzin. Właściwie powinienem był jako lekarz trochę dokładniej notować czasy i odległości, ale owo początkowe kluczenie odebrało mi orientację, a zresztą czułem się jakoś dziwnie poza czasem i przestrzenią, jak gdyby niezwykle wypadki dziejowe zmiotły mnie z tego świata i rzuciły na jakąś pozaziemską orbitę. To dziwne uczucie możnaby przypisywać pewnym ilościom wina, wypijanego po drodze, ale po pierwsze był to cienkusz, po drugie używałem go tylko skąpymi łyżkami, co godzinę może, gdyż mimo owego uczucia nieziemskości dobrze sobie zdawałem sprawę, iż może nadejść chwila, w której potrzebować będę szczególnie jasnego umysłu. Co prawda, wino popijane niemal na czczo, mogło nawet w tych nie wielkich ilościach działać silniej. Trochę gorzej rzecz się miała z moim kapralem, gdyż on korzystał znacznie liberalniej z zawartości swego bidonu i znacznie częściej poszukiwał sposobności dopełnienia go na nowo. To stworzyło dla mnie nieco kłopotliwą sytuację, gdyż dotąd uważałem naszą straż tylną za opokę zdolną stawić czoła najgroźniejszemu nawet wrogowi. Co prawda pamiętałem dobrze z mej niedawnej podróży do Nantes że kiedy do miasta wjechali dwaj motocykliści niemieccy, tłumi, wśród których pełno było rozmąglanych żołnierzy /przeważnie już bez broni/ zgodziły się jakoś pochopnie, że miasto jest zdobyte przez Niemców. Z takimi siłami "wilczki" na pewno dałyby sobie radę. W jednej z mijanych miejsco-

1 we

1 sa

1 sz



wości wyskoczył ku nam jakiś cywil w kapelusiku z piórkiem, twarz tego jegomościa była pełna, z zalotnym wąsikiem i z dodatkowym podbródkiem. Zawołał do nas /po francusku oczywiście/ z pewnym patosem:

- Dokąd to idziecie, moi biedni przyjaciele?

a Pytanie to zgniewało mnie, gdyż nasunęło mi się przypuszczenie, że nie bezinteresowną ciekawość kierowała pytającym, ale chyba chęć uzyskania informacji, którymi potem przymili się Niemcom, spodziewanym tu widocznie lada chwila. Chciałem mu tę ordynarnie wygarnąć ale powściągnąłem się i zapytałem:

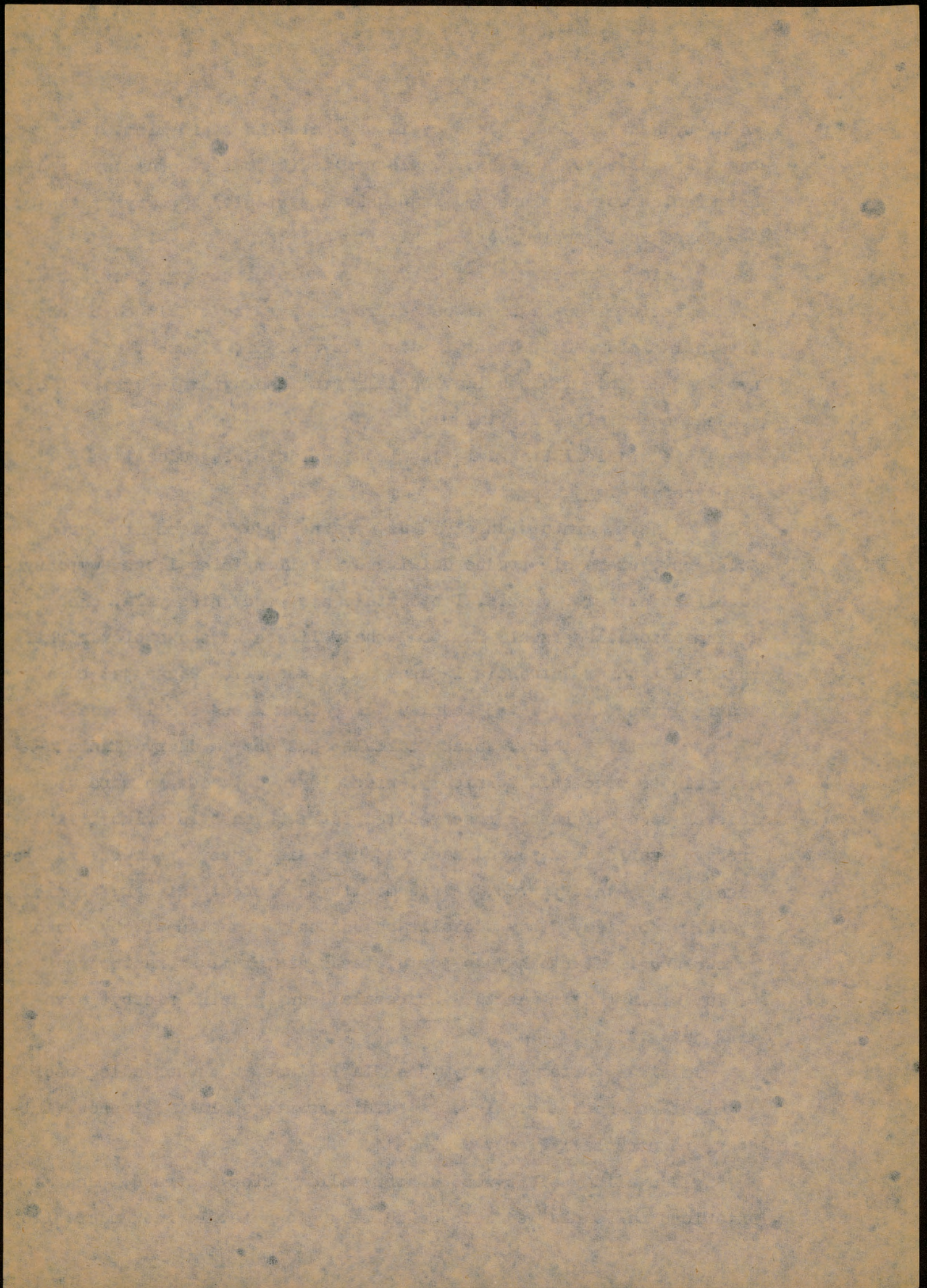
- A nie widzieliście gdzie Anglików? Oni się nie poddali!

Wycofał się jak zmyty.

W dalszym marszu widziałem już wyraźne objawy zmęczenia wśród żołnierzy, czemu się trudno dziwić gdyż szliśmy niemal bez wyczerpania ku blisko dziesięć godzin. I oto stała się rzecz niezwykła, choć może zamierzona. Naprzeciw nam podjechały liczne wojskowe ciężarówki, załadowali nas z łatwością i jazda do La Rochelle! Różne już cuda upstrzyły moje losy w tej wojnie, ten jednak w tej chwili wydał mi się szczególnie wielki. Wszak widziałem już oczyma duszy skłaniających się ze zmęczenia żołnierzy, niezdolnych do dalszego marszu, idących boso /w gruncie rzeczy dotąd potrzebnych było tylko kilka drobnych zabiegów z powodu zaczynających się tworzyć pęcherzy na stopach/ i tak wyczerpanych, że nie mogliby już bronić się skutecznie. Myślę, że byliśmy wtedy w okolicach Fontenay, co stanowiłoby około połowę drogi z Parthenay do portu, teraz zaś, zamiast następnych wielu, wielu godzin marszu wystarczała jedna godzina niezbyt szybkiej jazdy.

Właściwym portem wojennym jest La Palisse, w pewnej odległości od miasta La Rochelle. Wiem, że burmistrza tego miasta, Leonce Vieljeux, rozstrzelali Niemcy w r. 1944.

Wyładowaliśmy się z wozów, otrzymaliśmy ciepłą strawę, poczem ustawiono nas w długiej kolejce do zaokrętowania. Tu znów nastąpiło

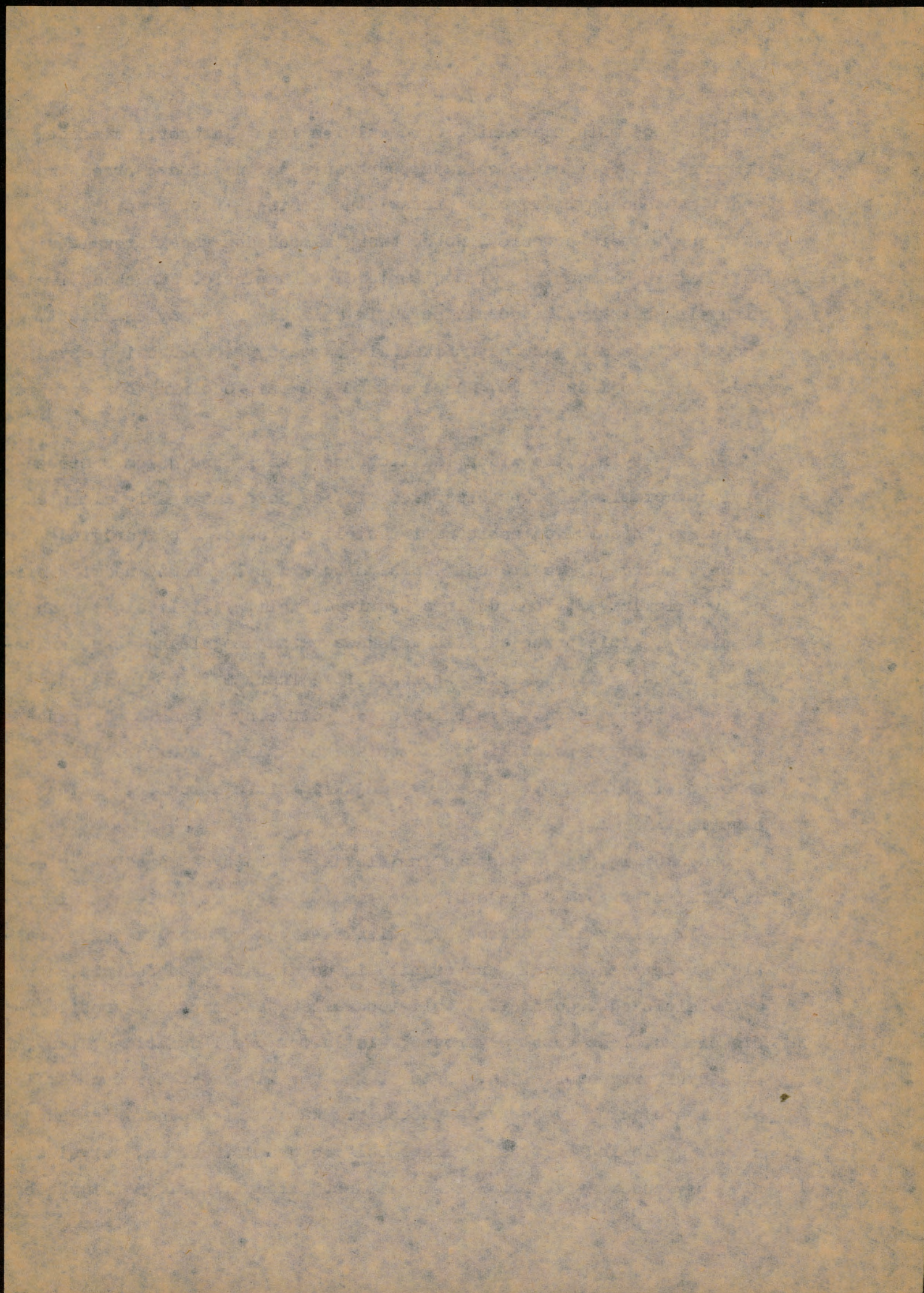


Handwritten notes on the left margin: "H 28", "H 29", "12".

zadziwiający mnie zdarzenie, choć całkiem innej kategorii ~~niż poprzednie~~ niż poprzednio opisane podebranie nas na drodze przez transport samochodowy. Oto cała prześwietna komisja inkorporacyjna z Parthenay, która przecież, wobec braku samochodów zadeklarowała się na pożarcie Niemcom. Zjawiała się niemal w komplecie. Samochody i dla nich się znalazły, widocznie sprawnie działały sprężyny ewakuacji. Umowa angielska z generałem Sikorskim o pomocy w ewakuacji naszych wojsk z Francji działała, na widocznym dla mnie odcinku, bardzo sprawnie.

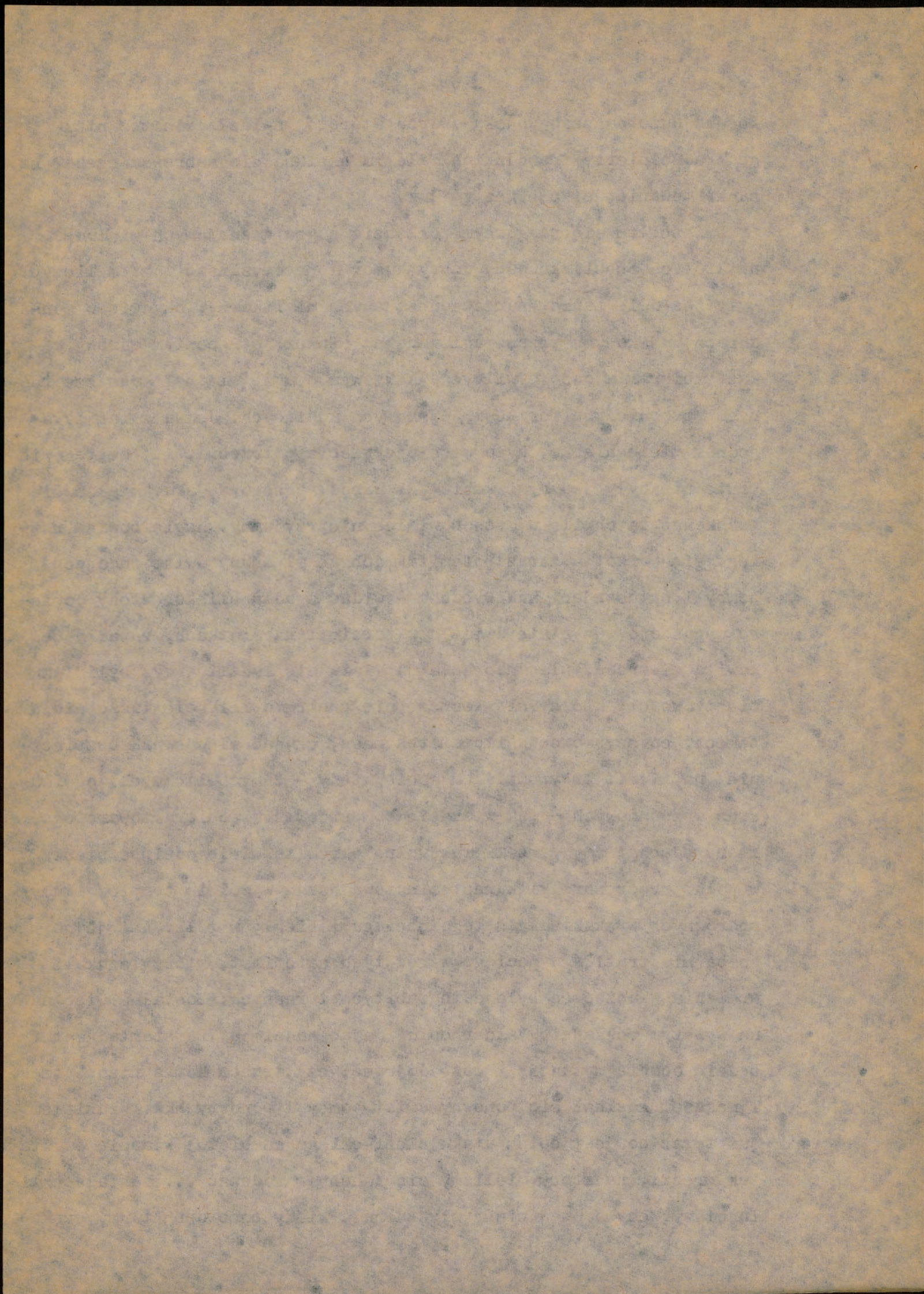
Muszę przyznać, że widok tak licznych lekarzy przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Na pewno cieszyłem się, że może los będzie dla nich łaskawszy, niż to, co sobie sami chcieli zgotować. Ale z drugiej strony, skoro już we Francji w naszym wojsku był ogromny nadmiar oficerów i lekarzy, to cóż dopiero będzie w Anglii /jeżeli się tam dostaniemy/, gdzie przecież siła wojskowa nasza ulegnie na pewno znacznej redukcji /o tych, którzy pozostali we Francji/? Ja nie żałuję mego długiego marszu, gdyż byłem wtedy potrzebny w czasie gdy panowie z oberwanymi polskimi odznaczeniami czekali na Niemców, albo na samochody. Wolałem być z uczciwym wojskiem niż w atmosferze zaleszczyckiej.

Okazało się, że są jeszcze inni lekarze z różnych ośrodków, między nimi z przyjemnością spotkałem tam też mego przyjaciela z Cieszyna Kazia Kolaczka. Obdarzony był wielkim zmysłem humoru a jego wyrażenie sarkastyczny dowcip przyczynił się do atmosfery odprężenia, a nawet wisielczej wesołości. Powoli posuwaliśmy się naprzód, zrobiło się ciemno, lecz rozbłysły różne światła portowe i światła statków, stojących przy nabrzeżach. Mówiono, że mamy się zaokrętować na statek grecki stojący przy jednym z nabrzeży. Okazało się jednak, że ładują nas na węglowiec brytyjski "Alderpool", około 10.000 ton, oczywiście nie przystosowany do przewożenia większej ilości ludzi. Na statku by-



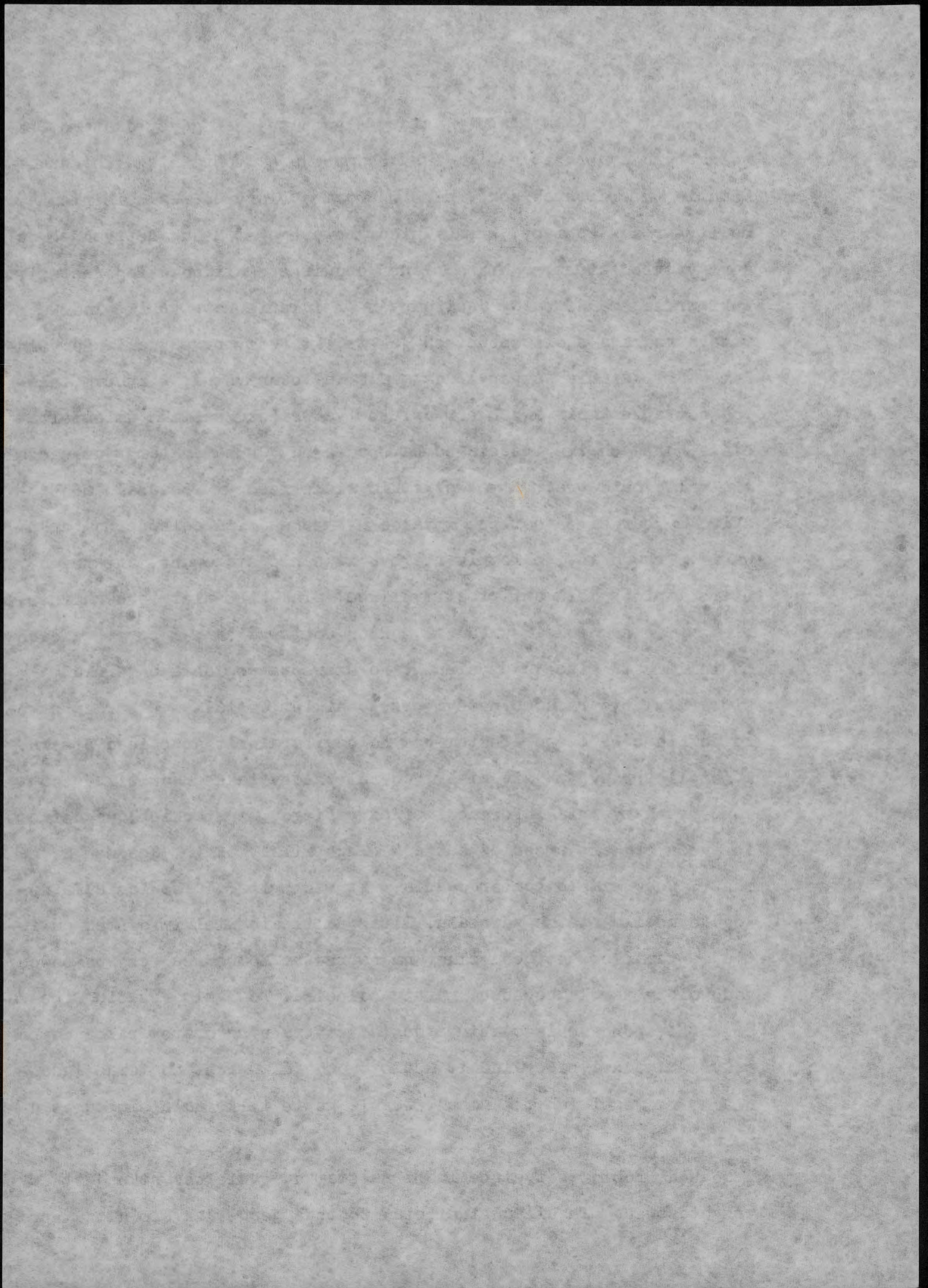
ło już dużo naszego wojska /wśród którego znalazła się też niska grupka żołnierzy francuskich/ ale na esplanadzie nabrzeża czekał na zaokrętowanie jeszcze gęsty tłum.

Umieściłem się na górnym pokładzie z grupą znajomych mi ludzi, na których obowiązkowość, dobry humor i przemyślność mogłem liczyć. Były też dwie panie, narzeczone znanych mi lekarzy, obydwie w mundurach wojskowych przeszmyglowane na statek; był bowiem surowy zakaz zabierania osób cywilnych, a w owym czasie nie było jeszcze różnych pomocniczych formacji wojskowych kobiecych. Jedna z pań była jednak pielęgniarką, była więc oczywiście potrzebna. Ale że te dwie panie nie były jedynymi kobietami wśród naszego wojska, miałem się przekonąć za chwilę w sposób wielce nieprzyjemny. Nagle bowiem rozległ się warkot a zaraz potem tak dobrze mi znany świst padającej bomby i ogłuszający huk wybuchu - widać spadła blisko. Wtedy dopiero wygaszono wszystkie światła w porcie i na statkach, zapadła całkowita ciemność, plac nabrzeża napełnił się ludźmi, gdyż byli tam nie tylko ci, którzy się jeszcze nie zaokrętowali, ale także wielu takich, co szybko opuściło statek nasz, czując się jednak bezpieczniej na ziemi. Przypomniałem sobie wtedy - z moich licznych doświadczeń wrześniowych - jak w czasie bombardowania pociągu towarowego, którym jechaliśmy /jeżeli tak wolno określić wielogodzinne stanie w polu, przerywane kilkunastominutową jazdą w zółwym tempie/ tłumy podróżnych wyskakiwały z tego pociągu i biegły w pole. Ani jedna bomba nie trafiła w pociąg, wśród tych natomiast, którzy szukali ocalenia w ucieczce było dużo zabitych i rannych. Zostałem więc na najwyższym pokładzie "Alderpoolu" mając nadzieję, że stamtąd łatwiej będzie ocenić sytuację i może dojrzeć, czy trzeba komuś nieść pomoc. Tymczasem rozległ się ponowny świst bomby i ponowny huk. Widziałem już teraz co jest celem ataku niemieckiego samolotu: właśnie ów statek grecki, na który mieliśmy się jakoby załadować... Nastąpiła chwila ciszy, chyba owej ciszy słyszalnej, kiedy bezbronne tłumy czeka-

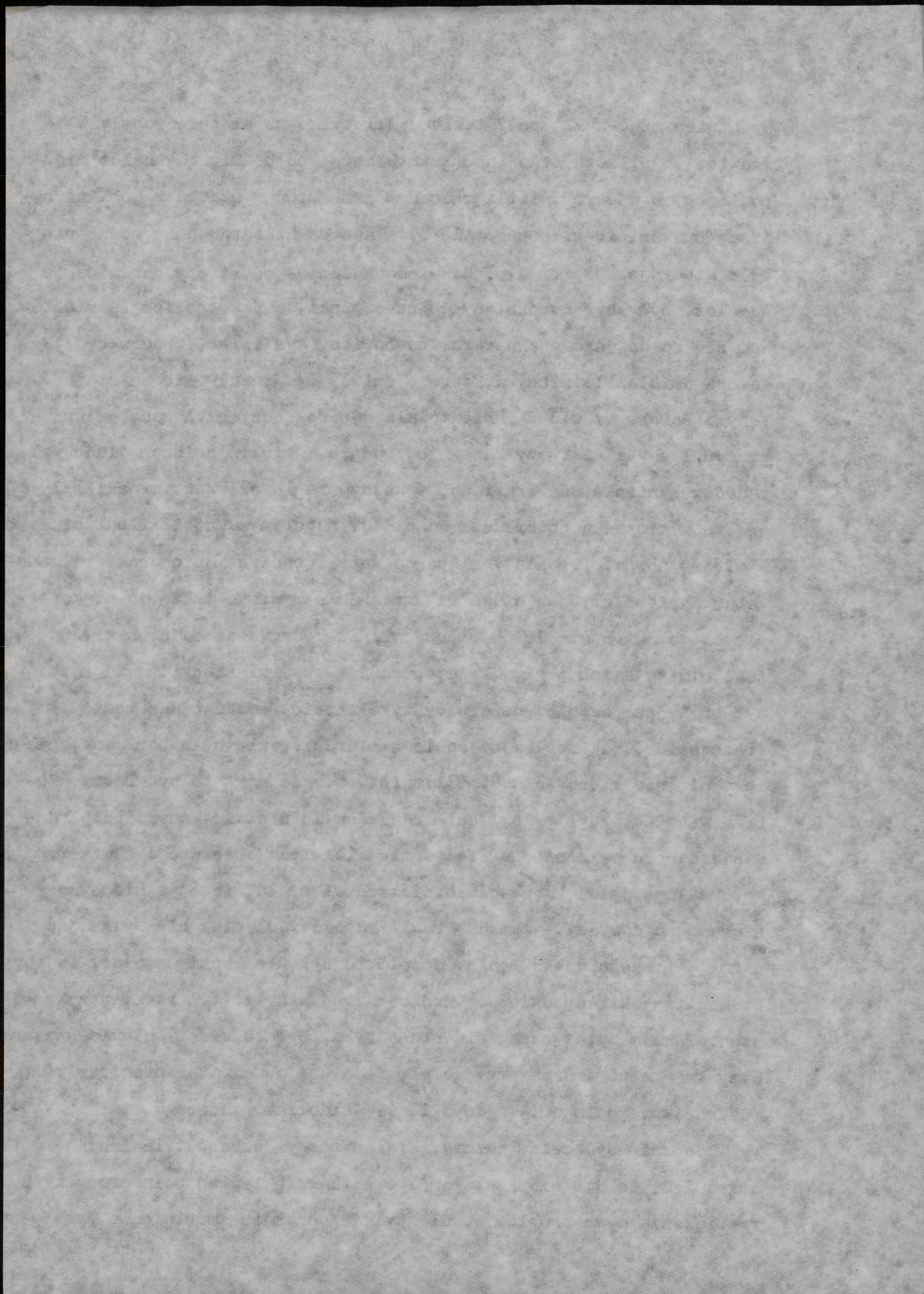


ły na następny atak bombowy, ciszy słyszalnej jak gdyby dlatego, że można było wyobrazić sobie /i słuch ma swoją wyobraźnię/ głośne kołatanie przerażonych serc. Wtem wśród tej ciszy odezwał się niesamowity wrzask kobiecy, wrzask nieopanowanego strachu, deprymując do reszty tych, którzy w uzasadnionej obawie czekali co dalej nastąpi. Taki wrzask ma doprawdy destrukcyjne działanie na psychikę ludzką w tego rodzaju okolicznościach jak te, któreśmy przeżywali. Pomyślałem wtedy, że nie wszyscy nadają się do towarzystwa, w którym zależą jest opanowanie swych nerwów. Po tym wrzasku nastąpiła śmiertelna cisza, a za chwilę trzecia bomba spadła na "Greka", który już zaczął się palić na dobre. W tym wszystkim wiele rzeczy wzbudzało mój podziw: najbardziej dostępną zmysłom była znakomita celność bombardowania. Prawda to, że lotnik nie był zupełnie atakowany, ani przez ostrzelanie z dołu ani przez myśliwce, miał więc ułatwione zadanie. Większy jednak podziw wzbudził sukces kontrwywiadu, z czym przecież musieliśmy tu mieć do czynienia. Rozszerzona pogłoska o "Greku", który miał być rzekomo naszym przewoźnikiem dostała się bardzo szybko do Niemców, czego efektem był nalot i spalenie greckiego statku. A jeżeli sprawy tak się miały, to należałoby także podziwiać szybkość przekazywania informacji przez szpiegów niemieckich; wszystko to musiało się przecież odbyć w ciągu kilku godzin. Jeszcze dodać muszę, że w czasie bombardowania nikt nie zginął, albowiem cała załoga opuściła statek zawczasu. Teraz palił się wielkim ogniem oświetlając zamarłe w strachu tłumy na nabrzeżu. Bombowiec /czy bombowce/ zadowolony ze skuteczności nalotu odleciał. Po jakimś czasie więc zaczęło się ponowne ładowanie i dostaliśmy na nasz statek razem chyba powyżej dwóch tysięcy ludzi. Rozlokowano ich w pustych teraz ładowniach, na wszelkich pokładach, wogóle gdzie tylko dało się kogoś upchać.

Co będą robić te tysiące ludzi na statku, gdzie wszystko jest przystosowane dla kilkudziesięciu? Co będą jeść? Jak się ułożą spr-

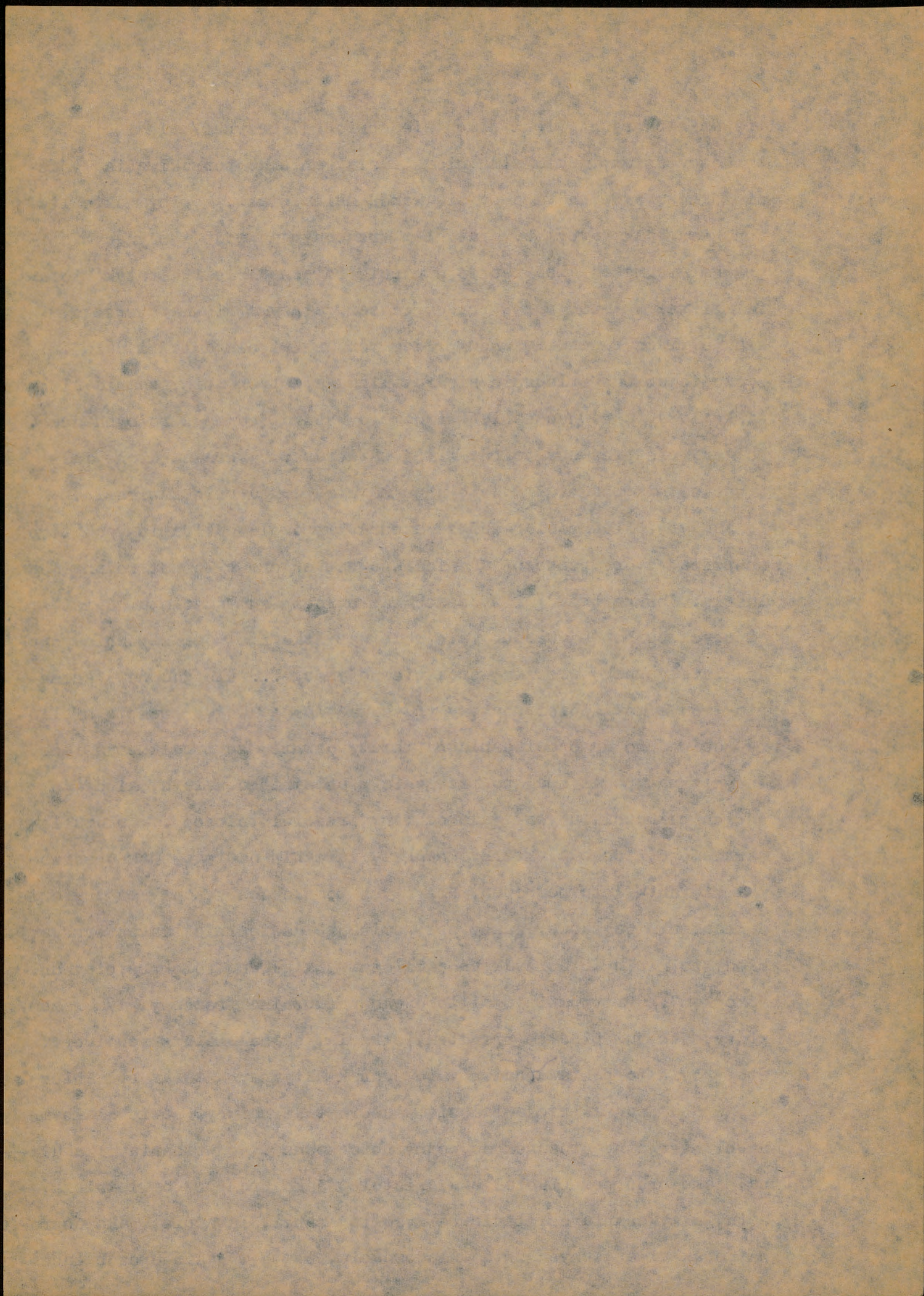


wy higieniczno-sanitarne? takie myśli tylko przelotnie pobyły w mej głowie, bo bliższe było inne zmartwienie: co będzie gdy nalot się powtórzy? W ostrym świetle rzucanym przez pożar statku w pobliżu byliśmy znakomicie widoczni. Ale była noc, a bombardowania nocne nie były wtedy jeszcze regułą, Rankiem nadleciał od strony morza jakiś samolot, był zbyt wysoko, by dojrzeć znaki, a nawet bliżej zorientować się co do jego charakteru: bombowiec, myśliwiec, obserwacyjny? Załoga działek lotniczych, które o dziwo, znajdowały się na statku /chyba Boforsy?/ widać zorientowała się co zaczęła, gdyż zaczęła weń prażyć, I chyba pierwszy raz w tej wojnie, dzięki pociskom śladowym, zadośćuczynienie, że trafiano, w każdym razie czerwone kreski szły prosto w kierunku podbrzusza samolotu. Samolot zawrócił i odleciał w stronę morza. Pozostały mi pewne wątpliwości co do charakteru samolotu, pamiętałem, jak u nas we wrześniu strzelano także do nisko lecących polskich samolotów w przekonaniu /gorzko uzasadnionym/, że jakikolwiek samolot się ukazuje, musi to być niemiecki. A tu może był brytyjski samolot obserwacyjny? Przecież ewakuacja z portów francuskich, jak mogłem na sobie stwierdzić, nie była bezładna, starała się nią kierować R.N. z lotnictwem. Ale mógł to być równie dobrze Niemiec, gdyż było /jest/ regułą w lotnictwie, że po bombardowaniu danego celu odbywa się później lotnicza obserwacja skutków. Może załoga działek przeciwlotniczych widziała więcej i nie była skazana na domysły. W każdym razie samolot odleciał nie wykazując oznak większego uszkodzenia. Jeżeli to był niemiecki samolot, to chyba mogliśmy się spodziewać wkrótce nowej wizyty, tym razem przykrzejszej. Taka wizyta jednak się nie odbyła, był to więc - ciągle smując domysły - albo jednak przyjaciel, albo też obserwator niemiecki: pozdrawiany pociskami, zadowolili się widokiem płonącego statku, który widocznie był celem nalotu. Miałem wtedy jeszcze tyle innych zmartwień, że już nie szukałem u ewentualnie lepiej poinformowanych rozwiązania mych problemów. Nie tylko jednak te zmartwienia /zaopa-



trywanie chorych w leki z mej nieocenionej skrzynki/ ale i ciągle trwający dziwny jakiś stan nie skłaniał mnie do poszukiwania wyjaśnienia szczegółowych tego co się wokół mnie działo. Mógłbym określić ten stan, jak gdybym był patykiem, rzuconym na wodę i płynącym z prądem strumyka, albo raczej w nurcie potężnej rzeki - patyk miotany falami raz w lewo, raz w prawo, czasem zatrzyma się na sterczącym głazie, lecz za chwilę znów prądem porwany płynie dalej i dalej. I znowu to dziwne splecenie się fatalizmu z aktywnością, zdania się na łaskę losu, a równocześnie świadomego wyboru jednej z różnych dróg. No tak, nie pierwszy to raz w tej zawierusze wybrałem drogę, ale przecież nie wiedziałem wstępując na nią, dokąd mnie zawiedzie.

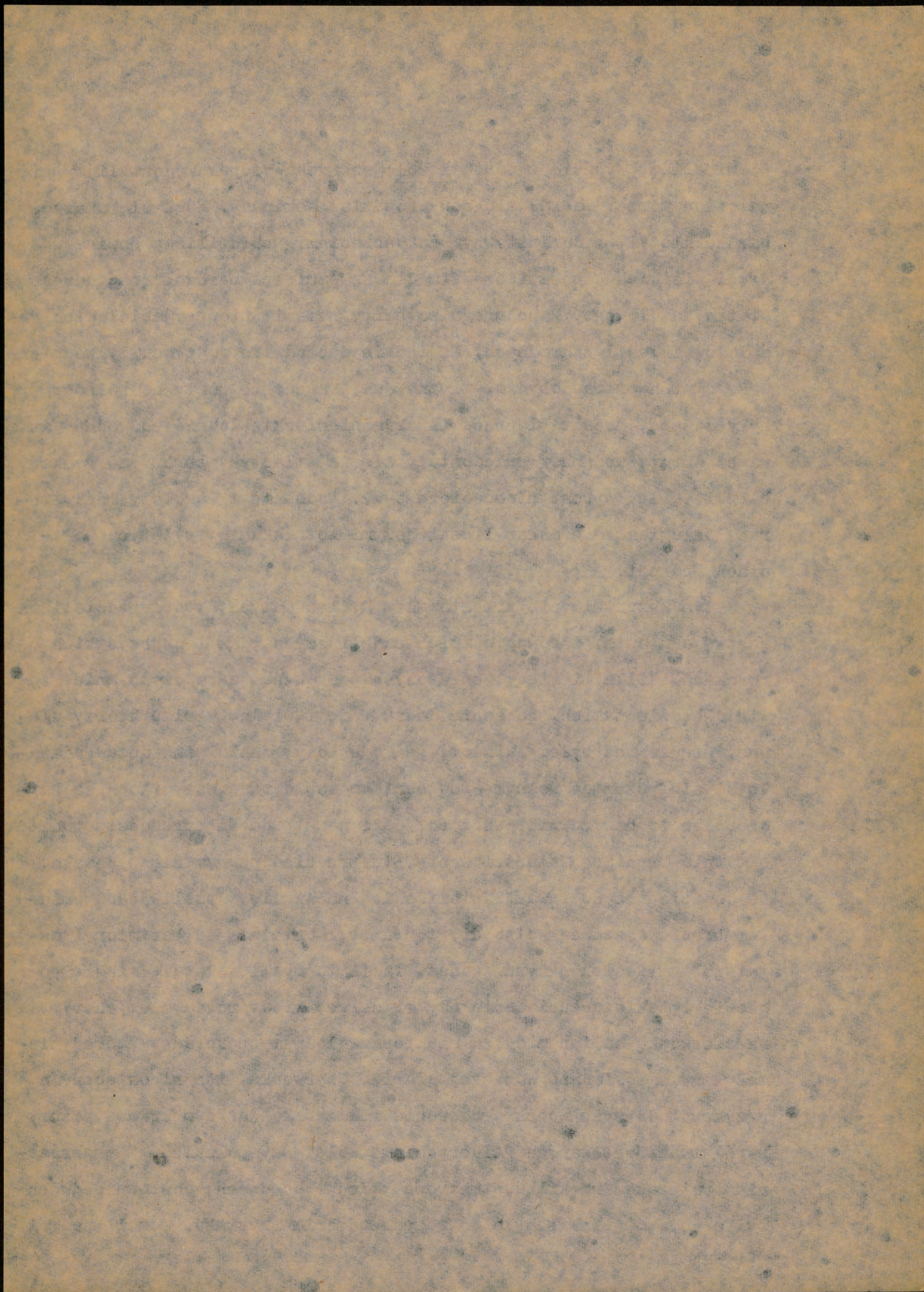
Maszyny "Alderpoolu" już zawarczały i powoli odbijaliśmy od tego nabrzeża, które jeszcze tak niedawno zatłoczone było zatrwożoną masą ludzką. Jeszcze brzmi mi w uszach i złowrogi szum samolotu, świst spadających bomb, jej wybuch, ale nade wszystko nie mogą zapomnieć owego historycznego wrzasku wśród ciemnej nocy ... Ale już nowa scenaria i nowe możliwości poczęły przykuwać naszą uwagę, zresztą mieliśmy sobie dużo do opowiadania na tematy dawniejsze i całkiem świeże. Jeden z nas podał swe spostrzeżenia z ostatniego nalotu, kiedy to pewien pułkownik używał jako ochrony przeciwlotniczej ... słupa latarnianego, dookoła, którego skakał, zależnie od tego, jak obserwował kierunek lotu bombowca. Przy tych podskokach dyndały mu wysokie odznaczenia wojskowe, jakby przypominając dźwięcznie dawne przewagi, kiedy to nie było obrzydłych samolotów, a główną rolę przypisywano "okopkom". Przypomniało mi to owego porucznika /rezerwy, tym razem/, który, jak już pisałem przedtem, strzelał do samolotu z rewolweru. Wtedy była to postawa ^{acz} ~~naiwna~~, to jednak aktywna, a teraz była bierna, w obu jednak przejawiał się właśnie taki naiwny, powiedziałbym nawet pierwotny stosunek do wojny nowoczesnej. We wrześniu pika ułana, jako broń przeciwczołgowa, pistolet jako broń przeciwlotnicza, a tu, w wykonaniu szkoleniowca wysokiej rangi, latarnia, jako ochrona, obskakiwana chyba z tą świadomością, że to w jakiś sposób zabez-



piecza.

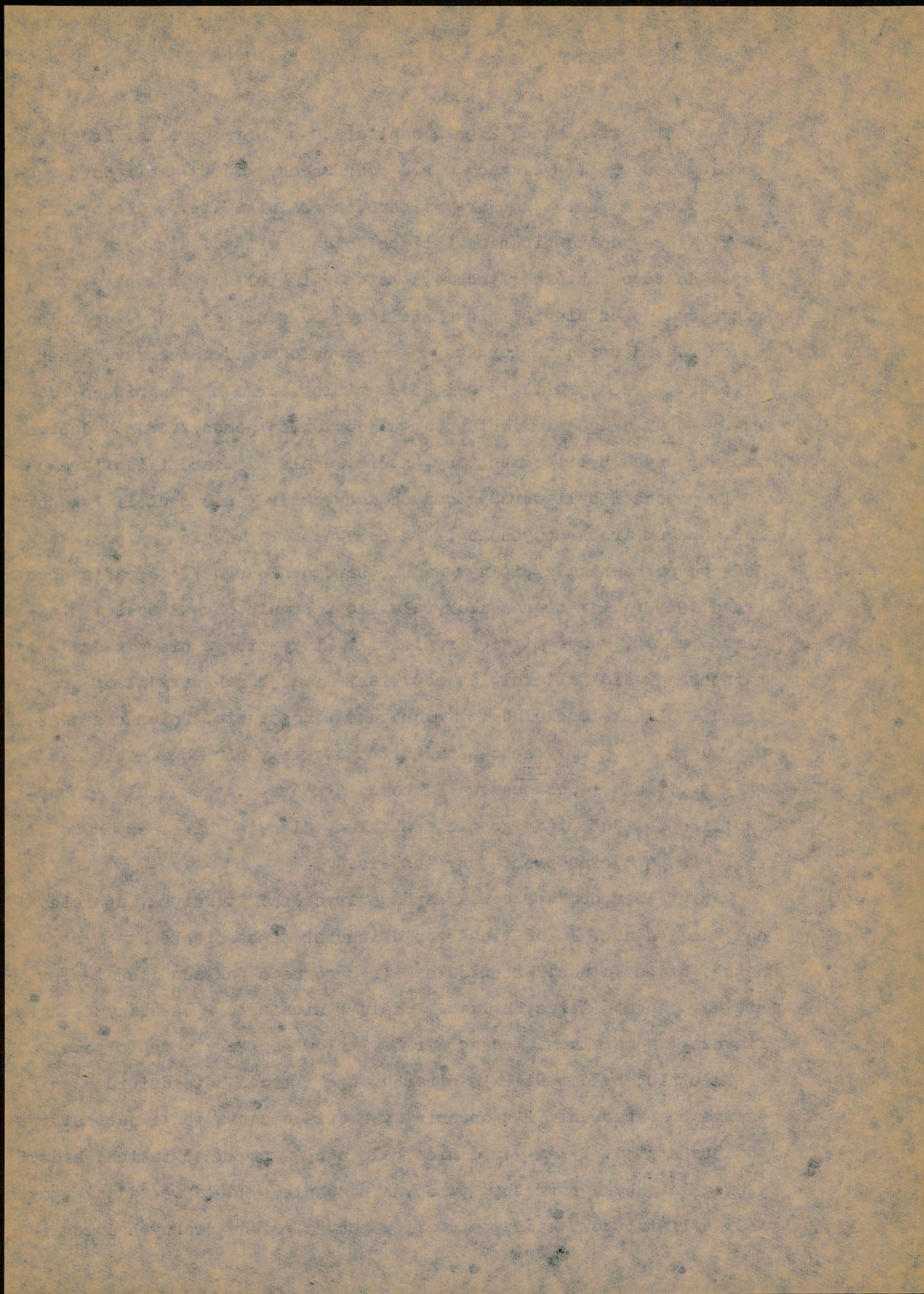
Minęliśmy wyjście z portu i koło różnych wysepek wydostaliśmy się na pełne morze. Zaczął się nowy rozdział eskapady. Mógł się okazać bardzo krótki, z definitywnym zakończeniem, wchodziliśmy bowiem w kręgi wielkich niebezpieczeństw dla samotnie płynącego, dość dużego statku handlowego, zapchanego po burty ludźmi: nieprzyjacielskich samolotów i łodzi podwodnych. Na lądzie dochodziło do głosu tylko pierwsze z nich, teraz obydwie. Liczne już francuskie porty na północy były zajęte, zresztą i przed inwazją niemieckie łodzie podwodne /a nawet okręty wojenne/ przedostały się na Atlantyk, teraz zaś zyskały bliskie, więc wprost nieocenione bazy. Podobnie i samoloty mogły teraz posługiwać się coraz liczniejszymi lotniskami w zajętych położeniach Francji.

W tym wszystkim nie przestawałem myśleć o tych, którzy zostali na pastwę okupanta, zarówno o moich najbliższych, jak i o wszystkich rodakach. Kilka miesięcy, spędzonych pod okupacją nauczyło mnie, że wielu będzie takich, co sobie dadzą radę i wielu, wielu, którzy ulegną. Ciągłe też byłem świadom, że moje losy, jakkolwiek dotąd udawało mi się pozostać wolnym - co ceniłem sobie nade wszystko - są bardzo, ale to bardzo niepewne. Bo jeśli nawet uda się przedostać na tę ostatnią broniącą wolności wyspę, to przecież pewnym się wydawało, że dojdzie też do inwazji niemieckiej na Anglię. Jeżeli jednak miałem bronić i swojej wolności, to tam był ostatni jej bastion i ostatnia i przecież jedyna szansa. Takie to myśli kołatały mi się po głowie i takie uczucia ścisnęły mi serce, kiedy rozdawałem chorym na czerwonkę sulfonamidy, a niektórym głodnym czekoladę, której nie mały zapas posiadano w naszej grupie. Czerwonka, ten nieodłączny a przykry towarzysz wojsk w odwrocie pokazywała już swe krwawe pazury wśród transportowanych "Alderpoolem" żołnierzy polskich. Z przerażeniem patrzyłem na kilkusetmetrowe kolejki do dwóch, dosłownie dwóch tylko ustępów, jakie było do rozporządzenia na statku. Jeżeli podróż



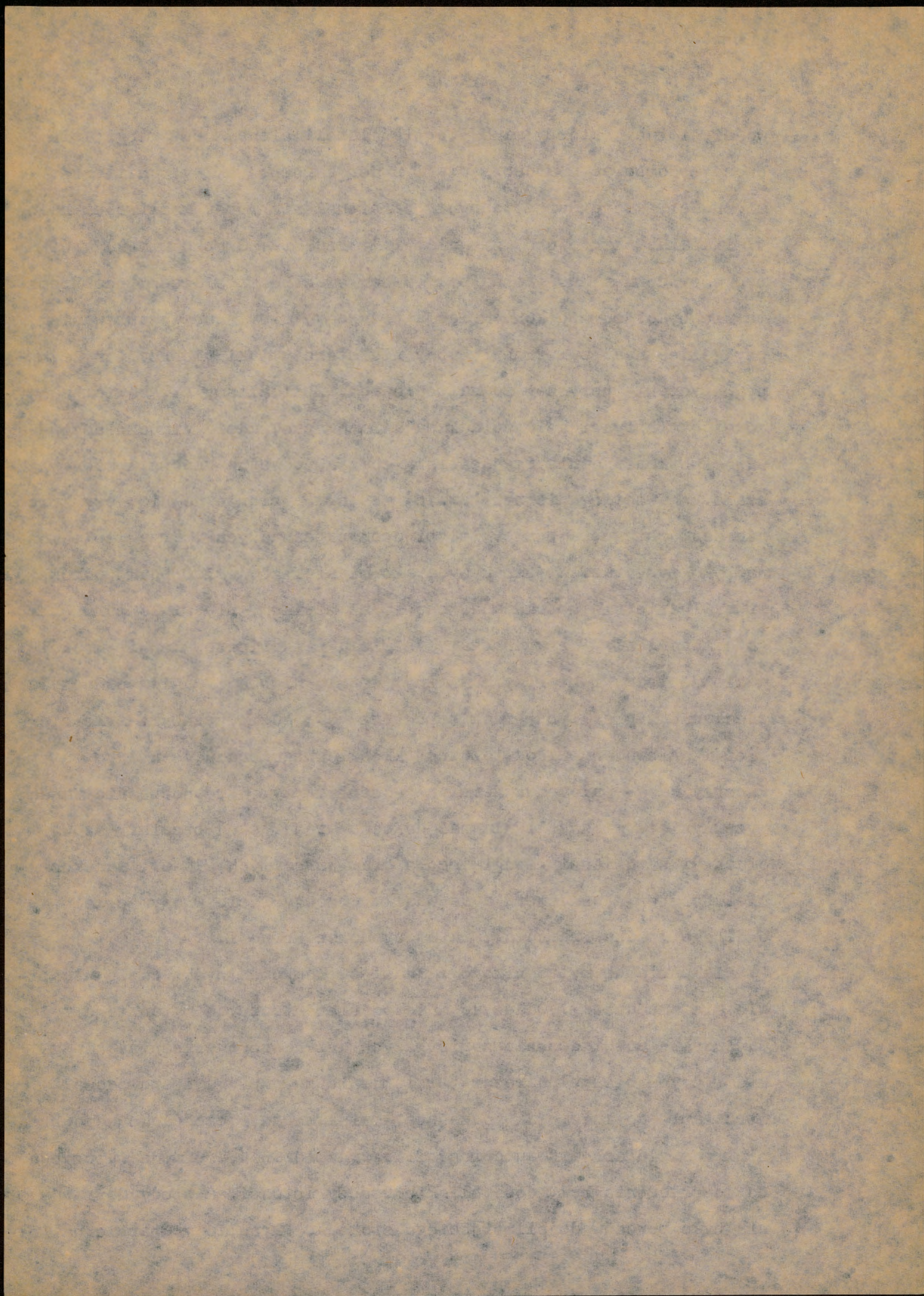
miałaby się przeciągać, klęska sanitarna poważnie groziła. Drugi problem, to głód. Byli tacy wśród podróżnych, którzy mieli dość żywności /zwykle jakieś konserwy mięsne, herbatniki itp./, ale byli i tacy, którzy dosłownie nie mieli co do gęby włożyć. Nie było łatwo dojść do tego z którą z tych dwu kategorii mieliśmy w konkretnym przypadku do czynienia /piszę "mieliśmy" bo z naszej grupy zorganizowałem rodzaj zespołu pierwszej pomocy: było nas dwa lekarzy, jeden aptekarz, jeden sanitariusz i jedna pielęgniarka z prawdziwego zdarzenia oraz druga niewiasta, chętna do takiej pomocy/. Wśród dobrze zaopatrzonych byli bowiem tacy, którzy wcale nie gardzili ofiarowaną im pomocą i byli wśród głodnych tacy, którzy nie chcieli tego okazać. Czasem trochę psychologii tu pomagało. Zauważyłem na przykład jednego pułkownika z pięknym wąsem, bardzo bladego /fotografia jego przed 1939 rokiem nieraz ukazywała się w prasie, bywał bowiem ministrem, a raz, zdaje mi się premierem/, który niczym nie zdradzał zainteresowania jakimkolwiek pożywieniem, a jednak przyjął ofiarowaną mu tabliczkę czekolady z trudno ukrywaną ochotą. Potem raz jeszcze mu pomogłem przy schodzeniu z trapu, kiedy nie mógł sobie dać rady z ... szablą, ^{która/} zachowywał u boku, a która przeszkadzała mu bardzo. Później już nigdy go nie spotkałem, nie wiem więc, czy rozstał się z tą poetyczną bronią czy też nie.

Nasz "Alderpool" pracował wśród szarych fal Atlantyku, uparcie dążył na Północ. Jakoś minął ten dzień bez niebezpieczeństw z zewnątrz. Nadeszła noc. Przeniosłem się z górnego pokładu i znalazłem się wśród gęsto leżących ludzi, wielu z nich było w opłakanym stanie fizycznym i moralnym. Trochę żartów i słów pociechy może im pomogło. Wielu z nich było w wielkim strachu, czemu trudno się dziwić po niedawnym bombardowaniu i z obecnie żywą świadomością możliwości storpedowania statku. Byłem wśród nich całą noc, wyszukując takich, którym szczególnie była potrzebna pomoc. A i to nie było łatwe zadanie, gdyż znów byli tu tacy, którzy wzywali pomocy z powodu drobnych dolegli-



wości, i tacy, którzy mimo cierpień leżeli cicho, bez skargi, nie chcąc absorbować swą osobą uwagi nader skromnej ekipy sanitarnej. Ciemności, które teraz panowały /zaciemnienie wobec możliwości nalotu i ataku torpedowego/ nie ułatwiały zadania. Szybko minęła krótka noc czerwcowa i znów można było obserwować bezkres oceanu, co zresztą nie było jedynie kontemplacją przyrody, ale także wypatrywaniem, czy gdzieś nad powierzchnię wody nie sterczy taki nieprzyjemny czarny patyczek - peryskop łodzi podwodnej. Zbliżaliśmy się bowiem na wysokość atlantyckiego ujścia kanału La Manche, gdzie niebezpieczeństwo spotkania z nieprzyjacielską łodzią podwodną znacznie się zwiększało. W świetle dziennym łatwiej też było orientować się, czy komu nie jest potrzebna pomoc. Ze zbiedzonych zapadłych twarzy wiele można było wyczytać. A jednak wydawało mi się, że w miarę jak podróż trwa, ludzie się uspokajają, choć, jak mówiłem, nie miało to większego uzasadnienia. Przypuszczam, że wielu nie orientowało się w ogóle, gdzie jesteśmy i którędy płyniemy, że dla nich każda mila oznaczała oddalanie się od tych przeklętych brzegów, gdzie przebyli tyle cierpień i gniewu, na widok totalnej klęski swego kraju, z którym zawsze łączyły nas - mało odwzajemniane - sentymenty. I równocześnie każda przepłynięta mila zbliżała nas do tego kraju, skąd brzmiały słowa otuchy i zapowiedzi nieugiętego oporu. Wśród tych głosów, na szczęście, był też głos generała de Gaulla, rzeczywiście w owym czasie ogólnego upadku Francuzów, ratujący honor Francji.

Nie chciałem pytać nikogo z ludzi tu kompetentnych, gdzie właściwie się znajdujemy. Oduczyciło mnie od niekoniecznych pytań tego rodzaju przykre doświadczenie z pierwszych dni naszego września, kiedy ktoś, chyba niespełna rozumu, wziął mnie za szpiega i spowodował strzelanie do mnie, jak do zająca. Opisałem to szczegółowo w poprzednich rozdziałach mej autobiografii. Sądzę jednak, że moje supozycje co do położenia były dość bliskie rzeczywistości, a wtedy doprawdy nie było powodów do olimpijskiego spokoju. Płynęliśmy uparcie na Pół-



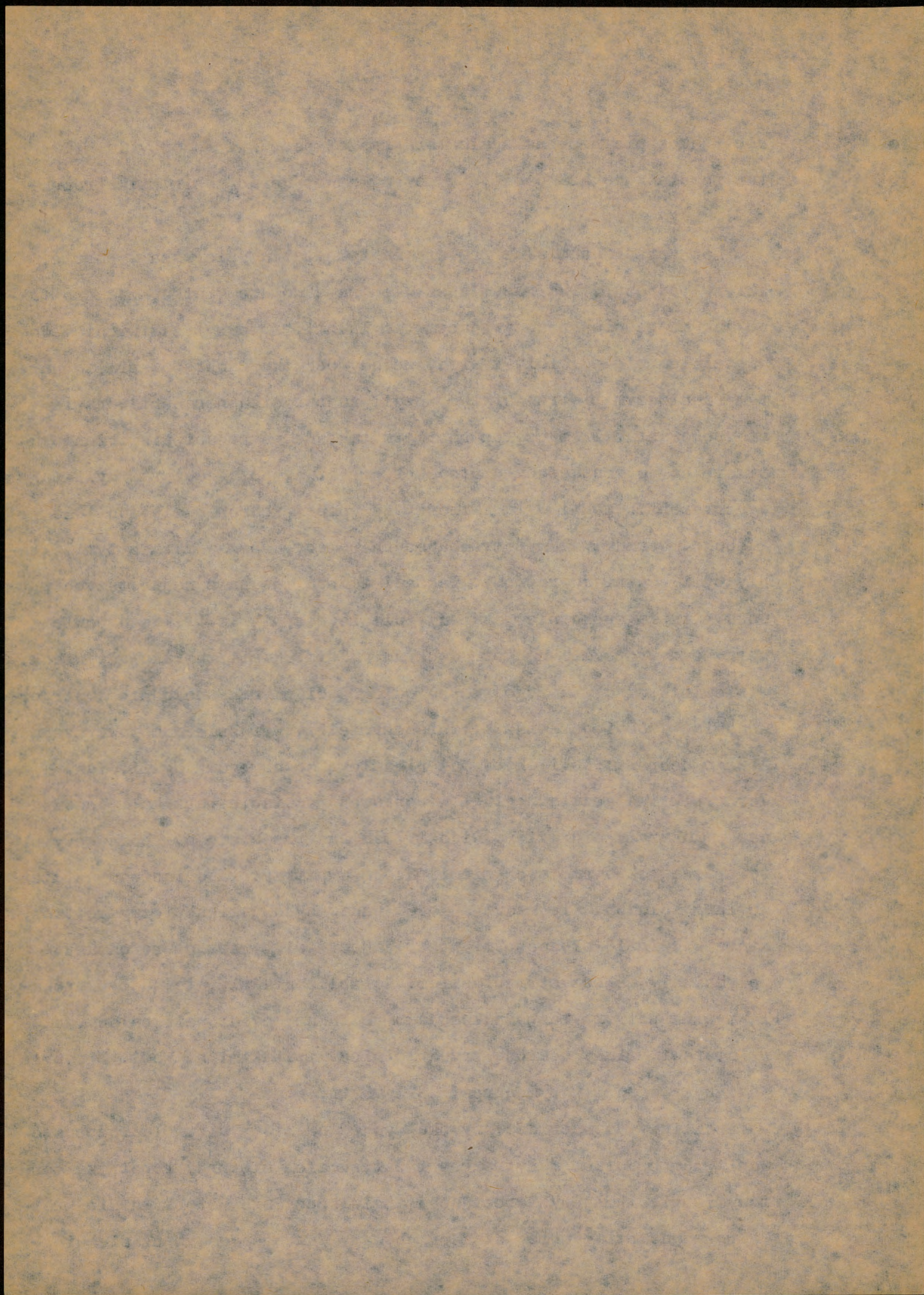
noc, jakoś nic nie zakłócało toku naszej podróży. Po odbyciu kilku tur po statku okazało się, że możemy nawet uciąć sobie kilka roberków.

la

Znów zapadła noc. Już trzecia na tym statku /pierwsza w porcie, dwie w podróży/. Tym razem zeszedłem na samo dno statku, zasłane tak-że jak najgęściej spoczywającym tam ludźmi. Z pewnym zdziwieniem dowiedziałem się od wielu z nich, że od początku zaokrętowania są na tym najniższym piętrze statku, czyli najbardziej narażeni w razie storpedowania. Tłumaczyłem sobie to tak, że po części nie orientowali się co do grożącego tu niebezpieczeństwa, po części zaś byli tak wystraszeni bombami w La Palisse, że woleli schronić się możliwie głęboko. Wszukiwałem potrzebujących pomocy, rozmawiałem z tymi, którzy byli chętni do rozmowy. Także i tu noc, jedna z najkrótszych w roku, minęła spokojnie, a kiedy, dla zaczerpnięcia świeżego powietrza porannego wyszedłem na górny pokład, uderzył mnie zaskakujący widok: w niewielkiej od naszego statku odległości płyną spokojnie kontrtorpedowiec /późniejsza nazwa: "niszczyciel"/, wyraźnie nam towarzysząc. A więc ochrona. No i chyba już niedaleko do brzegów Anglii. Tak. Jeszcze kilka godzin żeglugi w perłowej poświacie poranka i oczom naszym ukazały się dziwne widoki. Sam ląd przez się był bodaj czymś tym razem pokrewnym owej ziemi, którą wypatrzył z bocianiego gniazda żeglarz Kolumba. Ale nad tym lądem widać było jakieś niezwykle twory, które w świetle słonecznym, przebijającym się przez szare chmury, połyskiwały srebrzystym blaskiem. Po zbliżeniu się, te jakby apokaliptyczne potwory rozpoznałem jako podłużne, cygarowate balony, które stanowić miały ochronę przed lotniczymi atakami na port. Nie było jaki był to port w tym okresie, Plymouth.

H il

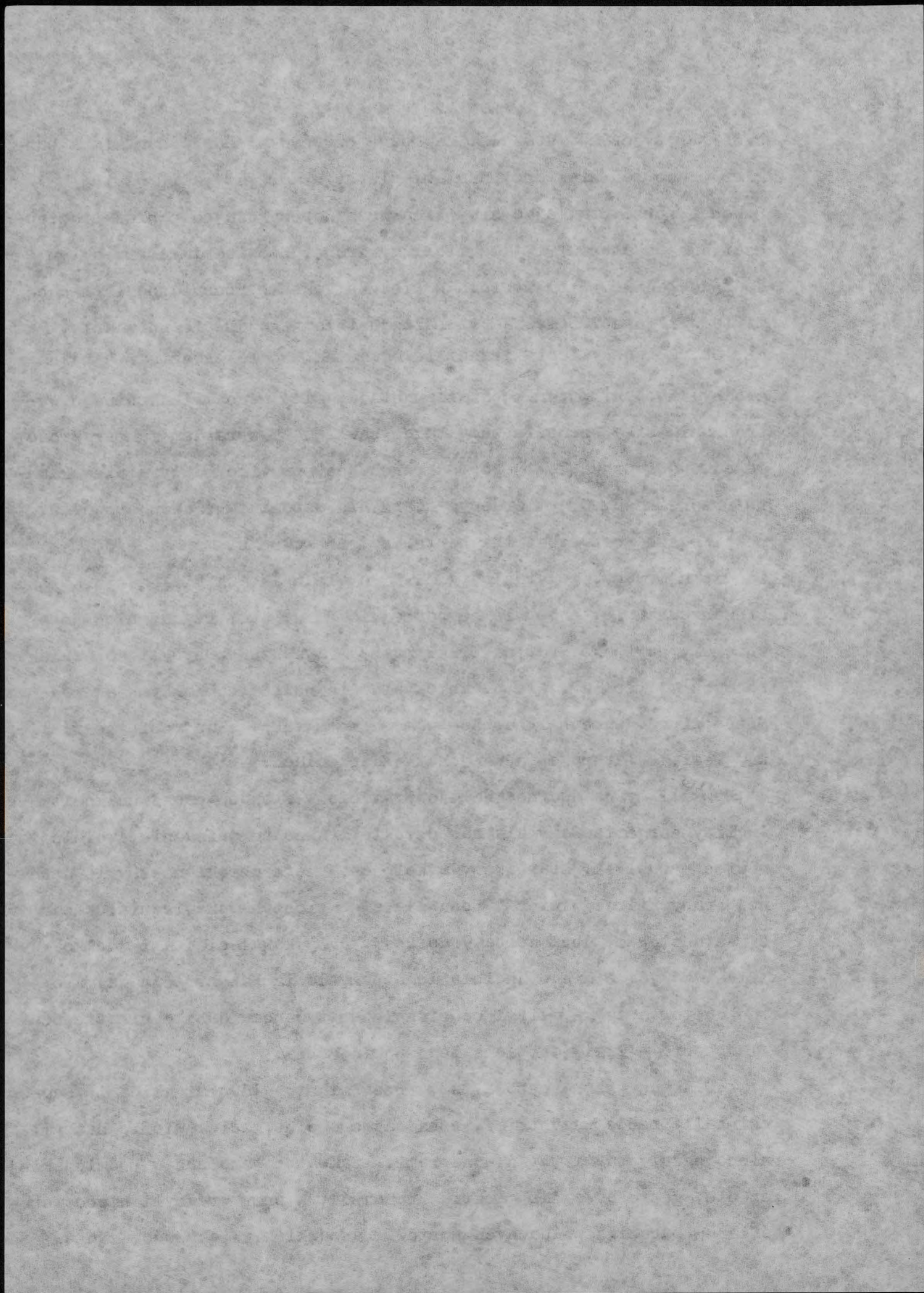
Dobiliśmy do nabrzeża, szybko wyokrętowaliśmy się. Dla rozprostowania nóg zrobiłem mały spacer i zatrzymałem się przy robotniku portowym. Dzięki mej wystarczającej angielszczyźnie potoczyła się krótka rozmowa, pytał mnie, skąd przybywamy /na ogół w tym czasie więk-



szość Brytyjczyków uważała, że można przybyć przede wszystkim z Dunkierki, co też niektórzy nasi blagierzy wykorzystywali później w Szkocji, przedstawiając się, zwłaszcza wobec różnych paniusi i dziewcząt, za bohaterów/ i jaką mieliśmy drogę. Opowiedziałem mu o tym dość dokładnie. Wtem wyciąga z kieszeni puszkę "corned beef" i chce mi to ofiarować. Domyślam się, że jest to jego drugie śniadanie, czy obiad i oczywiście grzecznie odmawiam, wcale zresztą nie byłem głodny. Robotnik jednak bardzo nastaje, mimo mego kilkakrotnego wypraszania się. Wreszcie pomyślałem chwilę, że sprawiam mu przykrość mą odmową i przyjąłem jego podarunek, co sprawiło mu wyraźnie okazaną przyjemność. O tym drobnym zdarzeniu wspominać z dwóch powodów: po pierwsze gest robotnika portowego, na pewno nie zamożnego, był bardzo ujmujący, po drugie, kiedyś po wielu latach miałem sposobność zrewanżować się, choć nie bezpośrednio jemu, ale przynajmniej jego kolegom, gdy jako drużyna piłki nożnej "Plymouth" przybyli do Gdańska na mecz z "Lechią". Ale szczegóły tu nie należą, chciałbym jak najmniej sięgać wstecz i naprzód w mych notatkach, choć robię je w kilkadziesiąt lat po opisywanych tu zdarzeniach.

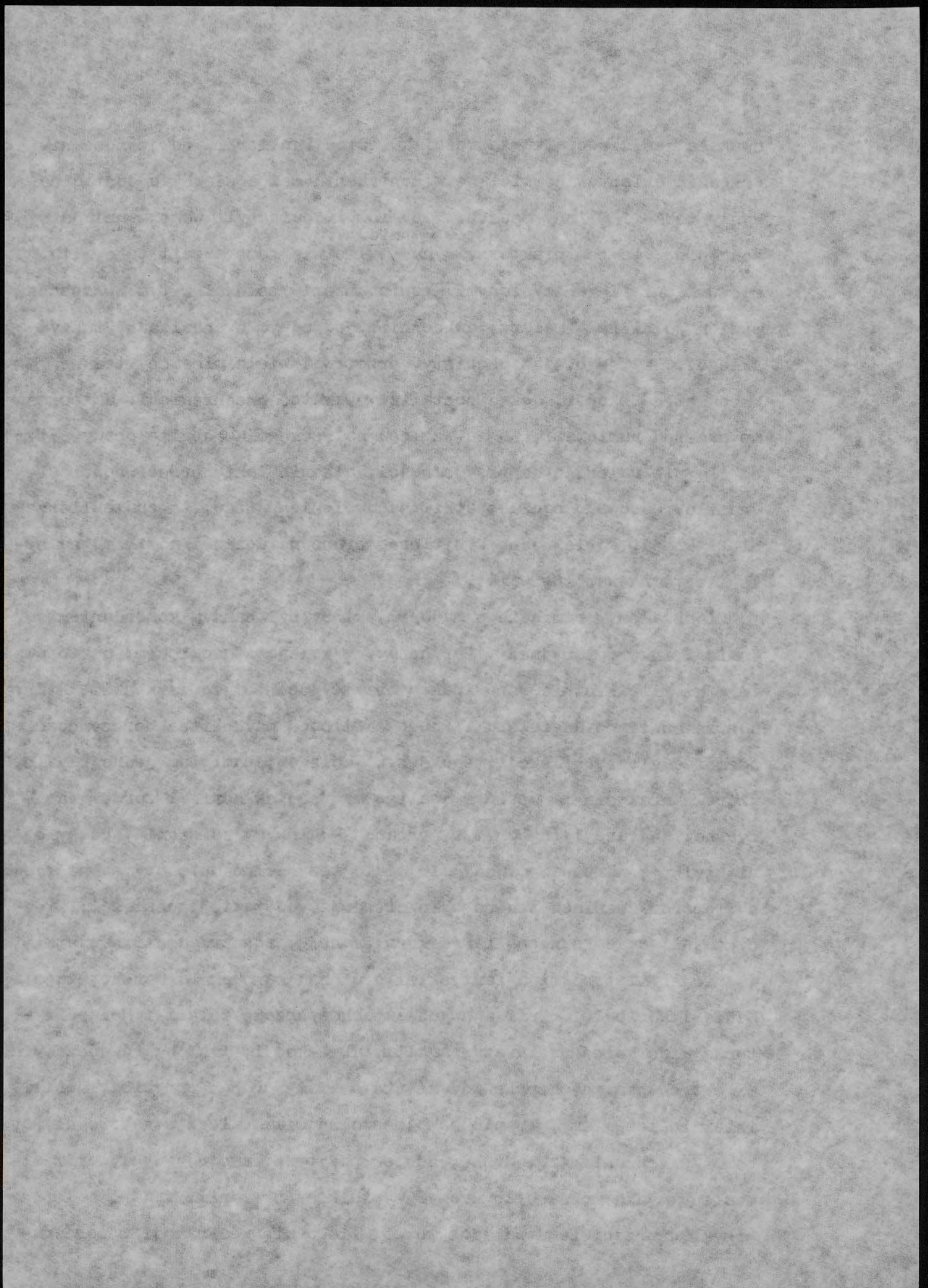
Przszliśmy na dworzec kolejowy, gdzie w sposób wprost znakomity Anglicy zorganizowali dla nas szybkie i skromne śniadanie, ściślej mówiąc - posiłek. Stanęliśmy w kolejce, która dzięki niezwykle sprawnej pracy kilku żołnierzy posuwała się wprost błyskawicznie. Każdy z nas dostawał kubek herbaty gorącej, duży kawał ciasta i jabłko /widać w myśl starego angielskiego przysłowia "an apple a day keeps the doctor away" - dzięki codziennie spożywanemu jabłku nie trzeba ci doktora - taki jest sens tego powiedzenia/

W Glasgow przemaszerowaliśmy przez miasto głównymi ulicami /Sauchiehall przede wszystkim/, wzbudzając ogólne zaciekawienie naszymi nieco egzotycznymi tutaj mundurami. Zakwaterowano nas w podmiejskiej szkole, gdzie była już garstka Francuzów, którzy przybyli nieco wcześniej z bardziej północnych portów francuskich. Większość Szkotów



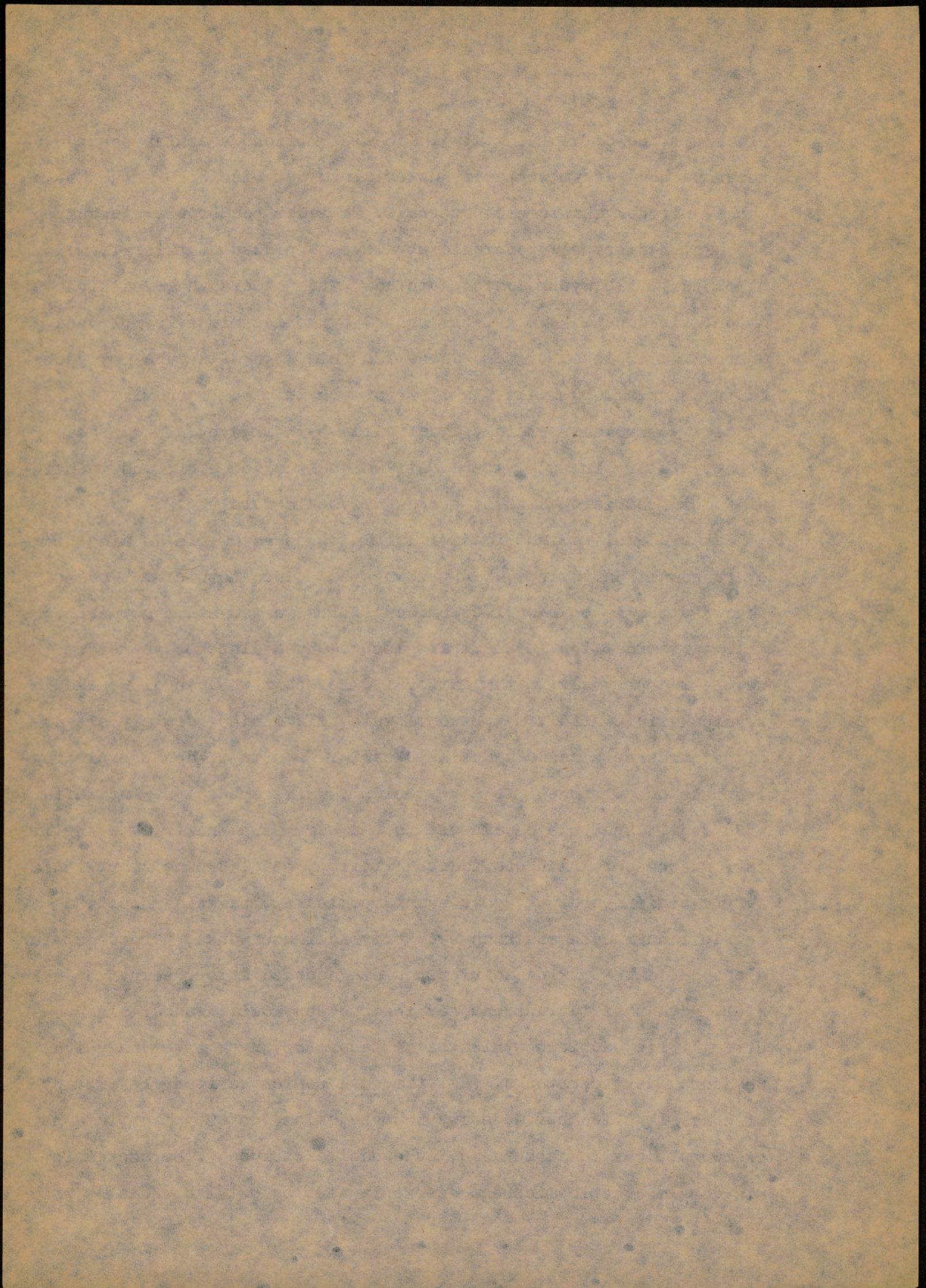
uważała nas z początku za rozbitków spod Dunkierki, bo jeszcze nie wszędzie orientowano się, że z kontynentu można się było dostać na Wyspy także i w inny sposób. Tacy rozbitkowie byli wenerowani jako bohaterzy, to też niektórzy z nas ^{nie/}tylko nie rozprasza-
li tego mitu, ale wzmacniali go zmyślonymi opowiadaniem /celował w tym zwłaszcza pewien żołnierz - malarz, uwieczniony w jednym z opowiadań Pruszyńskiego/. Mit jego, już osobisty, przetrwał wiele miesięcy też we Wschodniej Szkocji, dokąd zostaliśmy wkrótce przeniesieni. Umieszczono nas pod namiotami, co ze względu na szczególnie obfite opady w tym czasie nie należało do przyjemności, ale nie takie przeciwności się znosiło. Górowało nad wszystkim zadowolenie z tego, że znaleźliśmy się w kraju, gdzie wojnę z Hitlerem brano na serio i gdzie można było liczyć na wspólną walkę.

Mieszkałem w namiocie z majorem, który był naszym komendantem w Komisji Inkorporacyjnej w Parthenay, z kolegą Adamowiczem, o którym też już kilkakrotnie wspominałem oraz z docentem Tomaszewskim, który dobrze mówił po angielsku i wobec chwilowej całkowitej bezczynności udzielał głośnych lekcji tego języka kolegom; pamiętam jedno zdanie, które starał się im wpoić i analizował jego składnię i formy gramatyczne: "We are lying on the ground" - "leżymy na ziemi", co było nie tylko konkretną prawdą, ale miało też odcień metafory. W naszych bowiem rozważaniach trudno było nie dojść do takiej konkluzji: Niemcy zajęli całą Północną i Środkową Francję, rozporządzali wszystkimi ważniejszymi portami atlantyckimi oraz nad kanałem La Manche, zajęli Danię i Norwegię, mieli w swych łapach wybrzeże Belgii i Holandii - teraz więc kolej na inwazję Anglii lub Szkocji, lub obu równocześnie. Mimo tych posępnych przewidywań nie byliśmy jednak przybici, jeżeli istotnie leżeliśmy, to nie jako bezwolne ciała, lecz w gotowości, by powstać i bronić się. Myślę, że ten pozytywny nastrój wpływał z atmosfery, jaką można było wyczuć w Wielkiej Brytanii. Trudno o lepszy przykład przeciwieństwa, jak to co działo się we Francji w porówna-



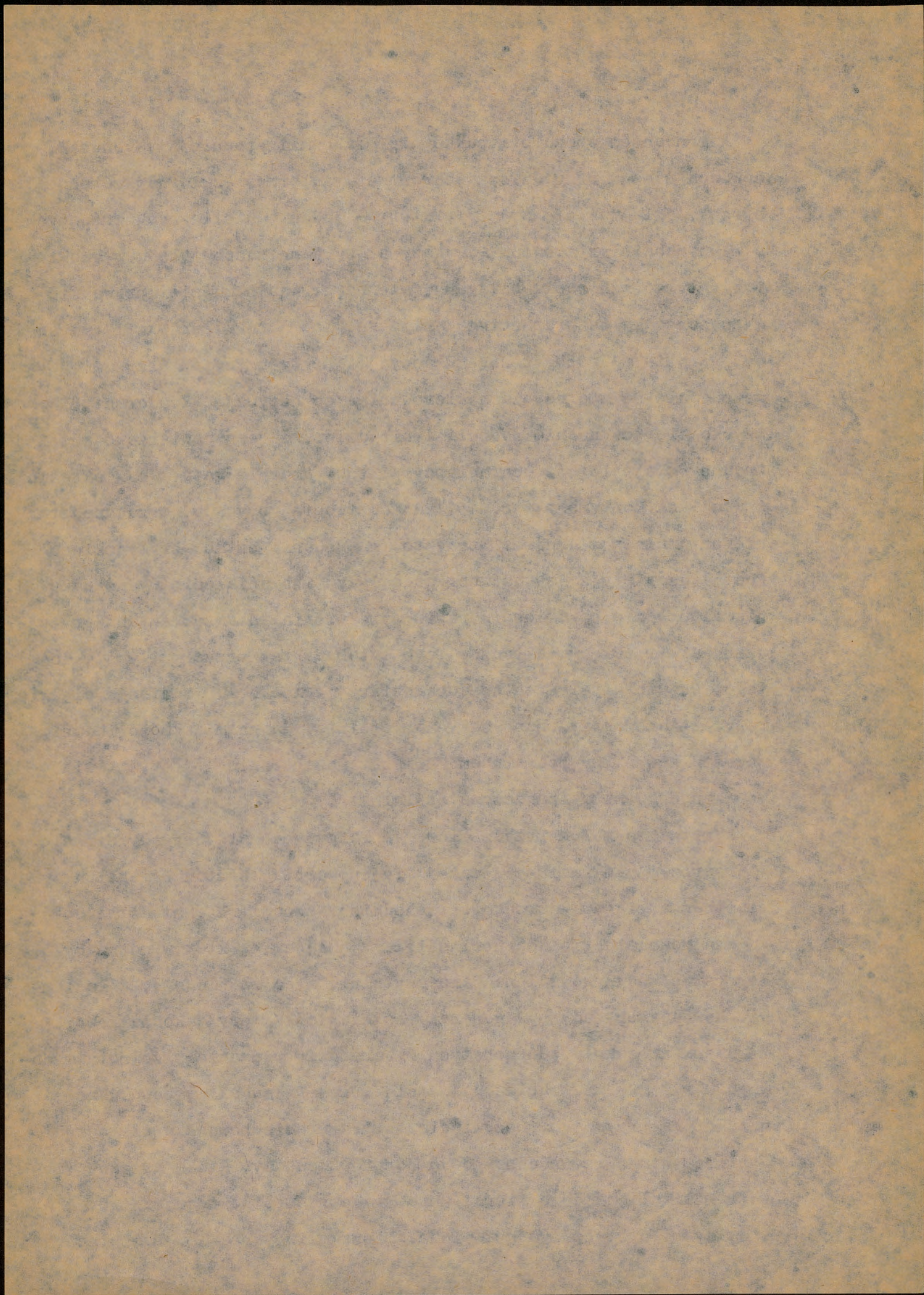
niu z tym, co działo się tutaj. Tam wielomilionowa armia, bogato wyposażona pod każdym względem, materialnym oczywiście. Brak jej było ducha, więc błyskawicznie przegrała. Tu ludzi pod bronią stosunkowo niedużo, najlepsze wyposażenie stracone na plażach Dunkierki, mało samolotów, mało wyszkolonych lotników, wróg otacza ze wszystkich stron, ale duch j e s t . Nie sądzę, by koniecznie było potrzeba Churchilla do tego, by tego ducha wzmacniać, gdyż to duch Brytyjczyków wyemanował Churchill^u, jako swego wyraziciela. Francuzi w tym czasie wyemanowali Petaina, a de Gaulle był jakgdyby głosem z za sceny, w który Francja zaczęła się wsłuchiwać dopiero po uświadomieniu sobie rozmiarów klęski, przede wszystkim moralnej.

Jak wiadomo, zamiast inwazji lub jako przygotowanie do niej Niemcy próbowali na razie zyskać przewagę za pomocą lotnictwa. Podobnie jak w Polsce i we Francji bombardowali przede wszystkim lotniska, ale tu zawiódł ich zmysł strategiczny. Chyba dlatego, że te dwa zwycięstwa przyszły im tak łatwo. I w Polsce i we Francji w ślad za zwycięską Luftwaffe i na pewno głównie dzięki niej posuwały się dywizje pancerne z zaskakującą szybkością. No a tu te dywizje nie mogły przeskoczyć morza i cała ciężar walki spoczął na Luftwaffe. W Szkocji jednak nie dawało się to tak bardzo we znaki jak w Anglii, tak, że bezpośrednich doświadczeń mieliśmy mało. Główne zmartwienia były z higieną obozową, gdyż, jak wspominałem, na "Alderpool", a pewnie i na innych statkach były przypadki czerwonki; wkrótce stwierdzono je także i wśród żołnierzy naszego obozu i to z pewnym opóźnieniem, gdyż nasi tu funkcjonujący lekarze wojskowi zawodowi nie spostrzegli się, dopiero wyniki badań laboratoryjnych przekonały ich, że jednak jest czerwotka. Pamiętam, jak pewien kapitan-lekarz wyśmiewał się z lekarzy wojskowych brytyjskich, że "wszystko widzą na czerwono", gdy tłumaczonemu mu, że chodzi o czerwonkę. Na szczęście nie doszło do epidemicznego szerzenia się, było tylko około 10 przypadków.



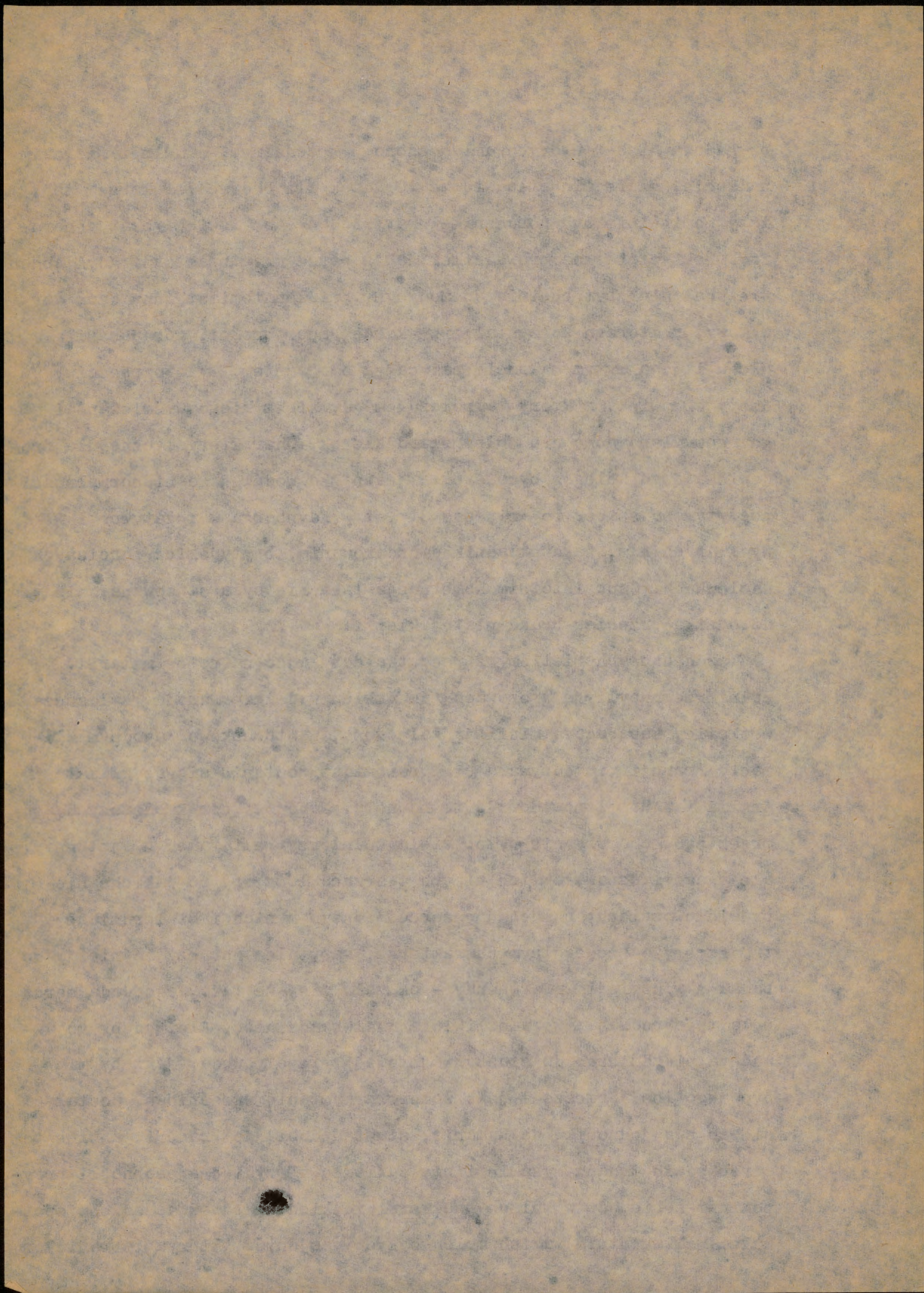
Komendantem obozu był pułkownik Sozabowski /późniejszy generał, dowódca naszej brygady spadochronowej, autor książki "Najkrótszą drogą", dziś już nie żyjący/, który - jeden z nielicznych kręcących się po obozie sztabowców - wykazywał wyraźne zasoby oleju w głowie i nie tylko nie robił bałaganu, ale nawet udało mu się wprowadzić dużo porządku bez zupackiego animuszu, lecz drogą perswazji, papar-
tej w razie potrzeby rozsądną decyzją. Brytyjczycy, którzy umieją poznać się na zdolnościach kierowania /co nazywają "leadership"/ szybko się też na nim poznali i nie dziw, że jemu powierzono później trudne szkolenie spadochroniarzy /w tzw. "małpim gaju"/ a w okresie inwazji na kontynent w r. 1944 dowództwo tej brygady, zrzuconej tak niefortunnie pod Arnhem. Wtedy to, na żądanie sztabu brytyjskiego został usunięty z dowództwa brygadą, gdyż wzbraniał się wydać całą niemal brygadę na śmierć w razie wypełnienia rozkazów sztabu brytyjskiej armii. Błędy taktyczne tego sztabu i tak przyczyniły się do tego, że wielu polskich spadochroniarzy zginęło lub odniosło ciężkie rany. Te szczegóły znane są teraz ogólnie, ja znam je z opowiadania uczestników bitwy pod Arnhem /książka Sozabowskiego jest, niewiadomo dlaczego, nie dopuszczona do Polski/.

Wkrótce zostałem przydzielony do formującej się brygady strzelców, która rozłożyła namioty w małej miejscowości Netherton w pobliżu miasteczka Biggar w środkowo-wschodniej Szkocji. W sąsiedztwie obozu znajdowała się osada Springfield z pałacem, w którym można było korzystać z dużego salonu jako czytelnicy, a co ważniejsze, z łazienki. Dowódcą brygady był generał Paszkiewicz /który jako pułkownik i komendant szkoły podchorążych w Warszawie w czasie przewrotu majowego w r. 1926 nie chciał ugiąć się przed Piłsudskim, powołując się na złożoną przysięgę. Oczywiście po przewrocie popadł w niełaskę i dopiero tutaj przywrócono go do honorów dowódcy. Kilka Krzyżów Virtuti Militari na jego piersi wskazywało na męstwo tego miłego, ale dość symplicystycznego człowieka. Mieszkaliśmy nadal w namiotach, a



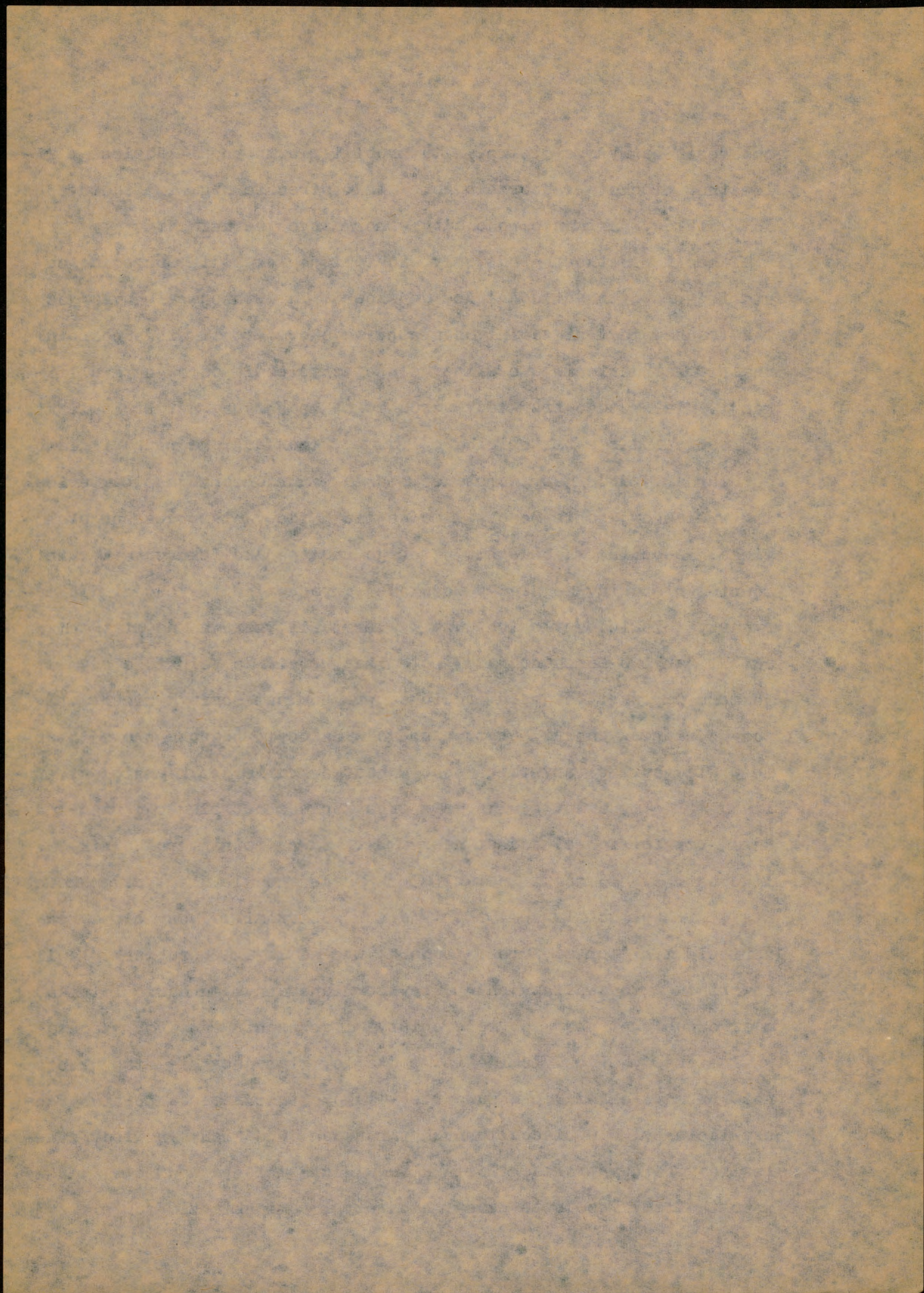
brygadową "izbę" chorych umieszczono w specjalnym, długim i szerokim namiocie, gdzie mieściło się ze 40 łóżek dla chorych. Lekarzem tej izby nominalnie był porucznik-lekarz Abdon Paszkiewicz /brat generała/, faktycznie zaś prowadziłem ją ja przez cały czas sam, gdyż Abdon nie brał się zbyt chętnie do medycyny, miał natomiast inny dar, dar wymowy, z którego korzystał przy każdej sposobności, górując siłą głosu i jego wytrzymałością nad całym otoczeniem. Był to poczciwy dobry człowiek, z którym współczułem gdy się z niego wyśmiewano i gdy pomawiano go o nie pełny skład klepek. Charakterystyczne dla środowiska jego kolegów było, że za jeden z dowodów jego nienormalności poczytywano spacer po Princess Street w Edynburgu w rogatywce i w wydawanych nam, jako składnik umundurowania, brytyjskich parcianych cholewkach. Choć istotnie kombinacja taka nie była stosowana, nie dowodziła przecież braku piątej klepki.

Wśród chorych mieliśmy z początku dość dużo nawrotów malarii. Żołnierze nabyli ją w obozach rumuńskich w delcie Dunaju /zwłaszcza w okolicy Babadagh/, mieli ją zaleczoną, w stosunkowo łagodnym klimacie Francji nie odzywała się, natomiast dostanie się do klimatu Anglii i Szkocji powodowało te nawroty. Na ogół jednak cięższych przebiegów choroby nie było. Wielu żołnierzy pamiętałem z Parthenay, ale czasem poznawałem ich nie po twarzach lecz np. po jakichś nieprawidłowościach: osłuchując serce jednego z nich i stwierdziwszy tam szmery o szczególnym charakterze, zapytałem go, czy to nie ja go badałem w komisji w Parthenay - okazało się, że tak. Jego wada serca była tego rodzaju, że umożliwiała mu lekką służbę. Ale, gdyby go uznać za niezdolnego do służby wojskowej z tego powodu, jaki by miał być jego los? Przeszedł jako żołnierz kampanię wrześniową, dostał się ze swą jednostką do Rumunii, stamtąd dobił do Francji, a więc to serce zdało trudny egzamin i nie zawiodło. Przy tej sposobności przypominam sobie, że w Polsce w czasie wielkich wędrówek uchodźców spotykałem kilkakrotnie takich moich byłych pacjentów, którym zabraniałem

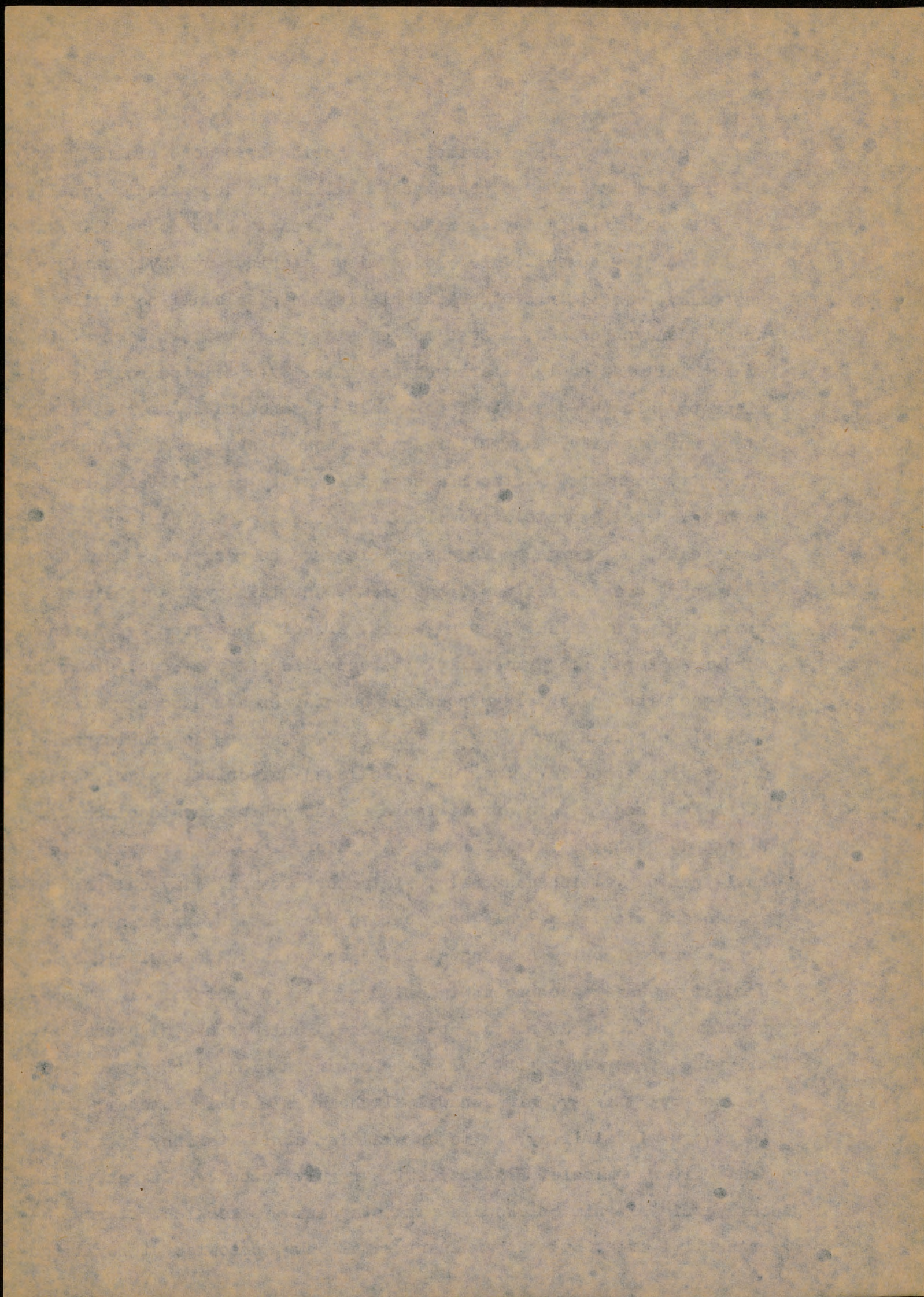


chodzenia na wyższe piętro, a tu zrobili nieraz po kilkadziesiąt kilometrów piechotą i dobrze było. W tzw. stressie organizm zdolny jest do wysiłków, jakim nie podołałby w normalnych warunkach.

Także i w Netherton odbywały się komisje lekarskie, określające stopień przydatności do służby wojskowej. Tu sytuacja nie była już tak trudna, gdyż niezdolni do służby wojskowej mogli niejednokrotnie znaleźć zatrudnienie w cywilnej służbie, zależnie od swych kwalifikacji. Miałem tego przykłady wśród moich znajomych, np. Dr Łomiński, mój dobry znajomy bakteriolog z Krakowa, chorujący na płuca i dlatego niezdalny do służby wojskowej, został zatrudniony jako bakteriolog w Glasgow, gdzie pozostał po wojnie i zdobył tam poczesne stanowisko. Podobnie Dr Kożusznik, którego znałem jako lekarza w Karwinie, również niezdalny do służby wojskowej, pracował w przychodni dla marynarzy polskich /było ich dużo w W. Brytanii, zarówno na statkach polskich, jak i w Merchant Navy/ potem zaś wrócił do Polski, o czym jeszcze napiszę. Co do Łomińskiego, przypominam sobie komiczne epizody z pierwszych dni pobytu naszego w Szkocji, jeszcze w owej szkole w Glasgow. Ze wszystkich osób w naszej grupie język angielski znaliśmy tylko my dwaj. Wyniknęła z tego konieczność ciągłego niemal dyżuru przy telefonie. Wodzem naszym był sławny lotnik, pułkownik Pawlikowski. Iwo Łomiński znalazł się w naszej grupie dość przypadkowo, nigdy nie był żołnierzem. Pełnił dyżur w pidżamie. Jasny blondynek z niebieskimi oczyma, drobną budową, wyglądał jak cherubinek. Pawlikowski zaś, to zwalisty chłop, zawsze nienagannym mundurze lotnika, miał o coś pretensję do "telefonisty" i ochrzaniał go, co przedstawiało farsowy widok. Łomiński w pidżamie, starający się stać na baczność przed wielkoludem w mundurze - taka sytuacja mogła powstać rzeczywiście tylko w niecodziennych warunkach, w jakich się wtedy znaleźliśmy. Kiedy profesor Łomiński odwiedził mnie po wojnie w Gdańsku, wspominaliśmy wesoło te czasy. Niestety i Łomiński dziś już nie żyje.



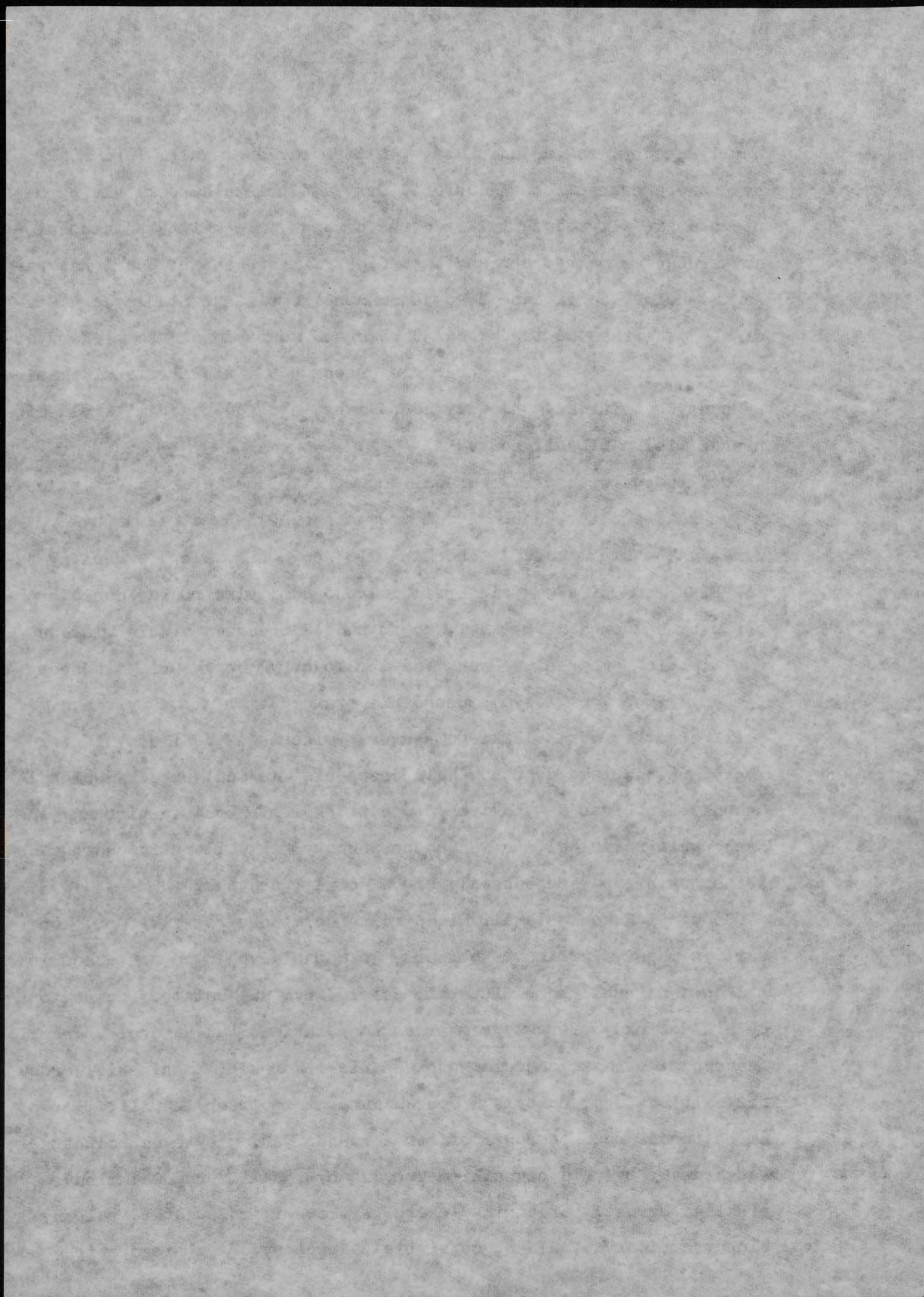
W naszym mieszkalnym namiocie w Netherton było dość ciasno, gdyż było nas tam sześciu "podchorążych", byliśmy bardzo zgrani, lubiliśmy się wzajemnie. Ja byłem najstarszy, zresztą było moją polityką, by łączyć się raczej z dużo młodszymi od siebie, gdyż byli bardziej beztroscy, weseli, nie narzekali ciągle i nie żałowali co chwilę przedwojennych czasów, a tego mogłem się spodziewać w towarzystwie równych mi wiekiem lub starszych ode mnie. Było to więc rodzajem higieny psychicznej dla mnie i pozwalało mi zapominać o zmartwieniach, które mnie trapiły. Najwybitniejszym w naszej szóstce na pewno był znakomity pianista, Marian Błaszczyński, który działał też jako stomatolog. Drugi stomatolog również parał się grą, dla odmiany na skrzypcach, co prawda ze znacznie mniejszym powodzeniem - Marian Kleinberg, zwany przez nas "pagórką", co miało być żartobliwym tłumaczeniem na polski jego nazwiska. Trzecim lokatorem był Alfons Wardyn, chłopak niezwykle miły i łagodny, leśnik z zawodu. Czwartym był Stachurko, o subtelnym poczuciu humoru, czasem dość zgryźliwy, świetnie opowiadający różne historie z "Cewusanu", doskonale naśladowający głos generała "Piramidki" /Koźłataj-Szrednicki, zmarł w 1944 r. na Węgrzech/ i jego przemówienia na różnych uroczystościach z nieprawdopodobnymi gafami. Pewnie imitator nieco koloryzował, ale bawił nas wszystkich doskonale. Piątym był Ozimek, duży chłopak, mimo młodego wieku już łysiejący, bardzo źle widziany przez naszych przełożonych, ponieważ abonował ... "Robotnika". Rzeczywiście był socjalistą bardzo dobrze uświadomionym, często spotykał się z towarzyszami i wracał do namiotu późną nocą. Ponieważ nie odznaczał się zwinnością, zwykle zaplątywał się w sznury namiotu i przewracał się /zawsze był trzeźwy, nie uznawał alkoholu/ z wielkim łomotem, tak, że zawsze wiedzieliśmy, że to on właśnie, a nie kto inny za chwilę ukaże się w namiocie. Błaszczyński z reguły nocował w Biggar, gdzie serdecznie się nim opiekowała para starszuchów szkockich, którzy zapraszali i mnie. Był to pan Ewart z małżonką, człowiek niezwykle go-



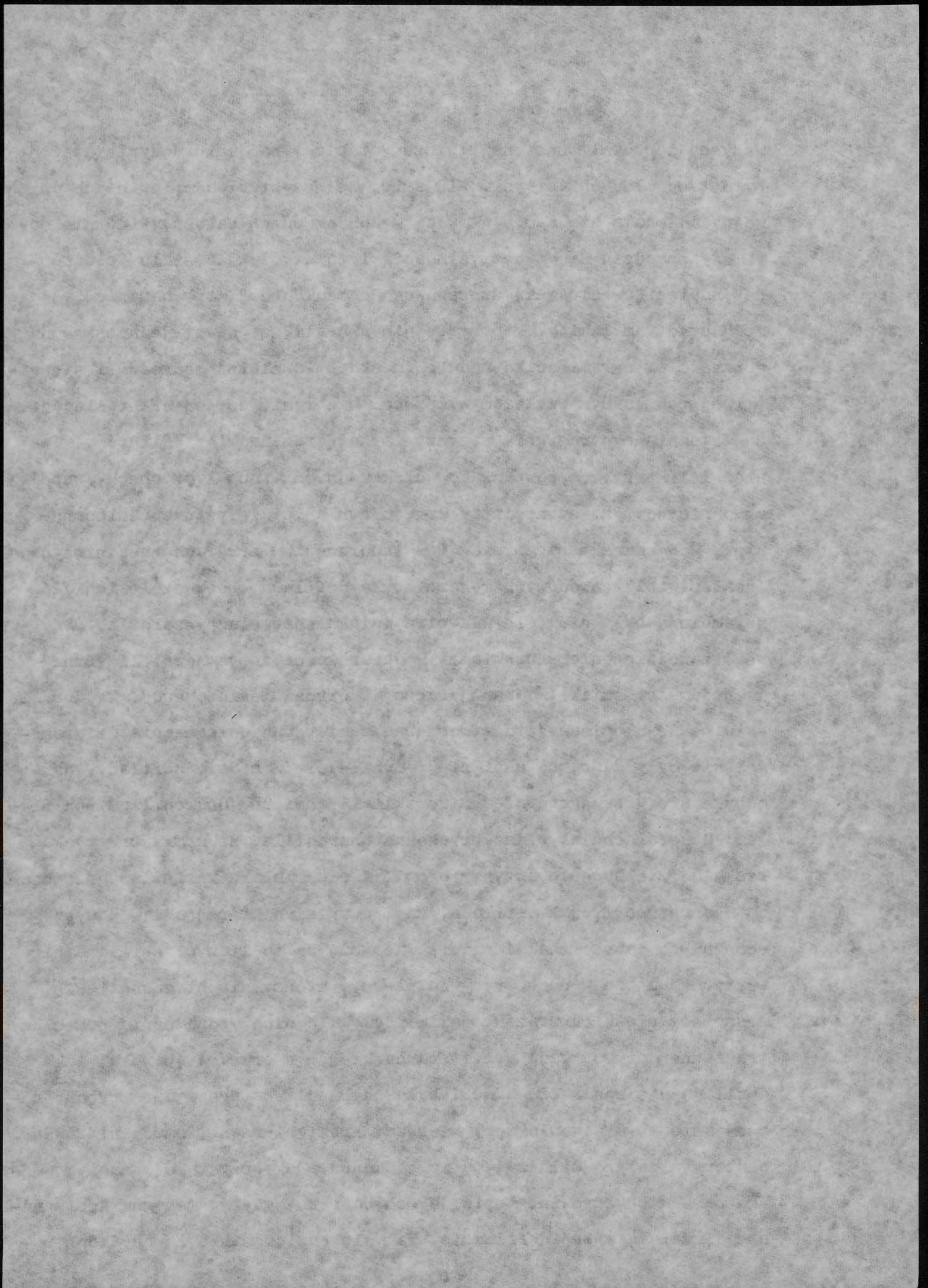
dny i łagodny, rodzaj adwokata, w każdym razie prawnik. Pani Ewart była osobą ewangelicznej dobroci. Przyjaźń polsko-szkocka nie ograniczała się w tym domu tylko do nas czworga, ale kwitnęła także między służącą a jednym z naszych żołnierzy, którego pani Ewart nazywała "Stancio", co zapewne było jej własną kombinacją Stanleya ze Stasiem. Jak większość tego rodzaju romansów kończyło się to niekorzystnie dla naiwnej Szkotki. Wprawdzie grzeczność i nieraz gładkie maniere naszych żołnierzy ujmowały gospodarzy, ale pod pozorami kryła się nieraz wielka niesolidność.

Często pod wieczór maszerowaliśmy w kilku do Biggar, które było małym miasteczkiem, schludnym i przyjemnym. Główną atrakcją był /znajdujący się w każdej szkockiej miejscowości/ sklep, określony jako "Fish and Chips", gdzie sprzedawano jeden tylko rodzaj dania, porcję ryby smażonej z frytkami, co po nudnej obozowej diecie miało u nas wielkie powodzenie. Drugą zaś atrakcją był oczywiście miejscowy /jedyny/ "pub", w którym szczególnie smakował nam nieznany u nas "milk stout", rodzaj lekkiego portera "mlecznego" no i oczywiście, wychylana od czasu do czasu, dla uczczenia miejsca, szkocka whisky; jednakże kombinacja tych dwóch trunków nie była bezpieczna dla zachowania równowagi, to też nocne powroty kilkukilometrową drogą do Netherton nie zawsze odbywały się w ścisłym ordynku.

Gościnni Szkoci starali się o różne dodatkowe rozrywki, np. koncert /w marszu/ orkiestr kobziarzy we wspaniałych strojach szkockich z idącym na czele kapelmistrzem, zonglującym swą batutą. Piękne to było widowisko, pierwszy raz przez nas widziane "au naturel". Jeżeli zaś chodzi o nasze zajęcia wojskowe nie-lekarskie, to nie wiele różniły się od tego, co było w Coëtquidan. Nie potrzeby chwili, lecz umiejętności podoficerów i oficerów zawodowych, nabyte na podwórzu koszarowym, były tu czynnikiem decydującym. Nami dyrygował młody, niskiego wzrostu porucznik /lekarz/ Witkowski, różowiutki, pulchny blondynek, bardzo, widać, ze siebie zadowolony. My z niego mniej, bo



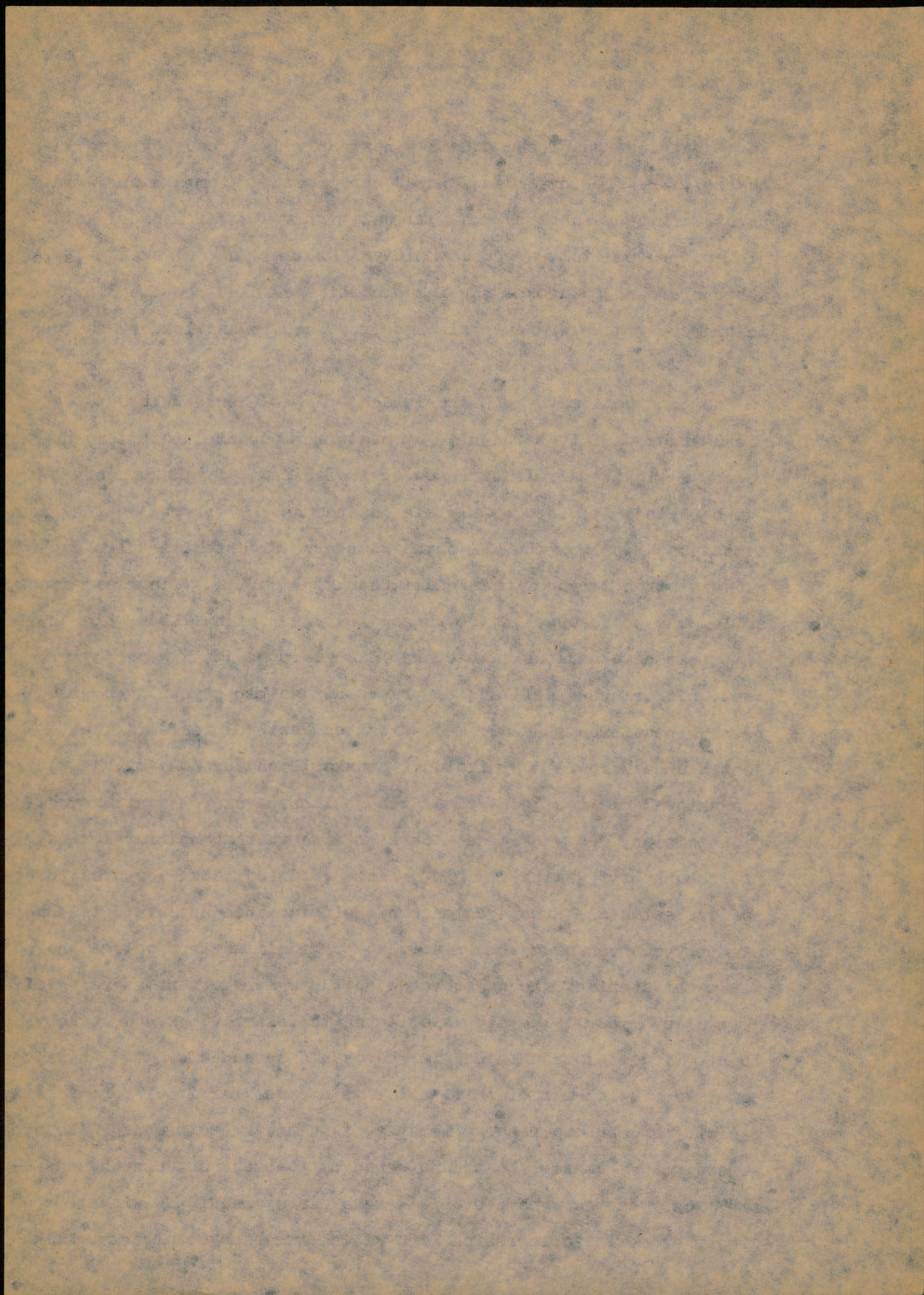
wszyscy odczuwali bezsens "ćwiczeń" takich, na jakie jedynie stać było tych młodych kolegów. Nie dziw, że wszystko, od pierwszych dni wojny układało się nam w głowach w konsekwentną całość, więc nie mogliśmy pogodzić się z bezmyślnością i to wywoływało stale "podskórne" napięcie w stosunku szeregowego do "dowódców", tym bardziej, że mało było tam takich, którzy by nie uważali, że nawet jedna skromna gwiazdka na naramienniku nadaje im skarb wszelkiej mądrości i niewątpliwej pod każdym względem wyższości nad tymi, co jej nie posiadają. Do wspomnianego napięcia przyczyniał się też nadmiar oficerów, również i lekarzy, co powodowało ścisk w dowództwach i sztabach, współzawodnictwo, okraszone intrygami, ujawnianie się różnych śmieszności, wad charakteru, nieraz też ignorancji w sprawach zasadniczych. Ideałem wielu zawodowych lekarzy była defilada, bo w ogóle ich główną ambicją była nie tyle właściwa działalność służby zdrowia, co współzawodniczenie z "broniami" w dziarskości, sprawności fizycznej i znajomości sztuki wojennej/raczej z okresu legionowego/. Trudno się dziwić, że w opisanej tu atmosferze zamierzone osiągnięcia dziarskości nie były duże, co dobitnie ujawniło się w czasie defilady, jaka odbyła się przed generałem Sikorskim i premierem Churchillem pod Biggar. Generał chciał widać przekonać Churchilla, że armia brytyjska zyskała dzielnych towarzyszy broni, a nie miał na razie innego sposobu demonstracji, jak defilada, zamiłowanie do której u zawodowych wojskowych dobrze znał i sądził, że może na to liczyć. Defilada nie wziętych jeszcze w nowe tryby żołnierzy, którzy nie otrząsnęli się jeszcze z ciężkich urazów, jakimi były dla nich /później przecież/ tragiczne dni rozkładu armii francuskiej w czerwcu 1940 roku, taka defilada nie mogła się udać i była chyba dla patrzącego z trybuny raczej śmiesznym widowiskiem. Nierówny krok, nierówne tempo, nierówne odstępy między oddziałami, a my na końcu, jak przystało w naszym wojsku na Służbę Zdrowia. Lepiej by chyba było, gdyby zrezygnowano z naszego udziału w tej defiladzie. Tak się bowiem stało że czy to z po-



1,3
w a to,
wodu zbytniego pośpiechu oddziału nas poprzedzającego /byli to kucharze/, ~~czy może~~ czy może z powodu zbyt wolnego tempa naszej grupy, powstała między kucharzami a nami duża przerwa w defilującej kolumnie, co próbowaliśmy wyrównać milowymi krokami, niemal skokami, a to, wobec nierównej długości nóg i zdolności "wykroku" poszczególnych żołnierzy wywarło wrażenie nieskoordynowanej pogoni lekarzy za kucharzami.

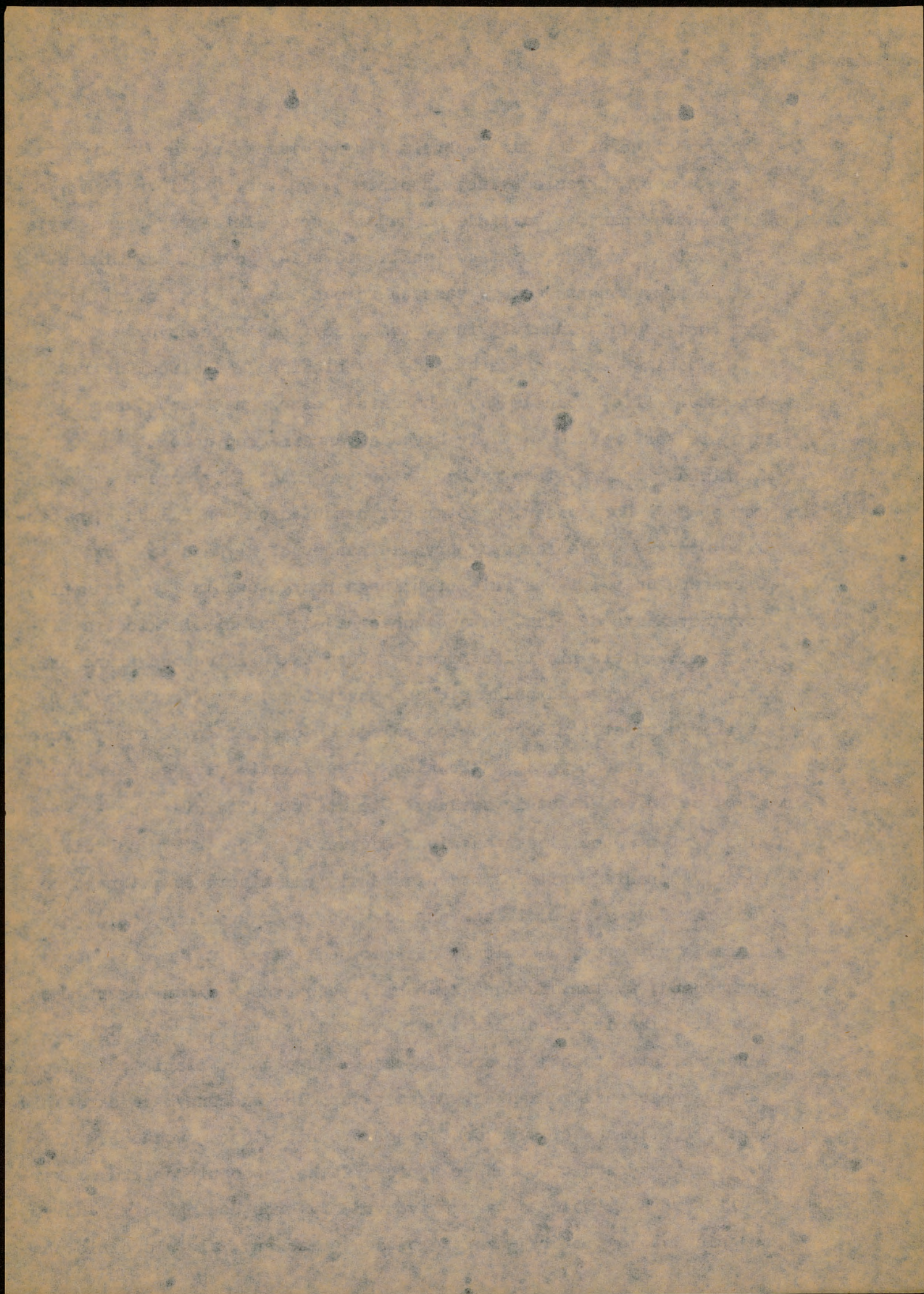
1,3
Następne defilady, po kilku latach, gdy żołnierze byli odpowiednio umundurowani i uzbrojeni, gdy nastąpiły odpowiednie zmiany dowódców i większe zżycie szeregowych z oficerami, wypadły dobrze, tym bardziej, że nie odbywały się już pod hasłem "przybij!" lecz na samochodach wojskowych, w których żołnierze siedzieli i tylko ruchem głowy w stronę trybuny zaznaczali charakter defilady. Tu muszę dodać, że lekarzy szeregowych, których zawsze była pokaźna ilość, nieraz dla większej okazałości liczebnej /tak zresztą, jak i w owej pierwszej, niefortunnej defiladzie/ przedstawiano jako zwyczajnych piechurów lub pasażerów pojazdów mechanicznych, bez podkreślenia, że to jest służba Zdrowia jakimikolwiek oznakami, choćby noszami, jak to projektował dla nas jeden z naszych genialnych szefów sanitarnych.

1,3
Wspomniany już w związku z okresem "francuskim" nadmiar lekarzy, na Wyspach Brytyjskich dał się jeszcze bardziej odczuć, skoro liczebność polskich sił zbrojnych znacznie się tu zmniejszyła. To też chętnie przy różnych okazjach, nie tylko przy defiladzie, posługiwano się w obliczeniach liczby szeregowych także i lekarzami szeregowymi, ukrywając, kiedy tylko się dało, że są to lekarze. W końcu mogłoby to nie mieć większego znaczenia, gdyby nie sytuacja w samej Anglii, powstała w związku z ciężkimi nalotami niemieckimi i potrzebą lekarzy Wielkiej stosunkowo rezerwy lekarzy, zupełnie niepotrzebnej w naszym wojsku w owym czasie /bo trudno uznać za potrzebę sztuczne zwiększenie liczby szeregowych z bronią w rękę dla uzasadnienia większej liczby stanowisk oficerskich kiedy i tak trzeba było utworzyć kilka



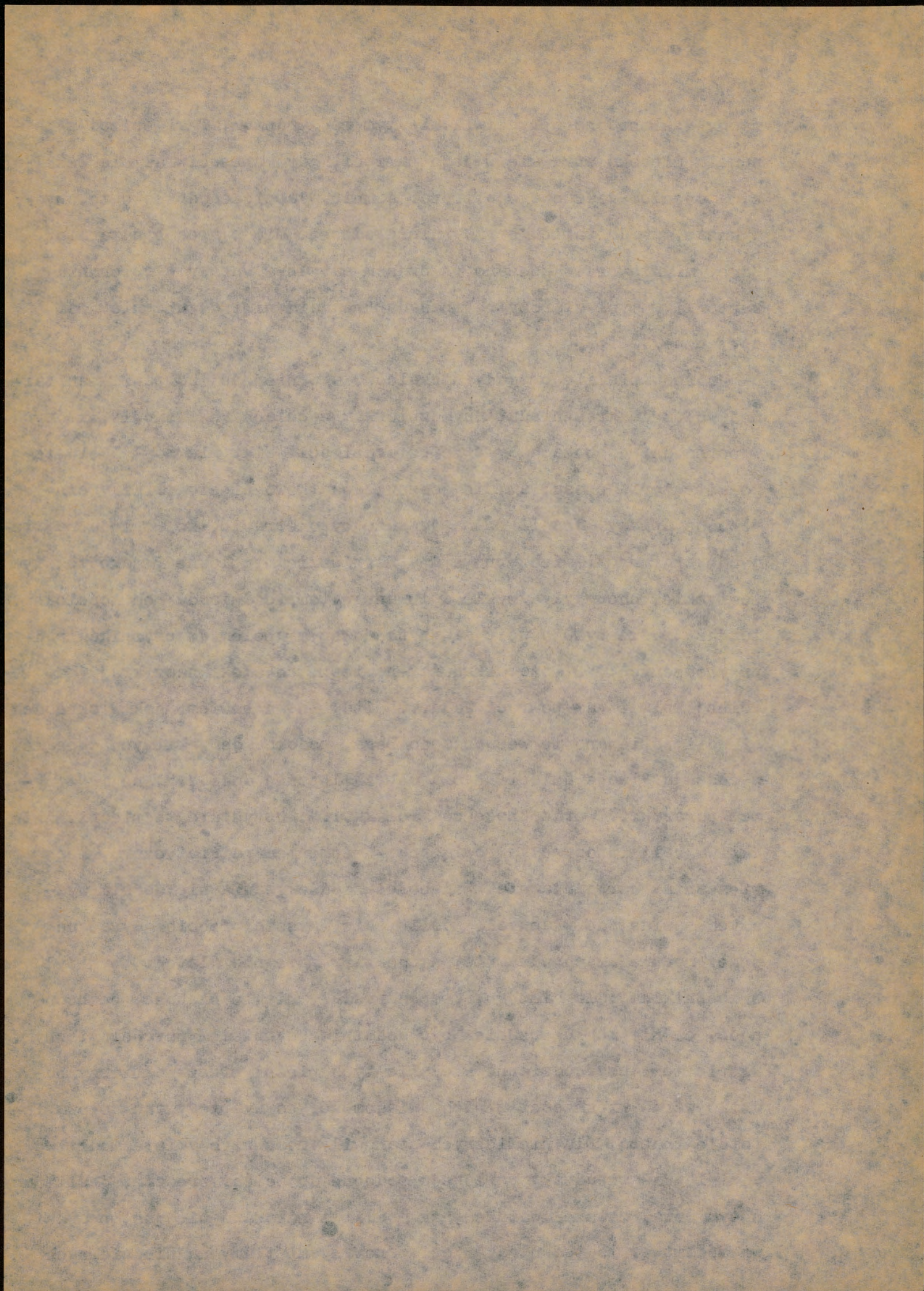
obozów "oficerskich" dla pozbycia się nadmiarów/ nie użyto więc tam, gdzie w danym okresie byłaby istotnie przydatna. Okoliczność ta, mało zresztą znana, pozostanie na zawsze szczególnie przykrym zgrzytem. Nie mówię o tym z osobistego punktu widzenia, gdyż ja sam miałem zawsze przydatne zajęcie w naszych formacjach, choć na późniejszymym postępowaniu zaważyły inne, też specyficzne przyczyny.

Po jakimś czasie naszą brygadę przeniesiono w okolice Cupar w hrabstwie Fife, podczas gdy w bardziej jeszcze na Północ znajdującym się Forfar formowała się brygada pancerna pod dowództwem pułk. Stanisława Maczka, tego samego, który we Francji był zrazu komendantem obozu w Coëtquidan, a potem był przeniesiony na Południe, w okolice Orange, gdzie formował brygadę pancerną. Brygada ta prowadzona w czerwcu do walki w stanie niepełnego przygotowania i wyposażenia, odznaczyła się dzielną postawą wobec najeźdźców niemieckich, a miała przeciw sobie nie tylko Niemców, lecz także i ludność francuską, która wtedy wrogo odnosiła się do wszystkiego, co przeszkadzało w uzyskaniu nawet i niehonorowego pokoju. Maczek, ranny w ramię, przekazał dowództwo brygady pułkownikowi Dworzakowi, którego nazwisko, mimo, że to on właściwie zasłużył się wtedy militarnie, poszło później w cień wobec blasku nazwiska Maczka. Po początkowym pobycie w Cupar, kompania sanitarna przeniosła się pod miasto do pięknego domu /Cairnie House/. Z krótkiego okresu w Cupar przypominam sobie jeden charakterystyczny, a komiczny epizod: jedliśmy w tzw. mesie, doraźnie urządzonej; my tzn. dowódca kompanii, podówczas kapitan-lekarz Leon Bazała, kilku innych oficerów, oraz prawdziwi "my", tzn. aptekarz Rañoszek, stomatolog "Pagórek" i czasem, jako gość, pianista Błaszczyński. Pewnego razu zasiadłem wraz z personelem kuchennym do skrobania kartofli, tłumacząc, że skoro je jem, to nie widzę powodu, bym się nie miał przyczynić do ich przygotowania. Na pewno nie obierałem kartofli z wprawą, może to było przyczyną, że ktoś doniósł o moim nowym zajęciu dowódcy, który - zawsze bardzo opanowany, ale widocznie obu-



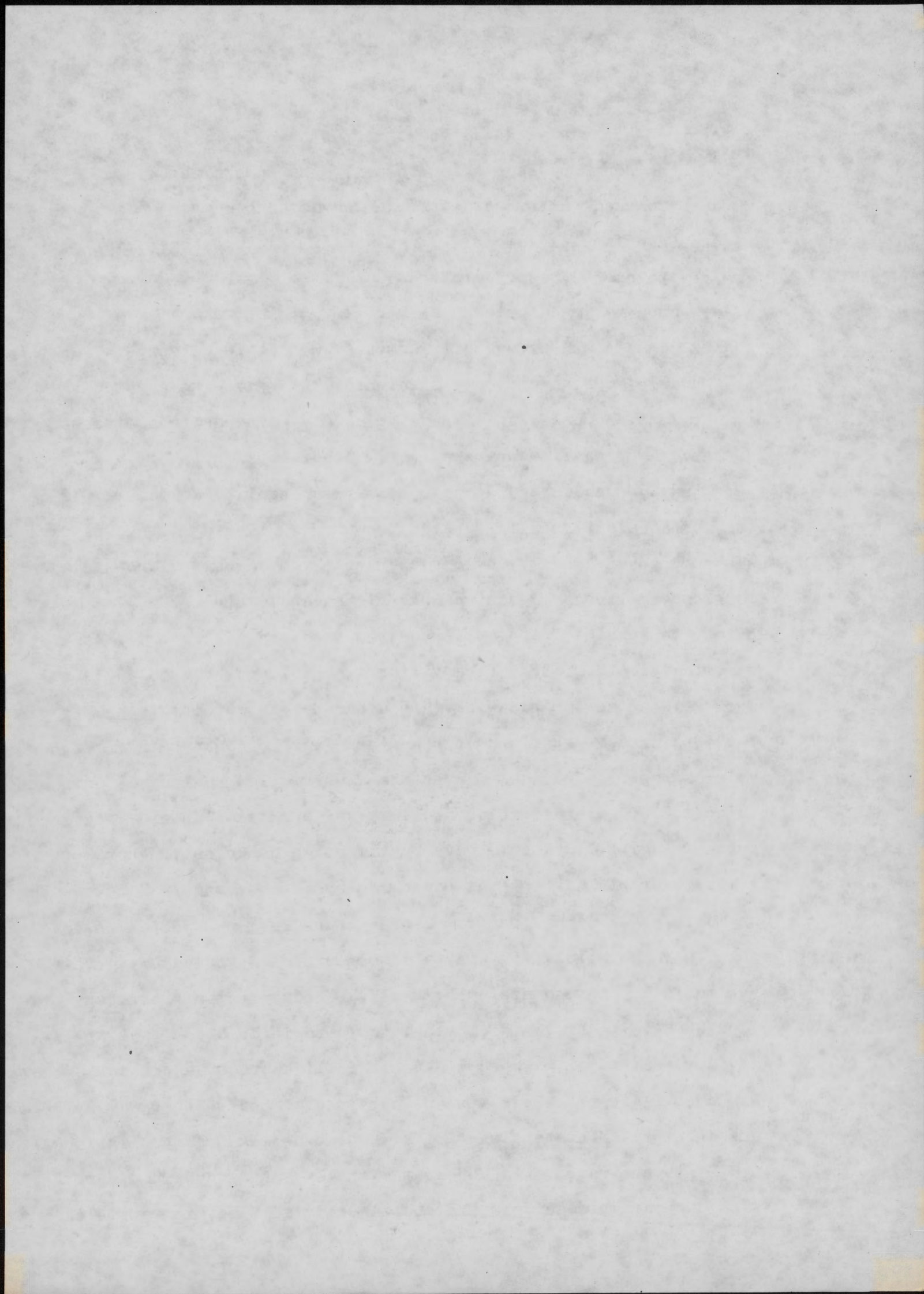
rzony - stanowczo sprzeciwił się moim poczynaniom. Taki epizod z pewnością głęboko wrył się w jego pamięci, gdyż sprzeciwiał się wszelkim pojęciom zawodowego oficera. A mnie właśnie chodziło o to, by wykazać, że do takich spraw należy odnosić się w sposób naturalny. Gdyby mi nie przeszkodzono, z czasem nabyłbym wprawę w obieraniu kartofli w myśl starożytnej zasady "ne quid nimis" /nic nie jest zbyt wiele/.

Uformowanie się brygady strzelców, a w niej jej kompanii sanitarnej, położyło kres nieustannym zbiórkom w celach "ewidencji", których w poprzednich obozach było ze czterdzieści. Nikt nie mógł lubić tego mitrężenia czasu, a mnie jeszcze dodatkowo niecierpliwiły ciągle pobożne śpiewy. Jeżeli można jeszcze było strawić, ze względu na tradycję, poranne i wieczorne hymny Karpińskiego, piękne, jako teksty poetyckie, choć były zwykle śpiewane w tempie dziadów pod kościołem, to już trudno było oswoić się z najnowszym apelem do czynników nadprzyrodzonych: "O Boże, skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj, do wolnej Polski nam powrócić daj..." itd. Znowu bowiem, jak w okresach niewoli, śpiewano te wezwania do Boga, podobne do jękliwych chorałów w rodzaju "Twoje dzieci płaczą żebrzą lepszej doli...", no i "Z dymem pożarów..." oraz "Boże coś Polskę...", wszystkie te pieśni, gdzie ekliwa religijność była powiązana z elementem patriotycznym, lecz ta mieszanina utrwałała efekt słabości i odwoływania się do sił wyższych zamiast do własnych. Myśli takie, często przecież wyrażane przez mocniejszych ode mnie, nachodziły mnie nie dlatego, bym był bezbożnikiem, ale dlatego, że podkreślały ciągle słabość, bezbronność, co nie mogło przecież być dodatnim czynnikiem psychologicznym. Wątpię też, czy codzienne klepanie tych pieśni przez żołnierzy budziło wśród większości z nich świadomość, co wyśpiewywane słowa istotnie znaczą. Dla nielicznych stanowiły może rzeczywistą modlitwę, u wielu zaś wzbudzały refleksje podobne do moich. Zresztą, jeśli już o tym mowa, zawsze uważałem, że modlitwa nakazana nie jest prawdziwą modlitwą, to też nigdy nie imponowały mi tłumy na niedzielnych

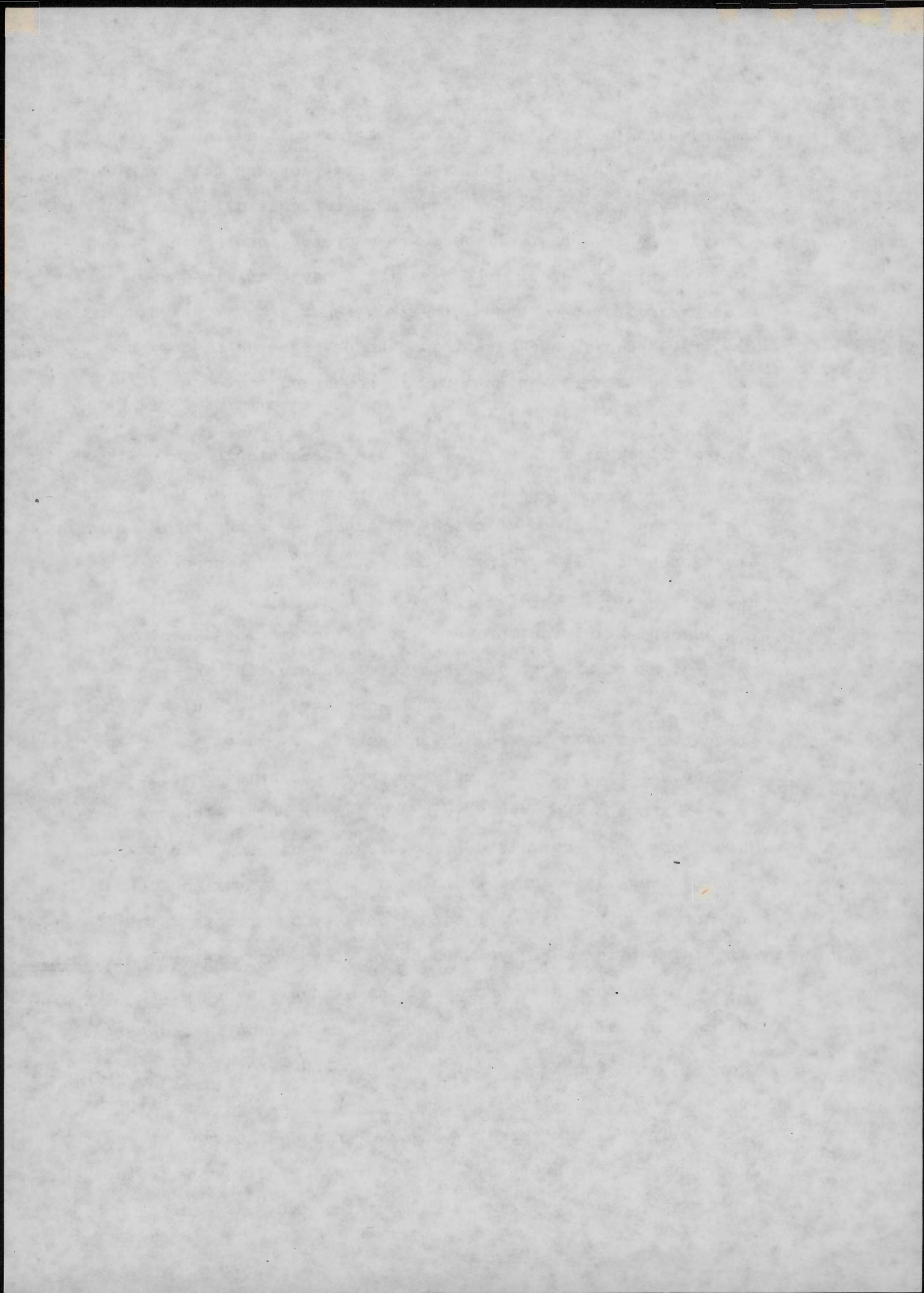


mszach, zawsze zaś wruszały samotne postacie, pogrążone w modlitwie w pustych w dni powszednie kościołach. Msza polowa natomiast, która u nas była rzadkością, była obrzędem wruszającym, gdyż miała w sobie coś z ostatniej Komunii, gdy słuchali jej żołnierze, którzy pierwszej czy później wyruszyć mieli do walki.

We wspomnianym Cairnie House mieliśmy niezłe warunki kwaterunku, tu też zaczęło się wyposażania kompanii w odpowiedni sprzęt oraz pewne, bardziej realne elementy szkolenia. Teraz duże znaczenie przywiązywano do transportu sanitarnego. Mieliśmy kilkanaście sanitarek /Dodge/, których kierowniczkami były ochotniczki z tzw. F.A.N.Y., skrót nazwy pochodzącej jeszcze z poprzedniego wieku, jeżeli pamiętam, oznaczał "First Aid Nursing Yeomanry". To ostatnie słowo, określające rodzaj konnicy, było raczej reliktem dawnego mianownictwa wojskowo-cywilnego, a szczególnie nie nadawało się teraz, gdyż chyba byłaby to konnica "parowa", a pozatem "Yeoman" był rodzaju męskiego, natomiast F.A.N.Y. było paramilitarną organizacją czysto kobiecą. Jeszcze w Netherton pojawiały się u nas przedstawicielki tej organizacji, najczęściej pani porucznik Diana Tauber, żona /była?/ sławnego śpiewaka opery wiedeńskiej Ryszarda Taubera. Jej panięńskie nazwisko /albo może po pierwszym lub drugim mężu/ brzmiało Napier - dobrze znane w Anglii i Szkocji, gdyż nosili noszą je uczeni, generałowie i inni wybitni ludzie. Pani Diana zaś była fertyczną, nie pozbawioną wdzięku blondynką, bardzo czynną i ruchliwą; nie jestem pewien jaki charakter miały jej wizyty u wódzów naszej brygady, czy też sanitariatu, którego szefem był pułk. Babecki /potem energiczny działacz UNNRA w podbitych Niemczech, po powrocie do Polski wybitny wydawca w instytucji, zwanej w skrócie PZWL, która była coś warta, póki Babecki nie przeszedł w stan spoczynku. Przed wojną był wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Opieki Społecznej, które po zlikwidowaniu Ministerstwa Zdrowia objęło też sprawy sanitarne kraju/, człowiek dużych zdolności, bardzo dobrze władający językiem angielskim,

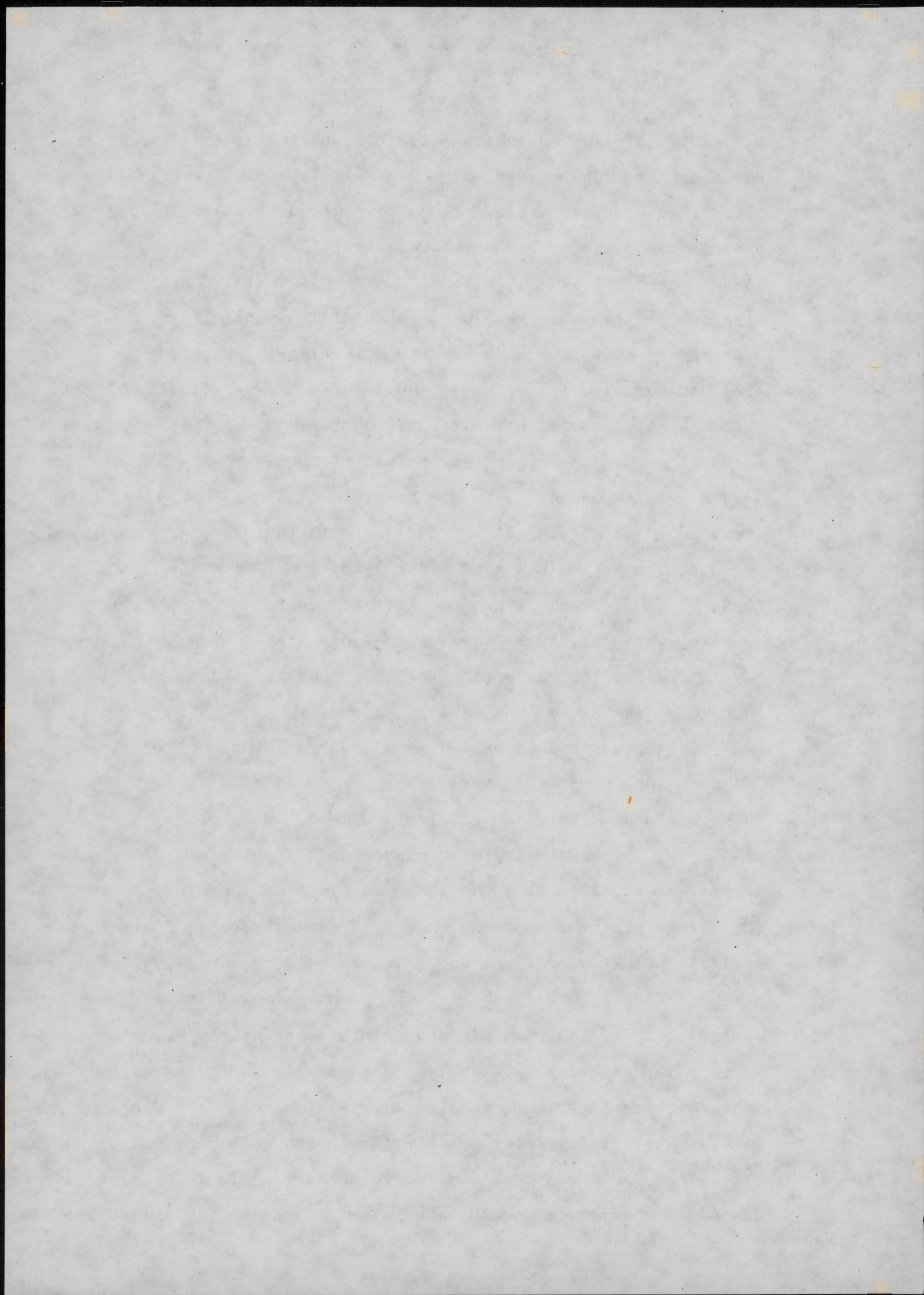


może jednak, wskutek podeszłego wieku nieco zagubiony w sytuacji, dość dla niego niezwykłej. Jemu to przypisywano podówczas wiele niewłaściwych posunięć w powierzonym mu zakresie działania. Może było w tym dużo niesprawiedliwości, on sam energicznie zaprzeczał, jakoby we wspomnianym przeze mnie okresie bombardowań miast angielskich, gdy bardzo tam było trzeba posiłków lekarskich, proponować miałyby lekarzy "podchorążych" zapisać jako szeregowych noszowych, co miało mieć na celu utrzymanie stanu liczbowego oddziałów sanitarnych /z ukrywaniem przed Anglikami, że tworzą je dyplomowani, nieraz wysoko wykwalifikowani lekarze/ i tym samym uzasadnienie stanowisk oficerskich. Jak już bowiem podkreślałem, wielki nadmiar oficerów powodował tworzenie czysto oficerskich jednostek, przed przydziałem do których broniono się wszelkimi sposobami. Anglikom dość łatwo było dużo rzeczy wmówić, tym bardziej, że nie mogliby pojąć, że lekarze, doświadczeni klinycyści, nawet docenci, mogli nie mieć stopnia oficerskiego. Skoro nie był oficerem to widocznie nie był lekarzem. Przy wcieleniu do armii brytyjskiej lekarz otrzymywał automatycznie stopień porucznika i po krótkim przeszkoleniu - kapitana, jeżeli zaś był specjalistą automatycznie otrzymywał stopień majora. Ponadto były też uregulowane sprawy funkcji: jeżeli pełnił funkcje, które w hierarchii były przewidziane dla wyższego stopnia, niż ten, jaki aktualnie posiadał otrzymywał na czas pełnienia takiej funkcji odpowiednio wyższy stopień /i odpowiednio wyższe pobory/, tak, że np. istotny kapitan mógł być w podobnym przypadku nawet podpułkownikiem, ale w razie ponownego przydziału na stanowisko przewidziane dla kapitana, stawał się z powrotem kapitanem. Zasada ta obowiązywała zresztą nie tylko w Służbie Zdrowia /RAMC - Royal Army Medical Corps/ ale i w innych działach wojskowych. Inaczej było w armii francuskiej tam młody lekarz w okresie przeszkolenia wojskowego /które trwało do roku, w armii brytyjskiej kilka tygodni/ otrzymywał stopień tzw. aspiranta, który był tam stopniem oficerskim i wyłącznie przejściowym.



wym, gdyż każdy młody lekarz po tym przeszkoleniu otrzymywał stopień podporucznika lub porucznika, starsi zaś lekarze z rezerwy otrzymywali od razu wyższe stopnie, zależnie od długości stażu lekarskiego i stopnia specjalizacji. Otóż wielu z nas, także i o dłuższym stażu i dużym wyspecjalizowaniu, zostało we Francji takimi "aspirantami". W Polsce stopień taki w wojsku nie istniał, zdaje mi się, że był w służbie pocztowej, a na pewno w więziennictwie. W naszym wojsku stopień ten został całkiem inaczej ustawiony, niż w armii francuskiej, skąd go zapożyczono. Stracił zarówno charakter stopnia wyłącznie przejściowego, jak i przestał być stopniem oficerskim, zaliczony został do grupy podchorążych. Po przybyciu do Anglii nasze władze wojskowe odczuwały trudności w przedstawieniu tak skomplikowanej sytuacji w języku angielskim i zdecydowały nazywać wszystkich podchorążych, bez względu na stopień "cadett/officer". Takie to łamańce trzeba było wyczyniać, by zachować liczebność szeregowych. Inna rzecz, że nie jeden z takich "aspirantów" w przedstawionej tu przedtem sytuacji, starał się uniknąć awansu na podporucznika. Kiedy groziło to mnie, użyłem w sekrecie wpływu mego szwagra /który był w sztabie/, by do tej nominacji nie doszło.

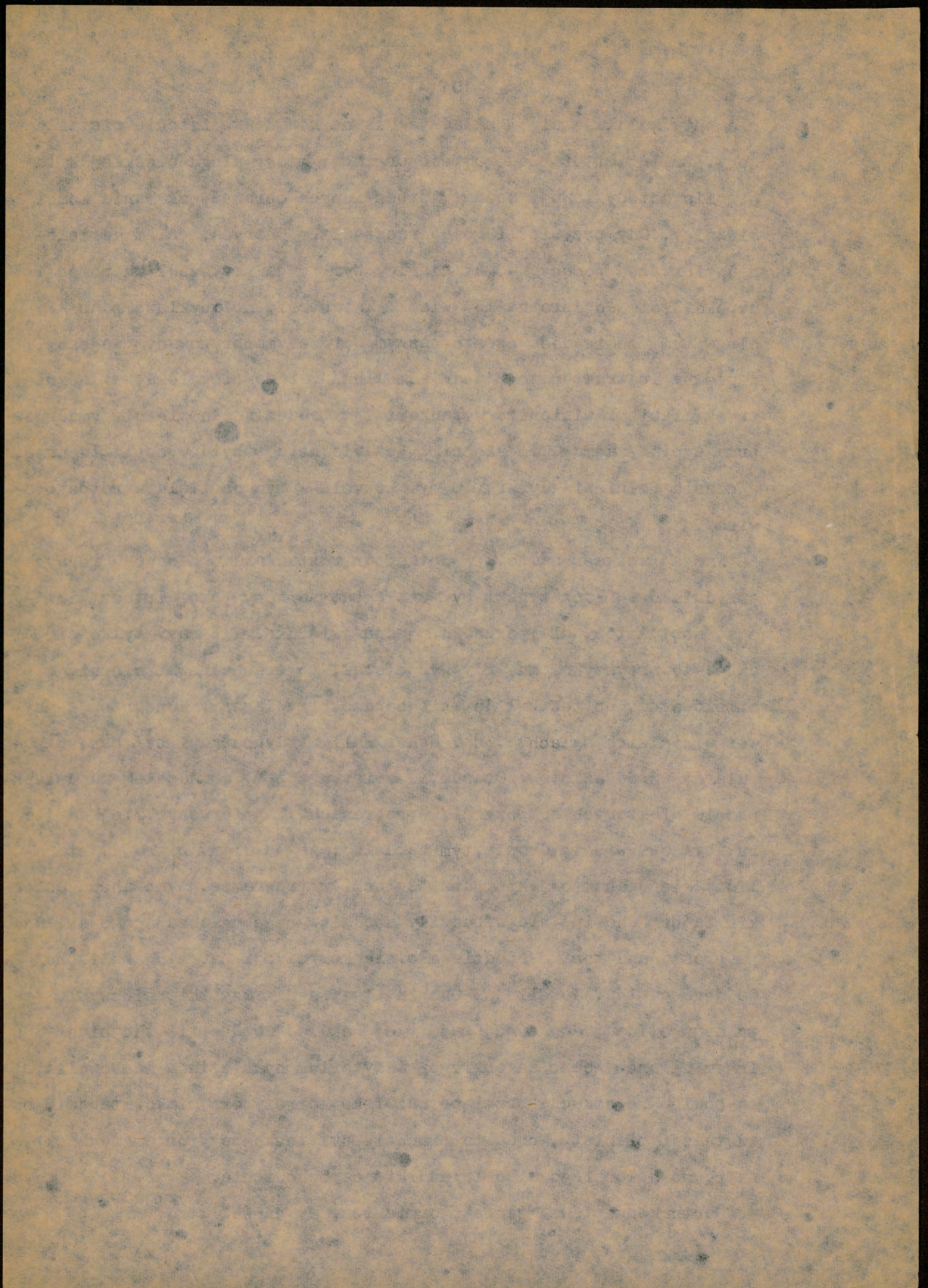
Wracam jednak do okresu "Cairnie House", gdzie dużo jeździliśmy dla wprawy /i zabicia czasu/ ciężarówkami i sanitarkami. Ja, jak zwykle, prowadziłem Izbę Chorych, ale tych chorych nie było dużo i przeważnie nie byli naprawdę chorzy. Zresztą były już dwa wojskowe szpitale polskie, tzw. polowe, jeden koło Perth, drugi, większy, bardziej na Północ, obsadzone licznym specjalistami i tam kierowano poważnie chorych. Pamiętam młodego żołnierza ze szkolnymi objawami guza mózgu, posłałem go więc z tym rozpoznaniem do Szpitala Nr 1 /Taymouth Castle/. Po jakimś czasie, ku wielkiemu memu zdziwieniu dowiedziałem się, że to /łatwe przecież/ rozpoznanie bardzo zaimponowało, tak dalece, że nawet ktoś inny przywłaszczył sobie tę "zasługę". Czasem łatwo zyskuje się dobrą opinię i nieraz takie właśnie drobne



10
elementy kumulują się i składają się na rozgłos w istocie niezasku-
żony. Pamiętam też młodego podchorążego, który uległ ciężkiej kata-
strofie motocyklowej, doznał, prócz innych obrażeń, złamania kości
miednicy. Gdy przywieźli go do naszej Izby Chorych, celem udziele-
nia pierwszej pomocy, wołał ciągle, bym to ja przyszedł mu pomóc i
uspokoił się dopiero na mój widok. Katastrofy motocyklowe zdarzały
się w tym czasie dość często naszym świeżo zmotoryzowanym wojskom,
a główny instruktor tej jazdy sam uległ bardzo ciężkiemu, wyłącznie
przez siebie zawinionemu wypadkowi i z trudem udało się utrzymać go
przy życiu /zajmowałem się nim w czasie mego pobytu w szpitalu nr 2,
w czasie pełnienia dyżuru. O mym pobycie w tym szpitalu wkrótce opo-
wiem/.

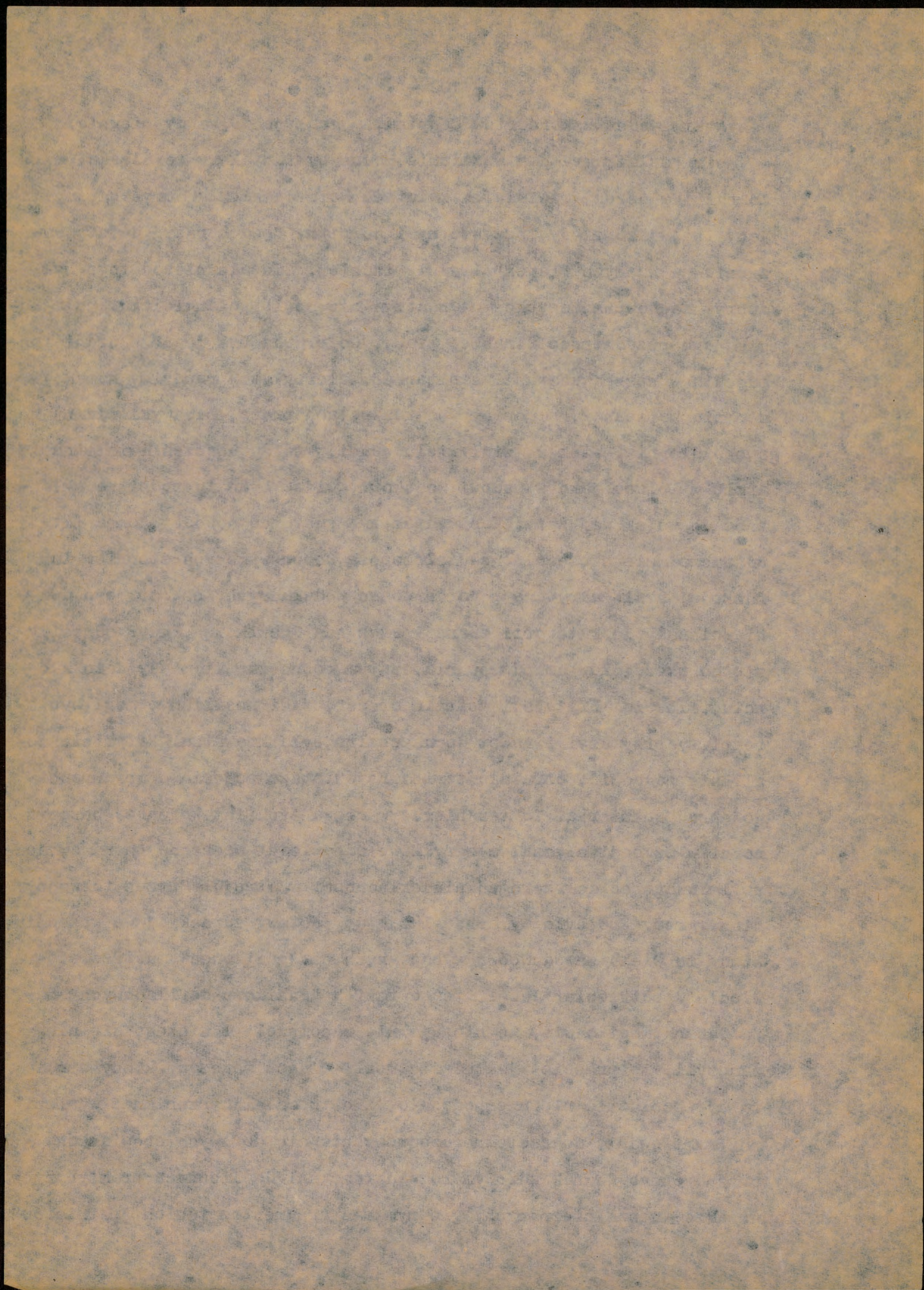
14
19
H8
I
Nasza paczka z namiotu w Netherton rozpadła się z powodu różnych
przydziałów. Błaszczyński był stale zatrudniony jako wirtuoz piani-
sta, dostał też, dla porządku, jedną gwiazdkę. Ile razy tylko się
dało, towarzyszyłem mu, gdy występował, po trochu nawet się nim
opiekowałem, on też był do mnie bardzo przywiązany. Koncertował na-
wet w wielkich salach, np. Usher Hall w Edynburgu i był bardzo po-
pularny wśród Szkotów. Czasem, w związku z tym, doradzałem mu umiesz-
czanie niektórych kompozycji w programach. Na pierwszym miejscu jed-
nak był oczywiście Chopin, tym bardziej, że zakazany w kraju, stara-
liśmy się jednak o jakiś punkt szkocki w programie, tymczasem "Szkoc-
kie Tańce" Chopina nie wzbudziły spodziewanego ogłuszającego aplauzu,
po prostu audytorium spodziewało się kompozycji bardziej zbliżonej
do jego gustów. Jeżeli już Chopin, to przede wszystkim niezwykle po-
pularna etiuda, do której mają swoje słowa "So deep is the night".
Innym ukłonem wobec szkockiego audytorium była etiuda MacDowella,
tu bowiem ze szkocka brzmiące nazwisko kompozytora miało stanowić o
kurtuazji pianisty, choć po prawdzie był to kompozytor amerykański,
na pewno szkockiego albo irlandzkiego pochodzenia.

Marian koncertował także z orkiestrą, wykonywał wtedy przede



wszystkim jeden z koncertów Chopina, a grał je doprawdy pięknie.

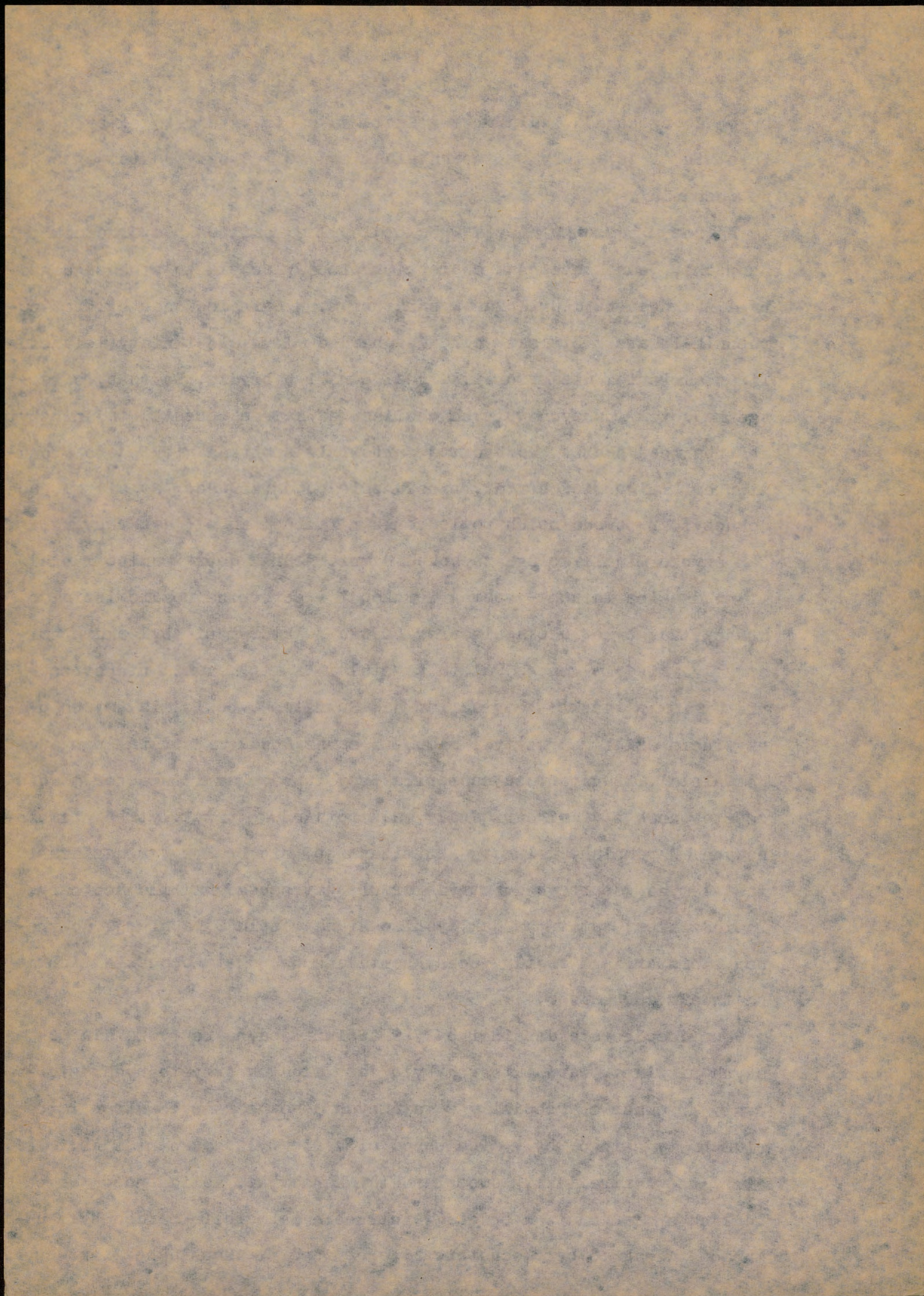
Moim "szlafkamratem" w Cairnie House był aptekarz ze Śląska, mgr Joachim Ranoszek, o wielkich zaletach koleżeńskich, dobry kompan, mający też, jako młody, przystojny i dowcipny "podchorąży" duże powodzenie u naszych "Fanek" i gdzie indziej. Niezależnie od tego był dobrym fachowcem, szybko też nauczył się mówić po angielsku, co wzmogło jego przydatność w naszej pracy. Co prawda był jeszcze drugi farmaceuta w naszej kompanii sanitarnej, ale był to prawdziwy zupak /w stopniu kapitana/, stroniący od konkretnej pracy, niezwykle dumny ze swego stopnia. Wiem że miał wielu braci, którzy uszczęśliwiali naszą armię w Polsce jako zawodowi wojskowi, widać była to rodzinna skłonność do wojskowej zupy. Nasz zupak był zastępcą dowódcy kompanii, odznaczał się szczególną służalczością wobec wyższych stopniem lub funkcją, a źle ukrywaną pogardą wobec podwładnych, często jego uwagi należały do kategorii zwanej przez nas "guzikową", gdyż odnosiły się do szczegółów umundurowania. Z tym różne zupaki miały dużo kłopotu, albowiem brytyjski "battle dress", jaki nosiliśmy, mógł być rozpięty przy szyi i nawet dopuszczalna była krawatka. Z tym nie mogli się pogodzić, obrażało to ich najświętsze pojęcia o sprawności wojennej żołnierza. To też nieraz w ciągu tych lat wojennej bezczynności w Szkocji słyszałem zgryźliwe odpowiedzi szeregowych na zwracaną im uwagę co do rzekomej niedokładności w stroju: "przez to wojny nie wygramy" co było wyraźną aluzją do postawy zupackiej we wrześniu, kiedy to wielu zawodowców, wychowanych na "guzikowej" mustrze, zawiodło w potrzebie. Jeżeli też o takich "guzikowo-defiladowych" zapaleńcach mówiło się, że niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli, to przecież jakżeż się mogli czegoś nauczyć, kiedy się im tutaj absolutnie nic nie podobało, nie pozwalali przeniknąć w siebie ani zamykania do rzetelnego odnoszenia się do swych obowiązków, przepojonego jednak zdrowym rozsądkiem, ani do licznych praktycznych urzędzeń u nas nieznanym; głównym zaś argumentem takich "patriotów"



↳ tak
było, że czekolada Wedla przewyższała jakością tutejsze /tak było istotnie/ i że whisky ma zapach pluskiew /to już były jakieś szczególne doznania/.

Na samym początku pobytu w Szkocji był z nami też podporucznik Rzepecki, jednakże ciężka choroba wkrótce wyłączyła go z naszego grona i zamknęła na długi czas w sanatorium. W Cairnie House był też porucznik-lekarz z Bielska, człowiek bardzo miły, ale tknięty melancholią z odcieniem mizantropii. Grywał z nami w brydża, bo to było zawsze zajęcie w naszych wolnych chwilach od samego początku tej niezbyt absorbującej służby. Mój rodzaj żartów nie spotykał się z jego rozumieniem, łatwo się obrażał, niesłusznie podejrzewając, że się mu chce dokuczyć. Z powodu moich powiedzonek naraziłem mu się dwa razy, ale żal szybko mijał /kolega zachował o mnie jednak dobrą pamięć i słał mi po długich latach - został w Szkocji - serdeczne pozdrowienia do kraju/. Raz było to właśnie przy brydżu /w którym nie był akurat mistrzem/, kiedy własnego waleta ze stołu, "fortę", zabił niepotrzebnie królem z rączki; "zagrał pan jak Sokrates", powiedziałem, co oczywiście wziął za przytyk, mimo, że zaraz dodałem "zerznął pan swego waleta". Druga obraza nastąpiła przy innej okazji: wieczorem dość często panie z "FANY" urządzały małą potańcówkę przy płytach gramofonowych. Wspomniany kolega, jako mizantrop, nie brał w tym udziału i zastałem go wspartego o futrynę drzwi, patrzącego na wirujące pary. Powiedziałem: "stoi pan jak Wyspiański na weselu". Ta aluzja do znanej z historii literatury sceny została znów pojęta opacznie i obraza trwała dość długo.

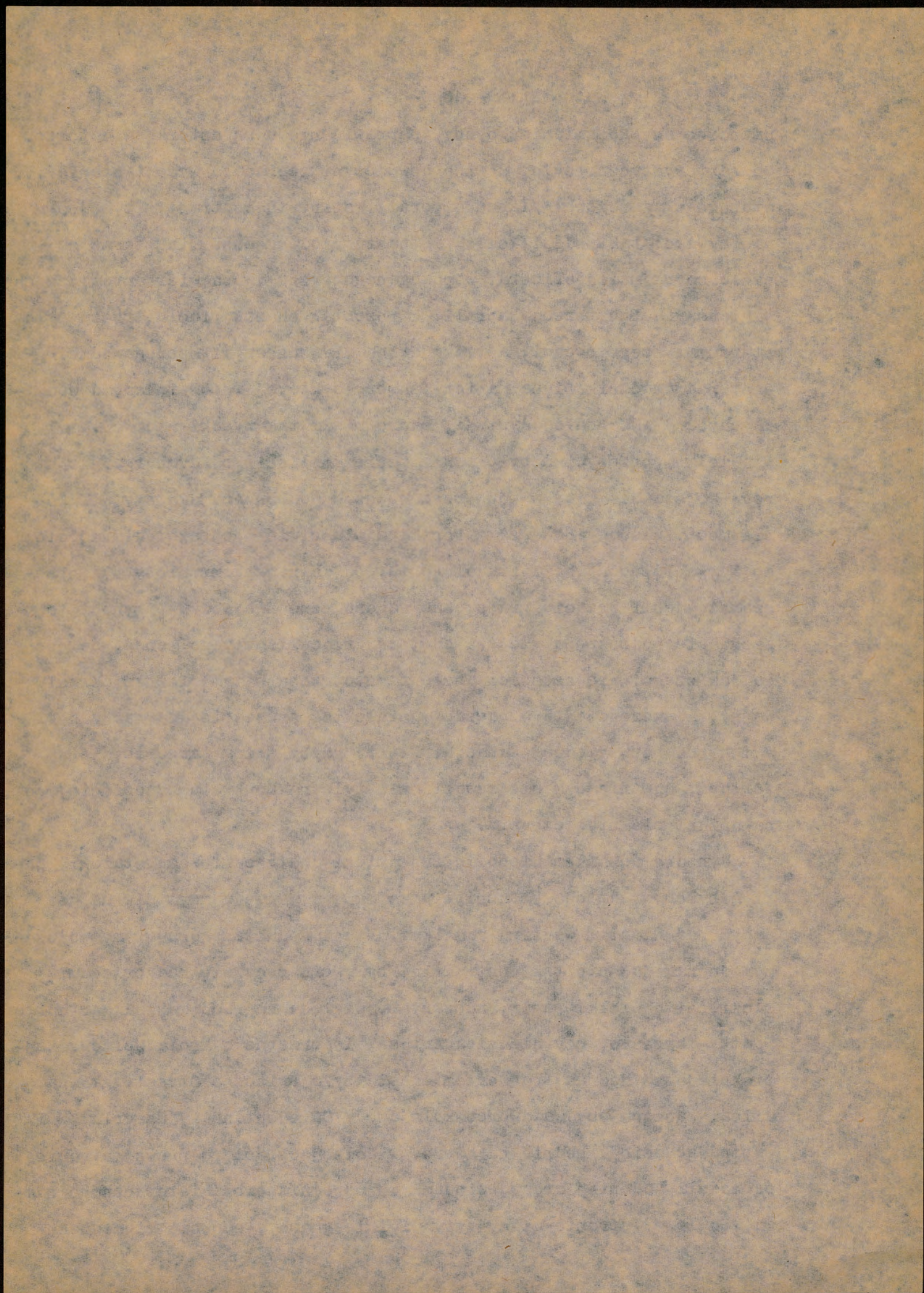
Owe dość częste dansingi były właściwie jedyną rozrywką dla naszych niewiast, wśród których było dużo młodych przystojnych dziewcząt. Irzewanie pochodziły z zamożnych domów z różnych stron imperium brytyjskiego, były więc wśród nich nie tylko Szkotki i Angielki, ale także Australijki, Nowozelandki i Kanadyjki. Solidarność tak odległych społeczeństw z będącą w potrzebie metropolią bardzo była ujmująca, wszak to były ochotniczki, pełniące ciężką służbę kierowniczą,



umiejące szybko zmieniać opony, naprawić niejedną usterkę w motorze. Charakterystyczne było, że ich dowódczyni posiadała wysoki stopień... starszego szeregowca /lancecorporal/, silny to kontrast z tym, co u nas bywało: taki oddziałek z piętnastu złożony osób miał teraz na czele co najmniej oficera, wspomaganego przez dwóch sierżantów, trzech plutonowych i czterech kaprali, z pozostałych zaś pięciu trzech było starszymi szeregowcami, a tylko dwóch nieszczęsnymi szeregowcami. Pani podporucznik Diana Napier-Tauber, o której wspomniałem, dowodziła chyba "FANY" całej dywizji, skoro miała tak wysoki stopień.

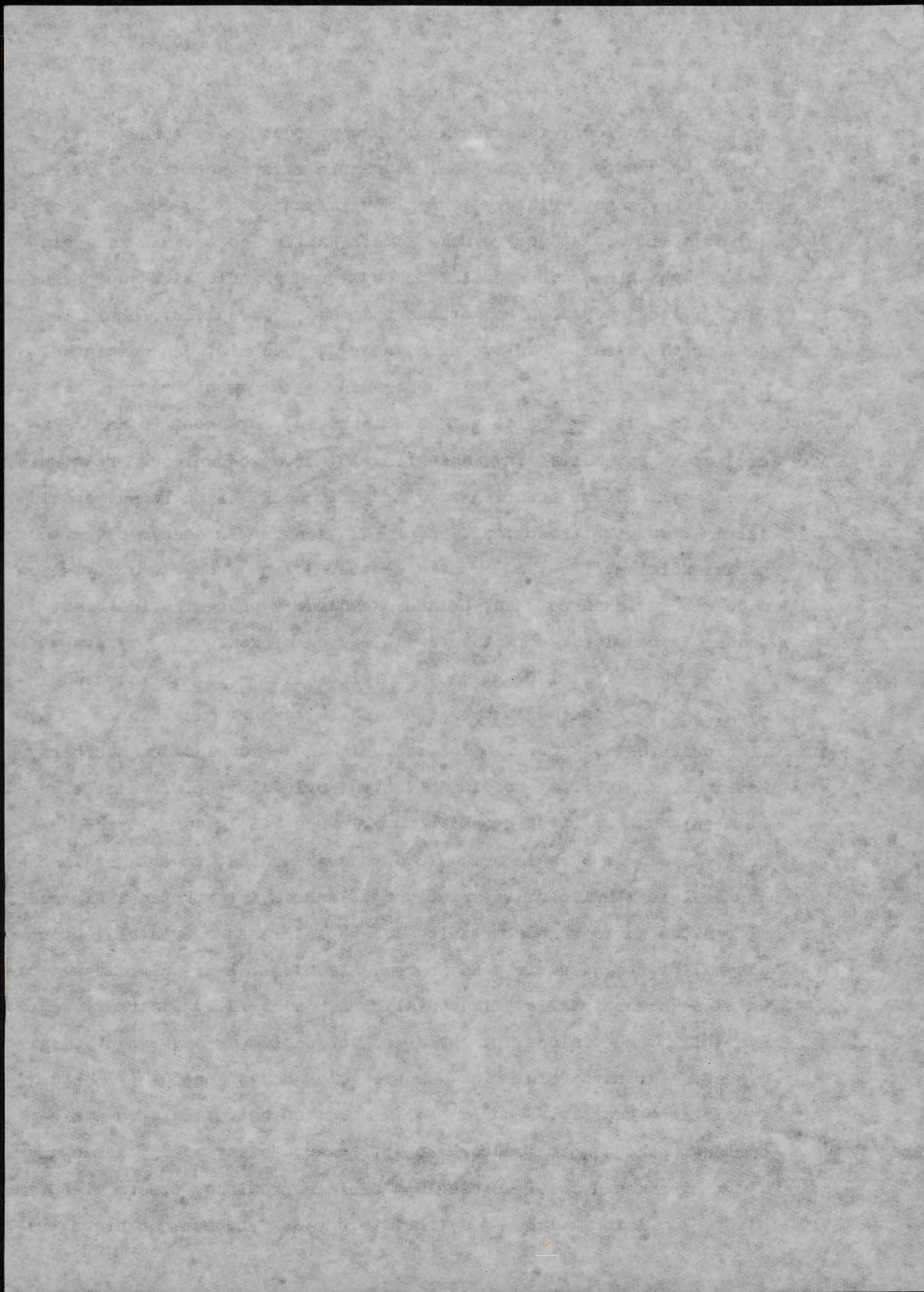
Wielkim przeżyciem było odwiedzenie pobliskiego Edynburga, do którego dojeżdżało się koleją przez wówczas podobno najdłuższy w Europie most kolejowy nad rzeką Forth, a właściwie jej szerokim ujściem do Morza Północnego, Firth of Forth. Od dawna zakorzeniony był przesąd, że jeśli wrzucić przez okno wagonu pensa do wody, przynosi to szczęście podróżnemu. To też chętnie wrzucaliśmy tego pensa, bo czego jak czego, ale szczęścia było nam potrzeba w tym ciemnym okresie wojny, a szczęście to oznaczać musiało też szczęście dla naszych bliźkich pod bezwzględną okupacją. Nawet, gdyby można targować się z fortuną, chętnie bym się zgodził nie tyle na konkretne szczęście, co na uniknięcie nieszczęścia.

Edynburg poznałem nieco lepiej dzięki dwutygodniowemu stażowi, jaki odbyłem w tamtejszym szpitalu wojskowym, znajdującym się na górującym nad miastem wzgórzu zamkowym. Drugim punktem górującym, położonym jednak już nie tak centralnie, był wznoszący się nad brzegami rzeki Leith wielki pagór, nazwany ze względu na swój kształt "Arthur's Seat" - krzesło, czy siedziba Artusa, legendarnego króla Celtów. Najpiękniejszym jednak fragmentem miasta była Princess Street, główna ulica, łącząca obydwie dworce kolejowe /"Caledonian" i "Waverlay"/ i wspinająca się łagodnie ku górze, w dolnej części po prawej stronie odchodziła od niej droga, wiodąca do wspomnianego, historycznego zamku. Po lewej stronie ulicy były wielkie gmachy, głównie mieszczące



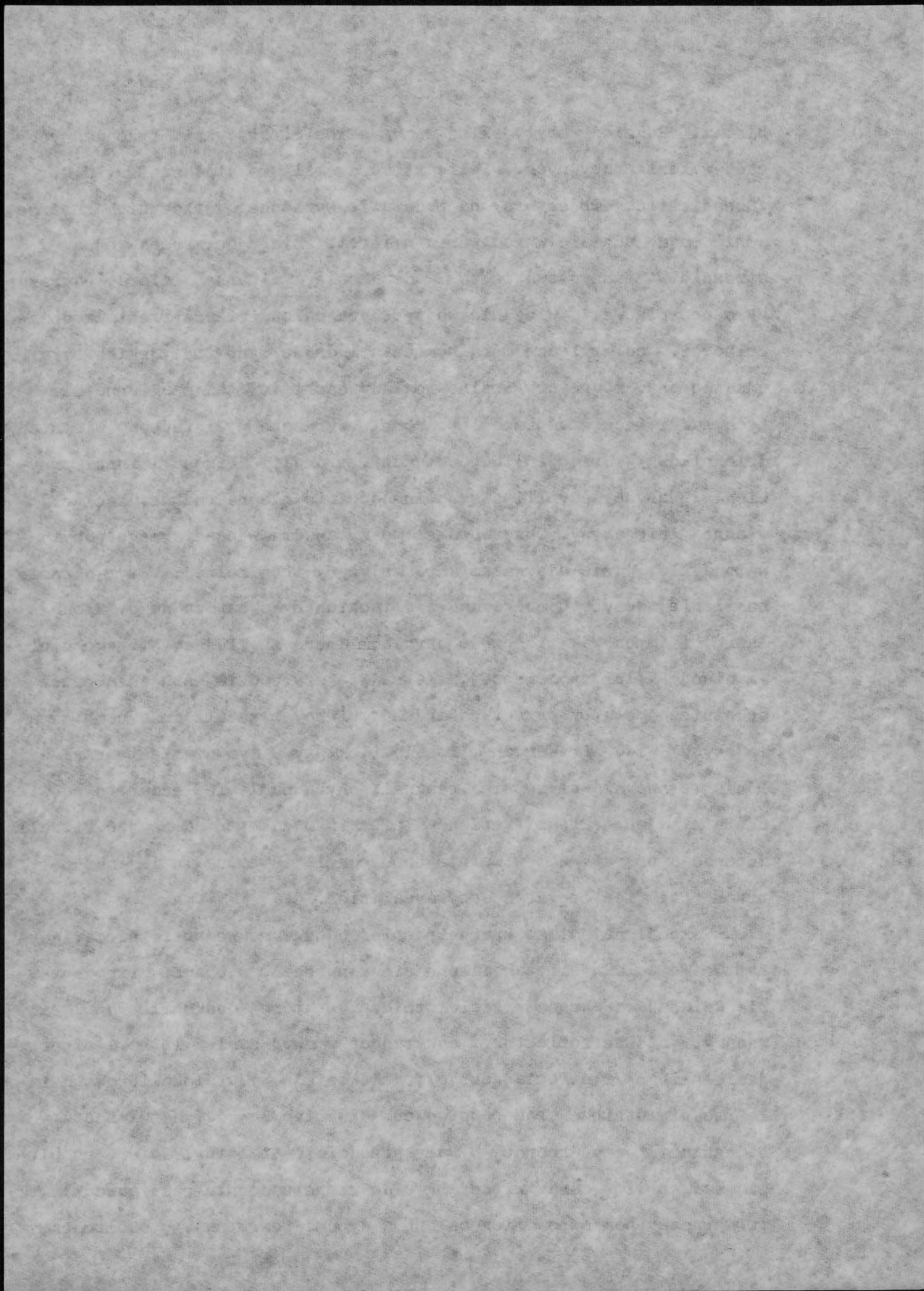
sklepy, biura, domy towarowe itp. Prawa strona zaś w górnej swej części była szczególnie piękna. Starannie utrzymane kwit^eniki /wśród nich piękny zegar kwiatowy/, neoklasycystyczne gmachy muzeum, a przede wszystkim wyrastający wysoko pomnik Waltera Scotta; nie sama statua najwybitniejszego prozaika Szkocji /najwybitniejszym poetą jest Burns/, lecz nadbudowa neogotycka nadawała tę wysokość. Pomnik ten jest przedstawiany jako symbol Edynburga, podobnie, jak pomnik Nelsona na Trafalgar Square jest wskazywany jako symbol Londynu. Myliłby się ten, kto by chciał z tego wnioskować, że Szkoci to naród raczej spokojny, kulturalny, a Anglicy to naród wojowniczy. Przeciwnie, Szkoci byli zawsze bardziej zadzierżyści, pałki szkockie są po dzień dzisiejszy sławne z bitności, np. znani "Blackwatch" /z jednym czarnym naramiennikiem%. Powyżej pomnika Scotta, już na szczycie ulicy znajduje się kamienna rotunda, będąca mauzoleum z grobem Davida Hume, jednego z największych filozofów ubiegłych wieków.

Zajęcia w szpitalu zabierały mi tylko kilka godzin przedpołudniowych, resztę czasu mogłem poświęcać na zwiedzanie miasta oraz na życie towarzyskie, które wiódłem też dzięki obecności dwóch muzykalnych Marianów, mogłem też chodzić do teatru, oglądałem np. znakomite przedstawienie szekspirowskiego Makbeta z Johnem Gielgudem w tytułowej roli. Po długim okresie braku tego rodzaju wrażeń, to przedstawienie szczególnie utkwiło mi w pamięci, a zwłaszcza interpretacja Gielguda. Zaprosiłem na to przedstawienie młodego żołnierza z Bristolu, który odbywał służbę na razie w Edynburgu, ale mieszkał prywatnie /ta sprawa w wojsku brytyjskim, kiedy nieliczne koszary były w okresie wojennym i tak przepełnione, nie była traktowana tak rygorystycznie, jak w naszym - i chyba słusznie/ właśnie u tej samej gospodyni, u której i ja miałem kwaterę. Zima panowała i to dość ostra, tak, że w nieogrzewanym pokoju moim trudno było wytrzymać, jedyny pokój, ogrzewany w tym mieszkaniu, czerpał ciepło z ognia na kominku, czasem więc tam siadywałem i rozmawiałem z moim Brystolczykiem, zapoznając się z pro-



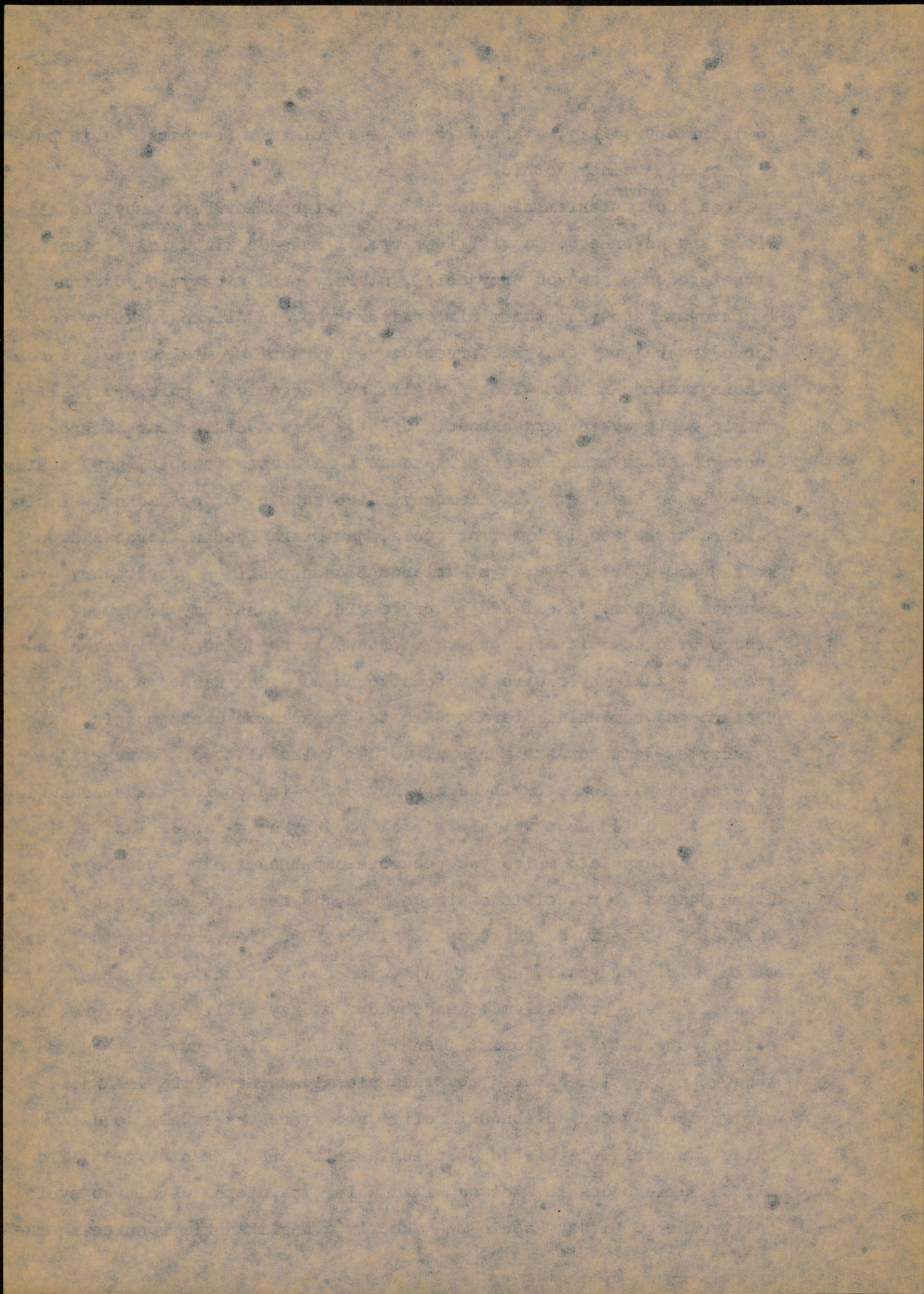
blemami młodzieży brytyjskiej w tym okresie. Wtedy nie było żadnych ruchów kontestacyjnych. Nieliczni korzystali ze statusu tzw. C.O. /Conscientious Objectors/ na podstawie wyrażonego przez nich zastrzeżenia co do udziału w zadawaniu śmierci. Działające przed wojną stronnictwo faszystowskie pod wodzą Mosleya i panny Mitford, od razu było operetkowe, a w czasie wojny chyba całkowicie zaprzestało działalności. Pod względem moralnym cała ludność Wysp Brytyjskich była zjednoczona, różne oryginalne poglądy osobiste, tak znamienne dla tych ludzi i często przed i po wojnie wyrażane w listach do wielkich dzienników /w Szkocji "The Scotsman", w Anglii "Times" i inne/ przychły, wszyscy czynili swą powinność i to nie na rozkaz, lecz z własnej inicjatywy. Obserwowałem to zwłaszcza w czasie mego pobytu w Londynie, gdzie odbywałem kurs medycyny tropikalnej. W tym okresie nasilenie nocnych bombardowań niemieckich było bardzo dużo. Spokój ludności imponował mi, część obrażała na dobre za miejsce stałego noclegu stacje kolei podziemnej, ale największy podziw wzbudzała praca ochotniczej służby przeciwpożarowej /Niemcy zrzucali dużo bomb zapalających/ tzw. Air-Wardens. Topolski, który w tym czasie tworzył w Londynie swe sławne później rysunki, chyba najlepiej oddał to poświęcenie rysując takiego "Warden" w ciężkim mozole i podpisując "it all depends upon me" - co w wolnym tłumaczeniu chyba najlepiej oddać przez "cały ten ciężar spoczywa na mnie".

W Szkocji natomiast znacznie mniej odczuwano wojnę lotniczą, gdyż Luftwaffe wolała się tak daleko nie zapuszczać w obawie przed sprawnie działającą obroną przeciwlotniczą, w której doskonale współgrały radary, potężne reflektory, chwytające w swój zasięg lotnika nieprzyjacielskiego /i oślepiające go/, dalekosiężne i wielokalibrowe działa przeciwlotnicze oraz pościgowce. Głównie Glasgow, a zwłaszcza stocznia i porty Greenock bywały przedmiotem nalotów. Potem, po bitwie nad Anglią, coraz więcej było do rozporządzenia pościgowców, które dopadały bombowce i ich osłonę w drodze powrotnej. W okolicach,



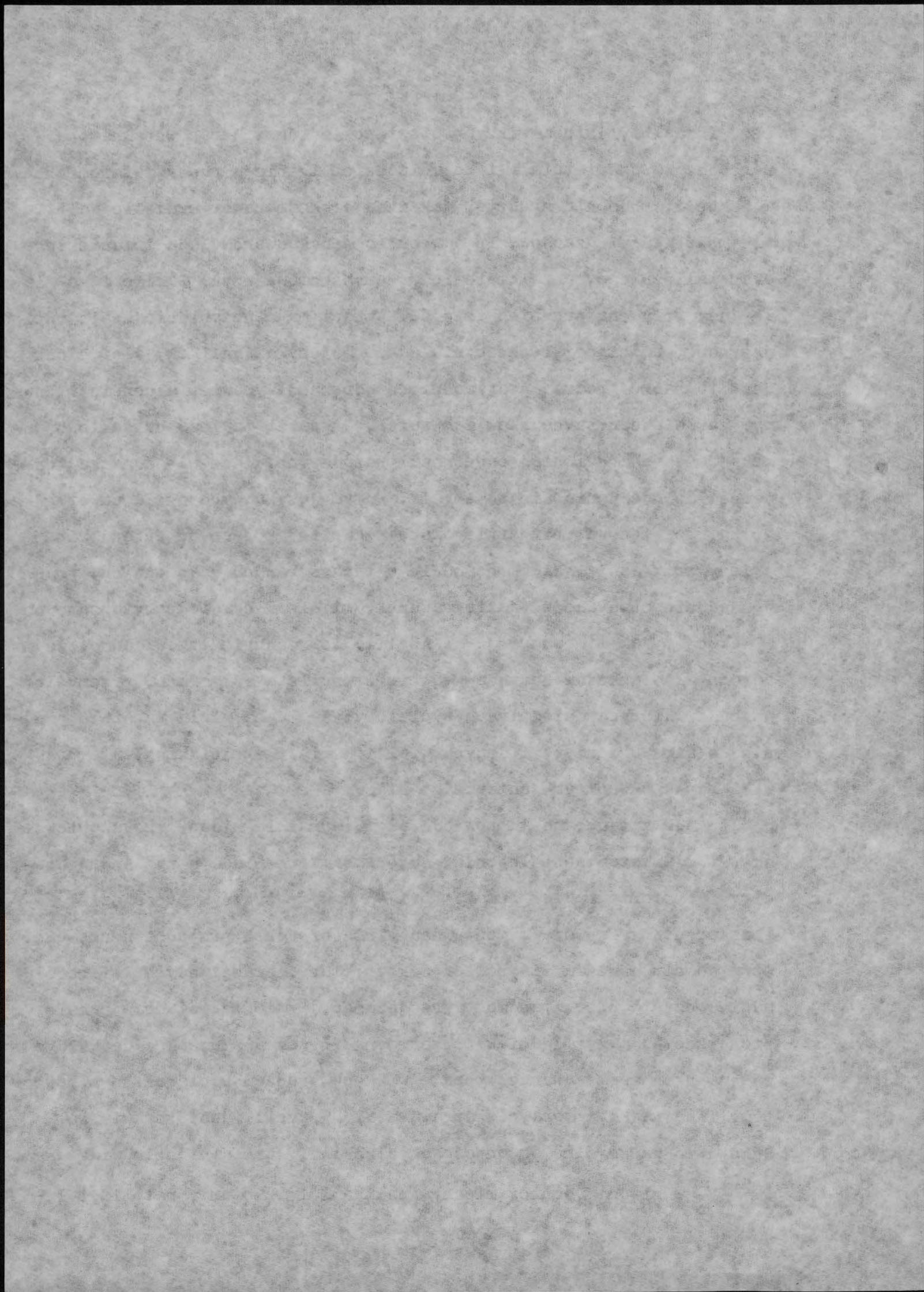
gdzie przebywaliśmy, startowały one z lotniska w Leuchars, gdzie również byli i polscy lotnicy.

Poza zaciemnieniem nie odczuwało się więc w Edynburgu zbyt dotkliwie stanu wojennego. Na wigilię zaprosił mnie do klubu przy Princess Street jeden z naszych przyjaciół, starszy pan, niezwykle gościnny i uprzejmy, spożyłem tam z nim tradycyjny budyń śliwkowy, który podobno trzeba przygotowywać przez szereg tygodni by miał właściwy smak i konsystencję na sam wieczór wigilijny. Wszędzie w ogóle spotykaliśmy się z niezwykle serdecznością Szkotów ze wszystkich warstw społecznych, o czym mogłem się przekonać i na własnej osobie, gdyż jakiś czas miałem kwaterę np. u kierowcy autobusowego, który zachowywał się z równą uprzejmością i wytwornością, jak stara rodzina lordowska, w której zamku byłem - wraz z Marianem Błaszczynskim - przyjmowany wytwornym obiadem. Jeżeli zaś zdarzyło się, że zaszliśmy do "pubu" trudno było odmówić serdecznemu zaproszeniu na jednego drinka, a zaproszenie takie było wprost automatyczne na widok naszej naszywki "Poland" na ramieniu. Starąłem się też rewanżować uprzejmością, raz wrzuciłem jednego Szkota niemal do łez tylko dlatego, że zapytałem go o język gaelicki, czy bywa używany. "Jak to" powiedział "wszak wielu Szkotów dziś już nawet nie wie o tym języku, a pan, Polak, wie!". Zawsze zastanawiało mnie żywe poczucie odrębności narodowej Szkotów, które jednak, w przeciwieństwie do dawnych wieków, obecnie nie wyrażało się w dążeniu do odrębności politycznej, /tak, jak się to rzecz miała z Irlandczykami, choć i tu, zwłaszcza w Szkocji, ale też i w Londynie wielu spotykałem Irlandczyków, którzy mieli zdecydowane poczucie wspólnoty ze Szkotami i Anglikami. Nie wiem, czy siłę odśrodkową, w następstwie której powstała niezależna Republika Irlandii, nie wzmacniały też odrębności religijne, które przetrwały do dzisiaj, w przeciwieństwie do zespolenia religijnego Szkotów z Anglikami, do jakiego doszło w ciągu kilku ubiegłych wieków wspólnego życia politycznego. Między Kościołem Szkockim a Anglikańskim różnice są ra-

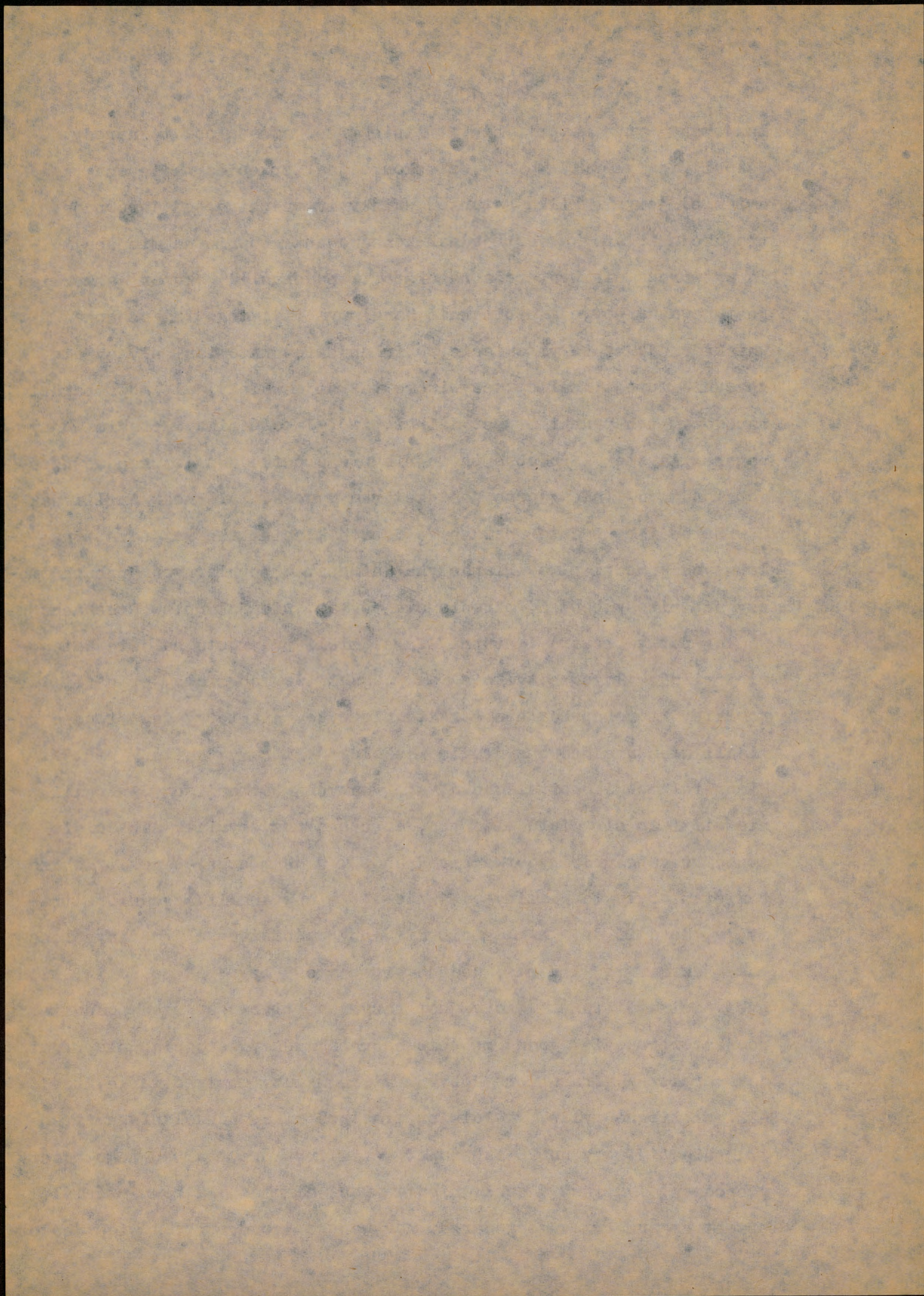


czej formalne, istota wiary protestanckiej jest teraz wspólna obu narodom. Zawsze istniały i po dziś dzień istnieją ruchy autonomiczne w Szkocji, podobnie zresztą, jak i na większą nawet skalę we Walii. Ale może właśnie zachowanie odrębnego języka wśród ludu irlandzkiego oraz walijskiego, a zapomnienie przez Szkotów języka gaelickiego miało duży wpływ na przebieg dziejów. Szkoci mają oczywiście swoistości językowe, różniące się znacznie od cech języka Anglików, ale jednak jest to raczej rodzaj gwary o nieco odrębnej wymowie, akcencie i pewnym zapasie odrębnych słów i zwrotów. Używanie takiego szkockiego języka jest podkreśleniem odrębności narodowych, lecz nie oznacza tendencji do oderwania się od Anglii. W tym języku wychodziła nawet gazетка, poświęcona przyjaźni polsko-szkockiej "Clasp of Friendship" /Więzy przyjaźni/. Nie mogę mówić o tych sprawach jako znawca, podaję jedynie obserwacje, jakie nasunęły mi się w czasie pobytu zarówno w Szkocji, jak i - później - w Anglii. Powszechnie też wiadomo, że bardzo dużo Szkotów zajmuje wysokie stanowiska w rządach, przemyśle, nauce i w innych dziedzinach życia brytyjskiego, wielu na stałe przeniosło się do Londynu i innych wielkich miast angielskich, ale prąd w kierunku odwrotnym jest bardzo nikły.

Jak już z tego, co tu powiedziałem, wyraźnie widać, przysłowiowe skąpstwo Szkotów jest legendą, to oni sami opowiadają najlepsze dowcipy i historie na ten temat. Mówiłem o sympatycznym przesądzie, że pens wrzucony do wody z mostu nad Firth of Forth przynosi szczęście. Otóż dowcip powiada, iż pewien Szkot, który z racji swych interesów musiał często przez ten most przejeżdżać, wytłoczył otwór w pensie /to przecież duży miedziak/ przeciągnął przez ten sznurek i za każdym razem przejazdem zanurzał monetę w rzece, poczem wyciągał ją z powrotem. Inną gadką, która nie sprawdza się w życiu, jest pomawianie Szkotów o szczególną skłonność do alkoholu. Absolutnie nie widziałem pod tym względem różnicy między Anglikami i Szkotami, natomiast Ir-



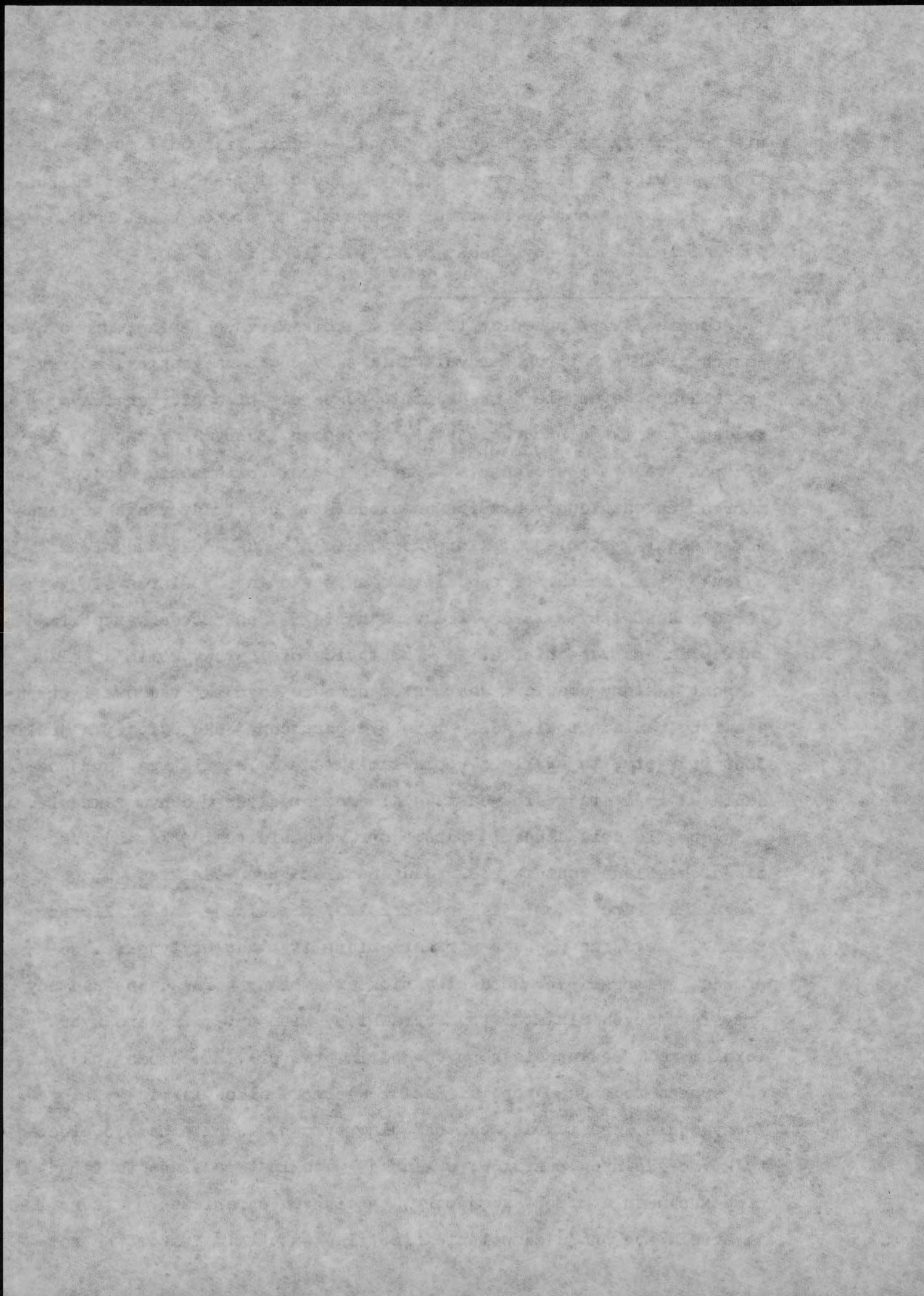
landczycy w tej materii niewątpliwie przewyższają oba te narody. Szkoci piją głównie whisky, a szkocka jest przecieŜ najlepsza na świecie, jedynie kilka gatunków whisky irlandzkiej jej dorównuje, produkcja irlandzka jest jednak konsumowana głównie na miejscu, siła wytwórcza nie wystarcza na eksport, podczas gdy eksport szkockiej jest poważną pozycją w bilansie handlowym i dlatego teŜ szkocką whisky znają na całym świecie, o irlandzkiej natomiast słyszy się znacznie mniej. Anglicy oczywiście teŜ piją whisky, ale moŜe bardziej narodowym ich trunkiem jest dzin i piwo. Jakość piwa w czasie wojny pogorszyła się /i podobno po wojnie nie wróciła juŜ do przedwojennego standardu/, ale zawsze jeszcze była wysoka. Zarówno w Anglii jak i w Szkocji było duŜo browarów o dobrej klasie, ale za jedno z najlepszych uchodzi piwo Irlandczyka Guinnessa. W popularnych "pubach" toczy się piwo z beczki, określa się je tam, nie jak np. w Czechach według nazwy browaru i stopni, lecz dzieli po prostu na dwie kategorie "mild" - łagodne tylko z nazwy, gdyż swą moc miało, oraz "bitter" gorzkie, które specjalnie gorzkie nie było, niektórzy zaś piwosze pili mieszane jedno z drugim w około półlitrowym kuflu /"pint"/. Mimo wielkich ilości alkoholu, spoŜywanych w Szkocji czy w Anglii, nie widziało się wielu pijanych, do czego przyczyniały się ściśle przestrzegane godziny otwarcia "pubów", w owym czasie, jeśli dobrze pamiętam, były to godziny od 12 do 14/ ale w Anglii, zgodnie z tradycją, do dziś dnia nie dzieli się doby na bieżące 24 godziny, lecz tak, jak dawniej i u nas, dodaje się "przed" czy "po" południu, więc np. godzina pierwsza w nocy jest nazywana "pierwszą przed południem" co jest wprawdzie zgodne ze ściśle braną rzeczywistością, ale brzmi jak paradoks/. Drugą porą doby, w której "puby" były otwarte, to 18-22 /nieliczne tylko, w wielkich miastach miały pozwolenie na przedłuŜenie tej pory do 23 lub nawet 24, m.in. korzystały z tego bufety dworcowe/. Godzina, a dokładniej mówiąc, minuta była równie ściśle przestrzegana przez gospodarza /nazywanego "governor", a więc dosłow-



nie ten, który rządzi, podczas gdy odpowiednik francuski to "le patron", a więc bardziej opiekun, czy właściciel/, jak i przez klientów. Na słowa "gentlemen, time" powstawali od stołów nawet bardzo podchmieleni i wszyscy masowo opuszczali lokal. +/

+/ Obecnie /1973/ przepisy te są w trakcie licznych zmian, spowodowanych głównie polityką przyciągania turystów z zagranicy, którzy jak wiadomo, stanowią dużą dodatnią pozycję w bilansie handlowym każdego państwa o nich umiejętnie dbającego. Dobrym zwyczajem w życiu politycznym i społecznym W. Brytanii jest powierzanie studium zamierzonych ważniejszych zmian ustawodawstwa czy tradycyjnych zwyczajów specjalnym komisjom, które mogą, ale nie muszą składać się z członków parlamentu. Przewodnictwo takiej komisji powierza się zwykle członkowi Izby Wyższej, ale w składzie jej są przede wszystkim znawcy danego zagadnienia. Po przestudiowaniu sprawy komisja składa "raport", który omawiany jest przez odnośne czynniki rządowe i przedstawiony parlamentowi, gdzie może być odrzucony jako całość, a jeśli jest przyjęty, to zwykle z poprawkami. Wtedy zalecenia tego sprawozdania komisji stają się podstawą dla rozporządzeń w danym zakresie.

W sprawie działalności "pubów" sprawozdanie takiej komisji /komisja określana jest zwykle według nazwiska przewodniczącego, w tym przypadku "raport Komisji lorda Errola"/ przewiduje bardzo liczne zmiany, sięgające głęboko w zakorzenione zwyczaje brytyjskie. Co prawda, już przed sprawozdaniem niektóre zmiany wprowadzono na mocy przysługujących ministerstwu uprawnień, więc np. zezwolono wybranym lokalom na przedłużenie nocnych godzin otwarcia. Nadto odstępuje się od pewnego rodzaju monopolu, jaki w wyszynku alkoholu miały "puby" /oczywiście w restauracjach też wolno było podawać te napoje, lecz tylko do głównych posiłków, w klubach natomiast podawano te napoje przy zachowaniu przepisanej pory, bez innych ograniczeń/ gdyż komisja Errola proponuje zezwolenie nie tylko wszystkim "pubom" na roz-

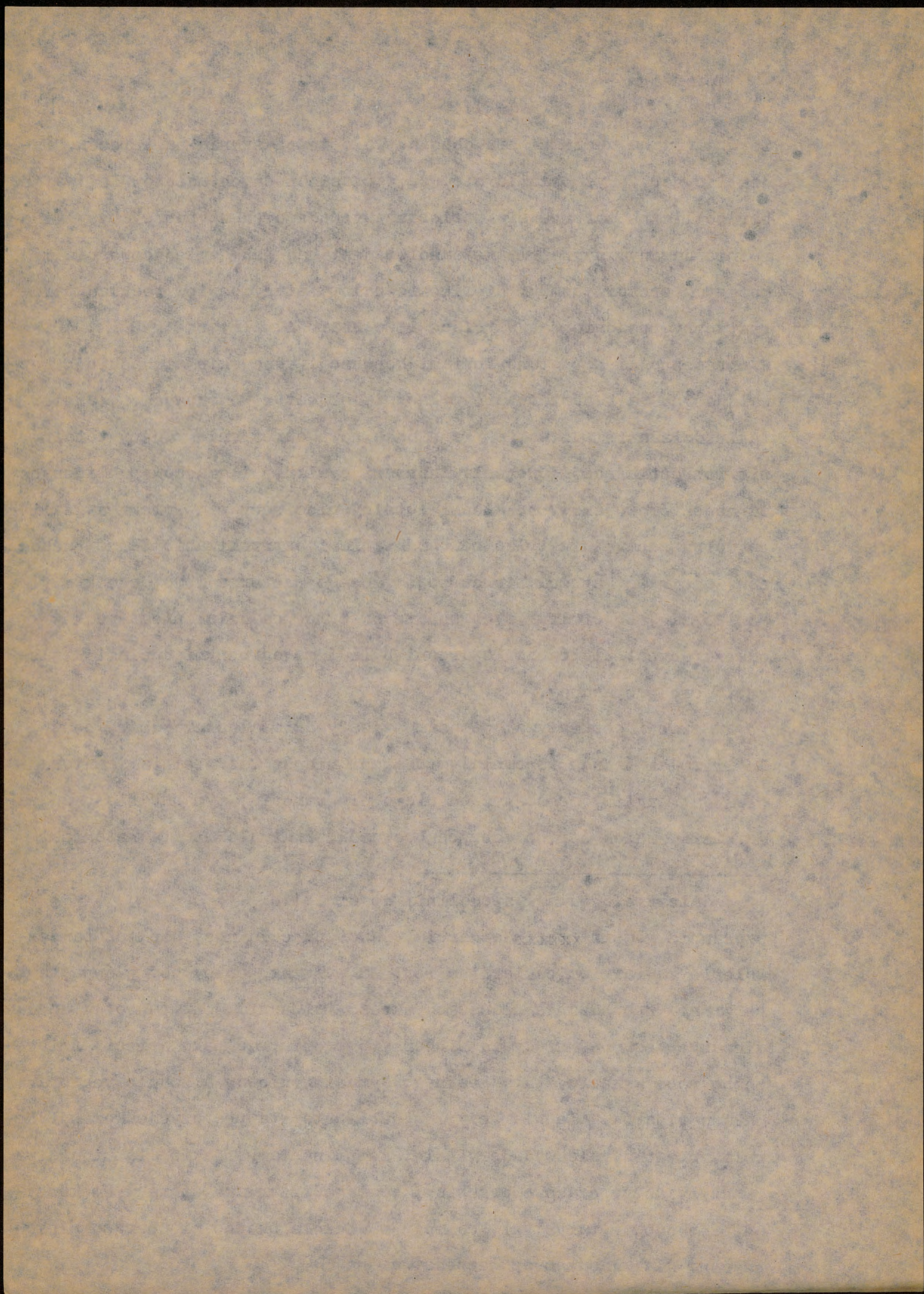


Ze względu na zaciemnienie obowiązywało też gaszenie papierosów, fajek i cygar, gdyż okazało się, że w czasie nocnych nalotów Luftwaffe bardzo liczne żarzące się papierosy wychodzących z "pubów" były mimowolnie dawanym sygnałem, że samolot jest nad jakąś miejscowością i może tam rzucić bomby. Niemieckie naloty miały bowiem podkład terrorystyczny, podobnie jak w Polsce i we Francji w latach 1939 i 1940, w sprzeczności z postanowieniami konwencji genewskiej i haskiej, pozwalających na bombardowanie wyłącznie obiektów wojskowych. Właśnie takie działania Luftwaffe przyniosło nowe określenie "wojny totalnej" nie rozróżniającej jako celu ludności cywilnej i gmachów publicznych od obiektów wojskowych. Młodzi lotnicy niemieccy nad Polską uważali za dobrą zabawę nie tylko bombardowanie i ostrzeliwanie tłumów uchodźców, ale nawet strzelanie do pojedynczego pasterza i do jego krowy. Mówiło się, że wielu z tych bohaterów było pod działaniem środków odurzających, ale raczej odurzeni byli demagogicznymi hasłami Hitlera i jego propagandy.

W Szkocji obowiązywały te same zasady działalności pubów, co w Anglii. Jak jednak wspominałem, Szkoci nie są tak wielkimi amatorami piwa jak Anglicy, choć też od niego nie stronią, tym bardziej, że mają kilka swoich bardzo dobrych browarów. Zdarzało mi się natomiast

dalszy ciąg uwagi spod linii do str. 110

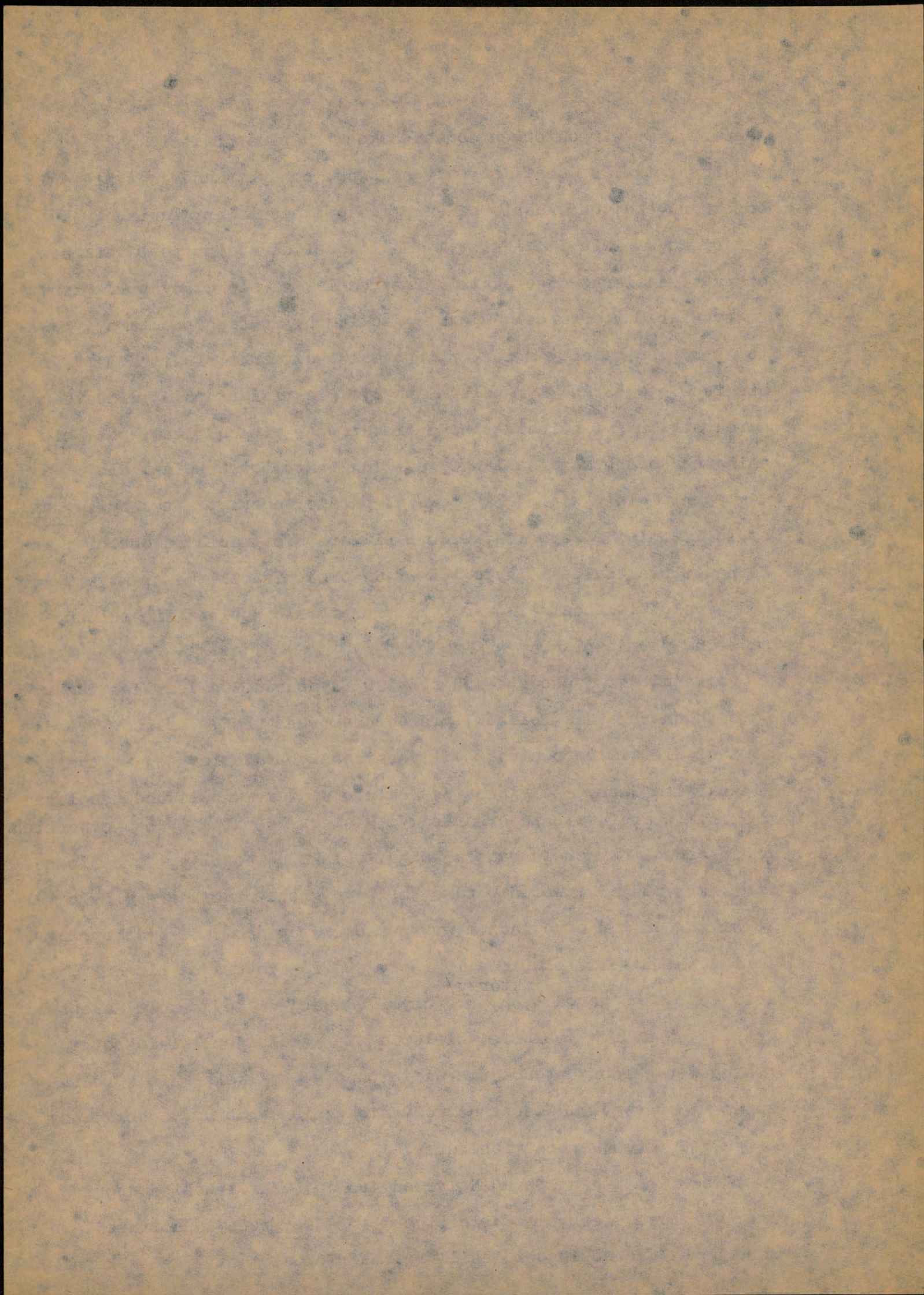
szerzenie godzin ~~godzin~~ otwarcia, nawet na całą noc, ale też na zezwolenie kawiarniom, cukierniom itp. na wyszynk, co byłoby główną tu reformą. Wprowadzenie dłuższych okresów otwarcia jest powrotem do dawniejszych czasów, kiedy to Dickens mógł opisywać małe dzieci, śpiące późną nocą w kącie "pubu" pełnego dymu i wyziewów alkoholowych oraz hałasu pijaków. Nie wiem, czy i w jakim stopniu propozycje komisji Errola przyjęto, ale wydaje mi się, że pewne tamy, jakie dla pijaństwa tworzyły dotychczasowe przepisy, zostaną przerwane za nakazem korzyści dochodów z turystyki, co może w efekcie okazać się bardzo niekorzystne dla własnego społeczeństwa.



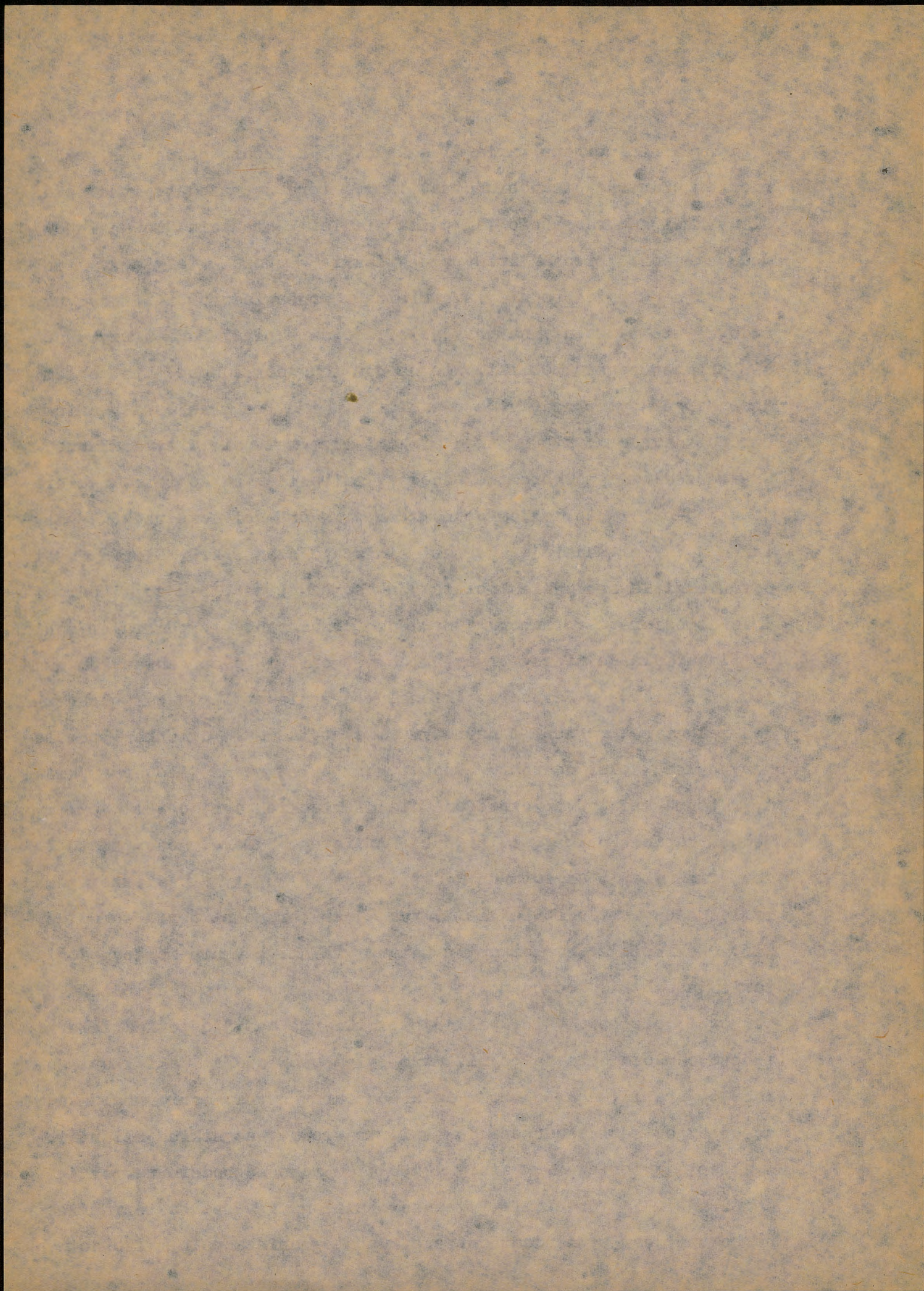
zauważyć, że w niektórych domach szkockich piwo pije się jako tzw. "Shandy", tzn. z dodatkiem wody sodowej, co dyktowane jest nie tyle oszczędnością, co właśnie dążeniem do osłabienia działania alkoholu zawartego w piwie i dzięki temu możliwości dłuższego popijania bez obawy o nadmierne tego skutki. Przypomniał mi się wtedy tzw. "sznyt", który w Krakowie za czasów austrijackich był bardzo popularny, kosztował o parę halerzy mniej, niż normalna szklanka piwa, "Sznyt" /z niemieckiego "Schnitt"/ polegał na tym, że piwiarz podstawiał pod kurek szklankę i nalewał piwo z nieodłączną piękną pianą, póki nie osiągnęła ona brzegu szklanki, szklanka zatem była pełna, ale piwa w niej nie wiele więcej jak połowa. Bardzo to był praktyczny zwyczaj, bo to i taniej i szybciej, więc i piwiarz nie tracił na obrocie, może nawet zyskiwał. Nie było też wtedy owej nieuczciwej praktyki, że podaje się klientowi właśnie taki "sznyt" ale pobiera się należność za pełną porcję piwa.

Do końca już dochodził mój pobyt w Edynburgu. Odwiedziłem raz tzw. Szkołę Lekarską dla Polaków, prowadzoną przez prof. Jurasza. Prawdę mówiąc, nie miałem o niej zbyt wysokiego wyobrażenia, jej status był nie całkiem jasny, za główną jej zaletę uważałem możliwość szkolenia w silnym oparciu się na organizacji Western Hospital i jego szkockich profesorów i personelu nauczającego. Polski personel był z konieczności przypadkowy, wśród bardzo obfitego grona nauczającego było tylko kilku ludzi z odpowiednim wykształceniem naukowym i dydaktycznym. Inni zbijali baki, plotkowali, intrygowali - zwyczajna piosenka. Nie dziw też, że spośród tych, ^{którzy} ukończyli edukację w tej szkole mało było lekarzy na dobrym poziomie. Historia tej szkoły jest wielokrotnie opisana w pochlebny sposób, nie widzę powodu, by wdawać się w różne znane mi szczegóły. Niech już zostanie wzniosły obraz, sporządzony przez zainteresowanych kronikarzy.

H
Zwiedziłem sławny pałac Holyrood, na dole "królewskiej drogi", pałac, w którym mieszkała Maria Stuart i gdzie przeżywała tragedie, opisane przez Słowackiego i Schillera. Na pierwszym piętrze są komnaty

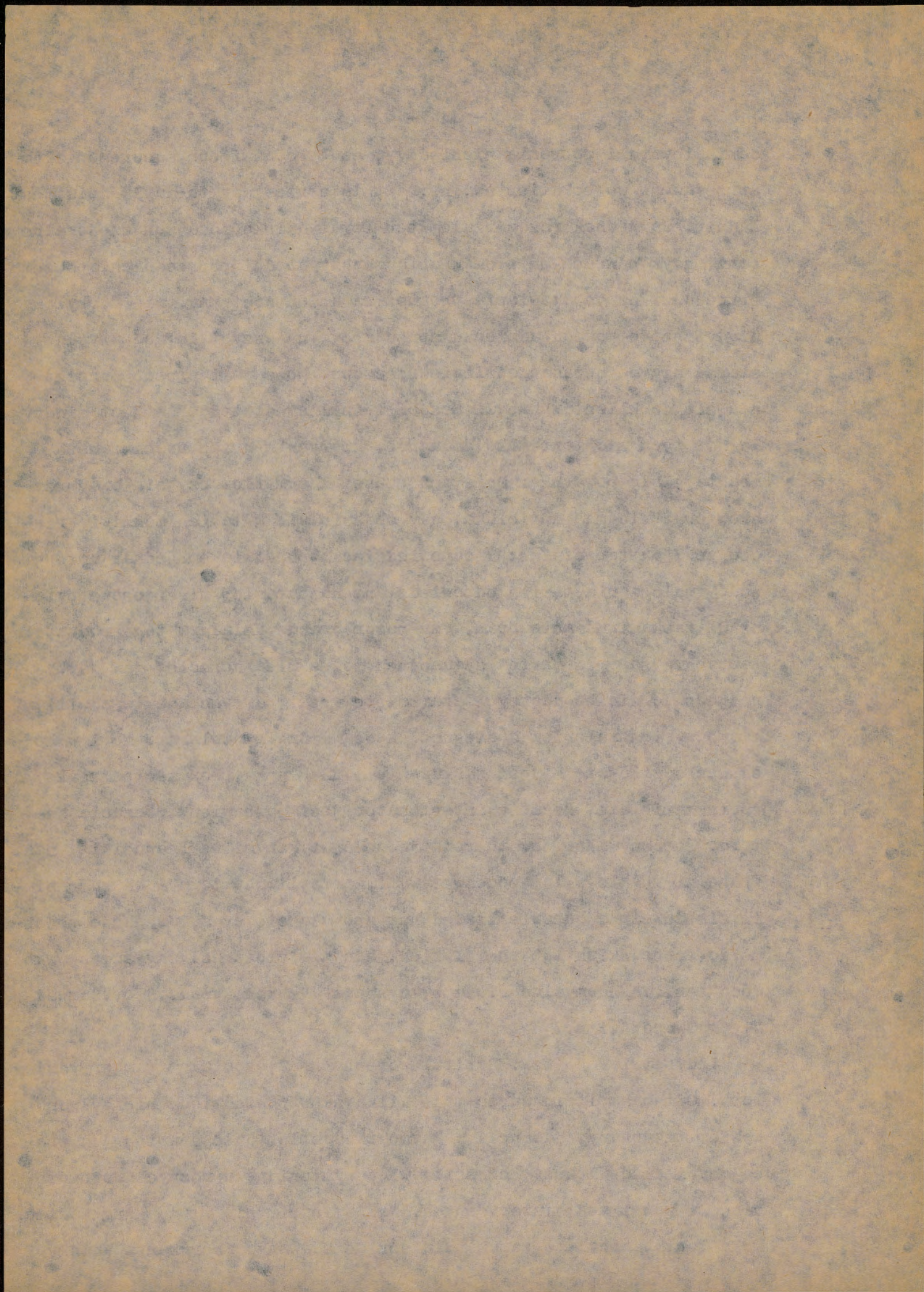


w których nieszczęsna Maria mieszkała. Na podłodze jednego z przed-
sionków widnieją ciemnobrunatne plamy, które są przedstawiane jako
ślady krwi zamordowanego tam pafia Rizzio. W dramacie Słowackiego
woła zabójca: "Niechaj krew jego wsiąknie głęboko w te głązy, Niech
zostawi na wieki zbrodni plamę ciemną". Moje wiadomości z medycyny
sądowej nie pozwalały na przyjęcie, że takie plamy mogą utrzymywać
się przez przeszło 300 lat. Ale na cóż taka dokładność? Nie mogłem
jednak być zbyt przejęty taką pamiątką, mimo, że przejmowały mnie
bardzo zdarzenia, które przed wiekami rozegrały się w tym pałacu.
Gdy zeszedłem z powrotem ze schodów, natrafiłem na kobietę, wyciera-
jącą podłogę i nie mogłem opanować mej skłonności do żarcików, zapy-
tałem ją: "Mam nadzieję, że pani nie usuwa śladów krwi Rizzia?" "Nie",
odpowiedziała spokojnie kobieta "one są na górze". Bardzo mi odpowia-
dała atmosfera tego humoru w sprawach poważnych, przypomniałem sobie
ów plakat dla żołnierzy brytyjskich w Lyonie i to co zauważyłem na
jednym z placów w Edynburgu: kiosk, który niewątpliwie był bunkrem
dla załogi z karabinem maszynowym /miał tylko małe okienka i pomalo-
wany był na kolor ochronny/ zaopatrzony był w napis "Flowers" /kwia-
ty/. Żadne kwiaty, przeznaczone dla niemieckich agresorów! W takim
jednym napisie jakżeż wielki nabój swoistego humoru. Moje często bez-
sensowne pytania /z gatunku "pure nonsense"/ spotykały się ze spokoj-
nymi, rzeczowymi odpowiedziami, tak, jakby brano na serio to co mó-
wię. W sklepie ze szczotkami w Cupar pytałem, czy nie mógłbym dostać
takiej szczotki, której można by używać i do ubrania i do butów i do
włosów i do zębów. "Nie, takiej szczotki nie mamy" odpowiedziała mi
rzeczowo młoda sprzedawczyni. Może potem opowiadała, jaki głupi Po-
lak się trafił, a może zrozumiała mój marny dowcip i nie znalazła we-
sołej odpowiedzi, nauczona poważnie traktować wszystkich klientów.
W sklepie tytoniowym, w którym kupowałem rano mą codzienną porcję
"Capstan'ów", "tobacconist" zawsze czynił uwagę o pogodzie /sprzecz-
ne bowiem jest z zasadami dobrego kupca ograniczać się tylko do wy-

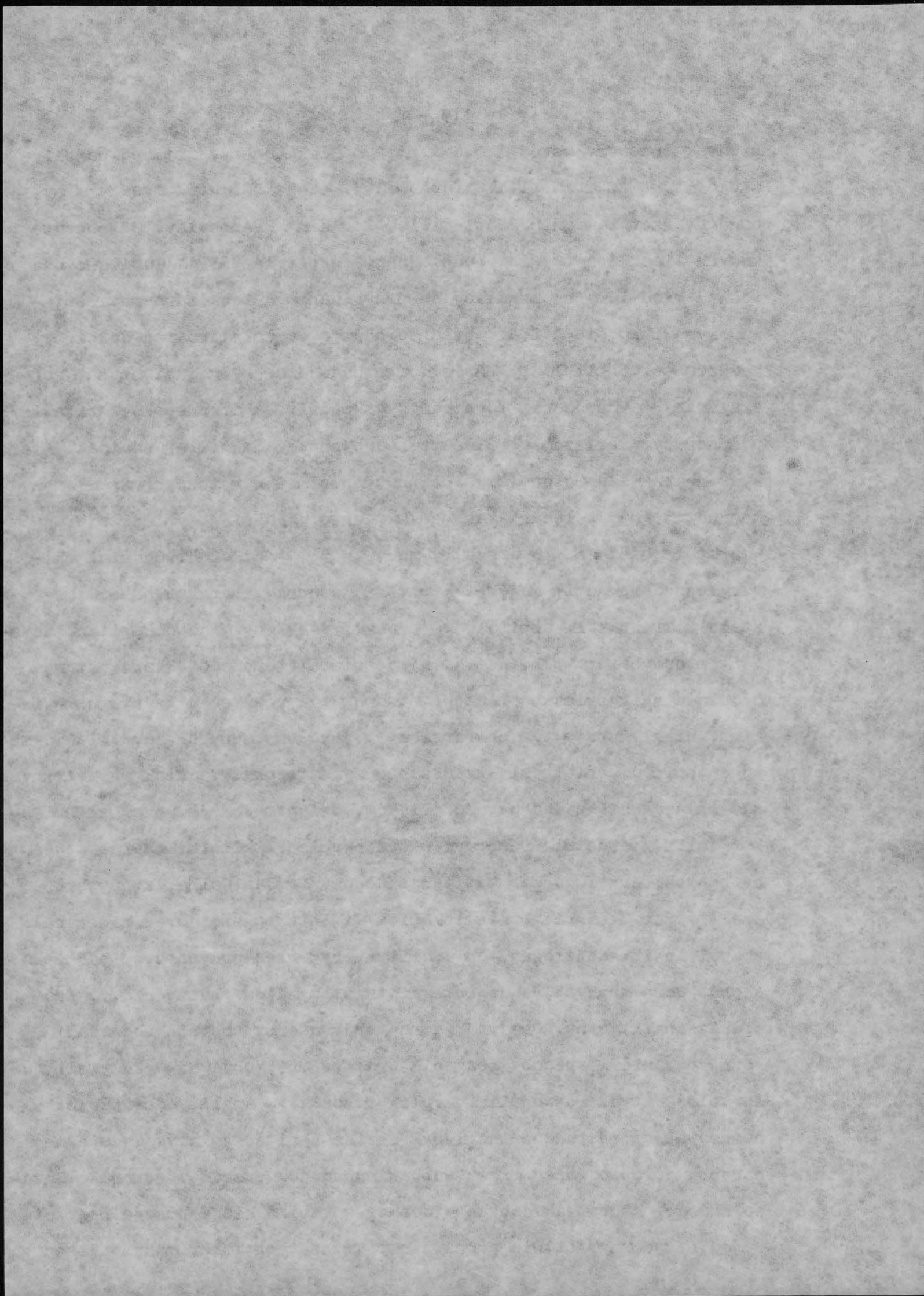


dania towaru i pobrania pieniędzy/, co było uświęconym ceremoniałem sprzedawców wobec klientów, np. "it is a nice day to-day", dziś jest ładnie. Ja jednak rozszerzałem ten temat daleko poza konwencjonalne ramy, gdyż nawracałem w omawianiu pogody do dni poprzednich, poczem przechodziłem do stawiania prognoz na dzień następny. Nie zdobyłem nigdy z tego powodu uśmiechu sprzedawcy, na wszystkie moje wygłupy starał się odpowiadać możliwie rzeczowo. Może taki sposób odnoszenia się do klientów nabyli Szkoci i Anglicy dlatego, że jest między ludźmi tych nacji niemało dziwaków, których z grzeczności zawsze traktuje się poważnie. Może też czasem i tym tłumaczy się owa przysłowiowa "flegma" angielska, gdy objawia się w takich możliwie rzeczowych/"matter of fact"/ odpowiedziach; podziwiałem jednak umiejętność znalezienia takiej odpowiedzi na najbardziej nierzeczowe pytania i zaskakiwał mnie brak, czy pozór braku udziału w tego rodzaju żartach. Czasem w takich sytuacjach można mieć uczucie, jak gdyby rozpędzało się by uderzyć w zamknięte drzwi, a tymczasem w chwili, gdy już się miało ich dosięgnąć, ktoś je nagle otwierał. No i w końcu wychodziło się - dość zaskazanie - na głupka, bo mało pomagało pocieszanie się, że może interlokutor jest pozbawiony poczucia humoru. Porównywałem też te reakcje ze spotykanymi we Francji i u nas. Francuzi zwykle w lot podchwytywali żartobliwość tonu i odwzajemniali się dowcipną odpowiedzią. U nas spotyka się czasem reakcje podobne do francuskich lub angielskich, ale też często słyszy się słówko "coś pan..."/ domyślne ... "z byka spadł" "z księżycy..." ... "urwał się z Tworek" itp./

Kiedy otwierano tzw. Szpital Wojenny nr 2, zostałem tam przydzielony. O tym szpitalu warto może kilka słów powiedzieć, nie był on bowiem tak znany, jak nr 1 w Taymouth Castle, dużo dawniej już pracujący i dużo większy, częściej więc wymieniany w różnych wspomnieniach i notatkach historycznych. Nr 2 mieścił się w Duppling Castle koło Perth, a był to zamek należący do sławnego fabrykanta Whisky



Dewara, położony wśród lasów i pól, o kilka dobrych mil od najbliższego miasteczka. Szpital ufundowały i częściowo utrzymywały trzy bogate Szkotki, panie Scott-Ellis, Fielding i Annesley. Od początkowych liter ich nazwisk poszła nazwa szpitala "SEFA", umieszczona też na miedzianych odznakach do przypinania u boku munduru. Ponieważ wymawiało się "sifa", było to okazją do żołnierskich dowcipów. Komendantem szpitala był zrazu płk. Maszadro, były legionista, dobrze znany z "Cewusamu" /Centrum Wyszukolenia Sanitarnego w Warszawie/ podchorążym lekarzom w Polsce przedwojennej. Szkotki-fundatorki nie były jednak zadowolone ze współpracy z nim i wkrótce przyszedł nowy komendant, major-lekarz Zakrzewski, dużo układniejszy i przede wszystkim bardziej towarzyski, tak, że "przyjął się". Oddział chirurgiczny prowadził major-lekarz Dr Mazanek, który za czasów mego stażu w krakowskim szpitalu wojskowym /1927/ był, jako kapitan, asystentem ordynatora płk. Retza, a po śmierci tegoż objął ordynaturę oddziału chirurgicznego. Major Mazanek był również układnym człowiekiem, niezłym przy tym chirurgiem, a jako postawny blondyn miał duże powodzenie u kobiet /nie wyłączając fundatorek/. Oddział wewnętrzny zaś składał się z dwóch pododdziałów, ordynatorem jednego był Dr Józef Felix /porucznik rezerwy/ z krakowskiej I kliniki chorób wewnętrznych, drugiego zaś kapitan zawodowy Dr Jan Golba, który był analitykiem /głównie bakteriologiem/ i interną się dotąd nie parał. W myśl logiki wojskowej, on analityk, był więc ordynatorem oddziału chorób wewnętrznych, a ja internista otrzymałem pieczę nad... pracownią analityczną. Obydwaj jednak ordynatorzy chętnie rozważali rozpoznawanie i sposoby leczenia wraz ze mną, obydwaj wykazywali dużo koleżeństwa. Po wojnie Dr Felix pozostał w Anglii, a Dr Golba awansował na podpułkownika i był szefem sanitarnym brygady spadochronowej, dowodzonej przez wspomnianego już przedtem generała Sozabowskiego, która, jak dobrze wiadomo, wstawiała się w nieudolnej /nie z jej przyczyny/ bitwie pod Arnhem. Prócz tych lekarzy było jeszcze

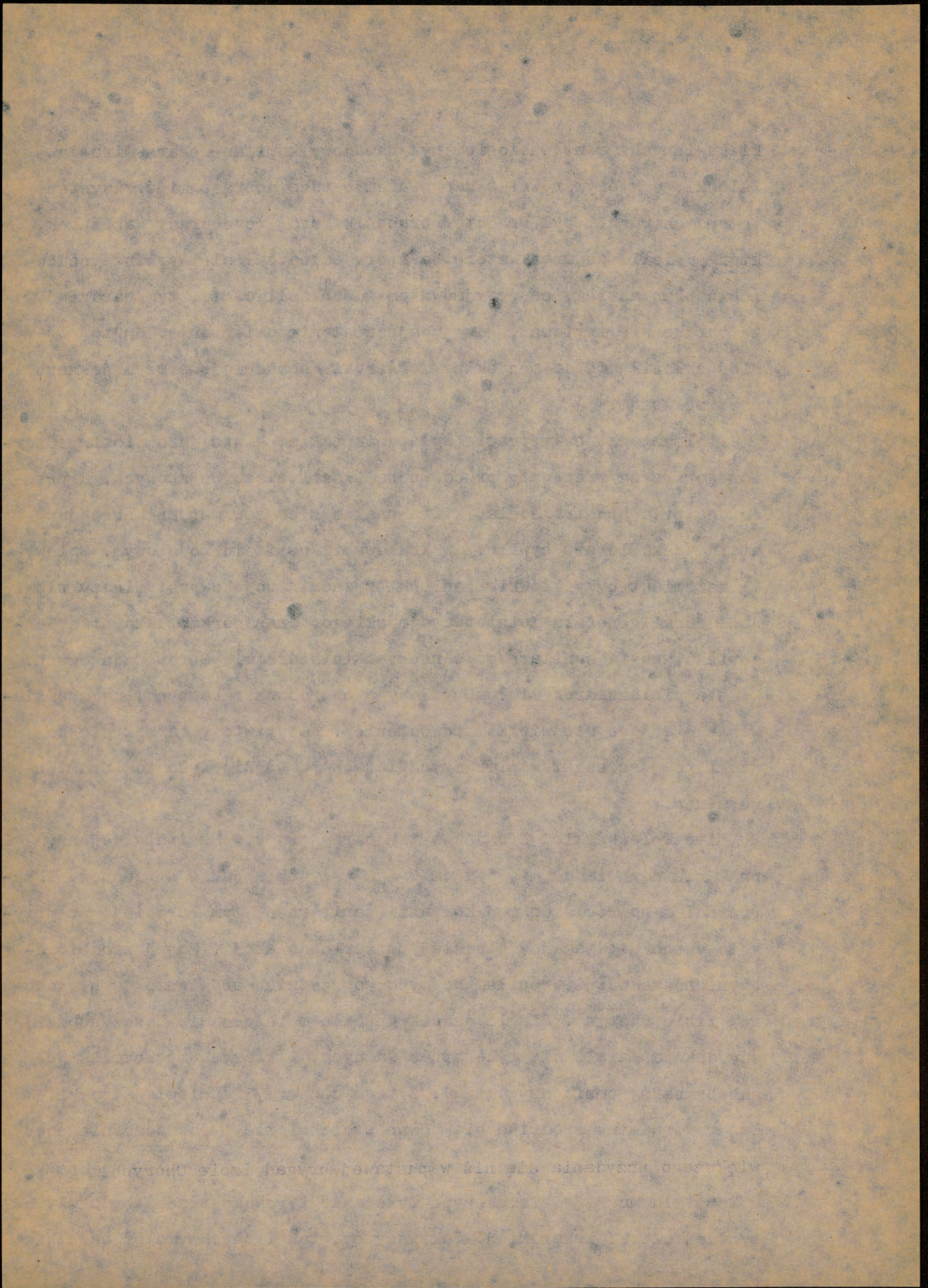


kilku innych, rentgenologiem był zawodowy kapitan-lekarz Mirosław Zaleski, o którym również zachowałem bardzo dobrą pamięć. Asystentem na chirurgii był Dr Gut /porucznik/ oraz podchorąży Kaczmarek, który dzielił ze mną kwaterę, a który odznaczał się wyraźną pseudologia phantastica, co przyjmowałem z pobłażliwością, tym bardziej, że bardzo się irytował, gdy podejrzewał niedowierzanie. On to później zgłosił się do mej ekipy do Afryki Wschodniej, o czym jeszcze wspomnę potem.

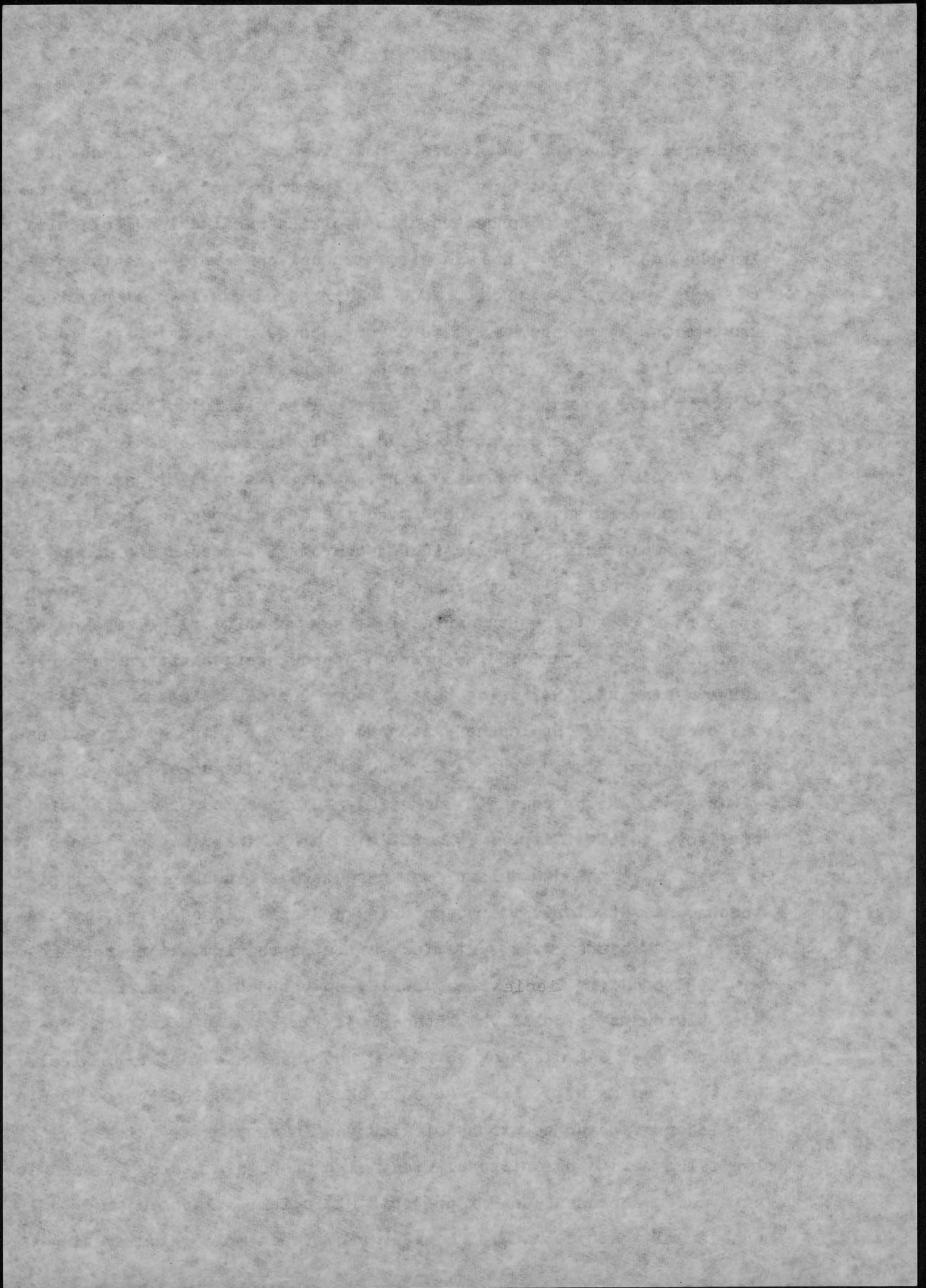
Pielęgniarki były prawie wyłącznie takie, które jako Siostry Czerwonego Krzyża pracowały przed wojną w szpitalach wojskowych, a przełożoną była Siostra Adela, którą znałem z czasów wspomnianego już stażu /jako lekarz cywilny/ w krakowskim szpitalu wojskowym. Salowymi natomiast były głównie panienki z rodzin wojskowych, między nimi dwie córki generała lotnictwa Ujejskiego, oraz córka pułkownika Gergovicha, szefa sanitarnego w naszym Ministerstwie Spraw Wojskowych.

Dla pielęgniarek miałem wykłady o chorobach zakaźnych, nadspodziewanie cieszące się wielkim powodzeniem. Każdy wtedy garnął się do nauki, co jeszcze i w pierwszych latach po wojnie było tak znamienne u nas.

Mimo koleżeńskich stosunków ten okres pracy w Szpitalu Wojennym nr 2 nie odpowiadał mi, czułem w tym wszystkim jakąś sztuczność i zapragnąłem powrócić do mej kompanii sanitarnej, tym bardziej, że przygotowywano się tam już bardziej na serio do akcji. Mojej prośbie uczyniono zadość i wróciłem do mych poprzednich obowiązków w brygadowej Izbie Chorych. Ciągłe jednak gnębiło mnie uczucie bezczynności, gdy dokoła działo się tyle spraw ważnych, w których mógłbym wziąć choćby najskromniejszy udział. Z tego uczucia i z ciągłej troski o los mej rodziny zrodziło się pewne zgorzknienie i równocześnie chęć większego przydania się, niż w pustawej brygad. Izbie Chorych czy w Szpitalu nr 2, gdzie chorych było mało i rzadko trzeba było używać wyższej sztuki lekarskiej. Jak wszyscy, tak i ja chwytałem wszelkie



wiadomości o tworzeniu się wojska polskiego w Związku Radzieckim. Wśród tych informacji były i takie, które mnie szczególnie jako lekarza interesowały. Skoncentrowanie wielkich mas ludzi na Południu Związku Radzieckiego odbywało się, mimo usiłowań wprowadzenia porządku przez władze, bardzo nieplanowo, gdyż zewsząd z tego olbrzymiego kraju ciągnęły rzesze ku tym ośrodkom wojskowym w nadziei czy to dostania się w szeregi, czy też choćby korzystania z wyżywienia. Ten masowy zjazd spowodował nastanie szczególnie niehigienicznych warunków, a wtedy do głosu doszedł tyfus plamisty, który obok innych chorób, właściwych tym terenom, jak np. malaria, zaczął się szerzyć podobno bardzo intensywnie. Wobec tego także i w Londynie obmyślano pomoc w zwalczaniu tej epidemicznej choroby i zwrócono się do wojska o zmobilizowanie ekipy lekarskiej. Oto więc była dla mnie upragniona sposobność rzetelnego przydania się i bez wahania zgłosiłem chęć podjęcia się tego zadania. Mimo pewnych oporów szefa sanitarnego otrzymałem w sierpniu 1942 urlop bezterminowy i przeszedłem pod egidę Ministerstwa Opieki Społecznej, które chciało zorganizować wspomnianą ekipę. Przeszedłem jeszcze u Brytyjczyków krótkie szkolenie w posługiwaniu się zmotoryzowaną kolumną dezynfekcyjną /odwszawianie ubrań, bielizny, pościeli itp./. Dwie takie kolumny miałem wieźć ze sobą, a potem miały nadejść dalsze. Teraz zaczęło się czekanie w Londynie, podobno na zezwolenie wjazdu do Związku Radzieckiego /wizę/. Tymczasem wojska Andersa wyszły stamtąd, a z nimi rodziny, które rozlokowywano po całym świecie ale głównie, po przejściu przez Iran i Indie, kierowano je do Afryki Wschodniej. Tam, w pięciu krajach rozmieszczono po osiedlach około 20.000 osób, głównie kobiet i dzieci. Opieka lekarska była im bardzo potrzebna. Szereg osiedli był w ogóle bez lekarza, pomoc ze strony nielicznych lekarzy brytyjskich mogła być tylko bardzo ograniczona. Kiedy więc jasne się stało, że wiz nie otrzymamy, zaproponowano mi podjęcie się opieki lekarskiej nad tymi uchodźcami w Afryce Wsch. Zgodziłem się. Prócz mnie zgłosiły się



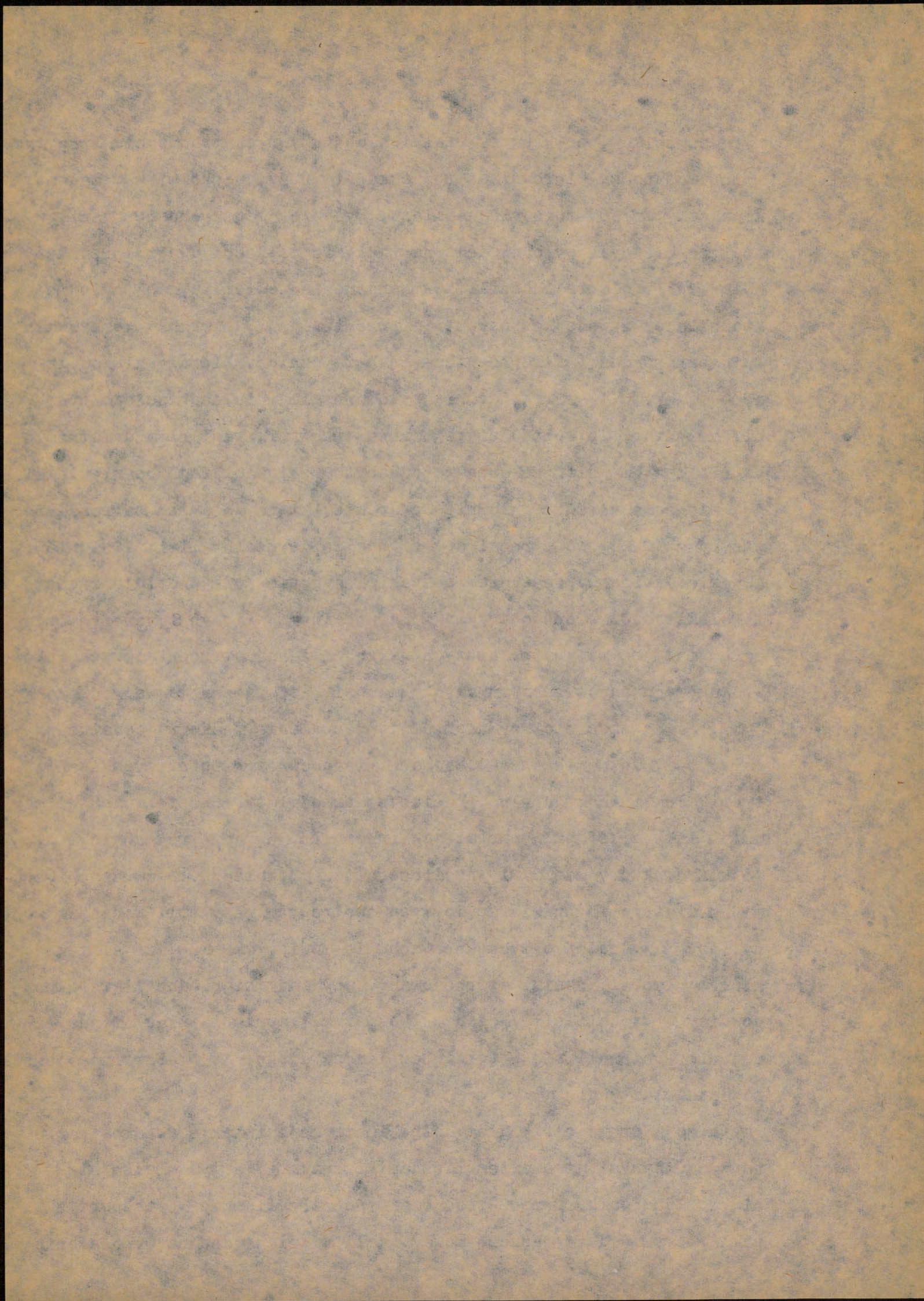
jeszcze dla tego dzieła dwie osoby, jeden jako chirurg, drugi jako dentysta, były jednak co do tego kwestie, co zdaje się, było jednym z motywów ich peregrynacji, znałem bowiem obydwu dobrze i mogłem być pewien, że nie kierują nimi żadne filantropijne i patriotyczne pobudki. Sprawa naszej podróży miała być rozwiązana w ten sposób, że ja miałem popłynąć do Afryki Zachodniej, a stamtąd polecieć do Wschodniej, oni dwaj zaś mieli całą podróż odbyć statkiem, a więc dokoła Afryki. W czasie wojny w ogóle, tym bardziej zaś w tej chwili /wrzesień 1942/ istniały wielkie trudności z uzyskaniem miejsca w samolocie, stąd więc wynikła różnica w potraktowaniu naszej trasy.

Mieszkałem wtedy w dzielnicy Bayswater, która wprawdzie sąsiadowała z Hyde Park, ale bynajmniej nie była wytworna. Nie miałem teraz wiele zajęcia, głównym było oczekiwanie hasła do wyjazdu. Zwiedzałem, co było dostępne, ale nie wiele w istocie można było zobaczyć, gdyż muzea były ewakuowane, w szczególności British Museum było zamknięte i co cenniejsze zbiory przeniesione w bezpieczniejsze miejsca. Istotnie w jego okolicy padło dużo niemieckich bomb. Mimo straszliwego spustoszenia, jakiemu uległa dzielnica Cheapside, znajdująca się tam katedra św. Pawła, choć również nieco uszkodzona, była jednak otwarta. O dużo ciekawszym wnętrzu Katedra Westministerska była również dostępna. Prócz takiego zwiedzania byłem kilka razy w Colonial Office, by zebrać trochę informacji o warunkach, w jakich miałem pracować jako lekarz. Właściwie nie dowiedziałem się wiele, radzono mi porozumiewać się z miejscową służbą zdrowia. Także co do tego rodzaju wyposażenia, tam niezbędnego, jak np. mikroskop, radzono mi polegać na pomocy na miejscu. Zarówno w naszym Ministerstwie Opieki Społecznej, jak i w owym brytyjskim Ministerstwie dla Kolonii odnosiłem po trochu wrażenie, że dla nich jest najważniejsze, bym pojechał, a reszta jakoś sama się złoży. Właściwie nie dziwiłem się temu, gdyż w tym okresie wojny wielokrotnie musiałem zdawać się na własne siły i prze-myślność, nie tyle z powodu braku dobrej woli wspomnianych i podob-

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
DEPT. OF THE HISTORY OF ARTS AND ARCHITECTURE

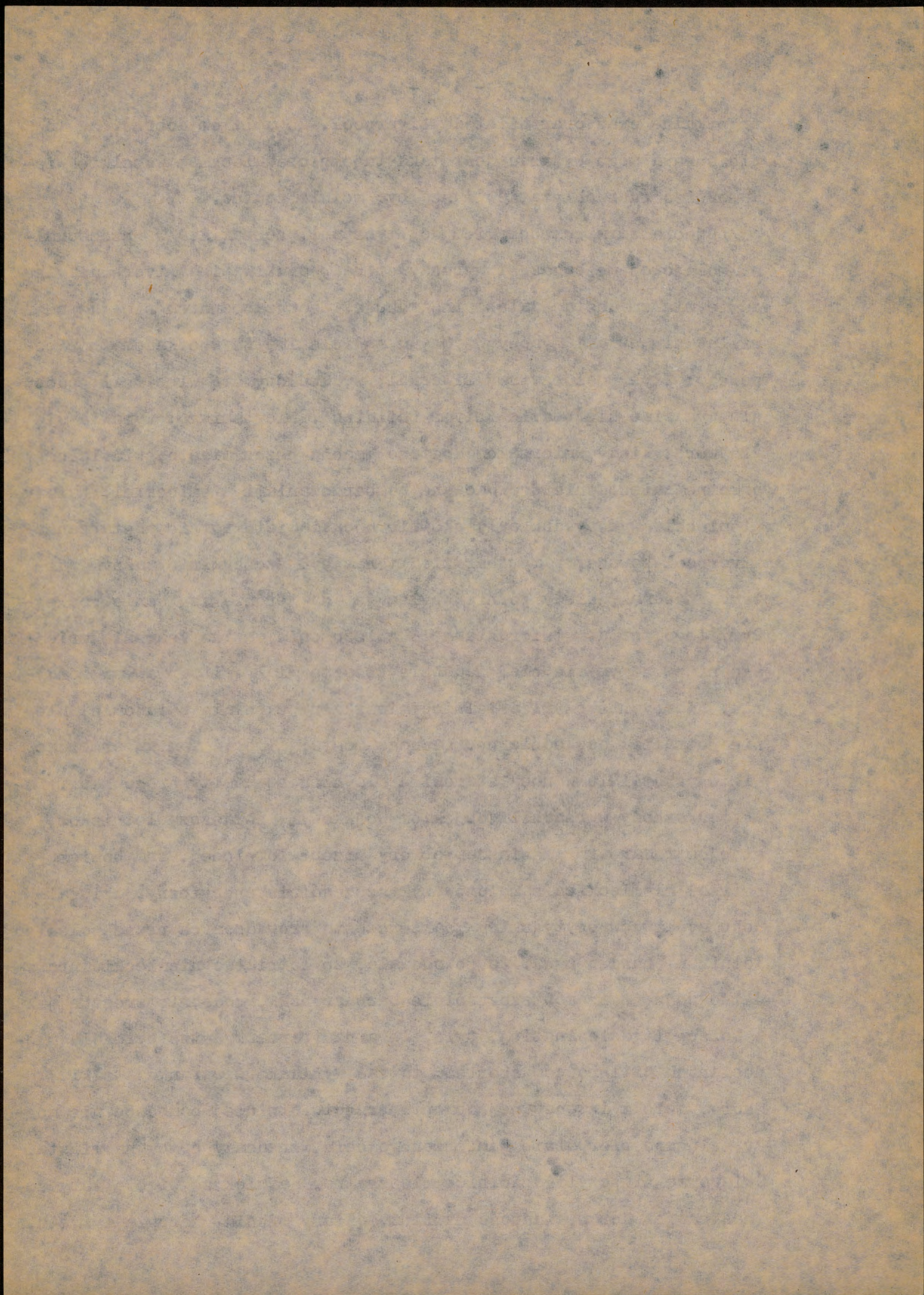
nych czynników, co wskutek wielkich obiektywnych trudności. Przy tym mnie uważano za kierownika tej całej imprezy, aczkolwiek w żaden konkretny sposób tego nie ustalono. Były to jednak okoliczności, w których nie czas było zwracać na takie formalności uwagi, przynajmniej jeśli o mnie chodziło. Na marginesie powiem tu, że takie moje stanowisko, zawsze konsekwentnie przestrzegane, z reguły kosztowało mnie bardzo dużo, zarówno wtedy, jak i później. Niezależnie od innych aspektów tego rozwiązania było ono dla mnie osobiście o tyle niekorzystne, że wobec ścisłego przestrzegania wagi bagażu lotniczego nie mogłem wziąć ze sobą mego dobytku /niewielkiego bo niewielkiego, ale same książki, głównie lekarskie, które zdążyłem nagromadzić, ważyły z 10 kg, co wypełniłoby z górą dopuszczalny limit 20 funtów/. A gdzie jakieś wyposażenie lekarskie? A gdzie moje osobiste rzeczy? Z Polskiego Czerwonego Krzyża /na nobliwym Belgrave Square/ otrzymałem mały zestaw najprostszych narzędzi i najpotrzebniejszych leków, według mego zapotrzebowania; okazało się, że paczka ta waży około 5 kg. Na szczęście otrzymałem na to pozwolenie, jako na dodatkową wagę, tak, że mogłem wziąć ze sobą nieodzowne przecież wyposażenie tropikalne i inne zupełnie konieczne przedmioty. Resztę moich rzeczy, w tym liczne książki oraz między innymi też dwa swetry zapakowałem do kufra, który mieli mi przywieźć owi dwaj koledzy. O swetrach wspominałem dlatego, by nawiązać do mych swetrowych perypetii w czasie wojny. Aby już dłużej o tych sprawach nie mówić, wspomnę, że statek, którym płynęli, został storpedowany, obydwaj moi niedoszli współpracownicy uratowali się /jeden tylko doznał zapalenia płuc/ i już więcej nie wybierali się w tę niebezpieczną drogę. Mój kufer zaś poszedł na dno Atlantyku.

Na moją drogę otrzymałem ustne instrukcje i jakiś świstek papieru z napisanymi atramentem liczbami i znakami, z tym miałem się zgłosić w Liverpoolu. Oprócz tego nasi zaopatrzyli mnie w paszport z wizami /o tym będzie jeszcze mowa/, dali mi pieniądze na wyposażenie



tropikalne oraz oraz bilet do Liverpool. Rozumiałem dobrze, że to nie sprawa mego wyjazdu jest taka tajemnicza, lecz że wszelkie wiadomości o ruchach statków muszą być ściśle poufne.

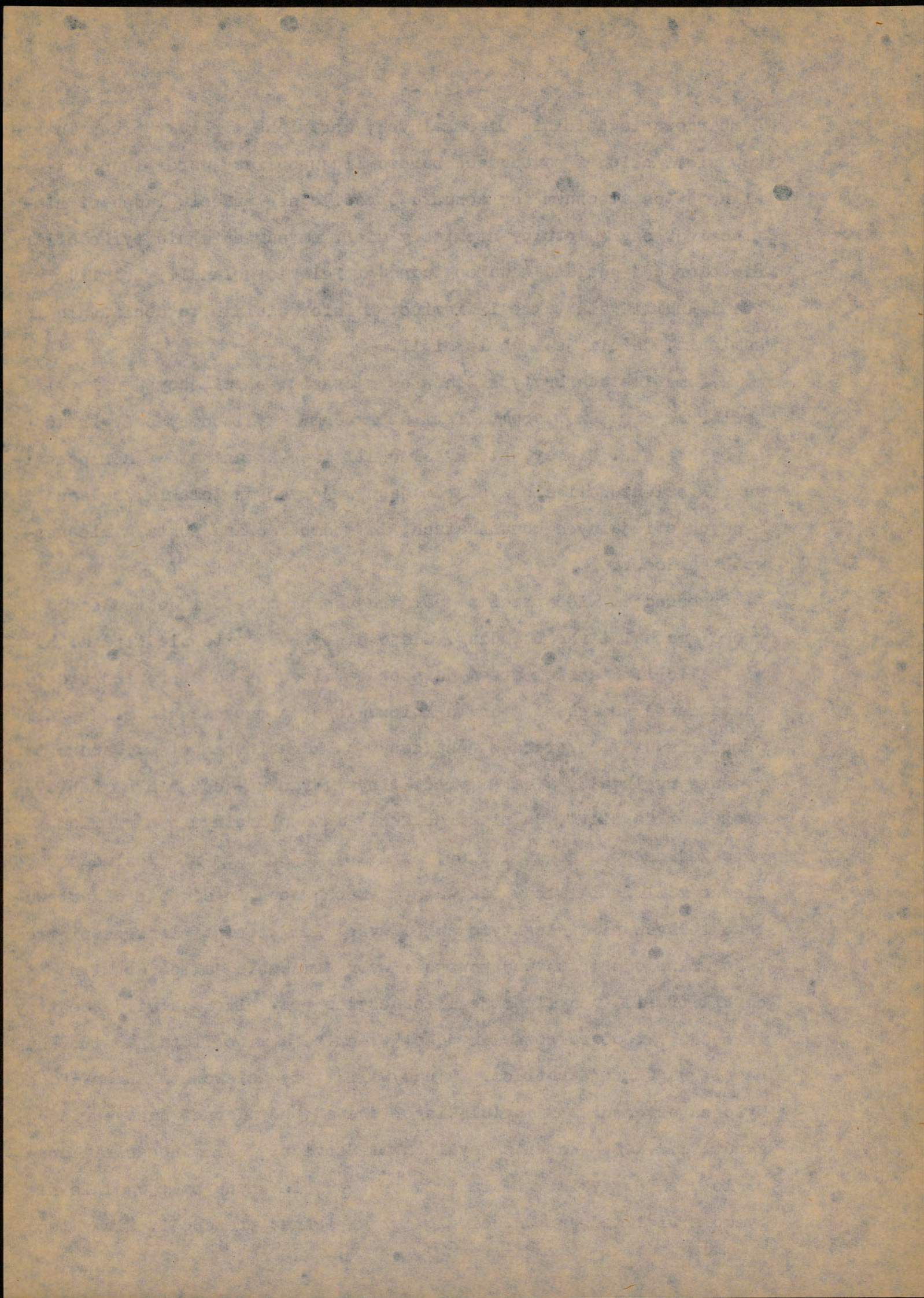
Dojechałem więc pociągiem do Liverpool, zostawiłem w przechowalni kolejowej me bagaże i wyruszyłem na poszukiwanie "Liver Building" gdzie miałem dostać dalsze instrukcje. Choć zapoznałem się już z wielu dziwactwami wymowy w języku angielskim, tu spotkałem znów coś nowego: Liverpool czytamy Liwerpul, wydawałoby się więc że i podobnie wymawiać się będzie "Liver Building". Nic takiego: wymawia się "Lajwer"! Kiedy zmierzałem do tego gmachu przez miasto, widziałem ogromne zniszczenie spowodowane bombardowaniami niemieckimi. Naloty niemieckie wykonywane były głównie nocą i wielokrotnie powtarzane. Liverpool zawsze, a tym bardziej teraz był szczególnie ważnym portem. A jednak, kiedy później byłem już na terenie /ogromnie rozległym/ tego portu, stwierdziłem iż zniszczenia są tam znacznie mniejsze niż w samym mieście. Podobnie zresztą miały się sprawy w Londynie. Niemcy niszczyli dzielnice mieszkalne zupełnie świadomie, ale nie potrafili uszkodzić np. żadnego mostu, mimo iż Tamiza srebrząc się błyskotliwie w nocy stanowiła dla nich znakomity drogowskaz. Małe też szkody wyrządzili obiektom wojskowym, zwłaszcza lotniskom, stacjom radarowym i gniazdom obrony przeciwlotniczej. Tam bowiem ostrzał niemieckich samolotów był szczególnie energiczny, działalność myśliwców brytyjskich /jakże często prowadzonych przez polskich lotników/ bardzo żywa. To powodowało, że lotnictwo niemieckie prowadziło wojnę w sposób szczególnie barbarzyński, podobnie zresztą jak w Polsce i gdzie indziej, tyle, że u nas barbarzyństwo było dla młodocianych hitlerowców sportem, tu zaś wynikało z warunków walki. Skoro, dzięki intensywnej obronie przeciwlotniczej bombowce nie mogły osiągnąć pierwotnie zamierzonego celu, zrzucały bomby na miasta. Świadomie niszczyli dzielnice mieszkalne, największe więc ofiary ponosiła jak dotąd, ludność cywilna, ofiary mienia, zdrowia i życia.



Bombardowanie dzielnic mieszkalnych, uprawiane z reguły przez lotników niemieckich i powodujące bardzo liczne ofiary wśród ludności cywilnej w ostatecznym rozrachunku obróciło się przeciw ludności niemieckiej, czyli lotnicy niemieccy mieli na sumieniu nie tylko ofiary nie biorącej udziału w walce ludności Polski, Holandii, Belgii, Francji i Anglii, ale także i Niemiec. Zaiste, wielkie to obciążenie ich sumienia, jeżeli je w ogóle mieli.

W komunikatach brytyjskich w owym czasie, omawiających naloty, powtarzał się zwrot "bombs fell at random" czyli bomby były zrzucone byle gdzie. Niemcy, którzy słuchali tych komunikatów, a z początku nie orientowali się wystarczająco w języku angielskim, ogłaszali w swych oficjalnych komunikatach, że zbombardowana została miejscowość Random...

Przeszedłem więc przez na pół zrujnowane miasto i doszedłem do owego gmachu, Liver Building. Zdaje się, że była to siedziba m.in. admiralicji. Stanałem przed dużą bramą wiodącą do szerokiej sieni, zastawionej zasiekami z drutu kolczastego, a przy wąskim między nimi przejściu stał żołnierz z nasadzonym na karabin bagnetem. Bardzo to groźnie wyglądało, a ja w mym cywilnym ubranku - cóż miałem robić? Weszedłem do sieni, żołnierz obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem, przeszedłem obok niego i ruszyłem dalej ku schodom nie posiadając się ze zdziwienia, że w tak ważnym gmachu obeszkło się bez długotrwałego indagowania i legitymowania. Wszedłem więc na pierwsze piętro tego ważnego obiektu wojskowego i wybrałem sobie jakieś drzwi na chybił trafił, uchyliłem je i zobaczyłem przy biurkach siedzące trzy dziewczęta, które rozpoznałem jako "wrenki", a więc flota, a więc chyba nie najgorzej trafiłem. My nazywaliśmy te dziewczęta "wrenki", co było zapożyczeniem z angielskiego "wrens", popularnej nazwy według skrótu W.R.N.S. /Women's Royal Naval Service/, co równocześnie znaczyło też "czyżyki". Niewiasty w tej Służbie znane były ogólnie nie tylko z wielkiej sprawności ale też z pięknej prezencji. Miały też



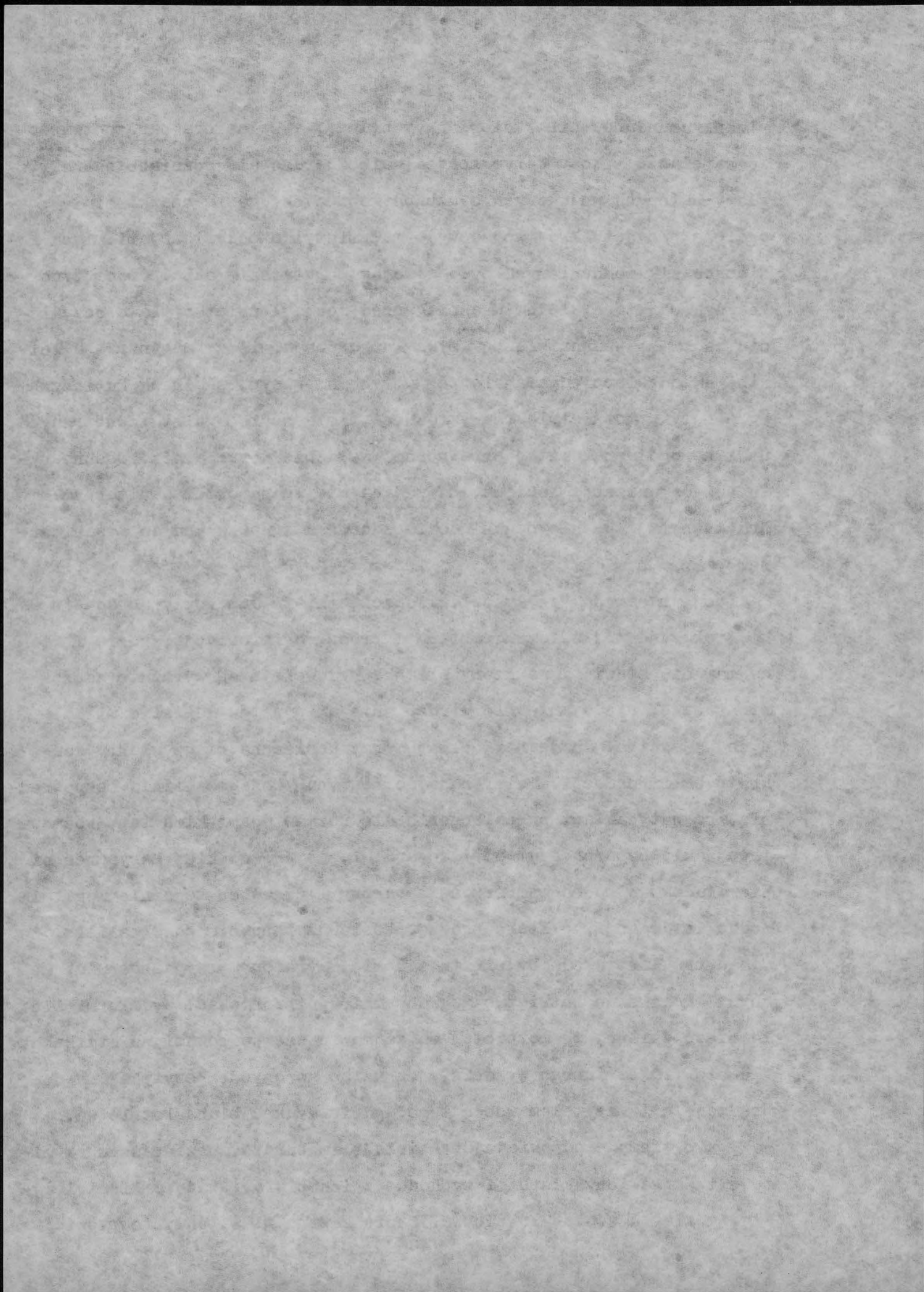
piękne umundurowanie /kolor "navy blue"/, a zwłaszcza bardzo twarżowe kapelusze z dość dużym rondem, więc bardzo się różniące od nakryć głowy w innych wojskowych służbach kobiecych, gdzie czapki miały ogólnie przyjęty krój wojskowy z małymi tylko modyfikacjami. Tych kobiecych sił pomocniczych było w wojsku brytyjskim dużo. Oprócz tych "czyżyków" które miałem właśnie przed sobą, lotnictwo miało oczywiście osobną i własną służbę /żywa konkurencja między marynarką a lotnictwem odzwierciedlała się też w tych odrębnych służbach kobiecych - kobiety w lotnictwie miały również wiele sztyku, zalet zewnętrznych, no i na ogół znakomitej sprawności w służbie/ oraz armia, osobno była też organizacja kobieca, zajmująca się transportem sanitarnym. Grupka z tej właśnie organizacji pracowała z naszą kompanią sanitarną.

Lecz wracam do "czyżyków". Tłumaczę im, że mam popłynąć do Afryki, pokazuję mój świstek papieru i proszę o informację, gdzie i kiedy mam się stawić i na który statek. Dziewczęta są wyraźnie zdezorientowane, nic o mnie nie wiedzą, nie umieją też udzielić mi żadnych wyjaśnień. Ja jednak obstaję przy konieczności uzyskania konkretnych informacji. Telefonują do Londynu /wojskowa linia bezpośrednia, bo natychmiast po połączeniu się rozmawiają z kimś tam, rozmowa trwa jakiś czas/po czym oświadczają mi, że Królewskiej Marynarce nic nie wiadomo o mojej zamierzonej podróży i że wobec tego nie mogą mi podać informacji, o które proszę. Ponieważ ponownie podkreśliłem, że mam ustne instrukcje by się tu zgłosić, wyrażono przypuszczenie, że chyba Królewskie Lotnictwo mogłoby mnie poinformować. Wydało mi się to nieco dziwne, że lotnictwo ma zajmować się podróżami na statkach, ale nie miałem innego wyjścia, jak wziąć supozycję "czyżyka" za dobrą monetę i zapytałem wobec tego, gdzie szukać biura lotnictwa.

- My nie wiemy - odpowiadają. Dziękuję im bardzo, przepraszam za mimowolnie sprawiony kłopot i wychodzę z ich biura. Staję w sieni i myślę, gdzie tu szukać lotnictwa. Skoro kazano mi w Londynie zgłosić

V zamknij
nawias

129

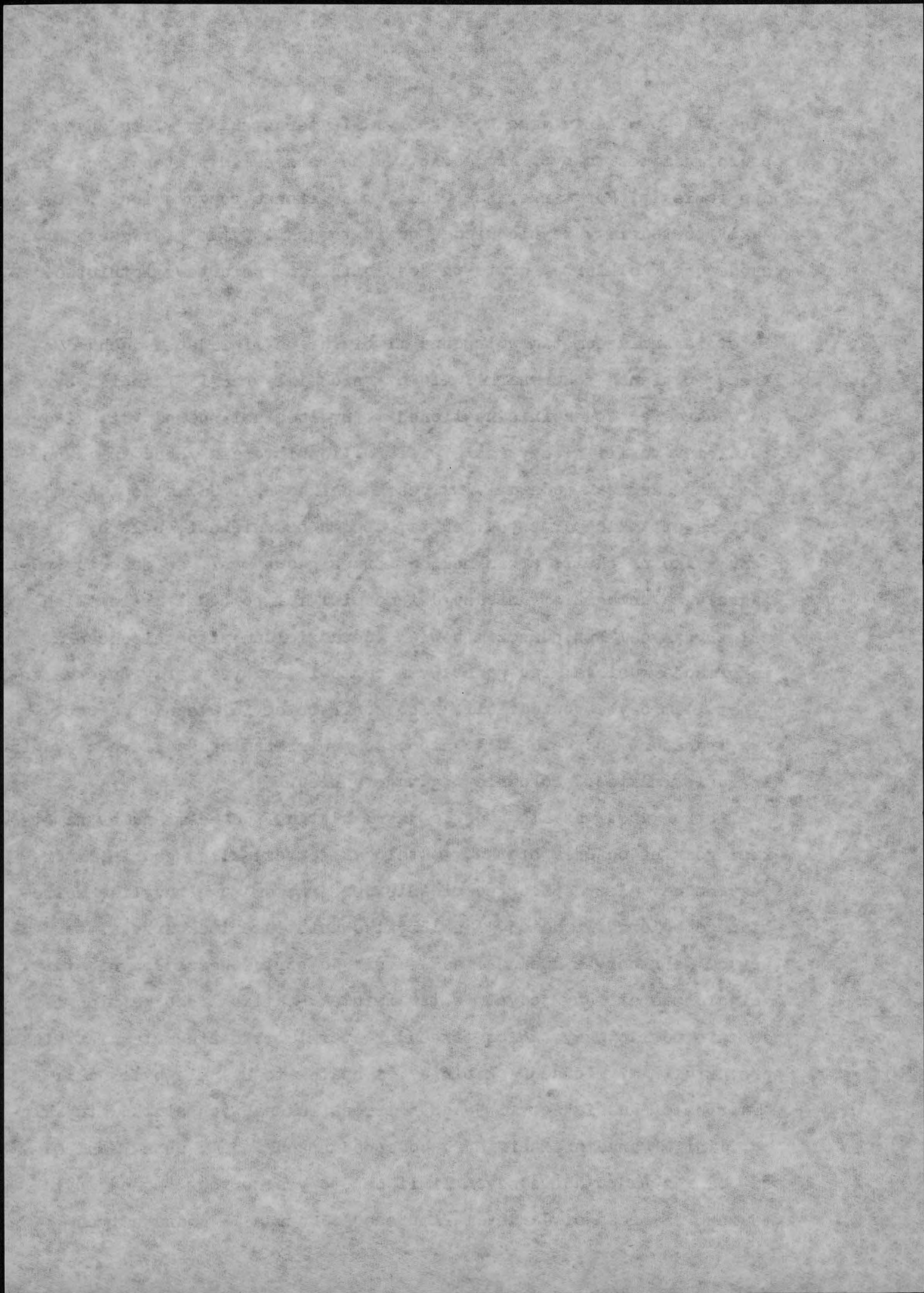


się do tego właśnie gmachu, w którym się teraz znajduję, to chyba to biuro musi też tu być. Ale gdzie? Gmach ma z osiem pięter i jest bardzo rozległy, korytarze, jak widzę, mają liczne rozgałęzienia. "Czyżki" powiedziały że nie wiedzą gdzie to jest. Pytam pierwszego przechodzącego żołnierza, gdzie tu jest oficer transportowy lotnictwa.

- Piętro wyżej.

Istotnie znalazłem tam potrzebne mi biuro, podziwiając w duchu dyskrecję panienek z Marynarki. Ale czy nie miały racji? Przecież było to w okresie szczególnie nasilonej wojny łodziami podwodnymi, kiedy to Niemcy topili rzeczywiście wielkie ilości tonażu /choć ani w połowie tak duże, jak podawali w swych komunikatach/. Udzielać informacji, nawet takich drobnych jak ta, obcemu człowiekowi, było by błędem. Tylko na chwilę przemknęła mi przez głowę myśl, że może tu znów zagrały te antagonizmy między dwiema wielkimi potęgami królewskich sił zbrojnych. Przypuszczam bowiem, że udzielona mi od niechcienia informacja musiała mieć podstawy w rozmowie, odbytej przy mnie z Londynem, tam chyba powiedzieli, albo konkretnie, że właśnie ma wypłynąć transport pod egidą RAF, albo, że powinienem szukać mego przydziału gdzie indziej, skoro nie figuruję u nich.

Piętro wyżej wszystko poszło jak z płatka, podano mi numer na brzoza i godzinę odjścia statku. Zostało mi jeszcze kilka godzin, które zużyłem na dalszy spacer po mieście, obejrzałem nową bazylikę wątrobianego koloru o trudnej do sklasyfikowania architekturze. Potem zabrałem me rzeczy z dworca i udałem się do portu, weszedłem na statek /ciągle zaopatrzony jedynie w ten świstek - kilka liczb na nimwidocznie mówiło wszystko co trzeba, kwatermistrz o nic mnie nie pytał, przydzielił mi miejsce w kabinie/, a statek to był nie byle jaki: "Empress of Russia" czyli jeden z trzech luksusowych statków tej klasy, linii "Canadian Pacific" uchodzącej przed wojną, obok P and O, za jedną z najpoważniejszych linii okrętowych. Oprócz "mojej" była jeszcze "Empress of Japan" i "Empress of Canada" - żadna z tych



"cesarzowych" nie dożyła końca wojny, gdyż dwie zatopione zostały przez łodzie podwodne, a moja, pewnego pięknego dnia, stojąc w Leith /port dla Edynburga u ujścia rzeki Leith/ przewróciła się i zatonała, jak gdyby miała już dość tego poniżającego żywota, kiedy to zamiast wozic przedwojennych bogaczy stała się dość pospolitym transportowcem wojskowym.

Na statku było tego wojska co niemiara. W kabinie było nas czterech, ale znów wszelkie wolne przestrzenie na statku, nie wyłączając maszynowni obłożone były żołnierzami, których było dobre parę tysięcy. Pod tym względem przypominało mi to ów poczciwy "Alderpool", węglowiec, który przewiózł nas przeszło dwa lata temu z Francji do Anglii. Na "Empress of Russia" były jednostki z najrozmaitszych rodzajów broni, ale statek, jak i cały konwój, który wkrótce miał się uformować, był w gestii lotnictwa. Lotników było dużo, byli i artylerzyści, był batalion tzw. marynarki lądowej /Royal Marines/ przeznaczonej do operacji w rodzaju desantu z morza. Było też kilkanaście osób cywilnych, sądząc ze stroju.

W pewnym momencie kazano nam zebrać się na jednym z mostków górnego pokładu, ja nie wiedziałem po co, tym bardziej więc zdziwiła mnie kanonada, która się nagle rozpoczęła. Chodziło widocznie o próbę obrony przeciwlotniczej, tym razem były to już nie boforsy ale sprzężone oerlikony, oraz, wnosząc z basowego huku, również i większe działa przeciwlotnicze. Ta próba sprzętu została powitana przez zebranych z niekłamana sympatią. Zgromadzenie nas na mostku było dyktowane względami bezpieczeństwa, ale przypuszczam, że próba miała też na oku czynniki psychologiczne - miała dać poczucie większej pewności pasażerom.

Według ustalonej dla siebie zasady /po ostrym strzelaniu do mnie, jako rzekomego szpiega w pierwszych dniach naszego września/ nie zadawałem nikomu żadnych pytań, lecz starałem się wysnuć jak najwięcej wniosków z tego co widzę i słyszę, by jednak zdobyć jaką taką orien-